

**JAMES  
PATTERSON**

---

**J.D. BARKER**

Śmierć  
czarnej wdowy

JEDEN POCAŁUNEK I JESTEŚ MARTWY

CZARNA OWCA

**JAMES  
PATTERSON**  

---

**J.D. BARKER**

Śmierć  
czarnej wdowy

Przełożył Tomasz Wyżyński

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

# Spis treści

Strona tytułowa  
Spis treści  
Strona redakcyjna  
TERAZ

1

1986

2

3

4

5

6

TERAZ

7

1992

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

TERAZ

22

1992

23

24

25

26

27  
28  
29  
30

TERAZ

31  
1992  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38

TERAZ

39  
1992  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50

TERAZ

51  
1997  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65

66

TERAZ

67

2009

68

69

70

71

72

73

74

75

TERAZ

76

2009

77

78

79

80

81

82

83

TERAZ

84

85

86

87

88

89

90

91

92

Przypisy końcowe

Copyright © 2022 by James Patterson  
This edition arranged with Kaplan/DeFiore Rights through Graal Literary Agency.  
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2023  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Tytuł oryginału: Death of the Black Widow

Redakcja: Marta Stochmiałek  
Korekta: Beata Wójcik, Bartosz Szpojda  
Projekt okładki: Krzysztof Rychter  
Zdjęcie na okładce: ©Shutterstock  
Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).  
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.  
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody  
właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-464-2

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czar-naowca.pl](http://www.czar-naowca.pl)  
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Istnieją rzeczy, które człowiek może tylko przeczuwać albo zakładać.  
Ludzie od wieków rozwiązują różne zagadki.  
Stoimy u progu czegoś, co trudno ogarnąć rozumem <sup>1</sup>.

Bram Stoker

**TERAZ**



## ROZDZIAŁ

# 1

### CZY BUDYNEK MOŻE SIĘ POCIĆ?

Gdyby Walter O'Brien usłyszał to pytanie, odpowiedziałby, że nie. Jednak wydawało się, że ceglany dom na rogu Park Avenue i Woodward Avenue w centrum Detroit się poci. Spłowiałe czerwone cegły lekko lśniły; wilgoć odbijała światło lamp ulicznych, neon na dachu i reflektory przejeżdżających samochodów, których kierowcy nie mieli pojęcia, co się za chwilę stanie.

Miał ochotę trzasnąć lornetką o ziemię.

– Dlaczego ciągle jeżdżą samochody?! Zamknijcie ulicę, do cholery!

Po chwili w słuchawce rozległ się opryskliwy głos Lincolna Sealeya.

– Nie możemy.

– Dlaczego?

– Bo nic się jeszcze nie wydarzyło.

Sprzeczali się o to wielokrotnie i chociaż Walter uważał, że tym razem ma rację, uznał, że nie warto się denerwować. Wkrótce coś się wydarzy.

Popatrzył na zegarek.

Dziewięta pięćdziesiąt dwie.

Neon w dalszym ciągu włączał się i wyłączał, oświetlając otaczające budynki i jezdnię fioletowym blaskiem.

KLUB STOMP.

Osiem minut.

Pięćdziesięciosiedmioletni Walter nie powinien chodzić po dachach. Wstał i wyjrzał znad okapu, słysząc trzeszczenie swoich stawów. Piekielnie bolała go noga. Ścisnął laskę dłonią mokrą od potu.

Czwarte piętro.

Znajdował się naprzeciwko klubu.

Obserwował drzwi frontowe.

Ze środka dobiegały dźwięki uchodzące obecnie za muzykę, wprawiając powietrze w drganie. Monotonne bum, bum, bum, bum, bez przerw, bez śpiewu.

Brakowało mu gitar, melodii, harmonii. Pamiętał czasy, gdy Detroit szalało za muzyką. Muzyką i samochodami. Teraz odwiedzano to miasto tylko w poszukiwaniu tanich nieruchomości.

Przy wejściu stał bramkarz, który sprawdzał w świetle kieszonkowej latarki dokumenty wchodzących gości. Drugi bramkarz chodził wzdłuż kolejki złożonej z około trzydziestu osób stojących za spłowiałą czerwoną liną. Wydawało się, że jego zadanie polega na wyławianiu najładniejszych dziewczyn i wpuszczaniu ich poza kolejnością. Obaj bramkarze byli groteskowo masywni. Każdy z bicepsów tego stojącego przy drzwiach był większy od głowy Waltera. Bramkarz miał tatuaż, który zaczynał się za lewym uchem i wspinał na łysą czaszkę. Walter nie mógł się zorientować, co przedstawia rysunek, lecz wiedział, że zupełnie nie pasuje do garnituru za trzy tysiące dolarów.

Na dachu budynku federalnego zauważył ubranego na czarno Sealeya. Leżał na brzuchu, lekko uniesiony, i obserwował tłum przez celownik optyczny karabinu spoczywającego w odpływie wody deszczowej. Był to model Paratus-16, składana półautomatyczna broń snajperska mieszcząca się w etui niewiele większym od pudełka na lunch.

Jakieś sześć metrów za Walterem wyszedł przez klapę na dach Red Larson, szybko się rozejrzał i zaczął montować karabin identyczny jak ten należący do Sealeya.

– Zgłosiłem strzelaninę w sklepie spożywczym na Woodward Avenue, jakąś przecnicę stąd – rzekł w trakcie pracy. – Powiedziałem, że słyszę serie z broni maszynowej. Może więcej niż jednego karabinu. To powinno ściągnąć lokalną policję i dziennikarzy. Nie miałem okazji posłuchać radia, ale trzydziesty siódmy komisariat jest zaledwie trzy kilometry stąd.

– Potrzebujemy karettek, nie policjantów. Gliniarze będą przeszkadzać.

– Wyślą też karetki. To standardowa procedura.

– Nie powinieneś mówić o strzelaninie, tylko że ktoś miał zawał.

– Potrzebujemy więcej niż jednej karetki.

Miał rację. Walter postanowił zakończyć dyskusję.

– Zniszczyłeś telefon?

Red spojrzał na niego z urazą, wyjął z kieszeni tanią komórkę na kartę, przełamał na pół i wyrzucił za okap.

– Tak, mamusiu, zniszczyłem.

Walter w milczeniu pokręcił głową.

Red zmontował karabin i położył się na brzuchu. Skrzywił się, gdy jego stawy również zatrzeszczały, znacznie głośniejsze od stawów Waltera. Red był jedenaście lat starszy.

– To zabawy dla młodych. Żaden z nas nie powinien tu być.

– Mamy jeszcze coś do załatwienia.

W słuchawkach rozległ się głos Sealeya:

– Jest jeszcze czas, żeby wrócić do motelu i obejrzeć końcówkę meczu Detroit Tigers.

– Przestań się wygłupiać – odparł Red.

Walter poczuł drapanie w gardle, wyjął z kieszeni chusteczkę i zakasłał. Głośno, ale bez przesady. Wsunął poplamioną chusteczkę z powrotem do kieszeni, nim Red zdążył zauważyć krew. A nawet gdyby zauważył, to nie miałyby żadnego znaczenia. Larson wiedział, co się dzieje z Walterem, podobnie jak Sealey.

„Jeszcze coś do załatwienia” – pomyślał. Wszystko powinno niedługo się zakończyć.

Trącił butem stopę Reda.

– Kiedy ostatnio padało?

– Wyglądam jak pogodynka?

– Budynek wydaje się mokry.

– Jesteśmy w Detroit – mruknął Red, jakby to coś wyjaśniało. – Ile czasu zostało do rozpoczęcia akcji?

Walter zerknął na zegarek.

– Trzy minuty.

– Jest w środku?

– Podobno.

– Jesteś pewien?

Walter nie był niczego pewien, ale nie zamierzał tego mówić Redowi ani Sealeyowi. Nie chciał im dawać żadnego pretekstu do wycofania się.

– Zająłeś się tylnymi drzwiami? – Głupie pytanie. Niespełna pół godziny wcześniej obserwował, jak Red je zaspawał.

– Zostało tylko wejście od frontu – odparł mimo to Larson.

– Załadowałeś normalne pociski?

Red poklepał zapasowy magazynek leżący po lewej stronie karabinu.

– Normalne są w komorze, pochrzyny w rezerwie. Nie mam jeszcze demencji. Jesteśmy dobrze przygotowani.

– Nie przydałyby się dwa karabiny?

Larson cmoknął z dezaprobatą.

– Mogę błyskawicznie zmienić magazynki.

– Słyszę syreny – przerwał Sealey. – Dwa, może trzy wozy policyjne. Nadjeżdżają od zachodu.

Lokalni gliniarze, którzy zareagowali na telefon Reda.

– Potwierdzam – powiedział Walter, choć jeszcze nic nie słyszał. Spojrzał z powrotem na klub. – W Chicago też było kiepsko. Podobnie jak w tej nędznej dziurze niedaleko Reno w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Przypominam sobie jeszcze kilka takich miejsc.

Red wzruszył ramionami.

– Może nam się udać albo nie. Powinniśmy znaleźć sposób, by wykorzystać sytuację. Jeśli zakończymy dziś tę sprawę, będziemy mogli sobie pogratulować. Proponuję działać zgodnie z planem. Nie mam ochoty tego powtarzać.

– Na zachodzie leje jak z cebra – powiedział Sealey. – U nas już się wypogodziło. Uważajcie na to, co się dzieje.

Walter znowu zerknął na zegarek.

– Co z czasem?

Wyjął z kieszeni spodni telefon na kartę i wystukał numer zapisany na dłoni czarnym markerem.

– Klub Stomp! – odezwał się męski głos, przekrzykując muzykę.

Walter mówił powoli, z całych sił starając się nie okazywać lęku:

– Podłożyłem w klubie bombę. Macie dwie minuty na ewakuację albo wszyscy zginiecie. Rozumie pan?

– Bombę?

– Rozumie pan?! – powtórzył Walter.

– Tak, ale...

Walter się rozłączył. W odróżnieniu od Reda nie zniszczył komórki. Będzie jeszcze potrzebna. Wrzucił ją do kieszeni.

Po chwili głośne basy umilkły. Nagle zapadła cisza. Wydawało się, że we wnętrzu klubu coś ogłoszono. Słowa były jednak zbyt przytłumione, by je zrozumieć.

– Zaczyna się – rzekł cicho Sealey w słuchawkach.

Walter dotknął palcem szorstkiej, nierównej blizny na lewym nadgarstku. Uniósł lornetkę i obserwował drzwi klubu.

– Uważajcie.

– Jesteś zupełnie pewien? – spytał Sealey.

Walter przypomniał sobie esemesa: „Klub Stomp, 10 wieczór. Tęsknię za tobą”.

– Jestem pewien.

Zadzwoiła komórka pierwszego bramkarza. Uniósł ją do ucha muskularną ręką i słuchał. Po chwili się rozłączył i powiedział coś do drugiego bramkarza, który natychmiast popędził do tylnych drzwi. Powiedział coś szybko do ludzi stojących w kolejce, którzy rozbiegli się w popłochu.

W drzwiach pojawiła się dziewczyna. Bramkarz ją popchnął, wybiegła na zewnątrz. Ciemne włosy sięgające do ramion, czarna sukienka.

– Brunetka, dwadzieścia kilka lat, biała! – zawołał Sealey.

– Potwierdzam! – odparł Red.

– Przepuścić – rozkazał Walter, chociaż nie miał stuprocentowej pewności. Nie było na to sposobu.

Zza pleców dziewczyny wypadli na ulicę dwaj mężczyźni, po czym popędzili w stronę parkingu po przeciwnej stronie jezdni. Walter i jego ludzie ich zignorowali.

W klubie rozległy się krzyki. Goście rzucili się do wyjścia. Hałas miał swoje zalety. Zagłuszy to, co nastąpi później.

W drzwiach pojawiła się druga dziewczyna. Rozszerzone oczy, szok malujący się na twarzy.

– Blondynka! Oczy piwne! – powiedział Sealey.

– Blondynka, oczy piwne, potwierdzam – rzekł Red.

– Przepuścić – odezwał się Walter.

Z klubu wyszły dwie następne dziewczyny. Podtrzymywały się. Ta po lewej miała ciemnoczerwoną plamę na udzie, a druga ranę na ramieniu, może po nożu albo stłuczonej butelce. Spomiędzy jej palców spływała krew. Bramkarz popchnął je do przodu i wskazał parking.

– Przepuścić – rozkazał Walter, nim Sealey i Red zdążyli się odezwać.

Z czoła spływał mu pot, kropla wpadła do oka. Otarł je wierzchem dłoni i mocniej ścisnął lornetkę.

Poprzedniego dnia odwiedził klub. Oświadczył, że musi sprawdzić rury gazowe, i wszedł do środka. Przeszkłone drzwi wejściowe były wąskie i prowadziły do jeszcze węższego korytarza z kasjerem po prawej i szklaną gablotką z licencjami klubu po lewej. Za kasjerem wchodziło się do sali tanecznej, ale były to jedyne drzwi, ponieważ tylne zaspawano. Domyślał się, że w środku znajduje się około dwustu osób, może więcej. Trudno było ocenić liczbę gości w czwartek.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak goście się przepychają, biegną w stronę drzwi i tratują, próbując się wydostać.

Z klubu wypadło trzech chłopaków, chyba niepełnoletnich.

Sealey i Larson ich zignorowali. Pojawiły się dwie następne dziewczyny. Jedna czarnoskóra, druga Latynoska. Z klubu usiłowało wybiec coraz więcej gości.

Czarnoskóra dziewczyna miała ranę na policzku i chyba złamaną rękę. Trudno powiedzieć, ale podtrzymywała ją, jakby coś ją bolało. Pomagająca jej koleżanka, ubrana w mini, zgubiła gdzieś but.

Sealey zignorował zranioną dziewczynę i opisał drugą.

– Latynoska, kasztanowe włosy prawie do ramion. Zielone oczy.

– Zielone? – prychnął Red. – Jesteś pewien?

Walter nie wahał się ani przez chwilę.

– Strzelaj, Sealey!

Sealey nacisnął spust.

Pocisk trafił Latynoskę tuż pod barkiem i wyszedł z drugiej strony. Uderzył w ścianę z żużlobetonu, wzbijając chmurkę pyłu i odłupując kawałek ściany. Dziewczyna puściła koleżankę i chwyciła się za rękę. Między jej palcami ciekła krew.

– Reakcja negatywna – odezwał się Sealey. W jego głosie brzmiało zdenerwowanie. – Jest ranna.

– Kurwa mać! – zaklął Walter. Przez drzwi wyszły cztery następne osoby. Trzech mężczyzn, jedna kobieta.

– Nie widzę kobiety – powiedział Red. – Zasłaniają ją faceci.

– Ja też nie widzę – dodał Sealey.

Walter słyszał zbliżające się syreny.

– Strzel do jednego z mężczyzn, jeśli to konieczne. Musimy zobaczyć dziewczynę!

– Jesteś pewien?

– Strzelaj, do cholery!

Red Larson strzelił. Chłopak stojący z przodu się zachwiał i upadł w lewą stronę. Chwycił się za kostkę.

– Rudawa blondynka – szybko zawołał Sealey. – Różowe pasemko po lewej stronie. Błękitne oczy.

– Po twojej lewej czy jej lewej?

– Słucham?

– Mówię o pasemku!

– Jej lewej! Jej lewej!

Red westchnął.

– Zgadza się.

– Przepuścić – rozkazał Walter.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Bramkarz zauważył, że na ulicy trwa strzelanina, i próbował zatrzymać ludzi próbujących wybiec z klubu, ale mimo imponującej postury nie był w stanie sobie poradzić z naciskiem ciał próbujących się przepchnąć do wyjścia.

W słuchawkach Waltera rozległ się głos Sealeya:

– Widzę policję miejską. Nadjeżdża od strony Woodward Avenue, nie zatrzymali się przy sklepie wspomnianym przez Reda. Jadą w naszym kierunku.

Widzę sześć wozów policyjnych, nie, osiem. SWAT-u jeszcze nie ma, na razie.

Z klubu wybiegło pięć następnych osób, wypchniętych za drzwi przez napierający tłum.

Jeden z mężczyzn z ostatniej grupy przykucnął, wskazywał Sealeya na dachu i krzyczał coś do bramkarza.

– Nie zatrzymamy ich – rzekł szybko Sealey. – Za wielu wychodzi!

Walter ścisnął laskę, szybko się odwrócił i ruszył w stronę schodów.

– Strzelajcie w drzwi wejściowe! Zmuście ich, by pozostali w budynku! Sealey, przenieś się w inne miejsce, zostałeś zauważony. Schodzę!

Dokuśtykał do klatki schodowej i ruszył w dół, ale już w połowie drogi poczuł ból w piersi. Kiedy dotarł na parter i wyszedł na chodnik, znowu się rozkasłał. Na wargach pojawiła się krew.

Zamknęły się za nim drzwi budynku. W tej samej chwili na Park Avenue zatrzymały się z piskiem opon trzy wozy patrolowe Departamentu Policji Detroit. Cztery następne przyjechały z Woodward Avenue. Jedna karetka pogotowia. Nie, dwie. W dali słychać było następne syreny.

Walter rozejrzał się po ulicach otaczających budynek, niczego nie zauważył i zaklął.

– Gdzie ciężarówka?

Żadnej odpowiedzi.

– Gdzie ta cholerna ciężarówka?! – powtórzył.

– Jeszcze kilka minut – odpowiedział Sealey. – Pięć, może dziesięć.

Za wolno. O kurwa... Pokręcił głową.

– Żadnych akcji bez mojego rozkazu. To nie strzelanina z lokalną policją. Nie chcę, żeby do tego doszło. Pamiętajcie o instrukcjach.

– Jesteś pewien? – spytał Red. – Naprawdę tego chcesz?

Walter pokuśtykał na środek skrzyżowania, podpierając się laską. Pochylił się ciężko, uklęknął na asfalcie i położył laskę na ziemi. Uniósł ręce nad głowę, a wóz policyjny zatrzymał się około trzech metrów od niego.

To, czego chciał, nie miało już znaczenia. Za godzinę i tak będzie martwy.

# 1986

**Walter O'Brien, dwadzieścia dwa lata**



## JEST PANI PEWNA, ŻE KTOŚ KRZYCZAŁ?

Starsza kobieta z mieszkania 1A wyraźnie nie przepadała za policjantami. Patrzyła przez chwilę na Herba Nadlera zza drzwi zabezpieczonych łańcuchem i doszła do wniosku, że nie stanowi zagrożenia. Odpięła łańcuch i wyszła na korytarz, po czym stanęła jak najbliżej detektywa. Była niska, miała niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Prawie nie patrzyła na Waltera O'Briena, ostentacyjnie go ignorując. Skinęła głową w stronę klatki schodowej.

– Nie mówiłam, że krzyczał. To raczej wycie. W 2D. Musicie coś z tym zrobić. Nie wytrzymam następnej nocy.

– Wycie? Zranionego psa? – spytał Nadler.

– Tak, wycie, ale nie psa. Człowieka.

– Jest pani pewna?

– Myślicie, że bym zadzwoniła, gdybym nie była pewna?

Spłowiąły różowy szlafrok frotté się rozchylił. Nie próbowała go poprawić. Pod szlafrokiem miała na sobie podniszczony T-shirt z wizerunkiem zespołu Harold Melvin & the Blue Notes i szare spodnie od dresu z uciętymi nogawkami. Była bez stanika. Kiepski pomysł, bo czasy, gdy mogła chodzić bez stanika, minęły co najmniej pięćdziesiąt lat temu. Fioletowe papiloty we włosach, niektóre umocowane gumkami.

Walter, stojący kilka kroków za nowym partnerem, usiłował wymazać obraz zakodowany w pamięci. Podciągnął pas z pistoletem; jego ciężar ciągle przypominał, że rozmiar jest niewłaściwy. Oficer dyżurny w komisariacie oświadczył, że nie ma mniejszego, gdy wręczył mu pas, kajdanki, gaz pieprzowy, krótkofalówkę, zapasowe baterie, pałkę, latarkę i inne akcesoria niezbędne w pracy policjanta. Wszystko ważyło kilkanaście kilogramów, a później doszły do tego rewolwer Smith & Wesson i zapasowa amunicja otrzymana poprzedniego dnia.

Gruba kobieta przestąpiła z nogi na nogę.

- To trwa już dwa tygodnie.
- Dlaczego nie zadzwoniła pani wcześniej?
- Dzwoniłam osiem razy. Przed wami nikt nie przyjechał.

Partner Waltera spojrział na niego pustym wzrokiem. Walter się domyślał, co mógłby powiedzieć. Wyraził to jasno w samochodzie, gdy jechali na miejsce: „Pada śnieg, a gliniarze, którzy zapuszczają się po jedenastej do dzielnicy Forest Park, łatwo mogą dostać kulkę w plecy. Połowa zgłoszeń z tej dziury to lipa, po prostu próba zwabienia kogoś w mundurze, żeby gangsterzy mieli do kogo strzelać. Awantury zwykle kończą się samoistnie, a poza tym zawsze lepiej przesłuchiwać ocalałych w szpitalu, już po sprawie, niż brać udział w strzelaninie”. Nadler gadał w ten sposób przez dwadzieścia minut i skarżył się, że będzie miał na sumieniu nowicjusza takiego jak Walter (i to w czasie pierwszej nocnej służby).

- Nic nie słychać – rzekł Walter, spoglądając na klatkę schodową.

Kobieta zmrużyła oczy.

- Myśli pan, że to dobrze?

Z mieszkania wyszedł mały chłopiec, co najwyżej dwulatek, mający na sobie tylko pieluchę wypchaną gównem. Objął nogę kobiety i gapił się na policjantów.

Pogłaskała go po głowie.

– Wracam do siebie i po raz trzeci położę go spać, żeby jego matka mogła się z nim pobawić w przerwach między pracą. A wy idźcie na górę i zajmijcie się tym, co się tam dzieje, żaden z mieszkańców nie chce tego słuchać.

Wprowadziła chłopca do mieszkania i zatrzasnęła drzwi. Nadler i Walter zostali sami na korytarzu.

Nadler popatrzył na klatkę schodową.

- Jesteś gotów dotrzymać przysięgi?

Walter podciągnął pas, który znowu się zsunął. Zaklął. Nadler przewrócił oczami.

– Stare kawały robione nowicjuszom. Jeśli z tym nie skończą, ktoś w końcu zginie. – Wyjął nóż i podał Walterowi. – Zrób dodatkową dziurkę, nim to gówno spadnie na ziemię. Wysyłają was pierwszej nocy z za wielkim pasem, obładowanych jak żołnierzy na patrolu w dżungli. Nie potrzebujesz nawet połowy tego wyposażenia. Kiedy wrócimy do samochodu, pokażę ci, co naprawdę jest konieczne. Reszta może iść do szafki. Jeśli komuś powiesz, że ci pomogłem, zaprzeczę, więc ma to zostać między nami, jasne?

- Wszystko w porządku – odparł Walter i odwrócił się w stronę schodów.

– Posłuchaj. Jeśli chcesz skończyć z pasem wokół kostek, gdy ktoś będzie do nas strzelał, proszę bardzo. Jeśli nie, weź ten cholerny nóż, zrób nową dziurkę i oszczędź nam obu papierkowej roboty.

Walter wziął nóż, zrobił nową dziurkę i zacisnął pas. Bez słowa oddał nóż Nadlerowi.

– Gotowe.

Nadler schował go i rozpiął skórzany pasek chroniący rewolwer. Położył dłoń na kolbie.

– Trzymaj pistolet w kaburze. Nie wyjmuj go, dopóki ci nie powiem. Nie chcę, żebyś zastrzelił kogoś pierwszej nocy. Najprawdopodobniej to po prostu ćpuny na dłuższym odlocie. Wielu z nich w tej okolicy szprycuje się heroiną, po czym zamykają się w mieszkaniach i nie wychodzą, chyba że skończy im się żarcie albo muszą znowu się napruć. W tym budynku są co najmniej trzy takie meliny. Jeśli tam wejdiesz, zobaczysz dwudziestu ludzi leżących we własnym gównie, kompletnie nieprzytomnych, prawie martwych. Większość jest nieszkodliwa, ale nie pozwól nikomu na siebie splunąć. Nie powinni cię trafić w oczy albo usta. Jeśli to zrobią, znajdź najbliższy zlew i umyj się. Są tu dziwki mające tyle chorób, że szczury przechodzą na ich widok na drugą stronę ulicy. Jeśli poczęstujesz czymś takim swoją dziewczynę, utnie ci fiuta, chyba że wcześniej sam odpadnie.

Walter zerknął na zamknięte drzwi mieszkania 1A. Nadler natychmiast odgadł, o czym myśli.

– Aresztujesz smarkacza w pięć sekund, na oczach matki i babki. Miejmy nadzieję, że się zawaha, więc zdążysz strzelić pierwszy. Albo my ich, albo oni nas, żółtodziobie. Pamiętaj o tym, bo inaczej zginiesz. Chodź...

Nadler ruszył w górę po wytartych stopniach. Trzymał jedną pulchną dłoń na poręczy, a drugą na kolbie pistoletu.

Walter wsunął rękę do kieszeni. Dotknął palcami wytartej skóry niewielkiej psiej obroży. Wyczuł nierówności, małe otworki, krawędź metalowej zawieszki.

– Zaczynamy – powiedział cicho, po czym ruszył schodami za Nadlerem.

## ROZDZIAŁ

# 3

PIERWSZE PIĘTRO WYGLĄDAŁO podobnie jak parter. Ściany pokrywało mnóstwo warstw farby, a poniżej znajdowała się łuszcząca się tapeta. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i moczu i gdyby nie żółte świetlówki zwisające z sufitu, na korytarzu panowałby mrok. Idealne środowisko dla karaluchów, pajaków, szczurów i myszy. Walter czuł, że go obserwują.

U szczytu schodów Nadler ominął zużytą prezerwatywę, po czym rozejrzał się ostrożnie na boki i skręcił w korytarz.

Na tym piętrze znajdowało się sześć mieszkań. Tabliczka 2D wisiała na drugich drzwiach po prawej.

Skinął ręką w stronę Waltera, by go minął i stanął po przeciwnej stronie drzwi, po czym głośno zapukał i się odsunął.

Nigdy nie należy stawać bezpośrednio przed drzwiami – wbijano im to do głowy w akademii. „Jeśli przestępca strzeli, to prawie zawsze w środek”. Ta myśl przeleciała Walterowi przez głowę, kiedy przywarł do popękanej gipsowej ścianki obok drzwi. Był przekonany, że nie zatrzymałaby ona kuli, gdyby przestępca źle wycelował albo strzelił w prawo.

Nadler bębnił palcami w kolbę rewolweru. Odczekał kilka sekund i znowu zastukał w drzwi.

– Policja! Otwierać!

Jeśli w środku ktoś się poruszał, zachowywał się bardzo cicho. Drzwi do mieszkania 2E uchyliły się o kilka centymetrów i wyjrzał z nich chudy czarnoskóry nastolatek. Postanowił sprawdzić, co się dzieje. Popatrzył Walterowi w oczy i się zawahał.

– Trzyma tam dziewczynę – powiedział i zaczął zamykać drzwi.

– Kto?

– Nie wiem, jak się nazywa. Jakiś biały. Jest tam od dwóch miesięcy.

– On czy dziewczyna?

Nastolatek nie odpowiedział. Zamknął drzwi i zasunął kilka rygli. Walter spojrzał na Nadlera, który przygryzał policzek.

– Powiedział, że facet trzyma tam dziewczynę. Nie mówił, że więzi ją wbrew jej woli. Mógł sprowadzić prostytutkę, z którą się zabawia. Nie możemy wejść bez uzasadnionego podejrzenia, że popełniono przestępstwo.

Walter popatrzył na drzwi mieszkania 2E w głębi korytarza.

– Mam go przyprowadzić? Wyciągnąć od niego coś konkretnego?

Nadler nie odpowiedział. Odwrócił się plecami do drzwi mieszkania 2D.

– Nie powiedziałby tego, gdyby nie uważał, że dziewczyna ma kłopoty – zauważył Walter.

– Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski, młody.

– Wiec dlaczego nikt nie otwiera?

„Chryste, Nadler się boi” – pomyślał Walter. „Świetny wzór dla młodego policjanta”. Walnął w drzwi nasadą dłoni.

– Wiemy, że jesteś w środku! Otwieraj, natychmiast!

Nadler wydawał się bardzo niezadowolony. Popatrzył wściekle na Waltera i pokręcił głową.

– Cholerny nowicjusz! – mruknął. – Chcesz dać się zastrzelić pierwszego dnia?!

Za drzwi dobiegł głuchy łoskot. Głośny. Coś upadło na ziemię. „Chyba ciało upadające na podłogę” – pomyślał Walter.

Po chwili rozległ się krótki okrzyk, zduszony i natychmiast uciszony.

„Wchodzimy”.

Nadler się ożywił. Wyciągnął rewolwer z kabury, przeszedł na przeciwległą stronę korytarza i skierował lufę w stronę drzwi.

– Departament Policji Detroit, wchodzimy!

Walter miał w nosie rady Nadlera. Nie zamierzał wchodzić do mieszkania bez broni. Odpiął pasek i wyjął rewolwer.

Nadler kiwnął głową w stronę drzwi i uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, wykop je, mądrało”.

Walter cofnął się o krok, policzył do trzech i kopnął w drzwi pod klamką. „Kilka centymetrów pod zamkiem, piętą, całym ciężarem ciała”. Coś jak w filmie *Police Academy 101*.

Framuga pękła. Drzwi zadygotały, ale się nie otworzyły. Coś blokowało je na górze, prawdopodobnie rygiel. Walter musiał uderzyć jeszcze dwa razy, nim w końcu ustąpiły.

Nadler poruszał się błyskawicznie. Znacznie szybciej, niż Walter oczekiwał. Wpadł do mieszkania, trzymając przed sobą rewolwer, a następnie przykucnął, zrobił półobrót i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Walter podążył za nim.

Niewielki salonik i mała kuchnia po prawej stronie.

Zobaczył pod ścianą zniszczoną brązową kanapę stojącą naprzeciwko dziewiętnastocalowego telewizora umieszczonego na skrzynkach po mleku. Na podłodze leżało otwarte pudełko z dwoma kawałkami pizzy w środku. Ser był zaschnięty i pokryty białawą pleśnią. Wokół wały się rozgniecione puszki po piwie, a w rogu paliła się lampa z gołą żarówką, oświetlając pomieszczenie ostrym blaskiem. Na blacie kuchennym piętrzyły się śmieci i stare opakowania po potrawach na wynos.

Żadnego mężczyzny ani dziewczyny. Nie w tym pokoju.

Nadler wskazał lufą pistoletu zamknięte drzwi, które musiały prowadzić do sypialni w głębi mieszkania.

W akademii powtarzali tę procedurę milion razy i Walter zdał się na wyćwiczone umiejętności. Trzeba działać na zmianę z partnerem: najpierw on, potem ty, potem znowu on. „Jak najszybciej sprawdzić każde pomieszczenie. Poruszać się błyskawicznie. Nie dać przestępcom czasu na reakcję”.

Minął Nadlera, przeszedł przez niewielki pokój i wpadł skulony do sypialni. Poruszał się tak szybko, że o mało nie potknął się o ciało leżące na progu.

Mężczyzna.

Leżał z twarzą przyciśniętą do drewnianej podłogi, ubrany tylko w poplamione bokserki. Jedną rękę miał wyciągniętą nad głowę, trzymał w niej zardzewiały nóż kuchenny. Drugą przygniatał wydatny brzuch. Zatłuszczone siwe włosy były pokryte krwią płynącą ze świeżej rany w potylicy.

Walter przyklęknął i próbował wyczuć puls.

Nic.

Szyja mężczyzny była ciepła. Zginął niedawno.

Walter widział w mroku niewyraźny kształt materaca na podłodze, a obok pudło albo stolik, może kolejną skrzynkę po mleku. Nie był pewien.

Z tyłu pojawił się Nadler z wyciągniętą latarką. Snop światła padł na zwłoki, pustą szafę i łóżko. Materac nie leżał na podłodze, tylko na niskiej metalowej ramie. W każdym rogu przywiązano sznury. Jeden był przesiąknięty krwią i postrzępiony, jakby go przegryziono. Nie było prześcieradła. Zaplamiony materac śmierdzał kałem.

Nadler omiół latarką resztę pokoju. Nagle zauważył zamknięte drzwi.

Łazienka?

Na pewno.

Kiedy przechodził przez pokój, coś zachrząściło mu pod butami, może szkło. Zachwiał się i o mało nie przewrócił. Poświecił latarką i Walter spostrzegł, że to

inna lampa. Żarówka była rozbita, a kolumna wygięta pod dziwnym kątem przy ciężkiej podstawie. Prawdopodobnie narzędzie zbrodni.

Nadler przeszedł ostrożnie nad lampą i zatrzymał się przy wejściu do łazienki. Skinieniem dłoni nakazał Walterowi otworzyć drzwi.

Walter ominął zwłoki i lampę, podszedł do drzwi i ujął gałkę.

Nadler zaczął odliczać, a kiedy doszedł do trzech, Walter szybko przekręcił gałkę i pchnął drzwi.

Obaj w tej samej sekundzie zobaczyli dziewczynę w świetle latarki Nadlera.

Co najwyżej dwadzieścia kilka lat.

Naga.

Siedziała na podłodze, wciśnięta między umywalkę a muszlę klozetową. Podciągnęła kolana do piersi; połowę jej twarzy zasłaniały długie, ciemne, splątane włosy. Patrzyła na nich z przerażeniem, drżąc na całym ciele. Wydawała się zawstydzona.

– Nie chciałam tego zrobić – powiedziała, zerkając na zwłoki mężczyzny. – Pomóżcie mi?

## ROZDZIAŁ

# 4

WALTER WSZEDŁ DO ŁAZIENKI i znalazł kontakt. Pojedyncza żarówka oświetliła niewielkie, pozbawione okien pomieszczenie ostrym, zimnym blaskiem. Oślepiąca dziewczyna zamknęła oczy. Wcisnęła się głębiej pod umywalkę.

W tym momencie zauważył wiszące pod nią kajdanki. Jedno kółko przypięto do rury wodociągowej, drugie było otwarte. Kawałek zardzewiałego drutu na podłodze, prymitywny wytrych.

Policzki dziewczyny były pokryte kropelkami krwi, które miały podobną barwę jak piegi na jej nagim ramieniu.

– Spokojnie, wszystko w porządku. Nie zrobimy ci krzywdy. – Schował broń do kabury, zdjął bluzę i ukląkł, ale kiedy próbował okryć plecy dziewczyny, Nadler zatrzymał go i wskazał krew. Była ciągle wilgotna.

– Dowody – powiedział cicho.

Mimo to Walter przykrył dziewczynę. Odgarnął jej włosy z twarzy.

– Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczna.

Otworzyła oczy, oślepiąca światłem, i popatrzyła na niego ostrożnie. Miała wyraziste, ciemnoszare oczy. Walter jeszcze nigdy nie widział takich oczu. Nie zdawał sobie sprawy, że się w nie wpatruje, aż po chwili Nadler odchrząknął i wskazał wannę.

W rogu leżała podniszczona zielona kołdra, a na niej poduszka. Na podłodze wałało się kilka opakowań po batonach czekoladowych. Walter zauważył nadgryziony bochenek chleba. Ktoś niedbale czyścił kafelki, pozostawiając na nich smugi brudu. Ręcznik leżący na podłodze wydawał się pokryty zakrzepłą krwią. Zardzewiała rama nad umywalką była pusta, lustro dawno zniknęło.

„Chryste, więził ją tutaj. Ten pieprzony potwór więził ją w łazience przykuta do ściany”.

– Jak się nazywasz? – spytał Nadler z za jego pleców.



Wydawało się, że go nie słyszy. Spoglądała na Waltera. Później popatrzyła na jego bluzę. Zaciśnęła ją, próbując się zasłonić. Chwyła ją tak mocno, że suwak wbił jej się w dłoń.

Walter zdał sobie sprawę, że wyciąga rękę w jej stronę, dopiero gdy musnął palcami jej kostkę. Nie cofnęła nogi; przycisnęła stopę do jego ręki. Skóra dziewczyny wydała mu się lodowata.

– Zejdź do samochodu i zawiadom komendę, O’Brien – rzekł Nadler. Jego głos zabrzmiał dziwnie ostro.

Walter spojrział na niego z irytacją.

– Natychmiast – dodał Nadler.

Wyciągnęła rękę spod bluzy i chwyciła Waltera za nadgarstek. Miała drobne, delikatne palce, ale ścisnęła jego rękę jak imadło.

– Niech pan mnie nie zostawia!

Nadler jęknął.

– Chryste, okej. Zostań tutaj, ale niczego nie dotykaj. Zaraz wrócę.

Zanim Walter zdążył odpowiedzieć, jego partner się odwrócił, ostrożnie okrążył zwłoki, lampę i potłuczone szkło na podłodze, a następnie wyszedł z pokoju. Walter usłyszał głosy na korytarzu, które przycichły, gdy Nadler zamknął za sobą uszkodzone drzwi.

Został sam na sam z dziewczyną. W mieszkaniu panowała niezręczna cisza.

„Dlaczego jest tu tak zimno?”

Po raz pierwszy usłyszał szum klimatyzatora. Kiedy się odwrócił, zauważył archaiczne urządzenie wyrzucające chłodne powietrze. Widział w słabym świetle kłęby pary.

„Na dworze jest dwadzieścia stopni. Po co włączono klimatyzację?”

– Amy... – powiedziała tak cicho, że Walter nie był pewien, czy w ogóle się odezwała. – Nazywam się Amy Archer.

Odchrząknął.

– Walter. Walter O’Brien.

– Zabiłam go, prawda?

Nie widział sensu w okłamywaniu jej. Skinął głową. Próbowiła wsunąć się głębiej pod umywalkę, ale nie było tam miejsca. Jej białe stopy ślizgały się po podłodze, pozostawiając brudne ślady.

– Zabiłby mnie, gdybym go nie...

– Wszystko w porządku, Amy. Działałaś w obronie własnej. Nie powinnaś się niczego obawiać – zapewnił Walter. Spojrział na nadgryziony bochenek chleba. Z boku wyrosła pleśń, na folii osiadły kropelki wody. – Jak długo tu jesteś?

Pokręciła głową.

– Nie jestem... nie jestem pewna. Dwa tygodnie, może trzy?

– Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Po policzku spłynęła jej łza.

– To taksówkarz. Przynajmniej tak mówił. Wsiadłam do jego samochodu w centrum, w pobliżu Eastern Market. Podałam mu swój adres, ale zamiast zawieźć mnie do domu, ruszył na północ. Kiedy powiedziałam, że jedzie w złym kierunku, odwrócił się i psiknął mi czymś w twarz. Nie wiem, co to było, ale zemdlałam, a kiedy się ocknęłam... – Urwała i popatrzyła na kajdanki wiszące na rurze. – Trzymał mnie w łazience, kiedy nie leżałam na łóżku.

– Czy...

Zrozumiała, o co mu chodzi, zawahała się i lekko skinęła głową. Trzymała go za rękę. Walter nie był pewien, kiedy ją ujęła. Nie pamiętał, by znowu wyciągał dłoń w jej stronę, nie pamiętał, by brał ją za rękę. Wydawała się teraz cieplejsza. To dobrze.

– Może stąd wyjdziemy?

Spojrzała na muszlę klozetową, umywalkę i kajdanki, po czym skinęła głową.

Walter pomógł jej wypełznąć z ciasnej przestrzeni i usiąść na skraju wanny. Zerknęła na swoje nagie ciało, skrzyżowała nogi i szczelniej otuliła się bluzą. Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Wydawała się zawstydzona.

– Gdzie jest twoje ubranie?

– Nie wiem, co z nim zrobił.

Walter zastanawiał się, kiedy wróci Nadler, i zerknął przez ramię.

– Poszukam go. Zaczekaj tutaj, dobrze?

– Mogę iść z panem?

– Nie oddalę się od drzwi, będziesz mnie widzieć. Lepiej, żebyś tu została.

Włosy znowu opadły jej na twarz; odgarnął je i wsunął za ucho. Przycisnęła policzek do jego dłoni i przez chwilę się uśmiechała. Jej wargi odzyskały kolor. Były intensywnie czerwone. Miała w sobie coś egzotycznego, europejskiego, a może śródziemnomorskiego. Walter nie wiedział, skąd może pochodzić.

Nie zauważył jej ubrania, ale znalazł czerwone spodnie od dresu i spłóviały T-shirt z logo Detroit Lions, bardzo obszerny.

Wrócił do łazienki i podał jej odzież. Zrzuciła bluzę mundurową i szybko się ubrała. Kiedy skończyła, stanęła i popatrzyła na niego z wdzięcznością.

Otarł kropelkę krwi z jej policzka. Nie mógł się powstrzymać.

## ROZDZIAŁ

# 5

NAZYWAŁ SIĘ ALVIN SCHALK. Trzydzieści jeden lat, kawaler. Samotnik, niekarany. Taksówkarz w firmie Detroit Metro Taxi. Oficjalnie zameldowany przy Cambridge Avenue 83, nie tutaj. Według właściciela lokal powinien być pusty. Domyślam się, że wykorzystywał to mieszkanie jako miejsce schadzek.

Walter i Nadler stali w sypialni nad zwłokami z detektywem Freddieem Weedenem z Wydziału Zabójstw Departamentu Policji Detroit.

Walter mimo woli spojrział na Amy.

Weeden poprosił, by poczekała w łazience na przybycie karetki pogotowia. Wkrótce zawiozą ją do szpitala, sprawdzą, czy została zgwałcona, i opatrzą jej rany.

Amy musiała poczuć na sobie wzrok Waltera. Zerknęła na niego i spojrzała mu w oczy.

– Znaleźliśmy w piwnicy wyłączoną zamrażarkę z dwoma trupami zawiniętymi w kołdry. Rozkład posunął się tak daleko, że nie mogłem określić, czy to mężczyźni, czy kobiety. Zwłoki leżały tam od dłuższego czasu. Przyczynę zgonu ustali sekcja. – Skinął głową w stronę łazienki. – Nie jest pierwsza, to pewne. Ten gość opracował własny system. To wymaga praktyki. Nie byłbym zdziwiony, gdybyśmy znaleźli kolejne zwłoki w jego domu. Czekam na nakaz rewizji. Taksówka zniknęła, ale jestem pewien, że kiedy się odnajdzie, będą w niej jakieś ślady.

W mieszkaniu ustawiono reflektory i markery wskazujące miejsca, w których odkryto dowody rzeczowe. Fotograf systematycznie dokumentował stan mieszkania; co kilka sekund błyskał oślepiający flesz. W tej chwili pochylił się nad łóżkiem i pstrykał zdjęcia sznurów, zwłaszcza postrzępionego, który wyglądał jak przegryziony. Dowód rzeczowy numer 43. Weeden pytał Amy o sznur, ale nie odpowiedziała. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie, oczy wypełniły się łzami. Przestał zadawać pytania.

– Skąd pan wie, że zamrażarka należy do Schalka? – spytał Walter.

Weeden przewrócił oczami i spojrzał na Waltera.

– Pierwszy dzień pracy?

Nadler kiwnął głową.

– Tak.

– Pieprzcie się – mruknął Walter.

– Przypuszczenie oparte na solidnych podstawach – rzekł Weeden. – Znajdziemy tam jego odciski palców. Nie jest to najlepsza dzielnica, ale mieszkańcy dość rzadko trzymają trupy w piwnicach, młody człowieku. Większość strzela do siebie na ulicy i zostawia ciała na chodniku. Ukrywanie zwłok wymaga przygotowań, oznacza, że ten facet to planował. – Skinął głową w kierunku łazienki. – Próbowałem ją przesłuchać, ale zamknęła się w sobie. Powiedziała wam coś jeszcze?

Walter pokręcił głową.

– Tylko to, o czym mówiłem.

– Ciągłe jest w szoku – rzekł Weeden. – Na szczęście przyjechaliście i go spłoszyliście. Gdyby nie wy, skończyłaby w zamrażarce, nie ma co do tego wątpliwości. – Kopnął czubkiem buta zniszczoną lampę leżącą na podłodze o kilka centymetrów od pękniętej czaszki mężczyzny. – Przynajmniej oszczędziła podatnikom trochę forsy.

Walter dotknął obroży w kieszeni.

– Gdzie jest ta cholerna karetka?

Jeśli dziewczyna wszystko słyszała, nie dawała tego po sobie poznać. Spoglądała w bok. Była pogrążona we wspomnieniach albo starała się o nich zapomnieć.

Wyłamane drzwi mieszkania znowu się otworzyły. Wydawało się, że na korytarzu stoi połowa mieszkańców budynku, usiłując zajrzeć do środka. Nadler zamknął je kopniakiem i podparł torbą na dowody rzeczowe.

– Nie powinna tu siedzieć. Zabierzemy ją – odezwał się Walter do Weedena.

– Słucham?

– Możemy ją zawieźć do szpitala. Czy naprawdę musimy czekać na karetkę?

– Młody może mieć rację – zgodził się Nadler. – Po co marnować czas sanitariuszom? Mają lepsze rzeczy do roboty.

Weeden zastanawiał się przez chwilę.

– Potrzebuję jednego z was, żeby pilnował drzwi. Nie mogę was obu zwolnić.

– Wygląda na to, że czeka cię służba wartownicza przy drzwiach, O'Brien – powiedział sucho Nadler. – Ja pojedę.

– Młody jej się podoba – zauważył cicho Weeden. – Cały czas robią do siebie maślane oczy. Uważam, że to on powinien pojechać. Dziewczyna może się wygadać, powiedzieć coś, o czym jeszcze nie wiemy. Przez trzy tygodnie była

zamknięta z degeneratem, nie wiadomo, co jej mówił. Moglibyśmy znaleźć taksówkę, a może więcej zwłok, kto wie?

Nadler pokręcił głową.

– Pracuje od trzech godzin. Nie mam ochoty odpowiadać za to, że coś schrzani.

– Dziewczyna nie będzie z tobą rozmawiać – odparł Weeden. – Masz takie same siwe włosy i wielki kałdun jak gość, któremu rozbiła głowę. Wyglądacie jak bliźniacy, którzy się odnaleźli po wielu latach. Do licha, nawet ja nie mam ochoty z tobą rozmawiać!

– Chrzań się.

– Zawiozę ją na komendę – wtrącił Walter. – To tylko trzy kilometry. Nawet mniej.

– Nie jestem...

Weeden cmoknął niecierpliwie.

– Sto lat temu ty też byłeś nowicjuszem, Herb. Daj chłopakowi szansę. To ja odpowiadam za prowadzenie tego śledztwa. Może namówi ją do zwierzeń? Tak czy inaczej, warto spróbować. – Zanim Nadler zdążył odpowiedzieć, Weeden wyjął z kieszeni magnetofon mikrokasetowy i wręczył go Walterowi. – Gdyby coś powiedziała, masz to nagrać. Zawieź ją bezpośrednio na oddział ratunkowy i spytaj o doktora Lomaxa. Uprzedzę go, że ją odstawisz do szpitala.

Nadler spoglądał przez chwilę na Weedena, po czym gniewnie wyjął kluczyki z kieszeni i rzucił Walterowi.

– Zawieź ją i natychmiast wracaj. Żadnych głupot.

Walter szybko zasalutował, nieco wysuwając środkowy palec.

– Tak jest, sir.

## ROZDZIAŁ

# 6

AMY SIEDZIAŁA Z TYŁU, lecz obserwowała Waltera w lusterku wstecznym. Dziwna szarość jej oczu w półmroku wydawała się jeszcze bardziej intensywna. Kiedy mijali lampy uliczne, przesuwał się po niej blask: światło muskało ją jak pędzel malarza.

Walter wyjął magnetofon, wcisnął przycisk nagrywania i położył urządzenie na siedzeniu obok siebie.

– Dobrze się czujesz?

Popatrzyła na niego, ale nie odpowiedziała. W dalszym ciągu miała na sobie jego bluzę mundurową, teraz zarzuconą na T-shirt, i dres. Jeden z techników śledczych znalazł parę starych tenisówek. Rozmiar nie pasował, ale był do przyjęcia. To lepsze niż chodzenie na bosaka w taką noc. Było zimno i z każdą minutą robiło się chłodniej; od rzeki Detroit wiały gniewne podmuchy wiatru. Zacinający śnieg stawał się coraz gęstszy.

Wydawała mu się dziwnie znajoma. Odchrząknął.

– To zabrmi trochę dziwnie, ale czy już się kiedyś spotkaliśmy?

Natychmiast pożałował, że zadał to pytanie. Zabrzmiało jak kiepski podryw w barze.

Popatrzyła na niego w lusterku wstecznym, prawdopodobnie w ten sam sposób, jakby usłyszała to pytanie w barze. Lekko pokręciła głową.

W milczeniu przejechali dwa następne skrzyżowania.

– Co się z nim stanie?

Walter zwolnił i zmienił pasy ruchu, by minąć powolnego volkswagena.

– Z kim?

– Z martwym mężczyzną.

– Kiedy zbadają miejsce przestępstwa, przetransportują go do miejskiej kostnicy.

– Zrobią mu sekcję?

Popatrzył jej w oczy w lusterku.

– Prawdopodobnie. Dlaczego pytasz?

– Jestem po prostu ciekawa.

Starannie ważył słowa. Nie chciał jej spłoszyć.

– To rutynowa procedura w wypadku nagłego zgonu. Norma w takiej sprawie.

– Nie chciałam go zabić, tylko uciec.

– Wiem. – Skręcił w Wilmont Avenue i pojechał środkowym pasem. – Gdzie są inne?

– Inne dziewczyny?

Skuliła się na siedzeniu i wyjrzała przez okno.

– Pierwszej nocy poczułam w łóżku perfumy. Słabo, ale kiedy o tym wspomniałam, zwinął pościel, zabrał poduszkę i wszystko wyniósł. Powiedział, że spalił pościel. Ktoś wyrył na podstawie umywalki inicjały J.K.

– J.K.?

– Nie wydawały się nowe. Pierwszej nocy, gdy mnie zamknął w łazience, zauważyłam koło wanny stanik, ale następnego dnia zniknął. – Zawahała się, ale zaraz dodała: – Myślisz, że w zamrażarce w piwnicy znaleźli kogoś o inicjałach J.K.?

– Słyszałaś o tym?

– Detektyw mówił bardzo głośno.

– Dowiemy się więcej, gdy zidentyfikujemy ciała.

– Kolejne sekcje zwłok...

– Prawdopodobnie najważniejsze będą odciski palców.

Spojrzeli na siebie w lusterku.

– Czy to możliwe? Detektyw powiedział, że ciała są... w złym stanie.

W trakcie szkolenia Walter nauczył się, że lekarz sądowy niekiedy jest w stanie zdjąć skórę z dłoni zwłok w zaawansowanym stanie rozkładu, a następnie włożyć ją na własną rękę jak rękawiczkę, by pobrać odciski palców. W owym czasie wydawało mu się to fascynujące, ale nie należało tego opowiadać dziewczynie, która za kilka dni mogłaby trafić do zamrażarki.

Musiła się tego domyślić. Kiedy zerknął do tyłu, Amy zbladła i zasłoniła dłonią usta.

– O nie, zaraz... – Szybko skinęła głową. – Zatrzymaj się. Chyba będę musiała się...

– O kurwa, zaczekaj...

Padał coraz gęstszy śnieg i samochody jechały wyjątkowo wolno. Dotknął pokręteł na desce rozdzielczej, po czym zawyła syrena i włączyły się niebiesko-czerwone światła. Amy zrzuciła bluzę i chwyciła za klamkę. Szybko się zorientowała, że z wozu policyjnego nie da się tak łatwo wysiąść.

Walter szybko przekręcił kierownicę w prawo, przejechał pas ruchu pod ostrym kątem i zatrzymał się przy krawężniku. Wyszedł z auta, przedarł się przez zasy zostawione poprzedniej nocy przez pługi śnieżne i otworzył drzwi od strony Amy.

Siedziała zgarbiona, zasłaniając dłonią usta. Próbował pomóc jej wysiąść, ale odepchnęła jego rękę. Odstąpił na bok, pozwalając jej iść w krzaki. Nagle uderzyła go w brzuch lewym łokciem. Stracił oddech i upadł w zaspę. Kopnęła go pożyczonym butem w okolice krzyża i poczuł ostry ból w nerce. Przewrócił się na bok z uniesionymi rękami, by zasłonić się przed następnym ciosem, ale Amy już nie było. Pędziła przez Wilmont Avenue, omijając wolno jadące auta.

Wstał i próbował krzyknąć, lecz się rozkaszał. Pobiegł za nią, ledwo mijając zielony samochód kombi i czarny sedan jadący ulicą. Zauważył ją znowu po drugiej stronie Wilmont Avenue, w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Jak mogła biec tak szybko? Przepchnęła się obok kilku przechodniów, skręciła w zaułek i popędziła między pralnią samoobsługową i chińską restauracją.

Zaułek miał około piętnastu metrów długości i kończył się ceglany murem. Walter dotarł do wylotu i zobaczył, że Amy wchodzi po skrzynkach na kontener na śmieci.

– Amy, stój!

Nawet na niego nie popatrzyła. Podciągnęła się na rękach i znikła za murem.

Ruszył za nią, lecz kiedy wszedł po skrzynkach, stanął na kontenerze i wyjrzał za mur, już jej nie było. Padający śnieg szybko zasypywał ślady.



**TERAZ**

## ROZDZIAŁ

# 7

DRZWI SAMOCHODU POLICYJNEGO gwałtownie się otworzyły. Od strony pasażera wychyliła się umundurowana funkcjonariuszka.

– Proszę zająć miejsce na tylnym siedzeniu, natychmiast!

Walter nie patrzył na nią. Wpatrywał się w asfalt.

– Nie zrobię tego. Nie ma pani pojęcia, o co chodzi.

– Nie? Proszę wsiąść do samochodu i mi to wyjaśnić, zanim pan zginie!

Odgłos strzałów. Z obu przednich kół uszło powietrze. Trzeci strzał trafił w maskę; silnik zacharczał i zgasł.

Ktoś usiłował się przecisnąć przez drzwi wejściowe klubu i kolejny strzał trafił w mur kilkanaście centymetrów od jego głowy, wzbijając chmurę pyłu. Mężczyzna szybko się cofnął.

Bramkarz skulił się za ceglanym murem po lewej stronie drzwi klubu. Spoglądał na dachy po przeciwnej stronie ulicy, wypatrując, skąd padają strzały.

Kierowca samochodu policyjnego wyrwał mikrofon z deski rozdzielczej.

– Dwanaście osiemdziesiąt cztery. Pojazd nie nadaje się do użytku. Trafili nas kilka razy. Nawiaż...

Kolejny strzał. Red był naprawdę świetnym snajperem. Pocisk przebił przednią szybę, trafił w tablicę rozdzielczą i środek radia. Wytrysnęła fontanna skier i funkcjonariusz upuścił mikrofon, klnąc głośno.

Walter przez cały czas wpatrywał się w chodnik. Kiedy się odezwał, jego głos był spokojny:

– Musicie wysiąść z samochodu, iść do swoich przyjaciół i przysłać dowódcę.

Na odznace funkcjonariuszki znajdowało się nazwisko RODRIGUEZ. Usiadła na fotelu i popatrzyła na Waltera. Kiedy się nie odezwała, odwrócił się w jej stronę.

– Jeśli nie zrobi pani tego, o co proszę, następny pocisk moich snajperów trafi w głowę pani zastępcy.

– Pańskich snajperów?

Walter patrzył na chodnik. Walczył z łaskotaniem w gardle.

– Pięć... cztery... trzy... dwa...

– W porządku! – zawołał mężczyzna – W porządku! – Rozpiął pas bezpieczeństwa, otworzył drzwi od strony kierowcy i ześlizgnął się na asfalt. Czołgał się, obserwując otaczające budynki. – Nie będą strzelać?

– Nie, jeśli się pan pośpieszy!

Odetchnął głęboko i obejrzał się na szefową siedzącą z tyłu. W dalszym ciągu się kulila. Lekko kiwnęła głową, lecz się nie poruszyła.

Zerknął i przeszedł skulony przez skrzyżowanie. Na Woodward Avenue ustawiono blokady. Dotarł do nich, ruszył dalej i zniknął w powiększającym się tłumie służb mundurowych i sanitariuszy.

Rodriguez się nie poruszyła.

– Proszę mnie nie zmuszać, żebym panią zabił. Niech pani wysiadzie.

– Mogę ją trafić w rękę albo kolano – odezwał się Red w słuchawce. – To nie musi być śmiertelny strzał.

– Jeśli nie wyjdzie z samochodu, umrze – odparł spokojnie Walter.

Obróciła głowę, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, zauważyła słuchawkę w uchu, a następnie spojrzała na budynki.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Walter potrząsnął w milczeniu głową.

– Proszę wysiąść i przysłać swojego szefa.

Tym razem posłuchała. W przeciwieństwie do partnera odpięła pas, nie okazując paniki. Wysiadła z unieruchomionego samochodu i poszła, tam gdzie czekali pozostali funkcjonariusze. Nie biegła, szła wolnym krokiem; zatrzymała się w połowie drogi i spojrzała na Waltera. Później zerknęła na dachy i okna otaczających budynków.

– Ma jaja, trzeba jej to przyznać – zauważył Red.

– Przechodź z miejsca na miejsce, zmieniaj piętra, jak uzgodniliśmy – odparł Walter. – Nie chcemy, żeby ktoś cię namierzył.

Policjantów było coraz więcej, pojawił się również oddział antyterrorystów SWAT. Duża opancerzona furgonetka pomalowana na czarno.

Otworzyły się tylne drzwi i z wozu wyskoczyło sześciu funkcjonariuszy w kombinezonach bojowych. Ustawili się wzdłuż samochodu. Po chwili wysiadł siódmy i zerknął na wejście do klubu, gdzie bramkarz kulił się przy drzwiach. Goście ukrywali się w pobliżu skrzyżowania.

Walter patrzył, jak Rodriguez przechodzi przez blokadę i przeciska się między policjantami. Poszła prosto do furgonetki antyterrorystów. Zbliżyła się do siódmego funkcjonariusza. Kilka razy wskazała ręką Waltera, ale był za daleko, by usłyszeć, co mówi. Funkcjonariusze po kolei obracali głowy w jego kierunku.

Wszyscy należeli do policji Detroit, lecz Walter nikogo nie poznał. Już dawno wypadł z gry. Wydawało się, że akcją dowodzi jedna z kobiet. Obserwowała Waltera, słuchając meldunku Rodriguez, po czym obesza pewnym krokiem samochodu – jej postawa wyrażała pośpiech, pewność siebie i ostrożność. Zbliżyła się, trzymając dłoń na kolbie pistoletu w kaburze na biodrze. Raczej nie martwiła się, że może zostać zastrzelona.

Walter dostrzegł z bliska, że ma jakieś pięćdziesiąt lat, krótko ostrzyżone ciemne włosy lekko przyprószone siwizną i bliznę nad lewą skronią. Zatrzymała się przed Walterem i zerknęła na Rodriguez.

– Ktoś go przeszukał?

Kiedy nikt nie odpowiedział, rozsunęła stopą nogi Waltera.

– Jest pan uzbrojony?

Potrącony Walter o mało się nie przewrócił. Cały ciężar jego ciała spoczął na prawym udzie. Plecy przeszył mu ból i ogarnął kręgosłup. Spojrzał na laskę leżącą na ziemi, ale po nią nie sięgnął.

– Ostrożnie, mam chorą nogę – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Zadałam panu pytanie.

– Nie, nie jestem uzbrojony.

Dotknęła prawej kostki Waltera, później lewej. Rozchyliła jego płaszcz i zmarszczyła brwi.

– Co to takiego, do licha?!

– Kamizelka kuloodporna.

Kobieta wsunęła palec pod jedną z metalowych klamer, pomacała gruby materiał na barku Waltera i zmarszczyła brwi.

– Z jakiej epoki? Waży ze dwadzieścia kilo.

Wzruszył ramionami.

– Gdybym nie był splukany...

Zajęła się jego kieszeniami. Wyjęła telefon na kartę. Kiedy nie znalazła niczego innego, cofnęła się o krok. Na bliźnie na jej skroni pojawiło się kilka zmarszczek świadczących o niepokoju.

– O co w tym wszystkim chodzi?

Walter chciał odpowiedzieć, ale z jego ust wydobył się wilgotny kaszel dochodzący z głębi płuc. Miał wrażenie, że połknął odłamki szkła i zaczyna się dusić. Zdołał obrócić głowę i kasłać w rękaw. Kiedy atak ustał, odsunął rękę, na której znajdowały się kropelki czerwonej śliny.

– Jezu... – mruknęła Rigby. – Jak się pan nazywa?

– O'Brien – odparł. – Walter O'Brien.

W jej dłoni zadzwoniła komórka. Sealey.

– Niech się pani nie krępuje i odbierze – poprosił.

Kobieta patrzyła na niego przez kilka sekund, zerknęła na telefon i przyjęła połączenie.

– Rigby z Departamentu Policji Detroit, dowodząca akcją. Z kim rozmawiam?

Walter usłyszał w słuchawce głos Sealeya.

– Powiem to tylko raz, więc proszę, by słuchała pani bardzo uważnie. Mam snajperów rozmieszczonych na budynkach otaczających skrzyżowanie. Jednych z najlepszych strzelców na świecie. Proszę ich uważać za kontrolerów. Jeśli będzie pani wykonywać moje polecenia, nie każę oddać ani jednego strzału. Jeżeli nie, zobaczy pani najlepsze trafienia w całej swojej karierze. Będzie pani odpowiedzialna za każdy strzał, każdą śmierć. To pani ponosi odpowiedzialność za to, co się dzieje.

– Wstaję. Moje kolana nie mogą tego znieść – rzekł Walter, ciągle klęcząc na asfalcie.

Rigby zerknęła na niego z irytacją.

– Proszę zostać na miejscu, do cholery! Ja tu decyduję.

Gniewnie skierowała dwa palce w stronę funkcjonariuszy SWAT za zaporą, a później na Waltera. Mężczyźni unieśli broń i wycelowali w niego.

Poruszył się lekko. Zimny asfalt wrzynał mu się w kolana. Chorą nogę przeszył ból, który dotarł do kręgosłupa. Walter przygryzł wargi i z całych sił usiłował nie zwracać na niego uwagi.

– Nie powinna pani sprawdzać, czy to prawda – odezwał się Sealey.

Red strzelił.

Kula uderzyła w chodnik kilka centymetrów od lewego buta Rigby. Wzdrygnęła się, ale delikatnie. Red strzelił po raz drugi. Pocisk uderzył w lufę jednego z karabinów maszynowych AR-15 trzymany przez antyterrorystów. Broń wypadła mężczyźnie z ręki i uderzyła w asfalt z głośnym brzękiem.

Walter dawno nie widział strzelającego Reda. To było wspaniałe.

– Ma pani zadanie do wykonania. Nie polega ono na dręczeniu człowieka, który przed panią klęczy. Powinna pani opanować sytuację. Niech nikt nie wychodzi z klubu bez mojego zezwolenia. Moi kontrolerzy mają zadbać, by postępowała pani zgodnie z planem. Jeśli wszyscy zrobią to, co do nich należy, nikomu nic się nie stanie. Proszę nie wzywać wsparcia z powietrza, bo zdarzy się coś złego.

– Czego pan właściwie chce?

– To proste. W klubie jest kobieta odpowiedzialna za śmierć setek ludzi. Chcemy ją dostać. Jeśli się podda, nikt nie zostanie zraniony.

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek został zraniony – odparła Rigby. – I nie zamierzam wam nikogo przekazać.

– Nie prowadzimy z panią negocjacji. Wcześniej umieściliśmy w klubie bombę. Jak pani myśli, ilu ludzi tam ciągle jest? Bomba wybuchnie, jeśli ta kobieta nie znajdzie się w naszych rękach w ciągu godziny. Ma pani wybór: jedna ofiara albo wiele ofiar. Albo ją dostaniemy, albo wszyscy zginą. Zostało pięćdziesiąt dziewięć minut. Proszę nie rozstawać się z telefonem. Wkrótce otrzyma pani dodatkowe instrukcje.

Sealey się rozłączył. W słuchawce Waltera rozległ się głos Reda:

– Zapomniałeś poprosić o sto milionów dolarów w używanych banknotach i odrzutowiec na Tahiti.

Rigby popatrzyła na telefon w dłoni, a później na Waltera. Bez słowa wrzuciła komórkę do kieszeni, wyjęła własny aparat, wystukała numer i ruszyła w stronę furgonetki antyterrorystów, ignorując Waltera i strzelców wyborowych.

Walter również ją zignorował. Sięgnął po laskę, wsparł się na niej i wstał. Antyterrorysty trzymający karabiny AR-15 zeszywnieli, ale nie zareagowali, gdy podszedł do porzuconego samochodu policyjnego i usiadł na miejscu Rodriguez. „Znacznie lepiej”. Widział teraz blokadę policyjną na Woodward Avenue; wejście do klubu znajdowało się po prawej.

Rigby rozmawiała ze swoimi podkomendnymi przy furgonetce. Podeszło do niej trzech policjantów. Byli zbyt daleko od Waltera, by mógł rozpoznać emblematy na ich mundurach, lecz wyglądali na oficerów. Stracił z oczu Rodriguez.

– Widziałeś kiedyś kobietę dowodzącą oddziałem SWAT? – spytał Red.

– Czasy się zmieniają, chłopcy – odparł Sealey.

Walter wiedział, że zarówno Red, jak i Sealey trzymają policjantów na muszce i że mogą ich natychmiast zlikwidować, jeśli coś pójdzie nie tak. Nie zaryzykują, że kobieta ucieknie z powodu biurokratycznych przepychanek. Widział w okolicy grupę antyterrorystów z oddziału SWAT, dwudziestu sześciu policjantów, czterech sanitariuszy pogotowia i co najmniej trzydziestu tajniaków po cywilnemu; a prawdopodobnie było ich jeszcze więcej. Pojawił się pierwszy wóz transmisyjny z ekipą telewizyjną; ominął stojące wozy, wjeżdżając na chodnik. Nie chcieli strzelać do niewinnych ludzi, lecz będą musieli to zrobić, jeśli okaże się to konieczne.

Po chwili wróciła Rigby. Na jej pobrużdżonej twarzy malował się grymas.

– Kim jest kobieta, której szukacie?

Zanim Walter zdążył odpowiedzieć, po drugiej stronie skrzyżowania rozległ się głuchy ryk motoru. Przez blokadę policyjną przedarł się duży pług śnieżny, roztrącając samochody jak zabawki, i minął wejście do klubu. Na drzwiach masywnego pojazdu znajdował się spłowieły zielony napis ZAKŁAD OCZYSZCZANIA MIASTA. Z tyłu sypała się sól, pokrywając asfalt i chodniki

białą warstwą podobną do szronu. Wszyscy patrzyli ze zdumieniem na pług, który potrafił kolejny wóz policyjny i bez wysiłku odepchnął go na bok, po czym ruszył dalej. Objechał budynek, zawrócił i zniknął po przeciwnej stronie, na Park Avenue, pozostawiając po sobie kłęby czarnego dymu i warstwę soli pokrywającej ulicę.

Rigby opadła szczęka. Zrobiła kilka kroków do przodu.

– Co to za cholerstwo? – spytała.

– Zaczyna się zabawa – odezwał się w słuchawce Red.

# 1992

*Amy Archer*

*Alvin Schalk*

*Dwie ofiary /zamrażarka w piwnicy*

**Walter O'Brien, dwadzieścia osiem lat**



## ROZDZIAŁ

# 8

WYPIJESZ JESZCZE JEDNEGO shota albo znowu puszczyć tę piosenkę. Takie są zasady.

Walter obrócił się na stołku barowym w stronę Herba Nadlera i poczuł, że sala lekko się kołysze. Kiedy skupił wzrok, zobaczył, że stoi przed nim trzech Nadlerów z kieliszkami w rękach. Popatrzył się na środkowego.

– Nie mogę wypić następnego shota. Mam jutro robotę.

Co prawda zabrzmiało to raczej jak: „Majurorobte”, ale Nadler zrozumiał. Podobnie mówili jego znajomi. Przewrócił oczami, uniósł kieliszek i krzyknął do tłumu:

– O’Brien nie chce pić! Billy, wrzucić ćwiartkę do szafy! Zmusił nas do tego!

Billy Preston, stojący obok szafy grającej w kącie baru U Miga, krzyknął coś i odwrócił się w stronę szafy. Połowa piwa z kufła wylała mu się na rękę i chlusnęła na podłogę. Po chwili z głośników dobiegły pierwsze tony piosenki *Eye of the Tiger* grupy Survivor, grane po raz ósmy. Rozległy się okrzyki i kocia muzyka.

Walter oparł łokcie o bar i zatopił twarz w dłoniach.

Bar U Miga był ulubionym lokalem gliniarzy już od czterdziestu trzech lat. Każdego wieczoru zapełniali go policjanci z czterech okolicznych komisariatów w Detroit. Ta środa niczym nie różniła się od pozostałych. Piwo było tanie, a wodnista whisky jeszcze tańsza; goście składali się z umundurowanych funkcjonariuszy i policjantów po cywilnemu. Nadler zabrał tu Waltera pierwszego wieczoru, gdy się poznali; wypadało spędzić w tej knajpie również ostatni wieczór.

Poklepał Waltera po plecach.

– Jutro, przyjacielu, nie będziesz już pracował w mundurze, tylko jako detektyw Wydziału Zabójstw Departamentu Policji Detroit. Jako twój były partner powinienem zadbać o godne pożegnanie.

Wypił oba shoty i z rozmachem odstawił kieliszki na ladę. Walter uniósł palec wskazujący, dając znak barmanowi.

– Proszę o wodę, czystą wodę.

Barman uśmiechnął się ironicznie, napełnił kieliszek wodą z kranu i postawił przed Walterem, który opróżnił go jednym haustem.

Nadler zmarszczył brwi.

– Poważnie?

– Muszę iść.

– Pracowaliśmy razem sześć lat i pozwolisz, żeby to się tak skończyło? Po prostu odejdziesz w siną dal? Pokaż jeszcze raz swoją nową blachę.

Walter westchnął i wyciągnął z tylnej kieszeni złotą odznakę.

– Robi się późno.

Nadler gwizdnął i chwycił ją.

– Bardzo się błyszczy. – Zanim Walter zdołał odzyskać odznakę, Nadler odszedł kilka kroków od baru i uniósł ją nad głowę. – Billy, wyłącz to pudło!

Szafa grająca zaskrzeczała i ucichła.

– Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał Nadler. – Spójrzcie na mnie! Zamierzam powiedzieć coś ważnego!

– Herb zaczyna patetyczną przemowę! Wyłączcie go! – krzyknął ktoś z tyłu.

Nadler odchrząknął.

– Przez sześć ciężkich lat byłem niańką Waltera O'Briena. W tym czasie wypisał ponad tysiąc dwieście mandatów, aresztował sześciuset dwudziestu trzech nieskazitelnych obywateli naszego pięknego miasta, otrzymał trzy pochwały, trzy przyspieszone awanse i dwa razy do niego strzelano. Wyciągał broń czternaście razy i przynajmniej raz uratował mi życie. Nauczyłem go wszystkiego, co umiem, ale na szczęście miał dość rozumu, by to zignorować i uczyć się od innych, więc awansował do wydziału zabójstw. Pracuję w mundurze od dwudziestu dwóch lat i jestem pewien, że szefowie nie mają wobec mnie takich planów.

– Czy przypadkiem nikt mu nie zwiął, Herb? – krzyknął z tyłu Billy Preston.

– Ach, tak. – Nadler skinął głową. – Uciekła mu dziewczyna. Chuchro, które go kopnęło i dało drapaką pierwszego dnia służby. Nauczyła go przyjmować ciosy na klatę. Wstał, otrzepał mundur i dalej pracował, niczym się nie przejmując. Zachował się jak profesjonalista. Przez sześć lat był profesjonalistą. – Nadler uniósł złotą odznakę wysoko nad głowę. – Nie mogłem mieć lepszego partnera, będzie mi go brakowało i życzę mu wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Chłopcy, wnieśmy toast za nowego detektywa Wydziału Zabójstw Policji Detroit!

– Nie masz czym wnieść toastu, Herb! – zawołał ktoś.

– Rzeczywiście, nie mam – powtórzył Nadler, zerkając na swoją pustą dłoń. Szybko chwycił pierwszą z brzegu szklankę piwa ze stolika obok.

Barman postawił przed Walterem piwo marki Coors draft, on zaś uniósł je wraz z innymi, podziękował Nadlerowi i wypił.

Po dwudziestu minutach szedł do swojego mieszkania w Benton. Nadler i kilku kolegów chcieli go wsadzić do taksówki, ale jego mieszkanie było niedaleko i miał ochotę się przejść, by rozjaśniło mu się w głowie. Chciał smakować tę chwilę. Sierpniowe powietrze było ciepłe i lekko wilgotne po wcześniejszej mżawce. Smród miasta złagodniał po deszczu. Zerknął na zegar na gmachu pobliskiego banku i zauważył, że jest za osiem dwunasta.

Awansować w ciągu sześciu lat z kompletnego nowicjusza na detektywa wydziału zabójstw to duży wyczyn. Harował jak wół, by to osiągnąć – będzie jednym z najmłodszych funkcjonariuszy wydziału. Wiedział, że czeka go ciężka praca, ale był na to gotowy: w tym momencie życia nie obawiał się nawet najtrudniejszych wyzwań.

Chodnik kołysał mu się pod stopami, a wiatr łagodnie poruszał budynkami. Dlaczego wszyscy nagle zaczęli chodzić tak szybko?

A może to on idzie wolno?

Czyżby za dużo wypił? Niewykluczone.

Po prawej stronie znajdował się przystanek autobusowy. Ciężko klapnął na ławkę.

Na skraju siedziała starsza kobieta. Dziwnie na niego spojrzała, po czym wbiła wzrok w trzymaną w ręku książkę w miękkiej oprawie. *Cztery pory roku* Stephena Kinga.

– Jestem detektywem wydziału zabójstw – wybełkotał Walter. Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział, ale słowa brzmiały przyjemnie.

Kobieta wsunęła kciuk między stronicę i spojrzała na niego.

– Będę o tym pamiętać, kiedy postanowię kogoś zabić.

– Zostałem detektywem wydziału zabójstw w wieku dwudziestu ośmiu lat.

– Gratuluję.

– Czym się pani zajmuje?

Patrzyła na niego przez chwilę, obejrzała od stóp do głów, po czym wbiła wzrok w książkę.

– Siedzę na tym przystanku co drugi wieczór i czekam na zamknięcie restauracji U Giovanniego. Czasami dają mi coś do zjedzenia, jeśli coś im zostanie. To moja praca. Może da mi pan spokój, żebym mogła wrócić do swoich zajęć?

Walter po raz pierwszy zwrócił uwagę na jej ubranie. Dziurawy sweter. Znoszone buty, na oko o dwa numery za duże. Na chodniku stał wózek z supermarketu wyładowany śmieciami, butelkami i puszkami przykrytymi postrzępionym niebieskim kocem.

– Został pan detektywem w wieku dwudziestu ośmiu lat – mruknęła. – Ja mam pięćdziesiąt sześć. Jak pan sądzi, kim pan będzie w wieku pięćdziesięciu sześciu lat? Nigdy tego nie wiemy, dopóki nie przekonamy się na własnej skórze.

– Przepraszam. – Walter usłyszał własny głos. Zdawał sobie sprawę, że powiedział coś niewłaściwego, ale nie mógł tego cofnąć.

Prychnęła, ale się nie odezwała. Pokręciła głową i wróciła do lektury.

Przystanek autobusowy znajdował się naprzeciwko włoskiej restauracji U Giovanniego.

Prawie każdy stolik był zajęty, choć zbliżała się pora zamknięcia. Zupełnie inny świat znajdujący się zaledwie kilkanaście metrów dalej: dziesiątki roześmianych albo uśmiechniętych twarzy, w większości pary, młodzi i starzy ludzie, stoliki przykryte obrusami w biało-czerwoną kratkę, zastawione winem, makaronem i pizzami.

Kiedy Walter zauważył ją przez szybę w zatłoczonej sali jadalnej, usłyszał w głowie szept, że to nie może być ona. Nie teraz. Nie po sześciu latach. Próbował zapanować nad myślami, lecz natychmiast odezwał się inny głos.

To ona.

Amy Archer.

Dziewczyna, która uciekła.

## ROZDZIAŁ

# 9

AMY ARCHER SIEDZIAŁA przy niewielkim stoliku po lewej stronie sali, w rogu. Towarzyszący jej mężczyzna był odwrócony plecami do panoramicznego okna. Zajmowała miejsce naprzeciwko niego. Trzymała w dłoni kieliszek wina i uśmiechała się. Miała na sobie czerwoną sukienkę, a kasztanowe włosy były zaczesane na bok, upięte nad kolczykami z brylantami. Delikatny makijaż.

Walter pamiętał wyraźnie, jak dotknął palcami jej włosów, wsunął luźne kosmyki za ucho, poczuł dotyk skóry.

Te oczy...

Były nie do pomylenia.

Poznał je nawet z tej odległości, z przystanku autobusowego po drugiej stronie jezdni. Ich głęboką szarość. Przyciągały go i prawie wstał, nim zdał sobie sprawę, że nawet się nie poruszył.

To nie może być ona, prawda? Po tylu latach?

„To ona. Wiesz, że to ona”.

Zmusił się, żeby usiąść z powrotem na ławce. Towarzyszący jej mężczyzna musiał powiedzieć coś dowcipnego – pochyliła się nad stolikiem i roześmiała, kołysząc się lekko, ale nie rozlewając wina.

W tamtym mieszkaniu, mimo brudu, widział, że to ładna dziewczyna. Teraz było to oczywiste.

Promieniała pięknem.

Kiedy ją obserwował, zdał sobie sprawę, że nie jest jedyny. Patrzyła na nią połowa mężczyzn obecnych w restauracji i kilka kobiet. Zerkali na nią ukradkiem, nie mogąc się powstrzymać.

Jeśli zdawała sobie z tego sprawę, w ogóle tego nie okazywała. Spoglądała na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej, jakby był jedyną osobą w sali. Walter zauważył, że dotyka go nogą pod stołem.

Mężczyzna uniósł rękę i dał znak kelnerowi. Wykonał w powietrzu gest podpisu. Kelner kiwnął głową, zniknął na chwilę, po czym wrócił z rachunkiem i czarną skórzaną saszetką.

Mężczyzna zapłacił kartą kredytową. Para wstała i ruszyła w stronę wyjścia.

Amy miała na sobie czerwoną sukienkę z głębokim dekoltem na plecach. Ludzie, którzy zerkali na nią ukradkiem, przestali udawać i otwarcie się na nią gapili. Szła z gracją, płynęła jak woda, w wysokich, eleganckich czerwonych szpilkach.

Jej towarzysz kurtuazyjnie przytrzymał przed nią drzwi, po czym wyszli na ulicę. Po chwili położył dłoń na jej gołych plecach i przysunął ją do siebie. Pocałował ją przed wielkim, panoramicznym oknem restauracji, by wszyscy widzieli, że należy do niego.

Walter nigdy nie był zazdrosny, ale w tej chwili nienawidził tego typu. Żałował, że nie jest na jego miejscu. Chciał czuć smak jej ust, oddech. Chciał czuć ciało przytulone do siebie w obcisłej sukience.

Patrzył, jak Amy odwzajemnia pocałunek, zamiast się cofnąć, co okazało się torturą. Stała na palcach, zamknęła oczy i przywarła całym ciałem do mężczyzny. Przesunęła dłoń od jego piersi do powiększającego się wybrzuszenia w dżinsach. Odwrócił się i poprowadził ją na zachód, w stronę Oakton, trzymając ją za rękę.

Walter zdał sobie sprawę, że kurczowo ściska krawędź ławki. Zbielały mu palce. Zauważyła to kobieta siedząca obok. Spoglądała na niego. Widziała, w jaki sposób na nich patrzy.

– Może powinien pan wrócić do domu i się przespać, detektywie?

Kiedy Walter wstał na chwiejnych nogach i ruszył chodnikiem, nie miał zamiaru iść do domu. Przeklinał się w duchu, że zostawił tam pistolet.

ZOBACZYŁ ICH W ZAUŁKU jakieś trzy przecznice od restauracji. Zniknęli mu z oczu i pewnie by ich zgubił, gdyby nie usłyszał głosu mężczyzny za kontenerem na śmieci w odległości kilku metrów. Mówił zbyt cicho, by Walter zrozumiał słowa, ale kiedy zakasłał, dźwięk odbił się echem od ceglanych ścian. Później rozległo się ciche stęknienie i jęk.

Zatrzymał się u wylotu zaułka i słuchał.

Wyobraził sobie Amy przyciśniętą do ściany z podciągniętą sukienką, prawie nagą. Stała na jednej nodze, a drugą otoczyła biodra nieznanego mężczyzny. Tak wyraźnie wyobrażał sobie tę scenę. Nie pamiętał, że zamknął oczy. Otworzył je i zauważył, że pokonał już przeszło połowę drogi do kontenera. Słyszał dyszenie, a kiedy znowu zacisnął powieki, dobiegł go szept, poczuł na twarzy i szyi jej oddech.

– Czego tu szukasz, kurwo?!

Walter otworzył oczy. Mężczyzna stał naprzeciwko niego. Miał rozpięty pasek, ale podciągnął spodnie. Wyszedł zza kontenera na śmieci i spoglądał wściekle na Waltera.

– Czego tu szukasz, kurwo?!

Za jego plecami leżały na ziemi czerwona sukienka i jeden czerwony damski but. Walter zauważył błysk gołej łydki, gdy dziewczyna w milczeniu cofnęła się w cień. Wyobraził ją sobie wciśniętą między umywalkę a sedes w łazience przed wielu laty. Przypomniał sobie...

Mężczyzna uderzył Waltera w brzuch nasadą dłoni.

Walter nie mógł złapać tchu i zrobił krok do tyłu. Usiłował utrzymać równowagę, ale się potknął i runął na asfalt.

– Pijana świnią! Podnieca cię to?! Podglądanie na ulicach?!

Szybko zrobił trzy kroki do przodu i kopnął Waltera w bok, trafiając go tuż pod żebrami. Walter podciągnął kolana i przekręcił się w prawo. Usiłował wyjąć odznakę z tylnej kieszeni, lecz otrzymał kolejny cios. Później jeszcze jeden.

„Amy, każ mu przestać...” – pomyślał.

Nie zrobiła tego. Przyglądała się, lecz nie powiedziała ani jednego słowa, nie wydała żadnego dźwięku.

Mężczyzna krzychał. Kopał go wiele razy. Żebra, nerki, udo, bark. Ciosy były tak szybkie, że Walter zdołał zablokować tylko kilka. Najboleśniej okazało się kopnięcie w podbródek, po którym stracił przytomność.



JEZU, CO CI SIĘ STAŁO, DO LICHA?! – Lynn Crowley odstawiała kubek z kawą i wstała zza biurka. Przeszła przez małe, ciasne pomieszczenie znajdujące się przed nadzorowanym przez siebie magazynem dowodów rzeczowych i dokładnie przyjrzała się Walterowi przez zakratowane okienko.

Chciał, by mówiła ciszej, ale nie z obawy, że ktoś może ją usłyszeć – Departament Policji Detroit przechowywał większość dowodów w piwnicach komendy miejskiej przy Beaubien Street – ale dlatego, że piekielnie bolała go głowa. Po powrocie do mieszkania połknął garść aspiryn, ale po przebudzeniu każdy dźwięk rozlegał się w jego głowie jak wystrzał.

Kiedy odzyskał przytomność w zaułku, był sam. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje i dlaczego leży na chodniku. Później poczuł ból. Był wszędzie, w całym ciele, łagodziła go tylko duża ilość alkoholu ciągle krążącego w organizmie. Mglisto przypominał sobie, co się stało – wyszedł z baru, siedział przed restauracją, poszedł za...

„Czy naprawdę ją spotkałem?”

Chciał, żeby była to Amy, co – jak przypuszczał – czyniło spotkanie mniej prawdopodobnym. Szukał jej od bardzo dawna i widywał ją wcześniej – w kolejce w sklepie spożywczym, w samochodzie na ulicy, siedzącą w metrze, idącą chodnikiem – ale kiedy się zbliżał, zawsze zdawał sobie sprawę, że to nie ona: nigdy jej nie spotkał. Zawsze była to tania podróbka.

„Ale poprzedniej nocy? To była ona”.

Przypuszczał, że stracił przytomność na dziesięć, może piętnaście minut. Wyszedł z zaułka na ulicę tuż po północy. Pobito go, ale wydawało się, że nie miał żadnych złamań; ruch łagodził ból, jak poruszanie naciągniętym mięśniem. Powłókł się do domu, zdołał włożyć klucz do zamka, wziął aspirynę i padł na łóżko.

O wpół do szóstej obudził go dźwięk budzika. Wziął szybki prysznic, obandażował kilka posiniaczonych miejsc, zażył kolejną aspirynę, po czym

pojechał na komisariat z podbitym okiem, raną na podbródku i ogromnymi siniakami na torsie.

Crowley popatrzyła na Waltera zza zakratowanego okienka i pstryknęła palcami.

– Co się stało?

– Napadnięto mnie, gdy wracałem wczoraj wieczorem z baru U Miga.

– Nieźle cię urządzili, sukinsyny. – Crowley wyciągnęła rękę przez kratę i delikatnie obróciła jego podbródek, by lepiej się przyjrzeć. – Do wesela się zagoi, ale wygląda koszmarnie.

Wyjął z kieszeni kartkę i podał jej przez okienko. Odczytała na głos numer sprawy, puknęła w papier czubkiem palca i na chwilę zmrużyła oczy.

– Hmm. Detektyw Weeden, kamienica w Forest Park, ofiara gwałtu, tak?

– Nie mam pojęcia, jak to robisz.

Wzruszyła ramionami.

– Data i numer odznaki są częścią sygnatury. Reszta to łatwizna. Daj mi sekundę.

Odwróciła się i zniknęła w dużym magazynie dowodów rzeczowych znajdującym się na tyłach jej klitki. Po kilku minutach wróciła z odrapanym pudłem i podkładką do pisania leżącą na wierzchu. Rozległ się dźwięk elektrycznego brzęczyka, towarzyszący otwieraniu drzwi. Podała pudło Walterowi i skinęła głową w stronę niewielkiego stolika za jego plecami.

– Nie wolno mi spuszczać z oczu materiałów dowodowych, ale możesz to przejrzeć na miejscu. Po prostu pamiętaj...

– Wszystko, co zostaje wyjęte z pudła, musi wrócić do pudła – dokończył Walter. – Tak, znam zasady.

Zapisał na podkładce swoje nazwisko, numer odznaki i datę, oddał Crowley podkładkę, po czym zaniósł pudło do stolika.

Na początku wieczko było przyklejone taśmą, ale po latach otwierania i zamykania klej pokrył się kurzem i kawałki taśmy wisiały z boku jak dwa mysie ogonki.

W środku było niewiele dowodów rzeczowych. Większość przestrzeni zajmowała lampa opakowana w plastik. Walter ostrożnie ją wyjął i odłożył na bok. Pod spodem znajdowały się torebki zawierające kajdanki, sznury z łóżka, fotografie i kilka skrawków materiału wyciętych z materaca. Zaschnięta krew przybrała po latach rdzawy kolor; wycinki z materaca były pokryte żółtymi plamami. Zauważył kartę odcisków palców Alvina Schalka i niewielkie próbówki zawierające wymazy pobrane z plam krwi.

Na dnie pudełka leżał egzemplarz raportu detektywa Weedena, napisany na maszynie. Wyjął go i przejrzał. Usiadł, obolały, na podniszczonym drewnianym

krześle, po czym przeczytał raport jeszcze raz, znacznie wolniej. Nic nie trzymało się kupy.

## ROZDZIAŁ

# 12

TRZYMAŁ W RĘKU SZTYWNY, POGNIECIONY PAPIER. Pierwszy meldunek sporządzono we wtorek 18 lutego 1986 roku – przeszło sześć i pół roku temu:

Funkcjonariusze Herbert Nadler i Walter O'Brien, wezwani przez sąsiadkę skarżącą się na hałasy, znaleźli zwłoki Alvina Schalka (31 lat, kawaler). Wydawało się, że zginął wskutek ciosu tępym narzędziem. Zwłoki Schalka leżały na podłodze mieszkania 2D w kamienicy przy Rivard Street 186 w dzielnicy Forest Park. Mieszkania nie wynajęto na nazwisko Schalka. Oficjalnie było puste. Narzędziem zbrodni była prawdopodobnie lampa leżąca obok zwłok.

W tym miejscu znajdowała się na marginesie odręczna notatka mówiąca, że na podstawie lampy znaleziono krew, włosy i naskórek z głowy Schalka.

Do zadania śmiertelnego ciosu przyznała się młoda kobieta (Amy Archer), znaleziona naga w łazience. Materiał dowodowy (kajdanki) wskazywał, że kobietę wcześniej skrupowano. Twierdziła, że Alvin Schalk, pracownik firmy Detroit Metro Taxi, porwał ją taksówką i przetrzymywał co najmniej dwa tygodnie. Wydawało się, że dziewczyna jest w szoku; nie była w stanie podać dokładnych dat, choć twierdziła, że skłonił ją do wejścia do samochodu w pobliżu Eastern Market, a następnie odurzył. Na jej łóżku i ciele odnaleziono ślady molestowania seksualnego i narzędzia służące do krępowania (sznur).

Wszystko wydawało się jasne, Walter doskonale o tym wiedział. Zdezorientowały go dalsze notatki.

DODATEK – 18 lutego 1986. W trakcie przewożenia do Detroit General Hospital podejrzewana o morderstwo Amy Archer zbiegła z samochodu policyjnego. Wydano list gończy: kobieta rasy białej, krótkie, jasne włosy, zielone oczy, przypuszczalny wiek 15–18 lat, niespełna sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Ostatnio widziana w koszulce z logo Detroit Lions i białych tenisówkach w pobliżu skrzyżowania Wilmont Avenue i Eighteenth Street.

Rysopis podany przez Weedena był całkowicie błędny. Dołączono fotografię, ale twarz Amy była zamazana. Prawdopodobnie zrobiono ją w chwili, gdy przewożono ją z mieszkania, gdzie ją znaleziono. Na fotografii trudno było zauważyć szczegóły, ale Walter wyraźnie ją pamiętał – miała kasztanowe włosy sięgające do ramion, a nie krótkie i jasne. Oczy szare, nie zielone. Walter był pewien, że miała przeszło dwadzieścia lat – nie mogła być nastolatką.

Jak to się stało, że Weeden pomylił podstawowe szczegóły? Czy naprawdę wydał list gończy? Walter nie pamiętał, by go widział, i właśnie dlatego...

Przewrócił stronę.

DODATEK – 18 lutego 1986. Funkcjonariusz przewożący aresztowaną, Walter O'Brien, otrzymał magnetofon mikrokasetowy, na wypadek gdyby Archer powiedziała coś w czasie jazdy. W trakcie odtwarzania taśmy słyhać tylko mówiącego O'Briena, prawdopodobnie wskutek złego umiejscowienia magnetofonu albo dlatego, że Archer siedziała na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego. Zob. załączony meldunek O'Briena o szczegółach rozmowy.

DODATEK – 18 lutego 1986. Na tyłach drogerii U Carmine na Forty-Ninth Street odnaleziono taksówkę Schalka, w znacznym stopniu zniszczoną. Wybito w niej wszystkie szyby. Osłona z pleksiglasu między kierowcą a pasażerami była popękana, leżała na podłodze przed siedzeniem obok kierowcy. Wskutek długotrwałego oddziaływania czynników atmosferycznych w środku nie znaleziono odcisków palców. Według pracowników apteki samochód stał w tym miejscu blisko trzy tygodnie. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Niedobra dzielnica. Samochody są często porzucane na tym parkingu, a firma holująca przyjeżdża w pierwszy wtorek miesiąca.

DODATEK – 18 lutego 1986. Przesłuchanie Ralpha Kantona, dyspozytora Schalka z firmy Detroit Metro Taxi. Schalk po raz ostatni zgłosił się do pracy 31 stycznia 1986. O 21:46 pojechał po pasażera na Orleans Street 653 (rejon Eastern Market – mieści się tam ośrodek AA). Po dwóch godzinach odnotowano nieobecność, dyspozytor nie mógł się z nim skontaktować przez radio. Kanton twierdził, że zgłosił zniknięcie Schalka, ale nie odnotowano tego w dokumentacji policyjnej. 1 lutego 1986 zgłoszono kradzież taksówki. Według dyspozytora Schalk nadużywał substancji odurzających i niekiedy znikał na kilka dni. Dwukrotnie otrzymał upomnienia (kopie w załączeniu); trzecie oznaczałoby zwolnienie. Kilka razy dzwoniło do jego domu, lecz nikt nie odbierał telefonu. Dwóch kolegów z pracy zatrzymało się przy budynku, w którym mieszkał (Cambridge Drive 83, Detroit, Michigan 48214), lecz obaj twierdzili, że nikogo nie było w domu i nikt nie odpowiadał na dzwonek do drzwi (kopie notatek dyspozytora w załączeniu).

DODATEK – 18 lutego 1986. Nakaz przeszukania mieszkania Alvina Schalka został wydany przez sędziego Harolda Shummera i wykonany przez detektywa Weedena (odznaka 8674), czterech umundurowanych policjantów i pięciu funkcjonariuszy SWAT. Nikt nie odpowiadał na pukanie do drzwi, które wyłamali funkcjonariusze SWAT. Mieszkanie z dwoma sypialniami, przeznaczone dla jednej rodziny. W środku i w okolicy nikogo nie znaleziono. Zepsute jedzenie w kuchni. Żadnych oznak innych porwań w okolicy. Działalność przestępcza wydawała się ograniczona do mieszkania w dzielnicy Forest Park. Sąsiedzi nie przekazali żadnych użytecznych informacji, zwykłe plotki o spokojnym człowieku, który nie utrzymywał z nikim kontaktu. Ostatnio widziany w styczniu, dokładna data nieustalona.

DODATEK – 19 lutego 1986. Według funkcjonariusza Herberta Nadlera lokator mieszkania 2E przy Rivard Street 186 zeznał: „On [Schalk] miał tam dziewczynę”. Mimo prób nawiązania rozmowy z mieszkańcem lokalu 2E nikt nie otwierał drzwi. Sąsiedzi z lokali 2A i 2C nie przypominali sobie, by ktoś wchodził do lokalu 2D albo z niego wychodził od przeszło miesiąca; oboje uważali, że mieszkanie stoi puste, ale przyznali, że słyszeli dochodzące stamtąd hałasy („dźwięki zwierzęcia odczuwającego ból”). Lokator mieszkania 2B zeznał, że w poprzednim tygodniu, około 10 lutego, przynajmniej raz widział nieznaną kobietę (czarnoskóra, ok. 25 lat) wychodzącą z lokalu 2D, ale nie był w stanie podać żadnych szczegółów.

DODATEK – 21 lutego 1986. Wszystkie odciski palców znalezione w lokalu 2D należały do Schalka. Odciski na lampie były zbyt rozmazane i okazały się bezużyteczne. Nie odnaleziono żadnych innych śladów. Niedawno je wytarto?

DODATEK – 22 lutego 1986. W rejonie Detroit zlokalizowano pięć osób o nazwisku Amy Archer, wszystkie zidentyfikowano, żadna nie pasowała do rysopisu „Amy Archer”. Zmodyfikowano list gończy i rozszerzono na cały okręg Wayne.

DODATEK – 23 lutego 1986. Zakończono sekcję zwłok Alvina Schalka (protokół w załączeniu). Przyczyna zgonu: cios tępym narzędziem w kość potyliczną. Inne nietypowe ślady, zob. protokół.

DODATEK – 27 lutego 1986. Analiza śladów krwi znalezionych na materacu: grupa B, płeć męska. Schalk również miał krew grupy B. Krew Schalka albo nieznaney ofiary płci męskiej?

DODATEK – 2 marca 1986. List gończy za Amy Archer rozszerzono na cały stan.

Była to ostatnia z notatek Weedena. Jeśli kiedykolwiek odnaleziono Amy Archer, akta o tym nie wspominały.

Walter zeskanował załączone kopie notatek dyspozytora Schalka – zaginiona taksówka, porzucenie pracy, upomnienia. Informacje wydawały się mało użyteczne. Wynikał z nich znajomy obraz człowieka, którego Walter widział tysiąc razy w czasie służby w policji. Kogoś, kto wykonuje rutynowe czynności, by przeżyć.

Protokół sekcji zwłok miał pięć stron i zawierał szkic ciała Schalka z zaznaczonymi śladami śmiertelnej rany zadanej w czaszkę. Akapit na trzeciej stronie zakresłono ołówkiem i postawiono obok duży znak zapytania. Sekcja zwłok wykazała, że lewe ramię Schalka zawierało mnóstwo komórek rakowych i skrzepów, co lekarz sądowy uznał za niezwykle, ponieważ komórki rakowe stwierdzono tylko w jednym ramieniu. Takie były fakty. Żadnych komentarzy.

W pudle nie było dyktafonu ani mikrokasety.

Znowu przejrzał opis Archer sporządzony przez Weedena: „Kobieta rasy białej, krótkie, jasne włosy, zielone oczy, przypuszczalny wiek 15–18 lat, wzrost niespełna sto siedemdziesiąt centymetrów. Ostatnio widziana w koszulce z logo Detroit Lions i białych tenisówkach w pobliżu skrzyżowania Wilmont Avenue i Eighteenth Street”.

Walter nigdy więcej nie współpracował z Weedenem. Czy był niechlujny? Czy pomylił Amy Archer z inną ofiarą? Wydawało się to śmieszne, ale poza tym należałoby przyjąć, że celowo umieścił w meldunku błędny rysopis, co również nie miało sensu.

Brakowało czegoś innego. Walter ponownie przejrzał zawartość pudła, by się upewnić, po czym popatrzył przez okienko na Crowley.

– Hej, Lynn!

Czytała książkę.

– Tak?

– Weeden prowadził śledztwo w tej sprawie i znalazł dwa trupy w zamrażarce. W piwnicy. Nie widzę tu nic na ten temat. Masz jakiś pomysł, gdzie mogą być te akta?

Wzięła kartkę z numerem sprawy i musnęła palcem krawędź.

– Niczego nie zauważyłam, ale mogę jeszcze raz spojrzeć. Zaczekasz?

– Jasne.

Przekręciła taboret i ruszyła w stronę magazynu dowodów rzeczowych. Nagle zadzwonił telefon. Odwróciła się i podniosła słuchawkę.

– Dowody rzeczowe, słucham?

Poruszyła głową. Spojrzała na Waltera i kiwnęła.

– Powiem mu. – Kapitan cię szuka – rzekła, odłożywszy słuchawkę.



WALTER POJECHAŁ WINDĄ na drugie piętro. Kiedy drzwi dużej sali wydziału zabójstw się rozsunęły, popatrzyło na niego kilkunastu nieznajomych mężczyzn siedzących przy metalowych biurkach na siłę wciśniętych do pomieszczenia. Rozległo się kilka chrząknięć, dwa lub trzy grepsy o podbitym oku, stłumione śmiechy. Kilka centymetrów od jego głowy odbiła się od ściany papierowa kula. Nowi koledzy okazali się tacy sami jak starzy. Próbują dać w kość nowicjuszowi.

Z tyłu znajdował się przeszklony gabinet kapitana, z szybami zasłoniętymi żaluzjami; zupełnie nie pasował do reszty sali. Po lewej stał rząd segregatorów, a po prawej ekspres do kawy, który wyglądał, jakby nie czyszczono go od czasów Nixona. Walter napełnił jednorazowy kubeczek, powąchał go i odstawił na ladę. Kawa nie powinna pachnieć jak ciepły ser. Wywołało to kilka następnych komentarzy ludzi siedzących za jego plecami.

Nie odwrócił się, poprawił krawat i zapukał we framugę przymkniętych drzwi gabinetu.

Kapitan Jerome Hazlett stał za biurkiem. Przyciskał brodą słuchawkę telefonu i gryzmolił w notatniku. Zerknął na Waltera przez szybę i pogięte żaluzje, po czym dał mu znak, by wszedł do środka.

Hazlett miał około pięćdziesięciu pięciu lat, rzadkie, siwe, krótko ostrzyżone włosy, ciemną skórę gładką jak bakłażan, około piętnastu kilogramów nadwagi i prawie dwa metry wzrostu. Ledwo się mieścił w ciasnym pomieszczeniu. Mówił tak basowym głosem, że meble aż dygotały.

Przed biurkiem stały dwa drewniane krzesła, na których leżały stosy teczek. Na podłodze piętrzyły się kolejne teczki i pudła. Walter wcisnął się do gabinetu i zamknął drzwi. Na biurku kapitana leżała teczka z jego nazwiskiem.

Hazlett skończył rozmowę przez telefon, odłożył słuchawkę, spojrzał na Waltera, zauważył podbite oko, ale tego nie skomentował.

– Będziesz pracował z Wesem Braymanem. Służy w wydziale zabójstw od dwudziestu lat. Wcześniej był w służbie patrolowej. Nie jest partaczem jak niektórzy z nich. – Wskazał dłonią salę. – Nie podskakuj, słuchaj go, rób, co ci każe. Ucz się. Nie chcę słyszeć, że są z tobą jakieś problemy. Mam ich i tak za dużo. Jeśli zaczniesz sprawiać kłopoty, wyślę cię z powrotem na ulicę przed końcem tygodnia, rozumiesz?

– Tak, sir.

– Herb Nadler i szef twojej zmiany mówili o tobie dobre rzeczy; to coś znaczy. Dowiedziałem się w ten sposób więcej niż z tego gówna. – Puknął długim palcem w teczkę Waltera. – Nie podskakuj, rób swoje, a wszystko będzie w porządku. Jeśli trafisz na jakiś problem, najpierw porozmawiaj z Braymanem. Jeśli będziesz miał z nim problemy, spróbujcie sami je rozwiązać. Nie chcę o tym słyszeć. Jeżeli ktoś mi powie, że macie ze sobą problemy, to wy będziecie mieć problem, rozumiesz?

Walter zauważył, że Hazlett nieustannie powtarza słowo „problem”.

– Nie stwarzam problemów.

– Właśnie tak ma być. Nie stwarzaj. Nie, kiedy ja tu dowodzę.

Kapitan wyrwał kartkę z notatnika i wręczył Walterowi.

– Przewieź do śródmieścia zwłoki znalezione w hotelu Edison. Brayman już tam jest. Lekarka sądowa jedzie na miejsce. Poproś policjantów z patrolu, żeby cię podwieźli, i spotkaj się z nim. Wykonuj jego polecenia.

Walter znał reputację hotelu Edison. Był to jeden z wielu hoteli w centrum miasta, gdzie wynajmowano pokoje na godziny za gotówkę. Szybki seks i do widzenia.

Hazlett podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer. Zmarszczył brwi, gdy Walter się nie poruszył.

– Masz jakieś pytania?

– Nie widziałem detektywa Weedena po przyjeździe. Miałem nadzieję z nim porozmawiać.

Zmarszczki na czole kapitana się pogłębiły.

– Weedena? Weeden nie żyje od pięciu lat. Wyciągnął kopyta we śnie. Wszyscy powinniśmy mieć tyle szczęścia. Czego od niego chciałeś?

Walter zastanawiał się, czy nie wytłumaczyć, o co chodzi, ale doszedł do wniosku, że to zły pomysł.

– Był starym znajomym, to wszystko.

– Przykro mi. – Hazlett wykręcił numer i przycisnął słuchawkę do ucha. – Przekaż Braymanowi, że chcę mieć meldunek do czwartej. Zamknij za sobą drzwi.

HOTEL EDISON ZNAJDOWAŁ SIĘ przy Arlington Street 1200, między dawną pizzerią U Sala a pralnią samoobsługową. Obecnie oba lokale były zamknięte i zabite deskami. Po drugiej stronie ulicy, przed schroniskiem dla bezdomnych, stała grupa ludzi – kilku paliło papierosy, dwóch miało koce narzucone na ramiona, wszyscy obserwowali poranny przyjazd policji.

Ciężkie szklane drzwi hotelu zapiszczały, gdy Walter je otworzył i wszedł do budynku.

W czasie jazdy łyknął dwie kolejne aspiryny i efekty kaca się zmieniły: na początku miał wrażenie, że ktoś wali go po głowie młotem, a teraz gumowym tłuczkiem. Postanowił podziękować Nadlerowi, że jest takim cholernym durniem.

Holu, w którym znajdowała się recepcja, nie remontowano od wieków; ze ścian i sufitu spadała sztukateria, pierwotna dekoracja budynku.

Mężczyzna pracujący w recepcji wydawał się tak stary, jakby siedział tam od wieków. Miał kędzierzawe siwe włosy, zamglone oczy i nosił grube, okrągłe okulary. Siedział na stołku i gapił się na niewielki czarno-biały telewizor. Trzymał w dłoni nadjedzoną kanapkę, resztkę śniadania.

Nim Walter zdążył się odezwać, starzec wskazał kościstym palcem schody po prawej stronie.

– Drugie piętro – powiedział.

Walter kiwnął głową, lekko ścisnął w kieszeni psią obrozę i ruszył po schodach.

Drzwi pokoju 305 były otwarte, na framudze wisiała żółta taśma policyjna. Na korytarzu stał funkcjonariusz w mundurze.

Walter wyjął odznakę, pokazał ją i wszedł do środka.

Spodziewał się zobaczyć pokój pełen ludzi, ale ujrzał tylko dwie osoby, jedną martwą i jedną żywą.

Żywa miała na sobie pognieciony brązowy garnitur i mokasyny w tym samym kolorze. Czarnoskóry mężczyzna z krótkimi włosami przetykanymi siwizną i starannie przyciętą brodą. Okazał się starszy, niż Walter się spodziewał. Mógł mieć przeszło pięćdziesiąt pięć lat. Stał między Walterem a zwłokami leżącymi na łóżku, częściowo je zasłaniając.

Walter odchrząknął.

– Detektyw Brayman? Nazywam się...

Brayman nie spojrział na niego i uniósł dwa palce, wskazujący i środkowy.

– Cicho!

Walter wszedł w głąb pokoju i przekrzywił głowę.

– Nic nie słyszę. Co się dzieje?

– Powiedziałem: „Cicho!”, do cholery! Stój w miejscu. Nie ruszaj się.

– O co panu...

– Jeszcze jedno słowo i poczekaś na zewnątrz – odparł Brayman, powoli okrążając mężczyznę leżącego na łóżku. – Muszę pomyśleć.

Walter otworzył usta, gotów się sprzeczać, po czym spojrział na zwłoki i postanowił milczeć.

Martwy mężczyzna był nagi, leżał na łóżku z rozrzuconymi rękami i nogami, z ustami otwartymi jak w niemym krzyku. Wybałuszone oczy pokryte mleczną mgiełką: prawdopodobnie miał zaawansowaną, nieleczoną zaćmę. Prawe ramię było wyciągnięte w stronę stolika przy łóżku, jakby po coś sięgał. Za jego głową zwisała ze ściany naddarta tapeta.

Walter poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Gdzie są jego palce?

Brayman pokręcił głową.

– Chryste, zamierzasz być następny?

– Następny?

– Nie potrafisz wykonywać prostych poleceń?

– Jeśli każesz mi usiąść, to mam usiąść, tak?

– Właśnie o to chodzi.

– W porządku. Będę wykonywał polecenia.

„Żadnych problemów”, jak powiedział kapitan Hazlett.

Walter wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze dopiero po chwili.

– Powinienem się przedstawić. Jestem Walter O'Brien, twój nowy partner.

Wyciągnął rękę, ale Brayman jej nie uściśnął. Odwrócił się w stronę zwłok na łóżku.

– Ile lat ma twoim zdaniem ten gość?

Walter podszedł i przyjrzał się dokładniej.

– Siedemdziesiąt?

– Przebiegły młody człowiek w recepcji powiedział, że pokój wynajął trzydziestolatek.

– Strażnik tej krypty jest starszy od tego faceta. Może nawet starszy od ciebie. W takim hotelu widzi tylko tyle, ile musi, a pamięta jeszcze mniej. Wątpię, czy możemy mu wierzyć na słowo. Pokazałeś mu zwłoki?

Brayman skinął głową.

– Recepcjonista twierdzi, że to nie on wynajął pokój.

– Okej. Więc gość, który go wynajął, zabił staruszka i tu zostawił. Zagadka kryminalna rozwiązana.

Brayman kiwnął głową w stronę stosu ubrań w pobliżu okna.

– Recepcjonista mówił, że człowiek, który wynajął pokój, był ubrany w brązowe spodnie i czerwony sweter, takie same jak te. Podobno przyszedł z dziewczyną.

– Taki stary i z dziewczyną? Niezły ogier.

– Z dziewczyną przyszedł trzydziestokilkuletni mężczyzna w tym samym ubraniu.

– Okej... – powiedział Walter. – Może sprawca przebrał dziadka w swoje ubranie i wyszedł z dziewczyną.

– Po co?

– Nie mam pojęcia.

– Ja też nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Więc siedź cicho. Muszę pomyśleć.

Walter wyjął z kieszeni lateksową rękawiczkę, włożył ją i podszedł do stosu ubrań. Ujął dwoma palcami brązowe spodnie i uniósł je do światła wpadającego przez okno. Później przeszukał kieszenie. Po chwili powiedział:

– Nie ma portfela, niczego. Znamy nazwisko?

– Płacił gotówką. Według księgi gości nazywa się Paul Newman. Nie, nie znamy prawdziwego nazwiska.

Walter odłożył spodnie i podszedł do komody stojącej naprzeciwko łóżka. Ciemny drewniany blat był porysowany i poobijany ze starości. Widać było ślady po telewizorze. Kurz układał się w spirale.

– Ktoś to wytarł.

– W tym pokoju wszystko wytarto. Każdą powierzchnię. W łazience na podłodze leży ręcznik. Pewnie go użyli. – Brayman się odwrócił, po raz pierwszy popatrzył na Waltera i zauważył podbite oko. – Więc mam nie tylko cię uczyć prowadzić śledztwa w sprawie morderstw, ale też walczyć? Przypomnij mi, żebym podziękował kapitanowi.

Walter zignorował kąśliwą uwagę.

– Używasz liczby mnogiej. Więc zgadzasz się, że sprawców było kilku?

Brayman podszedł do okna i obejrzał klamkę.

– Z niczym się nie zgadzam. Jeśli w tej robocie zakładamy coś z góry, wpływa to na cały przebieg śledztwa. Zgadzam się, że szukamy trzydziestoletniego mężczyzny i kobiety. Napisałismy to w raporcie i od tej pory jest to prawda objawiona. Cała policja szuka dwóch osób. A jeśli w tym pokoju było troje innych ludzi? Pięcioro? Jeśli przyszli i wyszli schodami przeciwpożarowymi? Facet na dole nie widział nikogo wychodzącego, więc jak się wydostali? – Wskazał mężczyznę leżącego na łóżku. – Skoro ten gość nie wszedł przez hol, skąd się tu właściwie wziął?

– Nikt nie wszedł przez okno. Jest zamknięte od wewnątrz. Już to sprawdziłem. – Walter zajrzał do małej łazienki i popatrzył na ścianę koło wyszczerbionej porcelanowej umywalki. – Ktoś rozbił lustro.

– Nie wiemy, czy ma to jakiś związek ze sprawą. Mogło się to zdarzyć przed miesiącem.

– Zbito je niedawno. Szkło jest w umywalce, na podłodze.

– Sprzątaczkę mogą być niechlujne. Nikt inny oprócz sprawcy nie mógł wytrzeć odcisków palców. Ten pokój chyba nie był sprzątnięty od roku.

– Wygląda obrzydliwie. – Walter podszedł do łóżka i przyjrzał się pościeli. Była żółta, zaplamiona, wydawała się sztywna od brudu. – O kurczę, kto by się położył na czymś takim? Robi mi się niedobrze, gdy na to patrzę. Wiadomo coś o przyczynie zgonu?

Brayman pokręcił głową.

– Na początku myślałem, że skrecono mu kark. Głowa leży pod dziwnym kątem. Ale nie. Nie widzę żadnych ran z wyjątkiem brakujących palców. Nie krwawił obficie, więc moim zdaniem stracił je po śmierci.

Walter przykucnął i przyjrzał się dokładniej dłoniom mężczyzny. Żołądek podszedł mu do gardła i czuł, że za chwilę znowu rozboli go głowa.

– Ktoś próbował ukryć jego tożsamość? Po co miałby odcinać palce? – Wskazał wypukłość nad knykciem, gdzie znajdował się kiedyś prawy palec wskazujący. – Jak to zrobiono? Rana jest zbyt nierówna jak na nóż. Popatrz na postrzępione brzegi.

Brayman milczał przez chwilę, po czym podszedł bliżej.

– Myślę, że ktoś je odgryzł.

– Niemożliwe.

– Zwróć uwagę na poszarpaną skórę. Zwęża się od stawu. Wygląda na to, że ktoś mocno szarpał każdy palec, a potem przegryzł skórę. – Aby zademonstrować, o co chodzi, włożył palec do ust, zacisnął na nim zęby i udał, że szybko odchyła głowę. – Wymaga to dużej siły, ale da się zrobić. Sprawca wyrwał palce ze stawu, a potem je odgryzł.

Skóra mężczyzny była pokryta plamami starczymi i miała dziwny jasnozielony odcień. Jego nogi przypominały patyczki pokryte wiotką skórą.

– Możemy go przykryć do czasu...

– Nie.

– Ma tatuaż w okolicach mostka. – Walter wyciągnął rękę. – Czterolistna koniczyna. To może pomóc w identyfikacji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Stał w nich jeden z techników kryminalistycznych z aparatem fotograficznym.

– Możemy wejść? Mieliśmy strzelaninę w śródmieściu, a później napad na czyjś dom. Przyprowdzę swoich ludzi. Przyjechała też lekarka sądowa.

Brayman kiwnął głową, po czym odwrócił się w stronę Waltera.

– Zostanę tu. Przesłuchaj wszystkich gości, którzy ciągle są w hotelu, a później recepcjonistę. Trzeba sprawdzić, czy zacznie sobie zaprzeczać.

– Wykluczone. Wyślij jakiegoś mundurowego. Chcę usłyszeć, co powie lekarz sądowy.

– Wolę, żebyś ty się tym zajął. Mundurowi zawsze coś przeoczą.

Walter o mało nie powiedział, że zaledwie wczoraj był mundurowym, podobnie jak niektórzy z najlepszych policjantów, jakich znał. Jednak doszedł do wniosku, że nie warto się kłócić. Wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Nasza współpraca nie będzie łatwa, prawda?

– Chyba tak.

TEJ NOCY NIE MÓGŁ ZASNAĆ. Próbował, ale był zbyt zdenerwowany po długim dniu. Kiedy plastikowe cyfry budzika przewinęły się z cichym szelestem z jedenastej dwadzieścia trzy na jedenastą dwadzieścia cztery, skapitulował, włożył ubranie i poszedł na spacer.

Wes Brayman to osioł, ale wie, co robi. Kiedy nowy partner Waltera znowu załazł mu za skórę (zdarzało się to dość często, może nawet pobił rekord jak na jeden dzień), Walter przypominał sobie, że to bardzo doświadczony policjant. Nie miał wątpliwości, że mógłby się czegoś od niego nauczyć, ale był również pewien, że nie może dać sobą pomiatać. Walter nie był głupcem. Brayman się o tym przekona.

„Zmuszę go, żeby się przekonał”.

Kiedy wyszedł z mieszkania, nie zamierzał wracać do restauracji U Giovanniego. Analizował szczegóły sprawy z hotelu Edison – martwy mężczyzna na łóżku, brakujące palce, możliwość działania kilku sprawców. Oprócz recepcjonisty nikt nie widział nikogo wchodzącego ani wychodzącego. Jako sumienny detektyw Walter obszedł wszystkie pokoje w hotelu, po czym wrócił na miejsce zbrodni, gdzie poznał wstępną opinię lekarki sądowej: ofiara była martwa od około sześciu godzin, a większość rzekomych plam starczych to melanoma – ofiara miała zaawansowanego raka skóry. Lekarka zgadzała się z Braymanem, że palce odgryziono.

Zatopiony w myślach, krążył bez celu po ulicach i tylko cudem udało mu się nie wpaść pod samochód.

Nieustannie przypominała mu się Amy Archer.

Myślał o morderstwie w hotelu Edison, lecz ciągle stawała mu przed oczami – śmiała się w restauracji, całowała się z mężczyzną oparta o mur w zaułku. Za każdym razem odpędzał te obrazy, wracał do hotelu Edison, a Amy znowu się zakradała, podstępna jak szept.



Nie pamiętał, jak wrócił do restauracji U Giovanniego. Kiedy w końcu uniósł głowę, by się zorientować, gdzie jest, lokal znajdował się po lewej, a przystanek autobusowy po prawej. Usiadł na pustej ławce; bezdomna spotkana poprzedniej nocy zniknęła.

Noc stała się chłodna, chodnik był prawie pusty i w restauracji znajdowało się mniej ludzi niż poprzedniego wieczoru. Tylko trzy stoliki były zajęte. Spojrzał na jej stolik, teraz pusty.

Czy się spodziewa, że Amy wróci?

Przyjdzie z tym samym mężczyzną, usiądzie w tym samym miejscu i zacznie wszystko od początku?

Wiedział, że to śmieszne, ale niczego to nie zmieniało.

Czekał. Właściwie na co?

To nie mogła być ona.

„Jesteś idiotą. To nie była ona”.

„Idź do domu”.

„A jeśli to ona?”

„To nie ona”.

„A jeśli to ona?”

Był pijany. Bardzo pijany. Mógł pragnąć, żeby to była ona, ale to wykluczone. Może właśnie dlatego tu przyszedł. Chciał się przekonać, że to nie ona. Udowodnić to sobie, by zamknąć drzwi we własnej głowie i zająć się tym, co powinien robić – pierwszym śledztwem w nowej roli.

Walter poznał kelnera, który poprzedniego wieczoru przyniósł im rachunek. Mniejsza liczba gości obecnych tego wieczoru w restauracji na pewno oznaczała mniejsze napiwki, więc nie wydawał się zadowolony. Powiedział coś do hostessy, a później zniknął za uchylnymi drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

„Dokąd on poszedł, do cholery?!”

Zbliżała się pora zamknięcia lokalu. Może powinien zostać i dopaść kelnera, gdy będzie wychodził?

Co?

Co mógłby powiedzieć?

„Hej, wczoraj wieczorem siedziałem na tej ławce pijany jak bela i wydawało mi się, że widzę w środku znajomą. Usiłowałem ją śledzić i pobił mnie jej partner. Może pan mnie z nią skontaktować?”

To nie mogła być ona.

„To była ona”.

Walter bębnił palcami w ławkę. Brayman chciał wcześniej zacząć pracę i kazał mu przyjść na komisariat o siódmej. Walter zamierzał go uprzedzić, pojawić się o szóstej. Przejrzeć starsze sprawy i sprawdzić, czy znajdzie inne ofiary

z odgryzionymi palcami. Doszedł do wniosku, że będzie to najlepszy punkt wyjścia.

Kelner ciągle nie wracał. A jeśli ulotnił się tylnymi drzwiami?

Jedna z par wstała, by wyjść. Rachunek wręczyła im hostessa, nie kelner.

„Idź do domu”.

– Pieprzę to! – mruknął Walter.

Nie wrócił do domu. Przeszedł przez jezdnię i otworzył drzwi restauracji U Giovanniego.

HOSTESSA ZERKNĘŁA na zegar na ścianie i uśmiechnęła się do Waltera.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale za kilka minut zamykamy. Obawiam się, że dziś nikt już nie może zająć miejsca przy stoliku.

– Chciałbym zobaczyć rachunki kart kredytowych z poprzedniego wieczoru.  
– Walter wyjął odznakę i wskazał stolik w rogu. – Wszystkich, którzy tam siedzieli. Muszę również porozmawiać z kelnerem.

Dziewczyna zeszywniała na widok odznaki, zerknęła na stolik, a później w stronę kuchni. Walter widział w jej oczach, że przypomina sobie wszystkie możliwe przestępstwa popełnione w życiu. Ludzie naprawdę winni usiłują ukrywać swoje uczucia, odgrodzić się murem od świata. Niewinni zawsze wyglądają na winnych jak diabli.

Uśmiechnął się i schował odznakę do kieszeni.

– Proszę się nie martwić, nie zrobiliście nic złego. Prowadzę śledztwo w pewnej sprawie.

Skinęła z ulgą głową i trochę się uspokoiła.

– Mogę przynieść rachunki, ale myślę, że Jake poszedł na zaplecze.

– Jeśli tak, chciałbym, żeby pani go przyprowadziła.

Znowu kiwnęła głową i zniknęła w drzwiach kuchni.

Waltera obserwowało kilku klientów, z pewnością się przysłuchując. Przekraczał swoje kompetencje i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Taka akcja mogła go kosztować złotą odznakę i zmusić do ponownej służby na ulicach, jeśli nie gorzej. Odwrócił się tyłem do gości i spojrzał na kuchnię. Im mniej widzą, tym lepiej.

Hostessa wróciła z plikiem rachunków. Podązał za nią kelner. Musiała minąć się z nim w drzwiach. Miał na szyi rozluźniony krawat, w kieszeni koszuli tkwiła paczka papierosów. Niezgrabnie wsunął koszulę w spodnie i podszedł do Waltera w sali jadalnej.

– Czym mogę panu służyć?

- Jak się pan nazywa?
- Jake. Jake Mason.
- Jak długo pan tu pracuje, Jake?
- Rok, może trochę mniej.

Hostessa posortowała rachunki na pustym blacie, dzieląc je na dwa stosy. Przesunęła mniejszy w stronę Waltera.

- To wszystkie rachunki stołu numer cztery.

Walter je rozłożył i szybko wyeliminował rachunki, które dotyczyły trzech lub więcej klientów. Położył pozostałe cztery przed kelnerem.

– Który z nich dotyczy białej kobiety w wieku dwudziestu kilku lat? Wzrost sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, kasztanowe włosy sięgające do ramion, szare oczy. Była z nieco starszym mężczyzną, prawdopodobnie w wieku około trzydziestu pięciu lat.

Kelner studiował rachunki, mrużąc oczy. Po kolei unosił je do twarzy.

- Zeszłego wieczoru, jest pan pewien?

Walter skinął głową.

– Była ubrana w obcisłą czerwoną sukienkę, bardzo głęboko wyciętą na plecach.

Kelner przesunął palec nad rachunkiem.

- Wie pan, co zamówili?

– Piła czerwone wino.

– Czwooro gości z tego stolika zamówiło wino.

– Wydawaliby się panu... trochę dziwni. Nie pasowała do niego, rozumie pan, co mam na myśli? Ale na pewno byli razem.

– Kasztanowe włosy, szare oczy...

– Czerwona sukienka, tak.

– Po prostu nie pamiętam.

„Jak może nie pamiętać? Kryje ją z jakiegoś powodu?”

– Jeśli mnie pan okłamuje, coś ukrywa, może pan mieć poważne kłopoty – nalegał Walter.

– Dlaczego miałbym kłamać, człowieku?! – Jake puknął palcem w następny rachunek. – To Parsonowie. Przychodzą dwa razy w tygodniu, zawsze zamawiają *cena di domenica*. To na pewno nie oni. – Odłożył rachunek na bok. –

Domyślam się, że chodzi o jeden z pozostałych trzech, ale nie pamiętam takiej osoby, nie z wczorajszego wieczoru. Jest pan pewien, że ich obsługiwałem? Mamy identyczne stroje. Na pewno podchodziłem do ich stolika?

– Na pewno.

„Byłeś pijany. Czy naprawdę jesteś pewien?”

Nie, był pewny. Ten sam stolik, ten sam kelner. Przesunął trzy pozostałe rachunki w stronę hostessy.

– Potrzebuję kopii.

NASTĘPNEGO RANKA, DWADZIEŚCIA PO SZÓSTEJ, był jednym z zaledwie pięciu detektywów obecnych w sali wydziału zabójstw. Pamiętał, żeby przynieść własną kawę, i rzeczywiście, cholernie jej potrzebował: spał zaledwie cztery godziny.

Kiedy po dwudziestu minutach w drzwiach pojawił się Brayman trzymający naręcze akt, Walter przypinał do tablicy fotografie z hotelu Edison o formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Znalazł je w przegródce Braymana w portierni; ktoś je wywołał i dostarczył w ciągu nocy.

– Chciałem zacząć z samego rana – powiedział.

Brayman przez chwilę oglądał fotografie, prychnął i położył teczki na swoim krześle.

– Siedziałem w archiwum od piątej. To wszystkie sprawy ucięcia palców z ostatnich dziesięciu lat.

„Cholera...”

Walter popatrzył na duży stos.

– Ile ich jest?

– Dwadzieścia dziewięć.

– Jezu...

– W Detroit działa mafia – przypomniał Brayman. – Ofiary często nie mają palców albo zębów. Czasem jedno i drugie.

– Myślisz, że to porachunki mafijne?

– Chcę przejrzeć wszystkie sprawy i wyizolować te, które nie miały związku z mafią. Właśnie na nich się skupimy.

– Mówiłeś, że spraw jest dwadzieścia dziewięć. Wygląda, jakby teczek było pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt.

– Ludzie mafii przynoszą narzędzia. Niczego nie odgryzają. Wziąłem wszystkie sprawy, w których dochodziło do poważnych pogryzień. Sprawca mógł najpierw gryźć, a potem odgryzać palce.

– Fetysz? Coś w tym stylu?

– Fetysz oznacza jakąś formę satysfakcji seksualnej. Moim zdaniem chodzi o coś innego.

Walter uważał, że Brayman ma rację.

– Okej, więc myślisz, że ktoś chciał ukryć tożsamość ofiary, ale nie był na tyle sprytny, by przynieść narzędzia, i improwizował. Odgryzł palce, by nie dopuścić do identyfikacji zwłok?

– Właśnie tak.

Brayman podzielił teczki na dwa stosy i przesunął jeden z nich w stronę Waltera, który zmarszczył brwi.

– Dlaczego dostają przestępczość zorganizowaną?

– Wolalibyś się zająć pogryzieniami?

Walter pokręcił głową i przysunął akta w swoją stronę.

– Nie, wszystko w porządku. Przejrzę je. Skoro wolisz przeglądać teczki przestępców seksualnych, rzuca to ciekawe światło na twoją psychikę. Prawdopodobnie są tam jakieś perwersyjne gówna. Dla mnie to bez różnicy. Jeśli chcesz, możemy się zamienić.

Usiadł na fotelu, wypił łyk kawy i zaczął przeglądać pierwszą teczkę.

„Nie, twoje perwersje nic mnie nie obchodzą. W tym wieku pewnie i tak rzadko masz ochotę na coś perwersyjnego”.

Brayman przysiadł na blacie biurka i obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

– Ile twoim zdaniem mam lat?

– Myślę, że po zamachu na Lincolna jako pierwszy wpadłeś z muszkietem do Teatru Forda – odpowiedział Walter, nie podnosząc wzroku.

– Pięćdziesiąt pięć.

– Okej.

– Więc daruj sobie dowcipy o wieku. Zwłaszcza kiepskie.

Walter zamknął pierwszą teczkę, odłożył na bok i otworzył następną.

– No cóż, jeśli nie chcesz, żebym cię uważał za nowe wcielenie dziadka Drakuli, może przestałbyś mnie traktować jak nowicjusza i wysyłać do zbierania zeznań od gości hotelowych? Jestem cholernie dobrym policjantem. Właśnie dlatego przeszedłem do wydziału zabójstw.

– Nie sugerowałem...

– Masz doświadczenie, szanuję to, ale dokonałem wielu aresztowań i otrzymywałem pochwały. Kiedy awansowałem, chciały mnie zatrudnić trzy różne wydziały. Wybrałem wydział zabójstw. Nie traktuj mnie jak żółtodzioba, który nie ma o niczym pojęcia.

– W porządku, masz rację.

Walter otworzył usta, gotów dalej się sprzeczać, po czym zrozumiał, że Brayman naprawdę się z nim zgadza.

Brayman obszedł biurko i usiadł na fotelu.

– Wczoraj nie powinienem się zachowywać tak lekceważąco, przepraszam.

– Serio?

Brayman uśmiechnął się ironicznie.

– Nie, oczywiście, że nie. Od jak dawna masz złotą odznakę? Od trzydziestu sześciu godzin? Ja mam swoją od dwudziestu jeden lat. Jestem porucznikiem, ty nie. Twoja odznaka jest nowiutka. Nad iloma zabójstwami pracowałeś? Ja przestałem je liczyć już dziesięć lat temu, gdy ty prawdopodobnie pożyczałeś samochód tatusia i próbowałeś wsadzać rękę pod sukienkę jakiejś dziewczynie.

Walterowi nagle przypomniał się obraz z dzieciństwa.

Noc – jego ojciec stał pod oknem kuchni, oparty plecami o drzewo. Trzymał w ramionach kobietę, która nie była matką Waltera. Wsunął jej rękę we włosy i przyciągnął do siebie. Ich usta się spotkały. Położyła dłoń na jego piersi, pod koszulą. Ojciec zerknął na okno, zauważył Waltera, widział, że syn go obserwuje, lecz nie mógł się powstrzymać.

Walter odpędził wspomnienie. Brayman ciągle mówił:

– Przydzielono cię do mnie, bo ktoś znajdujący się wyżej w hierarchii doszedł do wniosku, że możesz się czegoś ode mnie nauczyć, nie odwrotnie. Jeśli będę potrzebował kogoś, by mi pokazał, jak wypisywać mandaty za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię, zwrócę się do ciebie. Poza tym chcę, żebyś nie gadał i robił, co każę.

Walter poczuł, że krew napływa mu do twarzy, ale nim zdążył coś powiedzieć, Brayman dodał:

– Przed zagłębieniem się w te akta zadzwoń do obyczajówki i zdobądź listę znanych prostytutek pracujących w tej okolicy. Każdej, którą widziano albo zatrzymano w pobliżu hotelu Edison.

Walter przejrzał papiery leżące na blacie, znalazł to, czego szukał, i rzucił plik teczek na biurko Braymana. Wylądowały na nim z łoskotem.

– Zrobiłem to wczoraj, odwal się.

Brayman spojrzał na akta. Musnął kciukiem żółtą karteczkę przyklejoną na górze.

– Zaznaczyłem także tych, którzy pasują do rysopisu podanego przez recepcjonistę z hotelu Edison. Wyciągnąłem od niego te informacje, gdy byłeś na górze i manipulowałeś przy zamku w oknie na miejscu przestępstwa – dodał Walter.

– Spryciarz. Jeśli nie chcesz ze mną pracować, porozmawiaj z kapitanem. Nie proszę, żebyś został moim partnerem.



Po drugiej stronie sali otworzyły się drzwi gabinetu kapitana Hazletta. Przyciskał telefon do ucha. Rozejrzał się, zauważył Waltera i Braymana, po czym powiedział głośno:

– Wasza wczorajsza ofiara to staruszek bez palców, tak?

Kiedy kapitan wszedł? Brayman odchrząknął.

– Zgadza się, szefie.

– Proszę zaczekać – rzekł Hazlett do rozmówcy. Położył komórkę na biurku, podszedł i położył przed Braymanem kartkę papieru. – Mamy następną ofiarę. Tym razem to staruszka, też bez palców. Znalaziona w toalecie na dworcu autobusowym w Corktown. Chcę, żebyście rzucili na nią okiem. Mundurowi zabezpieczyli miejsce przestępstwa. Jeśli te dwie sprawy nie są związane, dam to komuś innemu.

– Tak jest, szefie.

– I przestańcie się kłócić – dodał kapitan i ruszył w stronę gabinetu. – Macie pracować. Nie liczcie na przeniesienie.

BRAYMAN SIEDZIAŁ ZA KIEROWNICĄ, co pasowało Walterowi. Przeglądał informacje otrzymane od obyczajówki. Zabrał też kilka fotografii z hotelu Edison. Przede wszystkim zbliżenia odciętych palców.

Kiedy wychodzili, Brayman zatelefonował do biura lekarza sądowego, by spytać o wyniki sekcji. Nie zdołał się połączyć i zostawił wiadomość asystentowi.

Znajdowali się w odległości kilku minut jazdy od dworca autobusowego, gdy Brayman odchrząknął i odezwał się, nie spuszczając wzroku z jezdni:

– Myślę, że powinniśmy ustalić pewne zasady.

– Zasady?

– Przydadzą się, jeśli mamy razem pracować.

Walter przewrócił oczami.

– Och, nie mogę się doczekać, aż je poznam.

– Proponuję rozejm.

– Hej, to ty oddałeś pierwszy strzał.

– Więc zawieszenie broni.

– Na jakich warunkach?

– Zawrzyjmy kompromis. Obaj znamy swoje mocne strony, zgadzamy się na nich skupiać, zamiast kłócić się o drobnostki. – Kiedy Walter nie odpowiedział, Brayman ciągnął: – Rozumiem, że masz solidną historię służby jako mundurowy. Znam Herba Nadlera. Mówił, że jesteś dobrym policjantem. Nie boisz się ciężkiej pracy, masz intuicję. W czasie waszej pracy zawsze robiłeś więcej, niż do ciebie należało. Nie przypominał sobie ani jednego innego przypadku.

Walter poczuł, że jego złość się zmniejsza, choć domyślał się, że za chwilę padnie jakieś „ale”.

– Ale powiedział również, że jesteś uparty, gwałtownie reagujesz, jesteś zarozumiały, emocjonalny, a czasami zbyt skoncentrowany.

– Zbyt skoncentrowany?

– Jako detektyw musisz mieć otwarty umysł. Widzieć całość materiału dowodowego i uwzględniać go w każdej decyzji, lecz nie pozwalać mu sobą kierować.

Walter uśmiechnął się ironicznie.

– Więc dobrzy detektywi nie kierują się dowodami?

– Dobrzy detektywi nie pozwalają, by kierowały nimi dowody. Jak powiedziałem wczoraj, jeśli wymyślisz teorię i będziesz się jej kurczowo trzymał, ucierpią na tym inne linie śledztwa. Jeśli zaczniesz przywiązywać zbyt dużą wagę do jednego tropu, są spore szanse, że wpadniesz do króliczej nory, bo zanedbasz wszystko inne. Dobry detektyw tworzy wiele hipotez i bada wszystkie, żadnej nie faworyzuje. Skupienie się na jednej teorii jest dobre w przypadku mniej ważnych śledztw: niewielkich kradzieży, wypadków samochodowych, spraw rodzinnych, jazdy po pijaku. Zabójstwa rzadko są takie proste. Musisz się oduczyć tego podejścia. Pomogę ci.

– Aha. A co właściwie ty zamierzasz osiągnąć w ramach naszego kompromisu?

Brayman włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo w Howard Street.

– Jesteś lubiany. To też powiedział mi Nadler. Mówił, że wszyscy cię lubią: porządni goście, czarne charaktery, koledzy. Ja... nigdy nie byłem zbyt towarzyski.

Tym razem Walter się roześmiał.

– Nie chrzań!

– Recepcjonista z hotelu Edison podał ci znacznie bardziej szczegółowy opis dziewczyny i mężczyzny, który poszedł z nią na górę, niż mnie. Otworzył się przed tobą. Mnie powiedział tylko tyle, ile musiał, żeby się mnie jak najszybciej pozbyć. To spora różnica. Nadler twierdził, że to jedna z twoich mocnych stron. Chciałem to zobaczyć na własne oczy.

– Nie wyciągnąłem od niego wielu informacji.

– Dowiedziałeś się, że szukamy białej dziewczyny w wieku około dwudziestu lat, co zmniejszyło liczbę teczek do ilu, dziesięciu?

– Dziewięciu z czterdziestu ośmiu.

– Bez ciebie ciągle miałbym czterdzieści osiem teczek – odparł Brayman, skręcając na parking dworca autobusowego.

Przed dużym wejściem stało kilka samochodów policyjnych z włączonymi kogutami. Brayman zatrzymał się z tyłu, po czym wskazano im drogę do toalet na wschodnim krańcu głównego terminala. Stało tam czterech umundurowanych funkcjonariuszy ze służby patrolowej; cały obszar był odgradzony żółtą taśmą. Przeszli pod nią i ruszyli w stronę głosów dochodzących z damskiej toalety.

W środku stało czterech innych policjantów, ale Walter nikogo nie poznał. Jeden wskazał najdalszą kabinę po prawej.

– Jest tam, w kabinie dla niepełnosprawnych.

Jedna z policjantek trzymała pudełko lateksowych rękawiczek. Dała Walterowi i Braymanowi dwie pary.

– Kto ją znalazł? – spytał Brayman. Ruszył w stronę kabiny, wkładając rękawiczki.

– Matka z nastoletnią córką. Obie były bardzo zdenerwowane. Czekają w biurze na korytarzu.

Brayman pierwszy dotarł do kabiny. Stał przez chwilę w milczeniu, po czym zwrócił się do policjantów:

– Proszę, niech wszyscy wyjdą. Zaczekajcie na korytarzu.

Kiedy funkcjonariusze opuścili pomieszczenie, Walter stanął obok Braymana i zajrzał do kabiny.

– O Boże...

Z wnętrza wydobywała się mdląca, słodka woń, połączenie zgnilizny, rozkładu i kału.

Walter zasłonił nos rękawem koszuli.

– Długo tu leży, jak sądzisz?

– Hazlett powiedział, że znaleziono ją tuż po szóstej rano.

– Wtedy ją znaleźli, ale jak długo tu leży? – spytał Walter.

– Nie mam po... – Brayman umilkł. Wszedł do kabiny, starając się nie dotknąć zwłok.

Martwa kobieta siedziała na sedesie, oparta plecami o ścianę. Na jej czaszce pozostało tylko kilka kosmyków siwych włosów; większość leżała skłębiona na podłodze u jej stóp. Stali i patrzyli, a tymczasem na ziemię spadło kilka innych luźnych kosmyków. Ostry blask jarzeniówek oświetlał suchą, pomarszczoną skórę o popielatym odcieniu, jakby spaloną słońcem, napiętą na cienkich kościach. Miała otwarte oczy, ale – podobnie jak w przypadku ofiary z hotelu Edison – kolor był niemożliwy do określenia wskutek mlecznego bielma.

Oczy Waltera zaczęły łzawić od smrodu.

– W czasie służby patrolowej musieliśmy często sprawdzać, co się dzieje ze starymi ludźmi, którzy mieszkali samotnie. Sąsiedzi nie widzieli ich od jakiegoś czasu, martwili się, dzwonili na policję. Nadler zawsze najpierw zaglądał do skrzynki pocztowej. Jeśli były w niej stopy poczty, wiedzieliśmy, czego się spodziewać w mieszkaniu. Nie potrafię zliczyć, ile razy znajdowaliśmy pełną skrzynkę, a potem zwłoki. Zawał, udar, poślizgnięcie się i upadek... Nim ktoś to zauważył i dał nam znać, czasem mijało kilka dni, tygodni, nawet miesięcy. Ta kobieta nie żyje od bardzo dawna.

– Cóż, nie widzę stosu listów. – Brayman ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął dwoma palcami szyi kobiety. – Jest ciągle ciepła.

– Wykluczone.

– Po śmierci temperatura ciała zwykle spada o stopień Celsjusza na godzinę. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia jeden stopni Celsjusza; założyłbym się, że temperatura jest ciągle wyższa niż trzydzieści dwa stopnie.

Prawe ramię martwej kobiety zwisało obok jej boku, lewe spoczywało na kolanach. Brayman ostrożnie dotknął lewego nadgarstka, uniósł go kilka centymetrów, puścił i patrzył, jak opada.

– Nie ma stężenia pośmiertnego.

– Stężenie osiąga maksimum po dwunastu godzinach, prawda? Ustępuje po kilku dniach. Założę się, że ta kobieta nie żyje przynajmniej od miesiąca. Stężenie dawno znikło.

– Więc uważasz, że ktoś przechowywał jej zwłoki, przywiózł tutaj, przeniósł przez główny terminal obok mnóstwa ludzi? Popatrz na jej sukienkę...

Była ubrana w czarną sukienkę koktajlową z cienkimi ramiączkami. Krótką. Gołe, wychudzone nogi wyglądały jak dwa patyczki.

Walter skinął głową.

– Tak, nic się nie zgadza. Ma siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat, prawda? Taką sukienkę mogłaby włożyć dwudziestolatka. To samo z butami. Starsze kobiety nie noszą takich szpilek. Nawet kolczyki nie pasują. – Umilkł, po czym dodał: – Ubranie ofiary z hotelu Edison też nie miało sensu. Może sprawca ma dziwną obsesję na punkcie odzieży? Z jakichś powodów przebrał ją po śmierci?

– Umarła w tej sukience. Widzę plamy kału – odparł Brayman. – Po śmierci rozluźniają się zwieracze, podobnie jak reszta mięśni. Niedawno się zesrała, w tym miejscu.

– Chyba muszę ci wierzyć na słowo.

Walter zahaczył noskiem buta pasek niewielkiej czarnej torebki leżącej na podłodze, przyciągnął ją i podniósł. Była otwarta. Przejrzał zawartość.

– Brak portfela i dokumentów. Szminka, cień do powiek... – Wyjął niewielki pojemnik. – Gaz pieprzowy i... O kurwa. – Wsunął głębiej dłoń i wyciągnął plik banknotów, zwiniętych i przewiązanych gumką. – To nie napad rabunkowy. Jest tu co najmniej tysiąc dolców. Poza tym trzy prezerwatywy. Czy to dziwka? Babcia pracująca jako prostytutka? Chryste, o to właśnie chodzi?!

Brayman przyglądał się dłoniom bez palców.

– Pokaż mi fotografie z hotelu Edison. Rękę tamtej ofiary.

Walter znalazł najlepsze zbliżenie, a Brayman porównał je z dłonią kobiety.

– Palce na pewno zostały odgryzione przy pierwszym stawie. Tak samo jak w przypadku mężczyzny. Trzeba zrobić odlew i sprawdzić, czy ślady zębów są te

same. – Uniósł rękę martwej staruszki, puścił, potem znowu uniósł. Zrobił to jeszcze kilka razy i spojrzał na Waltera. – Moim zdaniem zaczyna się stężenie pośmiertne. Nie ma wątpliwości, że umarła w ciągu ostatnich kilku godzin. Postawiłbym na to wszystkie pieniądze.

Walter znowu popatrzył na kobietę. Wydawało się to niemożliwe. Do licha, patrzył na mumię, która mogła nie żyć od miesiący. Nie byłby zdziwiony, gdyby ktoś powiedział, że zmarła przed rokiem. Ale zaledwie kilka godzin temu?!

– O co w tym wszystkim chodzi, kurwa?

Brayman nie odpowiedział. Pokręcił w milczeniu głową.

KIEDY TUŻ PO SIÓDMEJ wieczorem Walter O'Brien wszedł do mieszkania i postawił na stole w kuchni pudło z aktami dotyczącymi mafii, w dalszym ciągu czuł zapach zwłok kobiety z dworca autobusowego, jakby podążył za nim do domu. Nie była to sucha woń śmierci, ale słodki, mdlący odór zgnilizny. Im dłużej przebywali na dworcu, tym wydawał się intensywniejszy.

Brayman nadzorował techników badających miejsce przestępstwa, a Walter rozmawiał z kobietą i nastolatką, które znalazły zwłoki. Matka myślała, że są same w toalecie, i zaprowadziła córkę do otwartej kabiny dla niepełnosprawnych, gdzie było więcej miejsca. Odciągnęła ją, kiedy zauważyła martwą kobietę, lecz dziewczyna zdążyła zobaczyć ciało.

Później przesłuchał sprzątacza pracującego na dworcu, Gwatemalczyka po pięćdziesiątce, który przysięgał, że kobiety nie było w toalecie, gdy ją czyścił przed piątą po południu. Pokazał Walterowi służbowy rejestr i wskazał zanotowaną czwartą pięćdziesiąt siedem obok dzisiejszej daty i wpisu: DAMSKA TOALETA NR 3. Nie mogli tego potwierdzić nagrania z monitoringu – trzy kamery zainstalowane na dworcu nie działały od miesiący – ale kierownik oświadczył, że sprzątacze jest wiarygodny i nie ma powodu wątpić w jego słowa. Oznaczało to, że w chwili znalezienia przez matkę i córkę ciało przebywało w kabinie niespełna godzinę.

Dwie kasjerki i ochroniarz nie widzieli wchodzącej kobiety; wszyscy podkreślali, że starsza pani ubrana w ten sposób rzucałaby się w oczy, zwłaszcza wczesnym rankiem. Do licha, każda kobieta ubrana w ten sposób rzucałaby się w oczy o każdej porze! Nikt nie zauważył, by ktoś przynosił zwłoki (może w dużej torbie albo walizce); ochroniarz zarzekał się, że zwróciłby uwagę na kogoś niosącego duży bagaż. Jednak kierownik przyznał, że w odróżnieniu od dozorca ochroniarz ma zwyczaj drzemać między czwartą o szóstą rano. Walter przypuszczał, że ktoś przewiózł zwłoki w walizce na kółkach pod nosem ochroniarza; nie wierzył, że kobieta dotarła do toalety sama.

Ślepa uliczka.

Ślepa uliczka.

Ślepa uliczka.

W domu Walter przycisnął rękaw do nosa i powąchał.

„Ten cholerny smród...”

Wziął szybki prysznic, ale dalej czuł odór. Podniósł ubranie z podłogi, opróżnił kieszenie, wepchnął wszystko na dno wypełnionej torby na pranie, a następnie włożył dzinsy i czyste półbuty.

Wrócił do kuchni, trzymając w ręku zgniecione w kulę rachunki z restauracji U Giovanniego i obrożę. Wyjął piwo z lodówki i spojrzął na stos akt dotyczących mafii. Obiecał Braymanowi, że przejrzy je dziś wieczorem. Zamierzał odrobić pracę domową, przestudiować teczki ofiar pogryzień i czekać na wyniki sekcji zwłok niezidentyfikowanej staruszki. Z samego rana porównają wyniki.

Na rachunku leżącym na wierzchu znajdował się nabazgrany adres. Dotarcie tam na piechotę zajęłoby dziesięć minut. Mógł łatwo wszystko sprawdzić i wrócić przed upływem godziny. Zostanie mnóstwo czasu na przejrzenie teczek.

Poza tym ciągle czuł zapach. Był lekki, ale nie znikał. Szybki spacer, trochę świeżego nocnego powietrza – wystarczy, by o nim zapomnieć. Na pewno się ulotni.

Godzina.

Nie więcej.

Potem akta.

Dopił piwo, przypiął do kostki zapasową broń – niewielki rewolwer kalibru 380 – i opuścił mieszkanie. Szedł szybko do przodu, by zdrowy rozsądek nie zmusił go do zmiany decyzji.

Zdołał dotrzeć na miejsce w osiem minut, nie dziesięć, ale kiedy drzwi otworzył starszy mężczyzna, Walter natychmiast zrozumiał, że to pomyłka. Mężczyzna obejrzał odznakę, po czym nerwowo przyznał, że on i jego żona jedli kolację w restauracji U Giovanniego z okazji dwudziestej siódmej rocznicy ślubu. Walter złożył gratulacje, podziękował za poświęcenie cennego czasu i bez dalszych wyjaśnień wyszedł na ulicę. Popatrzył na następny rachunek. Może zdążyć, jeśli się pośpieszy.

„Do licha, nie zachowuj się jak idiota!”

Mimo to poszedł.

Pojechał taksówką do Newport Village Apartments przy St Antoine Street, co zajęło osiemnaście minut. Kazał kierowcy zaczekać. Kolejne pudło. Nikt nie odpowiedział na dzwonek do drzwi, ale sąsiadka powiedziała, że mieszka tam latynoskie małżeństwo z czworgiem dzieci.



Kiedy Walter wrócił do taksówki, wiedział, że nie wróci do domu, dopóki nie sprawdzi ostatniego rachunku. Nie potrafiłby się skupić, gdyby tego nie zrobił. Powinien po prostu sprawdzić wszystkie możliwości. Udowodnić sobie, że to nie ona, na pewno nie ona. Wtedy i dopiero wtedy będzie mógł całkowicie się skupić na śledztwie. Powtarzał to sobie; było to głupie, ale wystarczyło.

Jazda pod ostatni adres trwała trochę dłużej, prawie pół godziny. Nie mieszkanie, ale dom w Dearborn Heights – na bliskich przedmieściach Detroit. Jednopiętrowa willa w stylu kolonialnym z wypielęgnowanym trawnikiem i czarnym volvo zaparkowanym na podjeździe.

Kiedy mężczyzna otworzył drzwi, Walter wyjął odznakę.

Może dlatego mężczyzna tak bardzo pobladł. Najpierw spojrzał na odznakę, a później na posiniaczoną twarz Waltera. Wydawało się, że się skurczył.

– Nie miałem pojęcia, że jest pan policjantem.

RANDKA AMY ARCHER.

Początkowo Walter zamierzał mu podać swoje nazwisko i powiedzieć, że pracuje w Wydziale Zabójstw Policji Detroit, lecz po chwili się rozmyślił. Schował odznakę do kieszeni, nim mężczyzna zdołał odczytać numer. Za żadne skarby nie chciał, by podniósł słuchawkę i zadzwonił do kapitana Hazletta.

– Nazywa się pan Michael Driscoll? – spytał.

Mężczyzna skinął głową.

– Musimy porozmawiać.

W głębi domu rozległ się okrzyk kobiety:

– Kto to, Mike?

„Amy?”

Driscoll lekko zbladł i zawołał przez ramię:

– Detektyw z policji. Przyszedł w sprawie pobicia przed kilkoma dniami. Pomówię z nim przed domem. Przygotuj dzieci do spania. Pomogę ci je uśpić, gdy skończymy. To nie powinno długo potrwać. – Zanim kobieta odpowiedziała, wyszedł na werandę, zamknął drzwi i rzekł cicho: – Proszę posłuchać. Czy jest pan policjantem, czy nie, był pan pijany jak świnia i nie ma pan prawa nas nachodzić.

– Zaatakował pan funkcjonariusza policji.

– Nie pokazał pan odznaki. Ledwo trzymał się pan na nogach. – Nerwowo zerknął na podbite oko Waltera i siniak na podbródku. – Chryste Panie, zrobiłby pan to samo, gdyby ktoś pana podglądał, kiedy...

Zasłona w oknie po lewej stronie Waltera się odsunęła i za szybą pojawiła się twarz kobiety. Zmarszczyła brwi, po czym znowu zaciągnęła zasłonę. Około trzydziestu pięciu lat, nie gruba, ale tęga, kilka kilogramów nadwagi. Miała włosy zaczesane do tyłu i była ubrana w obszerną koszulę z krótkimi rękawami.

Nie Amy.

Walter nagle coś zrozumiał.

– Tamta dziewczyna nie była pańską żoną.

Driscoll nie odpowiedział; odwrócił się i zakasłał w rękaw. Ochryply, wilgotny kaszel, który zdawał się trwać wiecznie. Kiedy w końcu znowu spojrzął na Waltera, miał wilgotne, zaczerwienione, opuchnięte oczy. Popatrzył z zawstydzeniem na stupy na opuchniętych knykciach.

– Powiedziałem żonie, że zostałem napadnięty w drodze powrotnej z pracy do domu, że udało mi się spłoszyć napastników, ale ukradli portfel i karty kredytowe. – Pokręcił głową. – Cholernie głupie, ale tłumaczyło zniknięcie pieniędzy.

– Kim była ta dziewczyna?

Driscoll się zawahał, zerknął na dom.

– Powiedziała, że nazywa się Amelia. Amelia Dyer.

– Gdzie ją pan poznał?

Driscoll znowu umilkł i popatrzył na swoje nogi.

Walter zaczął przesuwać się obok niego w stronę drzwi.

– Może powinienem porozmawiać z pańską żoną. W sprawie zgłoszenia napadu, rozumie pan. Zawsze należy postępować zgodnie z przepisami.

Driscoll wyciągnął rękę, by zablokować drogę Walterowi, co wywołało kolejny atak kaszlu. Prawie zgiął się wpół. Wsparł się na framudze, aż atak minął.

– Przepraszam. Chyba coś mi dolega. Nie spałem dobrze.

Walter zrobił krok do tyłu.

– Kim dla pana była? – powtórzył, coraz bardziej niecierpliwie.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie pan nie aresztuje?

– Proszę zapomnieć o napaści, nie po to tu przyszedłem. – Walter zniżył głos.

– Niech pan posłucha. Byłem po służbie, wychodziłem z baru i rozpoznałem ją. Chciałem jej zadać kilka pytań związanych z pewną sprawą. Właśnie dlatego za wami poszedłem. Proszę mi pomóc ją odnaleźć, a potem o wszystkim zapomnimy – zapewnił.

– Nie powie pan mojej żonie?

– Nie, jeśli będzie pan współpracował.

Driscoll się zastanawiał. W końcu spojrzął w okno i westchnął. Zaprowadził Waltera na podjazd i zatrzymał się obok volvo.

– To po prostu dziewczyna z agencji towarzyskiej – powiedział cicho. – Ja i żona przeżywamy trudny okres, więc potrzebowałem odmiany. Kumpel z pracy dał mi jej wizytówkę, mówił, że jest dyskretna. Zaproponowała coś, co nazwała idealną randką.

– Idealną randką?

– Pięćset dolców, spotka się gdzieś z panem i będzie udawać pana dziewczynę. Kolacja, drinki, hotel. Spotkaliście się kilka razy, ale związek jest ciągle nowy, coś w rodzaju miesiąca miodowego, kiedy ciągle robi się takie rzeczy jak...

– Seks w zaułku, nagle, pod wpływem impulsu – wtrącił Walter.

– Tak. Przyszedłem do restauracji U Giovanniego, nie mając pojęcia, jak wygląda. Jednak mnie poznała. Nie wiem, na jakiej podstawie; nie podałem nikomu rysopisu. Stałem jak idiota obok hostessy w recepcji, niewiele brakowało, bym się odwrócił i wyszedł. Potem, siedząc przy stoliku, do mnie pomachała. Nie było odwrotu. Zresztą nie chciałem się wycofać. Widział ją pan, prawda? Dzięki niej wszystko było łatwe. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Zaczęliśmy od banalnych tematów, potem mówiliśmy o pracy i moich problemach w domu. Niczego nie oceniała, po prostu słuchała. Miałem wrażenie, że znam ją od dzieciństwa. Kolacja była fantastyczna. Czułem się jak na idealnej randce. – Spojrzał nad ramieniem Waltera na samochód czekający na ulicy. – Przyjechał pan taksówką?

Walter zignorował pytanie.

– Gdzie się udaliście, kiedy wyszliście z zaułka?

– Do hotelu Huntley. Zarezerwowałem tam pokój. – Driscoll był błydy, dygotał, a po twarzy spływał mu pot.

Walter znał hotel Huntley. Nie stać go było na niego. Gaża policjanta nie wystarczała.

– Widział was tam ktoś?

– Wszyscy nas widzieli. Ludzie zawsze patrzą na taką piękną dziewczynę. Szybko zaprowadziłem ją na górę, nie mogłem ryzykować, że zauważy nas ktoś znajomy. W pokoju czekała butelka szkockiej Macallan i wypilem trochę za dużo; prawie nie pamiętam reszty nocy. Zasnąłem, straciłem przytomność, obudziłem się przed piątą, ale już wyszła. – Spojrzał na dom. – Proszę posłuchać: muszę wracać. Przepraszam, że pana uderzyłem. Przykro mi z powodu wielu rzeczy, które zrobiłem tamtej nocy. Może czymś mnie zaraziła, kto wie? – Znowu się rozkasłał i otarł usta wierzchem dłoni. – Jest pan detektywem, prawda? Co zrobiła?

– Gdzie jest wizytówka? Ciągle ją pan ma?

Driscoll wyjął z kieszeni postrzępioną wizytówkę, zerknął na nią i podał Walterowi. Czerwone litery na czarnym tle.

– Nie będzie mi potrzebna. Popełniłem błąd, normalnie nie zdradzam żony. Nigdy wcześniej nie zrobiłem czegoś takiego. To nie w moim stylu. Kocham żonę, rodzinę. To po prostu...

– Kryzys małżeński – dokończył Walter. – Chyba tak to można nazwać.

Będzie nad sobą panował, aż zapomni o poczuciu winy, po czym znowu poszuka prostytutki. Za rok lub dwa będzie wegetował w tanim mieszkaniu zastawionym kartonowymi pudłami, próbując zrozumieć, dlaczego jego życie przypomina gruzowisko.

Walter odszedł bez słowa.

– Hotel Huntley, w centrum – powiedział, wsiadłszy do taksówki.

Zupełnie zapomniał o pudle z aktami na kuchennym stole.

HOTEL HUNTLEY, ZBUDOWANY w latach trzydziestych przez rodzinę Carmichaelów, znajdował się na rogu Barington Street i Third Street w centrum Detroit. Mieszkało tam sześciu prezydentów, liczne gwiazdy filmowe i telewizyjne, sławni sportowcy. W hotelu Huntley rezydował przez dwa lata Jack Tocco, słynny mafioso z Detroit, nim przeprowadził się na Florydę, by z oddali zarządzać interesami rodziny. Był to również jeden z nielicznych hoteli w Stanach, który miał aż dwanaście piętér, co przyciągało turystów.

Na parterze, na wschodnim krańcu dużego holu, znajdowała się restauracja, a za nią bar o nazwie Zemsta, z licznymi pamiątkami z okresu prohibicji.

Walter usiadł na wysokim stołku, zastanawiając się, co zdoła kupić za trzydzieści kilka dolarów, które miał w portfelu. Nie chciał spojrzeć na kartę dań, zamówił piwo beczkowe i wodę, a następnie poprosił o możliwość skorzystania z telefonu. Po kilku sekundach otrzymał wszystkie zamówione rzeczy i wyjął wizytówkę. Znajdował się na niej tylko numer telefonu z numerem kierunkowym 313; wydrukowano go czerwoną czcionką na czarnym papierze.

Wystukał numer i po drugim sygnale odezwał się męski głos.

– Tak?

Walter odchrząknął. Starał się nie mówić zbyt głośno.

– Mój przyjaciel Michael dał mi waszą wizytówkę. Chciałbym poznać dziewczynę, z którą spędził wieczór, Amelię.

W słuchawce panowała cisza. Minęło tylko kilka sekund, lecz wydawało się, że upłynęła minuta.

Kiedy dalej nikt nie odpowiadał, Walter dodał:

– Interesuje mnie idealna randka.

Ciągle nic.

– Halo?

– Jak ma pan na imię?

– Walter.

- Zdaje pan sobie sprawę z ceny?
- Tak, mam gotówkę – skłamał. – Jestem w...
- Wiem, gdzie pan jest. Proszę przejść na koniec baru i usiąść na trzecim stołku po lewej.

Rozległo się głośne pstryknięcie. Mężczyzna się rozłączył. Walter popatrzył na słuchawkę, odłożył ją na widełki i przesunął telefon w stronę barmana. Schował wizytówkę do kieszeni.

Przy barze siedziały tylko trzy osoby – para po prawej, popijająca martini, i mężczyzna oglądający mecz bejsbolowy kilka stołków dalej.

Walter ruszył w stronę drugiego końca baru i usiadł, gdzie mu kazano.

Po czterdziestu minutach pił drugie piwo, kiedy jego ramienia dotknęła smukła dłoń i delikatnie go ucisnęła. Czuł na szyi ciepły oddech. Kiedy się odwrócił, pocałowały go miękkie wargi. Dziewczyna przytuliła się do niego przez chwilę i z uśmiechem odgarnęła mu włosy.

– Cześć, przystojniaku! Przepraszam, że musiałeś czekać. Utknęłam w korku.

Położyła torebkę na barze i usiadła obok Waltera. Skrzyżowała smukłe nogi i wygładziła na opalonych udach krótką czarną sukienkę z jedwabistej tkaniny. Jej jasne, lekko kędzierzawe włosy opadały na ramiona, a zielone oczy lśniły.

Była piękna, ale nie miał przed sobą Amy. Barman położył przed nią serwetkę.

– Ma pani ochotę na coś do picia?

– Chyba tak. Proszę wódkę z sokiem żurawinowym.

Barman odwrócił się w stronę półek z butelkami, szybko przygotował drinka i podał jej. Wyjęła cytrynę, położyła na serwetce i uniosła szklaneczkę.

– Za zakończenie długiego dnia i początek cudownego wieczoru!

Trącił szklaneczkę swoim piwem i wypił łyk. Dziewczyna uniosła trunek do ust, po czym położyła wolną rękę na udzie Waltera, nachyliła się do jego ucha i szepnęła:

– Kiedy pójdziemy na piętro, musisz zapłacić całą kwotę z góry. Na razie dobrze się bawmy. Nazywam się Willow. – Pochyliła się jeszcze przez chwilę, musnęła wargami jego szyję i cofnęła się.

Walter przysunął stół bliżej, by nikt nie słyszał dalszej części rozmowy.

– Prosiłem o Amelię.

Z jej twarzy zniknął uśmiech, ale tylko na sekundę.

– Jeśli ci się nie podobam, na pewno przyślą kogoś innego.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Nie znam nikogo o imieniu Amelia.

Walter uważnie przyglądał się oczom dziewczyny, gdy opisywał Amy, ale nie dała po sobie poznać, że ją zna.

– Była tutaj poprzedniego wieczoru. – Wyjął wizytówkę, jakby miała potwierdzić jego słowa, ale dziewczyna wydawała się zmieszana.

Wypiła następny łyk wódki z sokiem żurawinowym, po czym położyła dłoń na torebce.

– Chyba powinnam iść. Źle się czuję.

Chwycił ją za nadgarstek.

– Zaczekaj.

To wystarczyło, by się zdenerwowała. Zesztywniała.

– Puść mnie! Nie chcę robić sceny, ale mogę nie mieć wyjścia.

Szybko ją puścił, ale mleko się rozlało.

– Przepraszam. Nie chciałem cię niepokoić. Po prostu... muszę z nią porozmawiać.

W torebce Willow rozległa się cicha wibracja. Popatrzyła na ekran pagera, po czym wstała.

– Jeśli zadzwonisz, przyślą kogoś innego. Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Muszę iść. – Znowu się uśmiechnęła. – Miło mi było cię poznać, Walterze.

Odeszła. Patrzył, jak przechodzi przez bar i hol w stronę głównego wyjścia hotelu Huntley. Pstryknął palcami w stronę barmana i wstał.

– Proszę mi dać foliową torebkę, natychmiast!

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Słucham?

Walter wyjął odznakę.

– Potrzebuję foliowej torebki. Niech się pan pośpieszy, do licha!

Barman sięgnął pod ladę i wyjął torebkę. Walter chwycił ją, wylał resztkę drinka Willow i włożył pustą szklaneczkę do torebki. Rzucił na bar kilka banknotów i pobiegł za dziewczyną.

Zauważył ją sto metrów dalej. Stała na chodniku przed budką telefoniczną.

Zanim go zauważyła, schował się w wejściu do sklepu z elektroniką, odczekał, aż odłoży słuchawkę, po czym ruszył za nią, gdy szybko szła ulicą.

Skręciła w Ambrose Street. Walter zauważył, że wchodzi do hotelu Grainger – nie tak drogiego jak Huntley, ale ciągle jednego z najlepszych w mieście.

Wszedł do barku z kanapkami po drugiej stronie ulicy i wybrał stolik przy oknie.

Wyszła z hotelu dopiero przed północą. Znowu zaczął ją śledzić. Przeszła cztery przecznice do klubu o nazwie Dreamers, gdzie bramkarz szybko wpuścił ją do środka bez kolejki.

Schował torebkę ze szklaneczką w krzakach na rogu parkingu, a następnie pokazał odznakę przy drzwiach i wszedł bez kolejki do zadymionego klubu.



Czekał, aż jego oczy przyzwyczają się do jaskrawych świateł, kolorowych reflektorów i laserów pulsujących w miarowym rytmie muzyki. Na początku myślał, że zgubił Willow w gęstym tłumie. Może zawróciła albo wyszła innymi drzwiami? Potem ją zauważył.

Tańczyła na parkiecie z dziewczyną, którą Michael Driscoll znał jako Amelię Dyer.

Walter znał ją jako Amy Archer.

To była ona.

**TERAZ**

PŁUG ŚNIEŻNY ROZSYPUJĄCY SÓL roztrącił dwa wozy policyjne, o włos minął mur przy wejściu do klubu, po czym skręcił z rykiem w boczną drogę dojazdową. Zawadził o kilka pojemników na śmieci i odepchnął je na bok, jakby nic nie ważyły. Z tyłu w dalszym ciągu sypała się sól, pokrywając asfalt grubą białą warstwą.

Rigby zrobiła kilka kroków do przodu i krzyknęła:

– Niech ktoś zatrzyma tego dupka!

Umundurowany policjant w pobliżu zaułka okrążył wóz patrolowy i rozległy się dwa strzały: jeden trafił w lusterko ciężarówki, drugi w asfalt na jej drodze. Funkcjonariusz przykucnął za samochodem.

Rigby spojrzała na budynek znajdujący się z tyłu. Uniosła wzrok. Obserwowała dachy jak jastrząb polujący na ofiarę.

„Do licha, Red – myślał Walter – mam nadzieję, że przenosisz się z miejsca na miejsce. Zabroniłem cię atakować, ale to nie znaczy, że tego nie zrobią”.

Antyterrorysty już podjęli działania. Za furgonetką oddziału SWAT ustawił się obserwator i systematycznie lustrował dachy i okna domów za pomocą potężnej lornetki. Niewątpliwie namierzał strzelców, ustalał ich pozycje. Walter nie miał złudzeń, że zdobył przewagę. W najlepszym razie zyskał trochę czasu. Gdzieś niedaleko, w jakiejś sali konferencyjnej, siedzą ludzie znacznie inteligentniejsi od niego i zastanawiają się, jak rozwiązać tę sprawę, nim wymknie się spod kontroli. Walter spędził dużą część życia w takich salach konferencyjnych.

Pług z solą zniknął z pola widzenia. Rigby patrzyła w tamtą stronę. Ciągłe słyhać było warkot motoru. Wydawało się, że Rigby się zastanawia, po co to wszystko. Walter wiedział, że to nieprawda. Kiedy pług po raz drugi objeżdżał klub, do szoferki podbiegł inny policjant. Zatrzymał go kolejny strzał i funkcjonariusz ukrył się za barykadą.

– Nie ruszajcie pługu – rzekł Walter do Rigby. – Musicie się skoncentrować na mnie.

- Skąd mam wiedzieć, że w klubie naprawdę jest bomba?
- Szybko uzyska pani odpowiedź.
- Jaka to bomba?

Walter milczał.

- Musi mi pan coś powiedzieć.
- Nie, nie muszę.
- Kim dla pana jest ta kobieta?

Walter znowu się nie odezwał.

- Ma pan rysopis?
- Nie.
- Jak wygląda?

– Nie mogę powiedzieć.

– Ile ma lat?

– Też nie mogę powiedzieć.

Po każdej jego odpowiedzi Rigby była coraz bardziej zdziwiona.

– Nie chce pan czy nie wie?

– Tak.

– To żadna odpowiedź.

„To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem” – pomyślał Walter.  
„A także potwór z piekła rodem”.

Wzruszył ramionami i spojrzął na wejście do klubu.

– Bramkarz może odejść. W tej chwili tylko przeszkadza.

Rigby się nie poruszyła. Patrzyła na Waltera.

– Tak po prostu?

– Proszę go stąd zabrać, nim zmienię zdanie.

W słuchawce Waltera zatrzeszczał głos Reda.

– A jeśli go dotknęła? Nie wiemy, czy tego nie zrobiła. Ma odejść tylko dlatego, że jest na zewnątrz?

Walter nie odpowiedział. Rigby miała na szyi mikrofon zestawu przewodnictwa kostnego. Nacisnęła guzik nadawania i powiedziała coś po cichu.

Po chwili wybiegło dwóch funkcjonariuszy, dało nurka za mur koło wejścia do klubu, stanęło po obu stronach bramkarza i odprowadziło go za barykadę. Trwało to niespełna trzydzieści sekund.

– Dziękuję – powiedziała Rigby i wydawało się, że naprawdę mówi szczerze.  
– Możemy porozmawiać o pozostałych gościach klubu?

– Nie ma o czym rozmawiać.

– Szuka pan kobiety – odparła Rigby. – Proszę mi pozwolić wyprowadzić mężczyzn. Tylko przeszkadzają, prawda?

– Nie.

– Myśli pan, że spróbuje się wymknąć między nimi?

Walter o mały włos się nie roześmiał.

– Nikt nie pomyliłby jej z mężczyzną.

– Dlaczego nie? Proszę okazać dobrą wolę. Zyska pan trochę czasu. Jeśli pan nie wie, kim jest ani jak wygląda, jak ktoś ją rozpozna?

– Skontaktuje się ze mną.

– Czemu miałyby to zrobić?

– Bo nie może się powstrzymać. – Walter zerknął na zegarek. – Zostało pani czterdzieści siedem minut. Nie chcę zyskać na czasie. Gdybym uważał...

Znowu się rozkasłał. Tym razem trwało to prawie trzy minuty. W końcu atak kaszlu minął i Walter otarł krew z ust, nie próbując jej ukrywać.

– Umierający człowiek nie ma nic do stracenia – rzekł. – Proszę o tym pamiętać i uwzględnić w moim profilu.

Sięgnął pod grubą kamizelkę, wyjął niewielki pendrive i rzucił w stronę Rigby, która chwyciła go jedną ręką.

– Co w tym jest?

– Długa, smutna historia.

# 1992

ALIASY?

Amy Archer

Amelia Dyer

Alvin Schalk

Dwie ofiary /zamrażarka w piwnicy

Niezidentyfikowany mężczyzna /hotel Edison

Niezidentyfikowana kobieta /dworzec autobusowy w Corktown

**Walter O'Brien, dwadzieścia osiem lat**

AMY ARCHER TAŃCZYŁA, przyciśnięta plecami do piersi Willow. Splotły ręce i palce, poruszały się jak jedna osoba. Śmiały się i wesoło tupały nogami w takt muzyki, piosenki grupy The Clash.

Walter przestał mieć jakiegokolwiek wątpliwości, kogo widział tamtej nocy. Rozjaśniło mu się w głowie i był pewien, że to ona. Uciekła mu przed sześciu laty. Doskonale pamiętał jej twarz; w ogóle się nie postarzała. Była kilka centymetrów niższa od Willow, która zdawała się niekiedy ją otaczać, pochłaniać. Zastanawiał się, czy są kochankami. Dotykały się w sposób intymny: było to coś więcej niż taniec dwóch przyjaciółek. Wiedza. Bliskość fizyczna. Kiedy podeszło do nich kilku mężczyzn, niewątpliwie po to, by próbować je poderwać, śmiały się i odsuwały. Na pewno nie raz słyszały to, co mówią mężczyźni w takich sytuacjach.

Utwór The Clash się skończył. Zaczęła śpiewać Laura Branigan. Walter przepchnął się przez tłum do baru, starając się nie tracić z oczu obu kobiet.

Potrzebował planu, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Jeśli Amy go zobaczy i pozna, natychmiast ucieknie. Odnalazł ją dwa razy w ciągu trzech wieczorów dzięki intuicji i ślepemu szczęściu. Nie miał złudzeń, że zdoła ją wytropić po raz trzeci, jeśli nie będzie chciała zostać odnaleziona.

– Czego panu nalać? – spytał barman, przekrzykując muzykę.

– Wody – odpowiedział Walter. – Muszę skorzystać z telefonu.

Barman napełnił szklanekę wodą i skinął głową w stronę wejścia.

– Telefon w barze jest dla personelu, a stołki barowe dla klientów zamawiających drinki. Płatne telefony znajdują się przy wejściu. Proszę zabrać ze sobą wodę.

Walter wyjął odznakę i szybko mu pokazał.

– Telefon, natychmiast!

Barman przewrócił oczami, zdjął telefon z półki przy kasie i postawił na barze.

– Niech pan szybko to załatwi. Nie chcę, by goście myśleli, że można stąd telefonować.

Walter go zignorował i wykręcił numer. Przycisnął słuchawkę do ucha i zasłonił drugie wolną ręką.

Nadler odebrał dopiero po szóstym sygnale. Miał zaspany głos.

– Co się dzieje?

– Znalazłem ją – odpowiedział Walter, mocno przyciskając słuchawkę do ucha, usiłując wyciszyć hałaśliwą muzykę.

– Nic nie słyszę. Kto mówi?

– O'Brien! – rzekł głośniejszym głosem. – Znalazłem ją!

– O'Brien? Wiesz, która godzina? Kogo znalazłeś?

– Archer. Amy Archer. – Dawny partner milczał. – Jest w klubie w śródmieściu.

Nadler ciągle nie odpowiadał. Przynajmniej na początku. W końcu głęboko westchnął.

– Jesteś pewien? Pamiętasz ostatnią historię?

Walter doskonale pamiętał ostatnią historię. Pomylił się, ale teraz był pewien.

– Obserwuję ją w tej chwili. Tańczy z inną dziewczyną. Potrzebuję wsparcia. Chyba nie powinienem zwijać jej sam. W takim tłumie zbyt łatwo mogłaby uciec. Musimy zablokować drzwi, osaczyć ją w klubie, a potem odwieźć do aresztu. Jeśli się zorientuje, że ją namierzyliśmy, znowu ucieknie. Wiesz, że to zrobi.

– Jesteś w jakimś klubie?

– Tak, nazywa się Dreamers, w centrum. Przy Murdock Avenue. Możesz tu przyjechać? – Nadler znowu się nie odzywał. – Jesteś tam, Herb?

– Piłeś?

Walter zaklął pod nosem.

– Wypiłem dwa piwa.

Nie powinien tego mówić. Ile razy przeprowadzali z Nadlerem interwencje w mieszkaniach i spotykali pijaków twierdzących, że wypili tylko dwa piwa? Wszyscy zawsze mówili, że dwa. Wiedzieli, że nikt im nie uwierzy, jeśli powiedzą, że jedno, a trzy oznaczały nietrzeźwość, więc dwa. Zawsze dwa.

– Nie jestem...

– Wracaj do domu – przerwał Nadler. – Odpuść sobie.

– Posłuchaj, widziałem meldunek. Weeden podał zły rysopis. Pewnie właśnie dlatego nikt jej nie znalazł przez te wszystkie lata. To Amy Archer. Jestem tego pewien.

– Idź do domu.

Walter chciał się sprzeczać, ale usłyszał sygnał. Nadler się rozłączył.



Odłożył słuchawkę i nagle poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Odwrócił się i zobaczył Willow stojącą naprzeciwko niego z gniewnym grymasem na ładnej twarzy. Teraz, gdy miała wolne, znikły wszelkie pozory uprzejmości.

– Co tu robisz, do licha?! Śledzisz mnie?!

Barman wskazał aparat.

– Skończył pan?

Walter z ociąganiem skinął głową i przesunął go w jego stronę. Willow chwyciła Waltera za koszulę i obróciła do siebie.

– Dlaczego mnie śledzisz, do cholery?!

– Hej, uspokój się. Wcale cię nie śledzę.

– Nie?! Założę się, że śledzisz! – rzuciła. – Podejrzewam, że jesteś zboczonym dupkiem, który kilka godzin temu nie dostał tego, czego chciał, a potem postanowił zaczekać, aż zostanę sama, i wziąć to za darmo. Powinieneś mi zapłacić za stracony czas. Jak masz na imię? Walter? Może powinnam zadzwonić do swojego szefa, Walterze? Powiedzieć mu, gdzie jesteśmy, żeby ci wyjaśnił, jakie są zasady? Wyśle kilku przyjaciół, którzy szybko cię ich nauczą.

Wydawało się, że za chwilę zdzieli Waltera pięścią.

– Może byście się uspokoiли? – odezwał się barman. Wziął dwa kieliszki i napełnił je wódką, sokiem z cytryny i czymś pomarańczowym.

– Dwa kamikadze. Jeden dla damy, drugi dla zaprzyjaźnionego policjanta.

Willow zrozumiała dopiero po sekundzie. Zesztywniała.

– Jesteś gliną?

Walter kiwnął głową, wziął oba kieliszki i podał jej jeden.

– Rozejm?

Nie poruszyła się.

– Posłuchaj, nie jestem w tej chwili na służbie.

Jeden shot wódki go nie zabije, zwłaszcza jeśli zapanuje nad sytuacją bez urządzania sceny.

– Gdybym cię okłamał, byłby to nielegalny podstęp. Wiesz, że nie wolno mi pić na służbie. – Uniósł kieliszek i wypił go jednym haustem. Poczul pieczenie w ustach i ciepło rozchodzące się w żołądku. Wódka smakowała lepiej, niż się spodziewał.

Postawił pusty kieliszek na blacie i skinął głową w stronę Amy, która w dalszym ciągu tańczyła na parkiecie z zamkniętymi oczami i głową odchyłoną do tyłu.

– Chcę po prostu z nią porozmawiać. To wszystko.

Willow wypiła shota, zadygotała i postawiła kieliszek do góry nogami obok kieliszka Waltera.

– Dlaczego?

– Znam ją z dawnych czasów. Minęło kilka lat. Może mnie nie poznać. Domyślałam się, że... macie tego samego pracodawcę.

Zmrużyła oczy.

– Właśnie jej szukałeś? Jak ją nazwałeś?

– Amelia. Amelia Dyer.

– Aha.

– Wiem, że to nie jest prawdziwe nazwisko – wyjaśnił Walter, spoglądając na drzwi wejściowe. Był pewien, że dotrze tam pierwszy, gdyby Amy próbowała uciec. – Nie jestem zainteresowany waszą pracą. Zupełnie mnie to nie obchodzi. Kilka pytań i dam wam spokój, obiecuję. Chcę się po prostu upewnić, że nic jej nie jest.

Gdyby Willow przyprowadziła Amy, a przynajmniej ruszyła z nią w jego stronę, byłoby jej trudniej zniknąć w tłumie. Powinien wziąć kajdanki, mógłby ją wtedy obezwładnić.

Barman napełnił dwa kieliszki i dodał trzeci.

– Ona nie pije – powiedziała Willow, nie patrząc na barmana, który wzruszył ramionami.

– Nie obchodzi mnie, kto to wypije. Chcę po prostu, żebyście stąd poszli.

Amy w dalszym ciągu tańczyła, teraz odwrócona plecami. Otaczało ją kilku facetów. Ignorowała ich, ale zasłaniali Walterowi widok.

Willow wzięła jeden z kieliszków i wypła.

– Zaczekaj chwilę.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zaczęła się przeciskać przez tłum. Z głośników dobiegały głębokie basy. Walter czuł, że wibrują mu zęby.

Barman popchnął w jego stronę dwa pozostałe shoty.

– Proszę je wypić. Inaczej je wyleję.

Walter opróżnił oba kieliszki. Czemu nie? Kiedy się obejrzał, Willow krzyczała coś Amy do ucha i wskazywała w jego stronę.

AMY ARCHER STAŁA NAPRZECIWKO WALTERA, który mrużył oczy w światłach stroboskopowych. Obracały się na suficie, ostre i jasne, migając kilka razy na sekundę i powodując, że wszyscy zdawali się poruszać w zwolnionym tempie. Spojrzała mu w oczy i był pewien, że za chwilę ucieknie. Zamiast tego przyłożyła dłoń do ucha Willow, szepnęła kilka słów i ruszyła w jego stronę.

Nie wiadomo, czy spowodował to alkohol, światła stroboskopowe, czy jedno i drugie, ale gdy Amy się zbliżała, wyglądała, jakby płynęła w powietrzu. Poruszała się z gracją widma, w sukience wykonanej z materiału tak cienkiego, że wydawał się prawie przezroczysty. Widział zarys jej ciała, podświetlonego od tyłu.

Willow pozostała na parkiecie, ale nie spuszczała z nich oczu. Obserwowała Waltera niczym jastrząb, z nerwową pogardą. Na twarzy Amy malowało się coś w rodzaju troski.

Zrobił kilka kroków w jej kierunku i poczuł, że chwieje się pod wpływem alkoholu. Powinien był wypić tylko jednego shota.

„Trzy oznaczałyby, że jestem pijany, więc dwa. Zawsze dwa”.

Amy podeszła do niego, wspięła się na palce i pochyliła w jego stronę. Czarne szpilki dodawały jej kilku centymetrów wzrostu, choć sięgała mu zaledwie do podbródka.

– Willow mówi, że się znamy. To prawda?

Otaczała ją słodka, kwiatowa woń. Walter jej nie poznawał, ale wydawała się odurzająca. Może lawenda? Od jego przybycia tańczyła na zatłoczonym parkiecie, lecz nie była spocona. On sam ociekał potem. Czuł go na skroniach, plecach.

– Minęło dużo czasu, Amy.

Wydawała się zdziwiona. Nie przestała się uśmiechać, ale miała zdezorientowaną minę.

– Prawdopodobnie nie poznasz mnie bez munduru. Minęło dużo czasu – powtórzył. – Jestem teraz detektywem w wydziale zabójstw.

– Bez munduru? – Pokręciła głową, ciągle się uśmiechając. – Przykro mi, w ogóle...

– Nie musisz udawać. Nic ci nie grozi. Nie zadenuncjuję cię. Cieszę się, że cię widzę i że wszystko jest w porządku. – Nie było to zupełnie zgodne z prawdą, ale chciał ją rozbroić. – Nie wiedziałem, gdzie się podziałaś. Martwiłem się. Cieszę się, że cię widzę.

– Willow powiedziała, że zadzwoniłeś do agencji i pytałeś o mnie, tak?

– Przepraszam. Nie miałem pojęcia, co jeszcze zrobić. Dostałem numer od Michaela Driscolla, to był... inny wieczór. Mówił, że przedstawiłaś się jako Amelia Dyer. – Walter lekceważąco machnął ręką. – Rozumiem, dajmy spokój prawdziwym nazwiskom. Jak powinienem się do ciebie zwracać?

Nieśmiało pochyliła głowę w lewo.

– Jak chciałbyś mnie nazywać?

– Amy.

Lekko skinęła głową.

– W porządku, niech będzie Amy. A ty jesteś...

Walter nie zrozumiał. W co ona gra? Na pewno go poznała, prawda? Wydarzenia w mieszkaniu były dla niej wyjątkowo traumatyczne. Nie zapomniałaby pierwszej twarzy, którą wtedy zobaczyła. Człowieka, który ją stamtąd zabrał.

Dotknęła czubkiem palca jego ramienia i wzięła go za rękę. Z figlarnym uśmiechem pociągnęła go w stronę parkietu.

– Zatańczysz ze mną?

Gdzie, do cholery, jest Nadler ze wsparciem? Czy w ogóle przyjedzie?

„Nadler mógł odłożyć słuchawkę, ale nie, nie wystawi mnie do wiatru. To coś zupełnie innego niż poprzedni raz”. Walter był tego pewny.

Przy barze muzyka była bardzo głośna, ale na parkiecie stała się ogłuszająca. Nieustanne głucho dudnienie. Walter nie poznał piosenki. Nie miało to większego znaczenia. Czuł basy w całym ciele, drżały mu kości. Kolorowe reflektory i światła stroboskopowe tylko pogarszały sytuację: czerwone, niebieskie, zielone i żółte.

Nie czuł się dobrze.

„Czy coś było w wódce?”

Pojawiła się Willow z dwoma kolejnymi drinkami.

Walter pokręcił głową, ale kiedy znowu spojrzął na kieliszki, oba były puste.

Czy wypił jeszcze jeden?

Paliło go gardło, w żołądku rozeszło się ciepło.

Amy uniosła ręce i objęła go za szyję, po czym zaczęła się kołysać w takt muzyki. Powoli odwróciła się plecami i przycisnęła do ciała Waltera. Poruszali się w identycznym rytmie.

Pochylił głowę. Czuł zapach jej włosów, ten sam słodki aromat.

– Nie musiałaś uciekać – powiedział. – Zapewniłbym ci bezpieczeństwo.

Wątpił, czy słyszała jego słowa.

Od tyłu przycisnęło się do niego inne ciało i zauważył, że to Willow. Objęła go ramionami, odnalazła talię Amy i przycisnęła ją do Waltera. Amy ocierała się o niego pośladkami i poczuł narastającą erekcję. Miała tak cienką, zwiewną sukienkę, jakby w ogóle jej nie było. Przytuliła się jeszcze mocniej i poczuł, że ktoś dotyka jego uda i ściska genitalia. Nie wiedział, czyja to ręka i w tym momencie w ogóle go to nie obchodziło. Przesunął dłonie wzdłuż boków Amy, po jej krągłych biodrach, musnął palcami piersi. Pochylił się lekko i pocałował ją w szyję.

Wyszli z klubu.

Byli w zaułku, podobnym do tego z poprzedniej nocy.

Walter nie pamiętał, kiedy opuścił parkiet i wyszedł na ulicę. Nie wiedział, ile czasu minęło.

Zostali sami. Willow zniknęła.

Muzyka dudniła za murem po lewej stronie. Powietrze było parne i gorące. Amy prowadziła go coraz głębiej w mrok.

Walter czuł, że nie jest sobą. Chciał się zatrzymać, powtarzał sobie, że dzieje się coś złego. Pomyślał, że kiedy Nadler pojawi się ze wsparciem, nie może go zastać w tym stanie. Jednak podązał za Amy. Nie potrafił się powstrzymać.

Na ślepych końcu zaułka, przy murze z pustaków z żużlobetonu, odwróciła się w jego stronę z figlarnym uśmiechem na twarzy. Oparła się o ścianę i skinęła dłonią, by Walter podszedł bliżej. Spełnił polecenie. Nie zważając na konsekwencje, podszedł do niej, pocałował ją w ramię, w szyję, za uchem. Poczuł, że otacza go nogą w pasie.

– Nie spodobam ci się, Walterze. Nie nadaję się dla ciebie.

Mówiła tak cicho, że miał wrażenie, że to tylko wyobraźnia.

Wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach. Chciał powiedzieć, że wszystko w porządku. Chciał powiedzieć mnóstwo rzeczy, ale brakowało mu słów. Mąciło mu się w głowie. Rozchyliła pełne czerwone wargi i pocałowała go w czubek palca, wsunęła palec do ust i lekko ugryzła w okolicy pierwszego stawu.

– Zrobię ci krzywdę – powiedziała między zdyszanyimi oddechami. – Nie mogę się powstrzymać.

Wyciągnęła mu koszulę z dzinsów i pogładziła go po włosach na torsie. Pochylił się, poczuł jej ciepło i...

OBUDZIŁ GO piskliwy dzwonek komórki. Miał wrażenie, że to straszliwe uderzenia żelaznego młota.

Był w swoim mieszkaniu, leżał na łóżku, nagi, a odzież, którą nosił poprzedniego wieczoru, wałała się w różnych miejscach.

Usiadł nieco zbyt szybko. Ściany się zakołysały, a później przechyliły. W końcu wróciły na swoje miejsce. Po chwili pojawił się ból głowy rozsadzający skronie.

Telefon zapiszczał jeszcze trzy razy, po czym umilkł po przerwaniu dzwonku.

Nie przypominał sobie powrotu do domu.

Nie pamiętał, kiedy opuścił klub.

Nie był pewien, co się stało z...

– Amy, jesteś tutaj?

Jego głos brzmiał obco, dobiegał z daleka. Nikt nie odpowiedział.

Przewrócił się na bok, zdołał opuścić nogi na podłogę, a potem usiąść.

– Amy? Willow?

Miał niewielkie mieszkanie. Nikogo w nim nie było. Akta, które powinien przejrzeć zeszłego wieczoru, leżały tam gdzie je zostawił, na blacie kuchennym.

Wstał i o mało nie upadł z powrotem na łóżko.

Nie wypił aż tak dużo, prawda?

Przekonywał się, że nie, ale w gruncie rzeczy nie pamiętał. Powinien wziąć się w garść. Nowa praca. Nowy partner. Powinien wziąć się w garść.

„Chryste, Nadler na pewno się wścieknie”.

Nadler nie pokazał się tego wieczoru. Żadnego wsparcia, zero. Zostawił Waltera na lodzie.

„Pamiętasz ostatnią historię?”

„Pieprz się, Nadler. Tym razem to naprawdę była Amy. Nie pomyliłem się jak poprzednio”.

Ruszył do toalety i o mało nie potknął się o własne buty. Spojrzał na muszlę klozetową i wymiotował.

Wyrzucił z żołądka żółtą, śmierdzącą ciecz i na jej widok znowu zaczął wymiotować. Trzydzieści sekund, aż w żołądku nic nie pozostało, po czym kolejne pół minuty wymiotów. Wstrząsały nim suche skurcze, rozpaczliwie łapał oddech.

Kiedy w końcu wyszedł z toalety, łyknął trzy ibuprofeny, umył zęby i wziął prysznic. Stał przez pół godziny w strugach letniej wody, powoli wracając do życia.

Mógłby spędzić pod prysznicem kolejne pół godziny, gdyby znowu nie zaczął dzwonić telefon.

Wygramolił się z kabiny, chwycił ręcznik i zdołał dosięgnąć słuchawki, nim dzwoniący się rozłączył.

– Tak?

– Gdzie jesteś? Dochodzi dziewiąta.

Brayman. Walter przyczesał palcami mokre włosy.

– Siedzę w domu, przeglądam akta. Moim zdaniem nie mają żadnego związku ze sprawą. Nie wygląda to na porachunki mafijne.

Kurwa... Nie powinien tego mówić. A jeśli to prawda? Ledwo zerknął na teczki.

Brayman nie odpowiedział. Walter odchrząknął.

– Znalazłeś coś w swoich materiałach? Jakies przestępstwa seksualne? Gdzie jesteś?

Tak lepiej. Odwróć sytuację na swoją korzyść.

– W biurze lekarza sądowego. Przyjedź tu natychmiast, kurwa!

Rozłączył się, nim Walter zdążył odpowiedzieć.

– Pieprz się! – mruknął Walter, odkładając słuchawkę.

Ubrał się szybko i wyjął niewielką obrozę z kieszeni dżinsów, które miał na sobie poprzedniego wieczoru. Wsunął ją głęboko do kieszeni spodni. Wizytówka otrzymana od Michaela Driscolla zniknęła.

„Gdzieś ją zgubiłem czy zabrała ją Amy albo Willow?”

Później przypomniał sobie o szklance z odciskami palców Willow, którą zabrał z hotelu Huntley. Znalazł ją na blacie w kuchni, ciągle w foliowej torebce. Wziął ją do ręki. Jak, do licha, udało mu się jej nie zgubić w drodze do domu? Nie pamiętał, by wyjmował ją z krzaków przed klubem.

Zatrzymał się przed niewielkim lustrem w pobliżu drzwi i szybko spojrzął na siebie. Siniak pod okiem nie wyglądał tak źle jak poprzedniego dnia, ale skóra była opuchnięta i blada, sprawiał wrażenie chorego. Na dodatek bolały go kości, jakby złapał grypę. Może rzeczywiście jest niezdrów?

Złapał taksówkę przed budynkiem, ale w połowie drogi do biura lekarza sądowego zdał sobie sprawę, że zapomniał zabrać akta.



BIURO LEKARZA SĄDOWEGO okręgu Wayne mieściło się w niskim ceglanym budynku przy Warren Avenue, dość blisko mieszkania Waltera, ale na tyle daleko, że nie było sensu wracać po akta. Przywiezie je później. Wysiadł z taksówki na okrągłym podjeździe przed budynkiem. Kiedy podał w recepcji swoje nazwisko, wskazano mu drogę do pokoju przy końcu długiego korytarza we wschodnim skrzydle. Pchnął drzwi z nierdzewnej stali i zobaczył Braymana siedzącego na kozetce z gazetą w ręku i zirytowanym wyrazem twarzy.

– Jeśli masz zwyczaj się spóźniać, będziemy mieli problemy.

– Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Brayman był ubrany w ten sam brązowy garnitur i krawat co poprzedniego dnia. Nie ogolił się, twarz pokrywał mu krótki zarost, a linie jego szpicbródki były mniej wyraźne.

– Siedzisz tu od wczoraj?

Brayman zignorował pytanie i uniósł pierwszą stronę gazety. Znajdował się na niej krzyczący nagłówek:

#### MARTWA KOBIETA BEZ PALCÓW NA DWORCU AUTOBUSOWYM W CORKTOWN

– O cholera... – mruknął Walter, przeglądając tekst. – Ktoś puścił farbę. Może dozorca? Podali nasze nazwiska, kurwa!

– Więc to nie twoja sprawka?

– Moja?! Dlaczego miałbym coś mówić dziennikarzom?

Brayman wzruszył ramionami i rzucił gazetę na kozetkę.

– Nie wiem. To twoja pierwsza duża sprawa, może seryjny zabójca. Detektyw próbujący wyrobić sobie markę to nic nowego.

Walter był zbyt zmęczony i miał zbyt wielkiego kaca, żeby się awanturować.

– Naprawdę chcesz zaczynać dzień od kłótni? Myślałem, że zawarliśmy rozejm.

– Więc to nie ty? – spytał znowu Brayman.

– Nie, nie ja. A może ty?

– Nie bądź śmieszny.

– Tak, to rzeczywiście śmiechu warte. – Walter skinął głową w stronę gazety. – Jeśli czegoś nie przeoczyłem, w artykule nie ma wzmianki o zamordowanym mężczyźnie. Gdybym chciał się reklamować w prasie, powiedziałbym dziennikarzom o dwóch ofiarach. Informatorem musiał być ktoś z dworca autobusowego. Prawdopodobnie szybko zarobił pięćdziesiąt dolców. Jakiś dupek, zero.

Drzwi z nierdzewnej stali się otworzyły i ukazała się w nich głowa Samuela Harrisa, asystenta lekarki sądowej.

– Może z wami porozmawiać.

Podążyli korytarzem za Harrisem i przeszli przez kolejne drzwi do przedsionka, gdzie asystent wskazał stos jednorazowych kombinezonów ochronnych, rękawiczek i masek.

– Powiedziała, że powinniście się przebrać. Schowajcie ubrania w szafkach. Możecie tam zostawić broń. Nikt tu nie wejdzie, gdy pali się lampka nad drzwiami.

Brayman zaczął zdejmować ubranie.

Walter spojrzął na lampkę wspomnianą przez Harrisa – czerwony znak: UWAGA! ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE. Zastanawiał się przez chwilę, co to znaczy, po czym odpiął kaburę spod pachy i powiesił na haczyku w najbliższej szafce. Kiedy ściągnął koszulę, Brayman spytał:

– Co ci się stało?

Walter spojrzął w dół, zakładając, że Brayman mówi o siniakach, które nabił mu w zaułku Michael Driscoll, ale znajdowały się one głównie z boku, wokół nerek. Brayman patrzył na środek jego piersi. Znajdował się tam jasnoczerwony ślad wielkości dłoni. Walter wcześniej go nie zauważył. Dotknął go palcem. Skóra wydawała się lekko podrażniona.

– Nie wiem. Może alergia? Jestem pewien, że to nic poważnego.

Przypomniał sobie rękę Amy, gdy wsunęła ją pod koszulę i dotknęła jego piersi.

– Jesteś alergikiem? – Brayman przerwał jego fantazje. Rozpakował jeden z kombinezonów i zaczął go wkładać. – Co jadłeś dzisiaj na śniadanie?

Walter usiłował zatrzymać wspomnienie, ale odeszło. Przypominało to próbę zablokowania wody tryskającej z kranu. Nie odpowiedział, wciągnął kombinezon i zapiął suwak, zasłaniając ślad.

Harris pomógł im włożyć lateksowe rękawiczki i kaski, po czym zakleił szeroką taśmą szczeliny na nadgarstkach, kostkach i złączach kasków z resztą kombinezonu. Kiedy skończył, Walter poczuł, że już się spocił.

Weszli przez niewielkie drzwi do głównej sali sekcyjnej, gdzie przed kilkoma aluminiowymi stołami w pobliżu środka pomieszczenia stała lekarka sądowa, Jane Ackerman, w podobnym stroju.

– Samuel? Przed wyjściem podłącz ich do tlenu.

Harris skinął, by podeszli do stołów, i odwinął dwa gumowe węże z ruchomych szpul przymocowanych do sufitu. Podłączył jeden z węży do zaworu na plecach Waltera, który poczuł, że jego kombinezon wypełnia się chłodnym powietrzem.

Ackerman zerknęła szybko na niego, po czym odwróciła się w stronę Braymana.

– Nie wiem, co cię skłoniło, żeby tutaj przyjść, Wes.

DLACZEGO ZADZWONIŁAŚ do stacji epidemiologicznej? – spytał Brayman, pochylając się nad najbliższym stołem. Jego głos był przytłumiony przez kask.

Na stole sekcyjnym leżała naga staruszka z dworca autobusowego. Kiedy Walter się zbliżył i uważnie przyjrzał, był zadowolony, że ma na sobie kombinezon, przez który nie przedostaje się zapach zwłok. Cokolwiek ją spotkało, na pewno wydzielala brzydki odór. W trakcie pierwszych oględzin na dworcu nie mieli kombinezonów; teraz tego żałował.

– Istnieje groźba zakażenia? – spytał Brayman.

W odróżnieniu od Waltera, który wolał stać z boku, Brayman zrobił kilka kroków do przodu, by lepiej się przyjrzeć. Klatka piersiowa kobiety została otwarta; cięcia w kształcie litery Y zaczynały się w okolicy pach i kończyły w rejonie kości łonowej. Usunięto mostek, a także organy wewnętrzne; leżały one na tacy na dużym stoliku na kółkach.

Ackerman pokręciła głową.

– Czy rak jest zakaźny? Nie.

– Rak? – Brayman się skrzywił. – To nie może być rak. Jaki rodzaj raka wywołuje takie zmiany? – Uniósł ramię kobiety i dotknął szorstkiej skóry palcem w rękawiczce. Była sucha, pomarszczona, pokryta szarymi i fioletowymi plamami.

Ackerman wskazała zaognione ślady na ramieniu kobiety.

– To trochę przypomina jedną z odmian czerniaka, dość rzadkiego nowotworu złośliwego rozprzestrzeniającego się szybko na skórze. Uważam, że pierwotne źródło to prawa kostka, po czym zmiany posuwały się wzdłuż nóg.

– Czerniak wygląda inaczej. Zwykle zaczyna się od pieprzyka, który brązowieje i stopniowo się rozszerza. To wygląda bardziej jak... sam nie wiem... zaognione ślady po oparzeniach, ale widać, że nie o to chodzi. – Odłożył ramię i obszedł stół, przyglądając się klatce piersiowej i nogom. – Zmiany

chorobowe nie są izolowane. Jak dużą powierzchnię ciała pokrywają? Osiemdziesiąt procent? Widać je nawet między palcami jej nóg.

– Osiemdziesiąt procent, gdy ją przywieziono. Moim zdaniem w tej chwili bliżej dziewięćdziesięciu.

Walter cofnął się o krok od stołu.

– To się rozszerza? Po śmierci? Czy to możliwe?

– Nie wiem – odparła Ackerman. – Właśnie dlatego nosimy kombinezony ochronne.

Brayman przystanął i spojrzał na lekarkę.

– Radiacja?

Pokręciła głową.

– Z pozoru są pewne podobieństwa, ale nie, to pierwsza rzecz, którą sprawdziłam. To nie objawy choroby popromiennej. Ani jednego piknięcia czujnika. – Zerknęła na Waltera. – Odpowiadam na pańskie pytanie. To się nie rozszerza, zmiany były obecne wcześniej i po prostu stają się bardziej widoczne w miarę posuwania się procesu rozkładu skóry. Prawdopodobnie skutek przemieszczania się płynów ustrojowych.

Brayman okrążył zwłoki i stanął przy stoliku na kółkach, na którym leżały narządy wewnętrzne kobiety. Patrzył przez mikroskop, regulując ostrość.

– To nie skóra. Skąd pobrałaś tę próbkę?

– Ze śledziony – wyjaśniła Ackerman.

– Śledziony? Czerniak może zaatakować śledzionę?

Skinęła głową.

– Może, ale w tym przypadku to nie przerzuty. Komórki rakowe, na które patrzysz, nie pochodzą z przerzutów; powstały w śledzionie. Utworzyły się samoistnie.

– W przypadku kobiety w tym wieku różne formy raka nie są chyba rzadkie? – spytał Brayman.

Ackerman westchnęła.

– Och, zaraz zajmiemy się jej wiekiem. Widzicie te szkiełka? Pobrałam próbki z wszystkich najważniejszych organów: płuc, serca, wątroby, pęcherza moczowego, żołądka, jelit, tarczycy, trzustki. Wszędzie znalazłam komórki rakowe. Nie przerzuty, zwróćcie uwagę; w każdym przypadku powstały w miejscach, gdzie je znalazłam. Choroba rozwijała się błyskawicznie. Jeszcze nigdy nie widziałam tak agresywnego raka. Otrzymaliśmy wyniki badań próbek jej krwi, wykryto także białaczkę i chłoniaka. W ciele tej kobiety nie ma ani jednej zdrowej komórki.

Brayman zmarszczył brwi.

– Uważasz, że przyczyną śmierci jest rak?

Ackerman nie odpowiedziała. Uniosła brwi. W pomieszczeniu zapadła cisza. Walter i Brayman zastanawiali się nad tym, co usłyszeli.

Walter popatrzył na Ackerman, Braymana, zwłoki leżące na stole. Wydawało mu się to nonsensem.

– Odgryziono jej palce. Ktoś odgryzł jej palce. Zabił ją. Nie przekona mnie pani, że zmarła z przyczyn naturalnych. Rak, to śmieszne! Jasne, była chora, ale to jej nie zabiło. Po prostu nie ustaliła pani jeszcze prawdziwej przyczyny zgonu.

Ackerman szybko zerknęła na Braymana, po czym popatrzyła na Waltera.

– Odgryziono jej palce po śmierci, około minuty po zgonie. Wynika to z obecności skrzepów krwi lub ich braku. Mogę również stwierdzić, że czerniak zaatakował ręce; stawy palców również zawierały komórki rakowe. Znalazłam kilka mikroskopijnych guzków w dłoniach i w pobliżu nadgarstków. Śmiercionośne komórki rakowe są obecne w całym ciele. Wszędzie, gdzie sprawdziłam. Choroba z pewnością by ją zabiła, i to niedługo. Nie znalazłam żadnych uszkodzeń fizycznych oprócz braku palców. Nie była pod wpływem narkotyków. – Westchnęła. – W tej chwili nie mogę sformułować żadnych ostatecznych wniosków. – Wróciła do stołu i przekrzywiła głowę. – Obaj wspomnieliście o jej wieku. Ile waszym zdaniem miała lat?

– Na pewno siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt.

Brayman nie odpowiedział. Patrzył na kilka podświetlonych rentgenogramów: obrazy żeber i czaszki kobiety.

Ackerman pozwoliła mu je obejrzeć, po czym się zbliżyła.

– Widzisz, prawda?

– Nie jestem lekarzem sądowym – odpowiedział Brayman. – Nie mam odpowiednich kwalifikacji... – Umilkł, uważnie patrząc na zdjęcia. Na jego twarzy pojawiła się konsternacja.

– Tak, ale widzisz.

Waltera znowu zaczęła boleć głowa.

– Co miałyby widzieć? O czym mówicie?

Brayman wskazał czwarte żebro na drugim rentgenogramie.

– Widzisz różnicę kolorów w pobliżu mostka? Ta część to chrząstka, a ta kość. Barwa wyraźnie się różni. Kiedy człowiek się starzeje, chrząstka zmienia się w kość. To przecież zupełnie niemożliwe... – Miał zdeorientowaną minę.

– Potwierdziłam to prześwietleniem czaszki – powiedziała Ackerman. – Musiałam się upewnić.

– I? – spytał Walter.

Znowu zapadło milczenie.

– Ta kobieta nie może mieć więcej niż dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat – odpowiedział w końcu Brayman. – Nie więcej.

Walter zmarszczył brwi i spojrzał na zwłoki staruszki. Roześmiał się.

– Och, teraz rozumiem. Nabijacie się ze mnie, tak? Próbujecie nabierać nowicjusza? Chyba nie warto tracić czasu na takie zabawy, prawda?

– To nie żart – rzekła Ackerman. – Miała też implanty w piersiach. Wypełnione solą fizjologiczną, nie silikonem. Niedawno wszczępione. – Skinęła głową w stronę drugiego stołu stojącego za kobietą. Kolejne zwłoki przykryte płachtą. – Popatrzcie na niego.

Walter podszedł, wlokąc za sobą przewód powietrzny, i zdjął płachtę.

Tym razem mężczyzna, również bez palców. Jego skóra miała ten sam szarofioletowy odcień jak skóra kobiety; była pomarszczona i pokryta plamami. Włosy wypadły. Twarz była zupełnie niemożliwa do rozpoznania. Walter miał wrażenie, że mężczyzna topi się od wewnątrz, rozpuszcza. Miał takie samo nacięcie w kształcie litery Y, otwartą czaszkę, ale Walter skupił uwagę na tatuażu: niewielkiej czterolistnej koniczynie na mostku.

– Czy to... – spytał cicho i urwał.

– Wasza ofiara z hotelu Edison – odpowiedziała Ackerman. – W całym jego ciele znajdują się komórki nowotworowe, kilkanaście różnych odmian raka, szybkie postępy. Jedyna różnica polega na tym, że zaczęło się od ręki. Zmarł dobę wcześniej i rozkłada się znacznie szybciej niż normalnie. Jestem pewna, że jutro o tej porze kobieta będzie wyglądała podobnie do niego.

– Jesteś pewna, że to nie jest zaraźliwe? – spytał znowu Brayman. Z jego głosu zniknęło zdenerwowanie i pojawił się w nim lęk.

– Moim zdaniem nie – odpowiedziała Ackerman. – Mimo to stosujemy środki ostrożności, stąd kombinezony. Wyślę próbki do odpowiednich instytucji, by przeprowadziły badania, ale wstępne ustalenia sugerują, że to, co spotkało tych ludzi, to odosobniony przypadek. Mężczyzna nie jest znacznie starszy od kobiety. Moim zdaniem ma co najwyżej trzydzieści lat. – Walter i Brayman wymienili spojrzenia. Ackerman milczała przez chwilę, po czym dodała: – Jest jeszcze jedno. Możecie wyłączyć na chwilę światło?

Brayman podszedł do kontaktu, a tymczasem Ackerman wzięła z lady po lewej plastikową rurkę o długości trzydziestu centymetrów z podłączonym długim kablem elektrycznym.

– Ultrafiolet? – spytał Walter.

Ackerman kiwnęła głową. Zgasło światło. Kiedy włączyła urządzenie, sala wypełniła się fioletową poświatą. Oświetliła prawe ramię mężczyzny i na nadgarstku pojawił się jasny krąg.

Brayman zmarszczył brwi.

– Co to takiego?

– Nie jestem pewna. Jak mówiłam, nie ma śladów napromieniowania, ale widać, że to miejsce to ognisko najbardziej złośliwego raka. – Umilkła na chwilę, po czym podeszła do zwłok kobiety i oświetliła podobny ślad na jej kostce. – A tak to wygląda w przypadku ofiary z dworca autobusowego. – Powoli okrążyła ślad i dodała: – Wygląda to na odcisk dłoni, choć nie mam pewności. Jakby ktoś ją chwycił za kostkę. Jeśli przyjrzeć się uważnie, można zauważyć coś w rodzaju odcisków palców. – Dotknęła nogi martwej kobiety, by pokazać, o co jej chodzi, i jej palce zasłoniły jasne plamy. Skinęła w stronę mężczyzny z hotelu Edison. – Ślady na jego skórze nie są tak wyraźne.

Walter i Brayman wymienili spojrzenia, lecz żaden się nie odezwał. Zadzwoił telefon. Ackerman przeszła przez salę, by go odebrać. Po drodze włączyła światło.

Waltera zaswędziało ślad na piersi. Ackerman odłożyła słuchawkę i powiedziała:

– Jakies cztery godziny temu doszło do podejrzanego zgonu w Four Seasons. Starszy mężczyzna. Harris przed chwilą tam dotarł. – Wahała się sekundę i dodała: – Kazałam mu coś sprawdzić... Myślę, że powinniśmy tam pojechać.

– Dlaczego?

– Chyba lepiej, żebyście sami zobaczyli.



PRZED BIUREM LEKARZA SĄDOWEGO Brayman rzucił Walterowi kluczyki fordą crown victoria i obszedł samochód, by zająć miejsce na fotelu pasażera.

– Ty prowadzisz. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić.

Walter chwycił kluczyki, ale nie ruszył się z miejsca. Stał niepewnie na chodniku.

– Chcesz powiedzieć, że nie umiesz prowadzić? Nie wciskaj mi kitu.

Walter zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później posprzeczną się o to, kto ma usiąść za kierownicą. Miał zamiar o tym wspomnieć, ale ich relacje były takie napięte, że trzymał gębę na kłódkę. Spoglądał chwilę na chodnik, a potem znowu popatrzył na Braymana.

– Jestem dobrym kierowcą. Po prostu w tej chwili nie mam prawa jazdy.

– Nie masz prawa jazdy? Dlaczego?

Walter westchnął głęboko.

– Jakies dwa tygodnie temu zostałem zatrzymany w drodze do domu. Około trzeciej w nocy. Byłem zmęczony, śmiertelnie zmęczony, i chyba jechałem slalomem. Powiedziałem funkcjonariuszowi, że służę w policji, ale pracowałem w biurze szeryfa. Wiesz, jacy oni są: kazał mi przejść kilka kroków po linii, a kiedy się zachwiałem, kazał mi dmuchnąć w alkomat. Powinienem się nie zgodzić, ale miałem mętlik w głowie. Wyszło dziewięć dziesiątych promila, trochę ponad normę. Nie spisali raportu, więc nie miałem sprawy za jazdę po pijaku, ale zadzwonili do mojego szefa, który zabrał mi prawo jazdy i schował do szuflady w biurku. Powiedział, że odda mi je za miesiąc. Oświadczył, że następnym razem sam napiszę wniosek do sądu.

– Kapitan Hazlett?

Walter pokręcił głową.

– Kapitan Morrow z wydziału patrolowego. Hazlett nic o tym nie wie. Mam nadzieję, że to się nie zmieni.

– Jak się tu dostałeś?

– Taksówką.

Brayman spojrział na parking, jakby spodziewał się zobaczyć czekającą taksówkę. Po chwili znowu popatrzył na Waltera.

– Masz problemy z alkoholem?

– Oczywiście, że nie.

– Ale wczoraj wieczorem piłeś, prawda? Widać, że masz kaca, więc nie próbuj wciskać mi kitu. W hotelu Edison też miałeś kaca. Kiedy wszedłeś, cuchnąłeś alkoholem jak wykładzina w akademiku.

– Nadler i kilku kolegów zabrali mnie do lokalu, by uczcić mój awans, to wszystko.

– Wiem, rozumiem. Właśnie dlatego nic nie powiedziałem. Ale to nie tłumaczy zeszłego wieczoru. Gdzie byłeś?

– W domu. Przeglądałem akta, które mi dałeś.

– Nie wciskaj mi kitu, już cię o to prosiłem.

– Nie kłamię.

Walter nie mógł powiedzieć prawdy. Brayman by mu nie uwierzył, podobnie jak Nadler. Nie bez dowodu.

– Wypiłem jedno lub dwa piwa, co w tym złego? Nie mów, że nigdy nie wypiełeś drinka, by się odprężyć?

Brayman spoglądał na niego dłuższą chwilę i w końcu potrząsnął głową.

– Wsiadaj do samochodu.

– Powiesz Hazlettowi?

– Dziś nie. Ale jeśli jutro pokażesz się w takim stanie, na pewno to zrobię. Nie jestem niańką, do cholery. Jeśli będziesz pracował po pijaku, w najgorszym razie jeden z nas zginie. W najlepszym będziesz przeszkadzał i spowolnisz moją pracę. Obie możliwości mi się nie podobają. – Wyciągnął rękę. – Daj kluczyki.

Walter wykonał polecenie. Wsiadł do samochodu.

Brayman siedział za kierownicą prawie przez minutę, po czym zapalił silnik i cofnął się na Warren Avenue, prowadzącą w stronę centrum miasta. Myślał o śledztwie albo o Walterze, a może jednym i drugim.

Znajdowali się w połowie drogi do Four Seasons, gdy Walter nie mógł dłużej znieść milczenia.

– Jeśli lekarz sądowy się nie myli, mężczyzna na stole to ten sam facet, który wynajął pokój w hotelu Edison. Już nie szukamy młodszego mężczyzny.

Brayman nie odpowiedział.

UMUNDUROWANY FUNKCJONARIUSZ stojący w holu, dyskretnie obserwowany przez personel i gości, kazał im pojechać windą na dwudzieste drugie piętro. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, poszli w stronę taśmy odgradzającej miejsce przestępstwa w pokoju 2312 po prawej stronie. Z korytarza dobiegały ciche głosy.

Walter zastygł, widząc na drzwiach pokoju zawieszkę z napisem: UWAGA! DOWODY RZECZOWE! Wokół dziurki od klucza widać było świeże zadrapania.

Ktoś próbował się włamać.

W środku podszedł do nich mężczyzna wyglądający na Latynosa; okrążył szerokim łukiem innego mężczyznę badającego dywan. Zerknął przelotnie na Waltera i odwrócił się w stronę Braymana.

– Kapitan przydzielił mi tę sprawę, a teraz pojawia się Brayman i jego kumpel, by mi ją odebrać.

– Detektywie Melendez, to mój nowy partner, Walter O’Brien. O’Brien, to Hector Melendez. Od ilu lat pracujesz w wydziale zabójstw? Dziewięciu?

– Dziesięciu. – Melendez uścisnął dłoń Waltera grubymi palcami.

– Nie chcemy wchodzić ci w drogę – rzekł Brayman. – Rozmawialiśmy z Ackerman w biurze patologów sądowych, gdy odebrała telefon i powiedziała...

– Mam dość własnych spraw – przerwał Melendez, kręcąc głową. – Możecie to wziąć, jeśli chcecie. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Wolę awantury małżeńskie, słowo daję. – Stuknął we framugę drzwi w pobliżu klamki. – To zamek marki Delco 349, według obsługi hotelu całkowicie odporny na włamanie. Wydaje się, że sprawca szybko się z nim rozprawił i wszedł do środka. Ostatni zameldowany gość mieszkał w tym pokoju osiem dni temu. Nikogo nie powinno tu być. – Zaprosił Waltera i Braymana do środka gestem dłoni. – To wy znaleźliście kobietę na sraczu w Corktown, tak?

Brayman skinął głową.

- Zgadza się.
- Cholernie dziwny tydzień, nie ma co.

Pokój był większy, niż Walter się spodziewał, z pewnością większy niż jakikolwiek pokój hotelowy, w którym kiedykolwiek mieszkał. Wyglądał elegancko, ze ścianami pokrytymi boazerią i wysokim sufitem kasetonowym. Zobaczywszy dekoracje i meble, Walter miał ochotę schować ręce do kieszeni i niczego nie dotykać. Łoże z baldachimem pod tylną ścianą. Idealnie gładka, świeża biała pościel bez jednej zmarszczki, choć róg był podwinięty. Na komodzie stał kubek z butelką wina, ciągle zakorkowaną. Lód już dawno się stopił, po ściankach kubek spływały krople wody. Obok znajdowały się dwa kieliszki.

- Personel przynosi trunki niezameldowanym gościom? – spytał Walter.

Melendez pokręcił głową.

– Zamówienie złożono z telefonu na korytarzu w pobliżu schodów. Kazano przynieść wino do pokoju dwa tysiące trzysta piętnaście. Męski głos. Rozmówca powiedział, że zamierza wziąć prysznic. Prosił o zostawienie wina przed drzwiami, gdyby nikt nie otwierał. Prawdziwy mieszkaniec pokoju dwa tysiące trzysta piętnaście to księgowy z Tulsy. Miał wtedy spotkanie z klientem. A teraz najważniejsza sprawa. To nie butelka, którą dostarczono. – Melendez wskazał otwartą szufladę komody. – Dostarczono tę.

W szufladzie leżała zakorkowana butelka wina marki Opus One z nalepką hotelu.

- Skąd to wiadomo?

– Po zielonym oznaczeniu baru na dole. – Skinął głową w stronę butelki w kubku. – Na tej nie ma nalepki.

Brayman uklęknął i obejrzał drugą butelkę, również marki Opus One.

- W metalowej nakrętce są mikroskopijne dziurki?

– Dziurki? – spytał Walter.

– Tu, tu i tu. – Brayman wskazał otworki.

– Uważamy, że do butelki coś wstrzyknięto. Na początku myślałem, że to pigułka gwałtu. Sprawca prawdopodobnie zrobił to u siebie w domu, zamówił wino i kieliszki, a następnie podmienił butelki. Poprosił o dwa kieliszki, więc nie był sam.

Brayman przez chwilę oglądał butelkę i kieliszki, po czym rozejrzał się po pokoju.

- Gdzie są zwłoki?

Melendez kiwnął głową w stronę łazienki.

– Pod prysznicem. Ackerman już tam jest. Uważaj na podłogę. Leżą na niej odłamki lustra i ciągle zbieramy dowody.

Technik badający dywan przykleił do niego dwa paski taśmy, tworząc coś w rodzaju wąskiej ścieżki do łazienki. Trzej policjanci ominęli go, gdy zabezpieczał jakieś ślady.

Jane Ackerman przykucnęła przed szklanymi drzwiami przestronnej kabiny prysznicowej. Obok lekarki stała jej czarna skórzana torba; z tyłu znajdowała się ogromna wanna do kąpieli z hydromasażem. Ackerman towarzyszył asystent, Samuel Harris; oboje spojrzeli na Braymana i Waltera wchodzących do łazienki. Lekarka zmarszczyła brwi.

– Uważajcie, gdzie stawiacie stopy. Jest tu dużo wody.

– Doszło do walki? – spytał Brayman, spoglądając na pustą ramę lustra na ścianie i duże odłamki szkła na toalecie i podłodze. To samo co w hotelu Edison.

Walter zajął się nad ramieniem Ackerman do kabiny prysznicowej, w której leżało na kafelkach ciało całkowicie ubranego mężczyzny. Jedna z jego nóg była niezgrabnie zgięta, a druga, wyprostowana, wystawała z otwartych szklanych drzwi. Miał przemoczone ubranie. Głowa spoczywała na ręczniku i była przyciśnięta do barku. Białe czoło pokrywały krople wody spływające z siwych włosów. Walter próbował obejrzeć dłonie, ale były wsunięte pod klatkę piersiową.

– Ma wszystkie palce – powiedziała Ackerman, zauważywszy jego spojrzenie. – Nie dostrzegam żadnych rzucających się w oczy oznak raka. Wydaje się stary, podobnie jak wasze ofiary, ale myślę, że naprawdę był stary, inaczej niż tamci.

– Jak zginął?

Ackerman palcem w rękawiczce podniosła powiekę lewego oka mężczyzny. Źrenica była rozszerzona i spoglądała w prawo; drugie oko patrzyło na wprost.

– Będę miała całkowitą pewność, gdy przeprowadzę sekcję, ale wygląda to jak zgon z powodu pęknięcia tętniaka mózgu.

Walter zerknął na Braymana, po czym przykucnął. Dotknął palcem kałuży na podłodze.

– Dlaczego woda jest mętna?

– To sól – odpowiedziała Ackerman. – Jest nią pokryty, a przynajmniej był. Dużo spłukano, ale znaleźliśmy więcej, gdy go obróciliśmy. Jest na całej jego skórze. Wygląda na to, że była także we włosach. Miał ubranie sztywne od soli. Prawdopodobnie nasączył je solanką i wysuszył, zanim tu przyszedł.

W drzwiach stał detektyw Melendez. Skinął głową w stronę salonu.

– Uważamy, że zginął tam, w połowie drogi między komodą a łóżkiem. Później ktoś położył go na ręczniku i przeciągnął pod prysznic. Dywan jest przesiąknięty solą. Znalazła go dziś rano sprzątaczką. Ktoś próbował zmyć sól,

ale zrobił to niedbale. Nie obrócił ciała pod strumieniem wody, więc dużo zostało.

Harris dotknął twarzy mężczyzny palcem w rękawiczce.

– Znalazłem mikroskopijne zadrapania na rękach, jakby był przeciągany po dywanie.

– Nie rozumiem sprawy ręcznika – powiedział Melendez. – Jeśli chce się przeciągnąć na nim człowieka, wsuwa się go pod całe ciało, a nie tylko głowę i barki. Wygląda to, jakby...

– Jakby ktoś nie chciał go dotykać – dokończył cicho Walter.

Melendez wzruszył ramionami.

– Tak, może nie chciał zostawiać śladów. Nie ma portfela, żadnych dokumentów – zauważył. – Wszystkie powierzchnie w pokoju wytarto, nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców. – Wskazał pognieciony ręcznik leżący obok umywalki. – Chyba tym się posłużyli.

– O co właściwie chodzi? – spytał Brayman. – Facet miał tętniaka. Dlaczego nie przyjąć, że zmarł z przyczyn naturalnych?

Nikt nie odpowiedział. Walter dotknął dłonią ściany i zajrzał pod prysznic, próbując coś zobaczyć.

– Rozumiem, że to dziwne, ale po co właściwie nas wezwaliście?

Harris oświetlił skroń mężczyzny ultrafioletem.

– Z tego powodu.

W ultrafiolecie pojawił się jasny punkt, niewielki owal. Znajdował się dwa i pół centymetra od lewej brwi. Zniknął, kiedy Harris odsunął źródło światła, po czym znowu się ukazał, gdy asystent je zbliżył. Ackerman przysunęła rękę do głowy mężczyzny.

– Jeśli reszta to ślady dłoni, to może być odcisk palca.

Przyłożyła palec wskazujący. Pasował prawie idealnie.

„Co to znaczy?”

Tok myślenia Braymana musiał być podobny, bo Walter zauważył, że partner przygląda się własnej dłoni – zbyt dużej. Szybko zacisnął pięść, napiął mięśnie i odwrócił się w stronę lekarki.

– Co dokładnie reaguje na ultrafiolet?

– Ślina, sperma, mocz – odpowiedziała szybko Ackerman. – Prawie wszystkie płyny ustrojowe zawierają cząsteczki wywołujące fluorescencję. Większość chemikaliów, substancji oleistych, roślinnych, organicznych...

– Powiedziałaś, że leżał kilka godzin w wodzie. Czy te cząsteczki nie zostałyby zmyte?

Lekarka kiwnęła głową.

– Tak, powinny się zmyć. Źródło znajduje się głębiej niż na powierzchni skóry. Kiedy przewieziemy go do kostnicy, pobiorę próbkę i porównam z innymi.

W salonie jedna z pracownic technicznych pakowała do walizeczki zestaw do zbierania odcisków palców. Walter ją poznał, ale nie przypominał sobie jej nazwiska. Może Joan? Coś w tym rodzaju. Był pewien, że jej imię zaczyna się na J.

– Przepraszam na sekundę – odezwał się do Braymana i pozostałych, po czym wyszedł z łazienki.

Dziewczyna uniosła wzrok znad walizeczki i uważnie mu się przyjrzała.

– Walter?! I to bez munduru?!

Uśmiechnął się i szybko zerknął na jej plakietkę z nazwiskiem.

– Jak się miewasz, Jade?

Popatrzyła na swoje dłonie w rękawiczkach pokrytych proszkiem do zbierania odcisków.

– Och, sam wiesz, realizuję marzenia.

W łazience Harris wszedł pod prysznic i oświetlał ultrafioletem zwłoki. Brayman i Ackerman obserwowali go pochyleni. W drzwiach stał tęgi Melendez.

Walter sięgnął do kieszeni i wyjął plastikową torebkę. W dalszym ciągu znajdował się w niej kieliszek, z którego piła Willow.

– Możesz to dla mnie sprawdzić? – spytał cicho.

– Jasne. – Zaczęła otwierać walizeczkę. – Daj mi chwilę...

Położył dłoń na jej przedramieniu.

– Wolałbym, żebyś to zrobiła w innym miejscu. – Na jej twarzy pojawiło się zaniepokojenie, więc dodał szybko: – To ma związek z inną sprawą i może nie mieć żadnego znaczenia.

– Ach...

– To daleki strzał, intuicja. Jeśli to zrobisz tutaj, zauważy to mój nowy partner i może zacząć zadawać pytania. Nie chciałbym go wciągać, gdyby okazało się to nieistotne. – Walter z całych sił starał się opanować zażenowanie. – Mam złotą odznakę i chcę dobrze wypaść. Uważa, że gonię za błędnym ognikiem, i traci do mnie zaufanie. Wiesz, jak to jest, prawda?

Jade się uśmiechnęła, wzięła kieliszek i schowała do torby.

– Spryciarz z ciebie, detektywie O'Brien. Za jakiś czas się z tobą skontaktuję. Masz wobec mnie dług wdzięczności. – Skończyła pakować rzeczy i wyszła.

W łazience kilka razy błysnął flesz, po czym pojawił się Brayman, niosąc kilka fotografii wykonanych polaroidem.

– Porozmawiajmy z personelem.

BRAYMAN PRZYSUNĄŁ KRZESŁO BLIŻEJ BIURKA.

– Może pan to przewinąć?

Walter stał za jego plecami wraz z menedżerem. Wszyscy znajdowali się w ciasnym gabinecie szefa ochrony przylegającym do holu. Szef ochrony wcisnął kilka guzików na masywnym odtwarzaczu wideo. Na ekranie widać było datę z poprzedniego wieczoru i godzinę osiemnastą dwadzieścia dwa.

Przez hol przeszedł mężczyzna w czarnym garniturze niosący papierową torbę. Kiedy zniknął z kadru, pojawiła się kobieta i również zniknęła. Brayman pochylił się i zmrużył oczy.

– To on, tak?

Menedżer popatrzył na polaroid trzymany przez Braymana. Spojrzał z powrotem na ekran i westchnął.

– Bardzo mi przykro, panowie, jakość obrazu jest kiepska. Kamery sprawiają, że nasi klienci czują się bezpieczniej, ale to tylko chwyt psychologiczny.

– To on, na pewno – powiedział Walter, uderzając się w udo jedną z pozostałych fotografii. – Może pan to powiększyć? Dlaczego obraz jest prześwietlony?

– O tej porze przez okna wpada słońce i prawie nic nie widać – wyjaśnił szef ochrony.

– A druga kamera?

– Przejrzałem nagrania z wszystkich kamer w holu i to najlepszy obraz, jakim dysponujemy. – Menedżer przewinął film i puścił go w zwolnionym tempie.

– Nic z zewnątrz? – spytał Brayman.

Menedżer pokręcił głową.

– Nasza firma ubezpieczeniowa uważa, że monitorowanie miejsc publicznych wiąże się z ryzykiem odpowiedzialności odszkodowawczej. Nie możemy filmować chodników, ulic. Nawet podjazdu.

– A kamera na dwudziestym drugim piętrze?



– Nie działa od miesiąca. Jak powiedziałem, to wszystko, co mamy. – Widzieli szczegóły wyglądu mężczyzny, ale nie kobiety. Kiedy przechodziła, większość ekranu wypełniała jasna poświata, która sprawiała, że nie dało się niczego dostrzec.

Szef ochrony zatrzymał obraz. Kobieta zastygła około metra od recepcji. Patrzyła na wprost, w stronę wind, gdzie poszedł mężczyzna. Miała na sobie czarne szpilki, ciemną spódnicę i czerwoną bluzkę zapinaną na guziki. Trzymała w prawej ręce niewielką torebkę.

Walter nie widział rysów jej twarzy. Włosy wydawały się ciemne, ale mogła to być peruka.

– Niech pan cofnie film do mężczyzny i zastopuje – odezwał się Brayman.

Pochylił się i wskazał wybruszenie pod marynarką na lewym ramieniu nieznanego.

– Co o tym sądzicie? Wygląda na to, że ma pistolet. W kaburze pod pachą, jak my.

Walter przyglądał się przez chwilę obrazowi, po czym rzekł lekceważąco:

– Nic nie widzę. Moim zdaniem przesadzasz.

– Ktoś, kto chodzi z bronią. Złodziej albo zawodowy zabójca.

– Teraz naprawdę przesadzasz.

– W porządku, mądralo. Więc o co twoim zdaniem chodzi?

Walter spojrział na monitor.

– Niech pan jeszcze raz pokaże dziewczynę – zwrócił się do szefa ochrony.

Na ekranie pojawił się niewyraźny obraz. Walter znowu trzepnął się w udo fotografią i zaczął głośno myśleć.

– To jedyna osoba, która pojechała na dwudzieste drugie piętro?

– Tak, z wyjątkiem pokojówek – odparł szef ochrony. – Rezerwujemy pokoje na różnych piętrach. Księgowy z tego korytarza wynajął pokój na kilka dni, ale poza tym to piętro było puste. Kamery zarejestrowały mężczyznę, którego szukacie, pokojówki i tę dziewczynę.

– To zawodowa prostytutka? – spytał Brayman. – Poznajecie ją?

Menedżer i szef ochrony mieli niepewne miny.

– Wszystko w porządku, panowie – dodał szybko Brayman. – Jesteśmy z wydziału zabójstw, nie z obyczajówki.

Szef ochrony poruszył się w fotelu.

– Znam wszystkie dziewczyny odwiedzające hotel. To mój obowiązek. Nie dostrzegam na filmie nikogo znajomego.

Walter pokręcił głową.

– Moim zdaniem nie chodziło o seks. Może on ją szantażował, może ona jego. Istnieje milion powodów, które mogły sprawić, że spotkali się w tym

pokoju. Pamiętajmy o butelce wina: jeśli za nią zapłacił, nie musiał jej odurzać.

Recepcjonista stał się czujny. Przypadki odurzenia gości trafiały do gazet.

– Co znaleźliście w winie?

Brayman spojrział z irytacją na Waltera.

– Na razie nie wiemy. Jeszcze nic. Musimy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych. – Odwrócił się w stronę szefa ochrony. – Ma pan jakieś zdjęcia, na których widać, jak kobieta wychodzi?

– Tak. Proszę mi dać chwilę.

Przewinął do przodu obraz holu. Przekręcił gałkę kontrolera systemu monitoringu i obraz przyśpieszył: ludzie poruszali się w błyskawicznym tempie. Jedna godzina, dwie. Dwie i pół. Zwolnił.

– Tutaj.

Kiedy film biegł z normalną prędkością, zegar wskazywał godzinę dwudziestą pierwszą osiem. Dziewczyna szła szybkim krokiem, można było ją poznać tylko po ubraniu. Twarz była jasną plamą.

– Słońce już dawno zaszło – zauważył beznamiętnie Walter. – Skąd się wzięło to światło?

Szef ochrony nie odpowiedział.

**TERAZ**

KIM JEST WALTER O'BRIEN, do cholery?!

Lisa Rigby, dowodząca akcją, stała przed rzędem monitorów wbudowanych w ścianę furgonetki oddziału SWAT. Obok niej siedział chłopak o wielkich oczach, który zawsze wydawał jej się bardziej przedłużeniem systemu komputerowego niż funkcjonariuszem policji. Russell Hurwitz miał zaledwie osiemnaście lat. Zgodnie ze wszystkimi zasadami był zbyt młody, by brać udział w akcjach bojowych. Nigdy nie widziała go z pistoletem (choć członkowie SWAT zawsze musieli być uzbrojeni na służbie). Nosił mundur, ale Rigby była pewna, że gdyby szedł ulicą, ludzie uznaliby go za przebierańca, jakby pożyczył uniform z garderoby ojca. Policyjna bluza lepiej wyglądałaby na drucianym wieszaku niż na chudym młodzieńcu. Jednak mógł się okazać najcenniejszym członkiem zespołu. Skończył szkołę średnią w wieku czternastu lat. Jako szesnastolatek uzyskał pierwszy dyplom uniwersytecki. Ku przerażeniu rodziców (którzy chcieli, by został inżynierem) fascynowała go policja i postanowił wstąpić do służby. W ciągu półtorarocznej pracy w oddziale dowodzonym przez Rigby zastąpił trzech innych funkcjonariuszy – w gruncie rzeczy cały dział techniczny – gdy się okazało, że w pojedynkę pracuje szybciej (i znacznie wydajniej).

Rytmicznie stukał palcami w klawiaturę, która cicho klekotała.

– Walter O'Brien to były policjant.

Rigby się pochyliła.

– Policjant?

Hurwitz skinął głową.

– Miejscowy, z Detroit. Od osiemdziesiątego szóstego do dziewięćdziesiątego siódmego roku. Najpierw w służbie patrolowej, później w wydziale zabójstw.

– A potem? Czym się zajmował przez dwadzieścia lat?

– Nie wiem. Dane o jego zatrudnieniu są zastrzeżone.

– Dlaczego miałyby być zastrzeżone?

Hurwitz najechał kursorem na nazwisko Waltera O'Briena i kliknął. Kolor zmienił się z żółtego na czerwony i pod spodem pojawiły się słowa DOSTĘP ZASTRZEŻONY oraz ciąg liter i cyfr.

– To kod wydziału spraw wewnętrznych – powiedział.

– Musimy się do tego dostać.

– W trudny czy łatwy sposób? – spytał z psotnym uśmiechem Hurwitz.

– Zaczynij zgodnie z prawem. Podnieś słuchawkę i zadzwoń do wydziału spraw wewnętrznych. Jeśli będą zwlekać albo nie odblokują akt...

– A więc w łatwy sposób. – Uśmiechnął się szerzej.

– Tak – potwierdziła. – Co jeszcze masz dla mnie?

Wskazał monitor u góry, po lewej stronie.

– Monitorujemy sąsiednie budynki kamerami termowizyjnymi. Kiedy tu przyjechaliśmy, zauważyłem ruch na dwóch dachach. Jeden ze strzelców był na pewno na dachu Banku Moreland, a drugi jest w Park Avenue 1812. To budynek federalny, ale część pomieszczeń wynajęto. W środku mieści się trzydzieści albo czterdzieści różnych firm: lekarze, prawnicy, agencje obrotu nieruchomościami, różne branże. O tej porze oba budynki powinny być puste, może z wyjątkiem sprzątaczek, ale zarejestrowałem dziwne ruchy. Najpierw na dachu, teraz w środku. Trudno określić, ile osób tam przebywa. Co najmniej cztery, ale może być więcej. Pojawiła się mgła.

– Mgła?

– Podejrzewam, że ludzie przebywający w środku włączyli na pełny regulator ogrzewanie we wszystkich pomieszczeniach. Obserwacja wizualna jest niemożliwa z powodu żaluzji i przyciemnionych szyb.

– Wiedzieli, że zastosujemy kamery termowizyjne, więc ogrzewają budynek, by zamaskować swoje pozycje.

Hurwitz skinął głową.

– Ostatnie dwa strzały, podczas przejazdu pług z solą, padły z drugiego piętra budynku banku. Sprawcy zwiali przez okno. Nasi obserwatorzy są na miejscach, ale jeśli strzelcy będą zmieniać pozycje, snajperzy mogą ich namierzyć tylko dzięki szczęściu.

– Nie mam nic przeciwko szczęściu – odparła Rigby. – Ale nim zacznę z nimi rozmawiać, chciałabym wiedzieć, czy bomba jest prawdziwa, czy nie. – Ciągłe wpatrywała się w monitor. – Dwóch albo czterech strzelców?

– Jak na razie. Może być więcej. Będę panią informował.

– Co wiemy o klubie?

Hurwitz wyświetlił plan lokalu.

– Nie jest zbyt duży. Załedwie tysiąc sześćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Większość powierzchni zajmują bar i miejsca siedzące. Parkiet

taneczny ma tylko czterdzieści metrów kwadratowych. Na zapleczu znajdują się biura i pomieszczenia magazynowe. Oficjalnie przeznaczony dla pięciuset gości. Obserwujemy klub przez kamery termowizyjne; rejestrują mniej więcej połowę dopuszczalnej liczby klientów. Trudno się zorientować: są skupieni w grupach. Nikt się nie rusza.

– Ktoś odebrał telefon?

Hurwitz pokręcił głową.

– Odkąd przyjechaliśmy, stale dzwoniemy do klubu, ale nikt nie podniósł słuchawki. Blokujemy wszystkie sygnały komórkowe i transmisje wychodzące i przychodzące, więc jeśli jest tam bomba, muszą odpalić ją ręcznie. Nie zdetonują jej zdalnie. Niestety zmniejsza to również nasze możliwości komunikacyjne.

– Skoro nikt nie odbiera telefonu i nikt się nie porusza, jest spora szansa, że mają ludzi w środku. Nie tylko strzelców.

– Tak się domyślam. To tłumaczy, co się stało z dziewięćset jedenaście.

Kiedy wybuchła panika, dziewięć osób zadzwoniło na numer alarmowy, po czym zapadła cisza. Telefony nagle umilkły i nikt nie podnosił słuchawki. Na siedem minut przed uruchomieniem blokady transmisji w klubie zapadła ciemność. Hurwitz wyjął z czerwonego plecaka, stojącego obok jego krzesła, opakowanie gumy do żucia. Zaproponował gumę Rigby, po czym rozpakował jedną i włożył do ust.

– Wyłączyliście zasilanie?

– Jeszcze nie. Czekamy na rozkaz.

– Zróbcie to. Wyłączcie również elektryczność w sąsiednich budynkach. Nie możemy pozwolić, by blokowali działanie kamer termowizyjnych.

Hurwitz przekręcił się na fotelu, wyjął inną klawiaturę ze schowka w biurku i nacisnął kilka klawiszy.

– Zrobione.

– Jak można wejść do klubu i z niego wyjść?

Hurwitz spojrzał na plan lokalu.

– Przez drzwi z przodu i z tyłu. Tylne drzwi to metalowa płyta, zaspawana. – Spojrzał na mapę skrzyżowania. – Ciągłe możemy się przedostać podziemnymi kanałami technicznymi i kanalizacyjnymi. Pracuję nad tym.

– W razie szybkiego ataku potrzebujemy przynajmniej trzech dróg.

– Zajmę się tym. – Hurwitz wyświetlił czasomierz na jednym z ekranów. Obecnie wskazywał czterdzieści cztery minuty i pięćdziesiąt jeden sekund.

– Dwa razy dzwonił zastępca szefa. Prosił o meldunek na temat bieżącej sytuacji.

Rigby przewróciła oczami.

– Nie wątpię. Przekaż mu wszystkie informacje. Nie żądali pieniędzy, ale prawdopodobnie wkrótce to zrobią. Może uda mu się trochę przyśpieszyć procedury wydziału spraw wewnętrznych i zdobyć jakieś informacje o tym facecie. Co on tam robi? – spytała. – Chcę to zobaczyć.

Hurwitz przewinął obrazy z kamer na dachu furgonetki. Zatrzymał się na Walterze O'Brienie, ciągle siedzącym w opuszczonym samochodzie policyjnym na środku skrzyżowania. Był zwrócony twarzą w stronę klubu, jego wargi lekko się poruszały.

– Utrzymuje kontakt z swoimi ludźmi – zauważyła Rigby. – Widziałam słuchawkę w uchu. Możesz wyizolować sygnał?

Hurwitz westchnął.

– Czy Mona Lisa ma zęby?

– Nie jestem pewna, o co ci chodzi.

– To znaczy, że tak. Bezzębne modelki nigdy nie były popularne.

Rigby postanowiła nie drążyć tego tematu. Wskazała USB tkwiące w komputerze Hurwitza.

– Co tam znalazłeś?

– Wygląda jak zrzut danych. Szybki i brudny, nieuporządkowany. Daty obejmują prawie czterdzieści lat: nierozwiązane sprawy, fotografie, meldunki, nagrania audio i wideo. Posortowanie tego wszystkiego zajmie trochę czasu.

– Wykorzystaj wszystkie nasze zasoby. Mamy niecałą godzinę.

– Tak jest.

# 1992

## ALIASY?

Amy Archer

Amelia Dyer

Alvin Schalk

Dwie ofiary /zamrażarka w piwnicy

Niezidentyfikowany mężczyzna/hotel Edison

Niezidentyfikowana kobieta /dworzec autobusowy w Corktown

Niezidentyfikowany mężczyzna /Four Seasons

**Walter O'Brien, dwadzieścia osiem lat**



BRAYMAN STAŁ PRZY TABLICY na tyłach w sali wydziału zabójstw. Walter siedział okrakiem na krześle przy swoim biurku, trzymając łokcie na oparciu.

Po przeszło godzinie doszli do trzech wniosków, co do których mogli się zgodzić. Po pierwsze, jedynym rzeczywistym związkiem między ofiarami były dziwne ślady. Po drugie, wydawało się, że cała trójka zmarła z przyczyn naturalnych. Po trzecie, wyniki sekcji wskazywały, że żaden ze zgonów nie był całkowicie naturalny, choć z pozoru tak wyglądał.

– A może ktoś im pomógł popełnić samobójstwo? – zasugerował Walter. – Skoro wiedzieli, że umrą, i chcieli skrócić swoje cierpienia, mogli poprosić znajomego o przysługę. – Chwycił dłonią nadgarstek, potem kostkę, a w końcu puknął się w skroń palcem wskazującym.

Brayman podrapał się po skroni.

– Znaleźlibyśmy jakieś substancje chemiczne. Środek nasenny, by byli spokojni, na przykład pentotal sodu. Później coś, co zatrzyma akcję serca: domyślam się, że dibromek pankuroniowy, czyli pavulon. Przydałby się również środek paraliżujący, który zapobiegłby konwulsjom i działał uspokajająco.

– Skąd, do licha, wiesz to wszystko? Jesteś trucicielem?

Brayman wzruszył ramionami.

– Weź czasem jakąś książkę, O'Brien. I nie mam na myśli komiksu.

Walter zignorował przytyk i skupił uwagę na tablicy.

– Czy jeden z tych środków mógł pozostawić ślady? Wysypkę albo otwór w skórze po zastrzyku?

– Ackerman niczego nie znalazła. – Brayman spojrzał na Waltera. – Jak się miewa wysypka na twojej piersi?

– Znikła. Chcesz zobaczyć? – Walter sięgnął do kołnierzyka koszuli i zaczął rozpinać górne guziki. Jednak wysypka nie znikła, prawda? Zbladła, ale nie znikła zupełnie.

– Nie, nie chcę.

Walter skinął głową w stronę fotografii.

– Skoro zaczęliśmy stawiać hipotezy, róbmy to dalej. Odpowiedz na moje pytanie.

Brayman zacisnął usta i zastanawiał się przez chwilę.

– Aby pojawiła się wysypka, człowiek musi być żywy, w jego żyłach musi krążyć krew.

– Ale niezbyt długo, prawda?

– Nie, niezbyt długo. Myślę, że to możliwe.

– Więc może to coś niezwykłego, czego nie wykazuje badanie toksykologiczne?

– To nie wygląda jak wysypka. I nie ma śladu zastrzyków.

– Coś niezwykłego... – powtórzył Walter. – Nieznane lekarstwo, nieznana droga podania wywołują nieznane rezultaty. Twoim zdaniem to odcisk dłoni?

Brayman pochylił się nad fotografią śladu na kostce kobiety znalezionej na dworcu autobusowym. Dotknął zdjęcia czubkiem palca.

– To może być pareidolia.

Walter popatrzył na niego.

– Książki, O'Brien – rzekł Brayman. – Pareidolia to dostrzeganie obrazów tam, gdzie ich nie ma, na przykład twarzy na korze albo w chmurze.

– Oblicze Jezusa na toście?

– Właśnie. Mózg usiłuje znaleźć coś znajomego w nieznanym. Może te ślady przypominają odcisk ręki, ponieważ nasz mózg nie wie, jak je interpretować.

Walter wstał z krzesła i podszedł do tablicy.

– Okej, teraz posuwamy się we właściwym kierunku. Co jeszcze widzisz, kiedy patrzysz na tych troje ludzi? Kiedy analizujesz sposób ich śmierci?

Brayman się nie śpieszył. Przyglądał się po kolei fotografiom. Otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym zmienił zdanie i milczał. Kilka razy mlasnął językiem.

– Ach, jednak coś widzisz – rzekł Walter. – Wykrztuś to wreszcie.

– Myślę, że raczej chodzi o to, czego nie widzę.

– Nie rozumiem.

Brayman wskazał dwie pierwsze fotografie.

– Ci nie mają palców. Oczywiście podobieństwo. Trzecia ofiara ma palce. Dwie pierwsze ofiary są wyniszczone chorobą, na progu śmierci. Trzecia jest starsza, zmarła na coś, co wygląda naturalnie, ale należy do innej kategorii. Rak, tętniak. Nawet jeśli pierwsze dwie ofiary to pomoc w samobójstwie, trzecia nie pasuje. Jeśli ktoś ci powie, że masz raka, możesz coś zaplanować. Tętniak zabija błyskawicznie. – Pstryknął palcami. – Dwie ofiary, pierwsza i trzecia,

umarły w pokojach hotelowych. To pasuje do wspomaganego samobójstwa, ale kobieta zupełnie nie. Nikt nie chce umrzeć w sraczu.

– Więc to nie wspomagane samobójstwo.

– Dokładnie.

Walter zacisnął powieki i pokręcił głową, zastanawiając się, co przeoczyli.

– Jeszcze jakieś związki?

– Stłuczone lustro w hotelu Edison i w Four Seasons. Ale nie na dworcu autobusowym.

– Tamtych nie można stłuc. Są z wypolerowanej stali nierdzewnej – wyjaśnił Brayman. – To by sugerowało, że morderca wstydy się tego, co robi.

– Nie mógł spojrzeć sobie w oczy?

– Coś w tym rodzaju.

– Albo po prostu się wściekł.

Brayman pokręcił głową.

– Nie widzę w tym gniewu.

– Wiesz, czego jeszcze brakuje, jeśli przyjmiemy, że to trzy zabójstwa?

Brayman nie odpowiedział.

– Eskalacji. Mamy trzy ofiary z podobnymi śladami, co pasuje do seryjnego mordercy, ale seryjni mordercy popełniają coraz brutalniejsze zbrodnie albo doskonałą swoją technikę. Powoli ją zmieniają, by lepiej zaspokajać swoje odrażające żądze.

– Swoją...

– Jeśli patrzymy na te przypadki w kolejności, nie widać eskalacji – przerwał Walter. – Można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. – Puknął palcem w fotografię nagiego mężczyzny znalezionej w hotelu Edison. – Wygląda na to, że w tym przypadku morderca się nie śpieszył. Nie tylko z zabójstwem, ale też ze sprzątnięciem. Przebywali razem w tym pokoju przez długi czas. W przypadku drugiej ofiary w toalecie na dworcu autobusowym zdawał się działać pośpiesznie. Za pierwszym razem postępował spokojnie, według planu, a za drugim razem dokonał szybkiego zabójstwa w okolicznościach dalekich od ideału. – Walter ułożył kciuk i palec wskazujący na kształt pistoletu, po czym dodał: – Ale trzecie zabójstwo...

– ...bardziej przypomina wypadek.

– Może usiłował coś zamaskować? Nie chciał, żebyśmy go powiązali z poprzednimi morderstwami. Nie ruszył palców, pominął efektowne szczegóły na pokaz. – Walter popatrzył na Braymana. – Zastanów się nad tym. Gdyby zostawił zwłoki w miejscu, gdzie leżały, zamiast ciągnąć je pod prysznic, w ogóle nie zostalibyśmy wezwani. Wszyscy by uznali, że ktoś zmarł w pokoju hotelowym. Trafiliśmy tam dzięki łutowi szczęścia.

– To sugeruje, że sprawca wpadł w panikę – zgodził się Brayman. – Zareagował instynktownie.

Walter skinął głową.

– Nie popełni znowu tego samego błędu. Nabiera wprawy, co oznacza, że możemy w ogóle nie znaleźć następnej ofiary. Chyba że będą jej szukać właściwi ludzie. W ten sposób wracamy do punktu wyjścia. Nie ma pistoletu, noża, żadnych narzędzi zbrodni. Nie da się wywołać raka, prawda?

– Nie w krótkim okresie. Potrzebne jest dłuższe działanie czynników rakotwórczych, na przykład promieniowania.

– Ackerman wykluczyła promieniowanie – zauważył Walter.

Brayman ujął palcami krawędź biurka.

– Znowu to samo. Zagadka, której nikt nie potrafi wyjaśnić.

– Co sądzisz o soli? – spytał Walter. – Ofiara była nią pokryta.

Brayman pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

Obaj popatrzyli na ziarnistą fotografię dziewczyny. Wpatrywali się w nią.

Po minucie Walter wrócił do biurka. Leżały na nim akta wszystkich znanych prostytutek pracujących w pobliżu hotelu Edison i pasujących do rysopisu podanego przez recepcjonistę. Dziewięć. Przeglądał je, czując coraz większą frustrację.

– Wystarczy ubrać każdą z nich w perukę i może być dziewczyną z kamery w Four Seasons.

– To nie musi być jedna z nich – odparł Brayman. – Jeśli łączy te sprawy dziewczyna, poważnie wątpię, czy to prostytutka pracująca na ulicy. – Wskazał jedną z fotografii. – Buty wyglądają na drogie, a torebka to Gucci. Chyba oryginał.

– Zawodowa prostytutka nie może się ładnie ubrać?

Brayman skinął głową w stronę biurka Waltera.

– Popatrz na akta, wyciągi z kartoteki. Ślady zastrzyków, zatrzymania za posiadanie kokainy. Heroina. Cała dziewiątka miała problemy z narkotykami. To prawie nieuniknione w tej branży. Większość z nich ćpa, żeby wytrzymać. Dziewczyny z problemami narkotykowymi nie wydają tysiąca dolarów na buty i torebkę, tylko na heroinę. Jeśli ta kobieta to prostytutka, nie robi numerków za dwadzieścia dolców. Dziewczyny krążące wokół hotelu Edison i odwiedzające Four Seasons to dwa różne światy.

„Ma rację. prostytutki pracujące na ulicy i...”

Drzwi gabinetu kapitana Hazletta się otworzyły. Szef szybko rozejrzał się po sali wydziału zabójstw i skupił wzrok na Braymanie.

– Proszę na chwilę do mnie.

Kiedy obaj wstali, Hazlett skinął dłonią w stronę Waltera, dając mu znak, by został na miejscu.

– Tylko Wes.

Walter nie sądził, że Brayman powie coś o alkoholu, ale nie mógł być pewien. Wydawało się, że Brayman już o tym wspomniał.

Nowy partner wszedł do gabinetu kapitana i zamknął drzwi, ale wcześniej Walter usłyszał znajomy głos Nadlera z głośnika na biurku Hazletta: „Ciągle tam jesteś?”.

„Dlaczego rozmawiają z Nadlerem, do licha?!”

Nie podobało mu się to. Nie chciał mieć kłopotów.

Ruszył w stronę swojego biurka i zauważył Jade stojącą z teczką z aktami koło windy. Skinęła do niego głową.

Zerknął na zamknięte drzwi gabinetu kapitana i podszedł do niej.

– Znalazłaś coś?

– Wzięłam z archiwum, co się dało. Pomyślałam, że oszczędzę ci wysiłku. –

Wręczyła mu teczkę. – Muszę wracać, nim ktoś zauważy, że mnie nie ma. Zadzwoń do mnie któregoś dnia, zjemy kolację, powspominamy dawne czasy.

Uśmiechnęła się lekko i zniknęła za drzwiami windy, które szybko się zasunęły.

Walter otworzył teczkę. Z fotografii patrzyła na niego Willow z rozszerzonymi, zmartwionymi oczami.

Naprawdę nazywała się Rebecca Edgecomb i miała dziewiętnaście lat. Uciekła z domu w New Jersey jako piętnastolatka. Wielokrotnie zatrzymywano ją za kradzieże w sklepach, włóczęgostwo i prostytutkę. Ostatnio zaledwie przed trzema tygodniami. Obyczajówka zwinęła ją w czasie nalotu w śródmieściu wraz z dziewiętnastoma innymi dziewczynami. Zwolniono ją za kaucją w wysokości dwóch tysięcy dolarów, rozprawę wyznaczono za trzy miesiące.

Jej ostatnim znanym pracodawcą była agencja towarzyska zarejestrowana w mieszkaniu prywatnym przy Franklin Avenue. Niedaleko. Wymieniono kilka koleżanek, ale żadna nie nazywała się Amy Archer albo Amelia Dyer.

Walter znowu spojrzął na drzwi gabinetu kapitana. Widział cienie poruszające się w środku.

Dochodziła siódma.

– Pieprzę to.

Nie czekał na windę. Zszedł schodami. Po minucie złapał taksówkę.

DOM PO PRAWEJ – powiedział taksówkarz. Jego głos był trochę stłumiony przez plastikową szybę oddzielającą go od Waltera. – Trzeci za rogiem.

Według kartoteki ostatnim znanym pracodawcą Rebekki Edgecomb, znanej jako Willow, była agencja towarzyska Elite Escorts mieszcząca się przy Franklin Avenue 415. Walter spodziewał się kompleksu biurowego, może lokalu z witryną od ulicy przypominającego salon paznokci albo restaurację, lecz taksówka przejechała powoli wzdłuż kilku kamienic z okładziną z czerwono-brunatnego piaskowca. Wszystkie miały trzy kondygnacje, prawdopodobnie również piwnice; znajdowały się w nich prywatne mieszkania lub apartamenty. Domy wyglądały zamożnie. We wnętrzu jednego z nich znajdował się telefon z wizytówki Michaela Driscolla. Instynktownie czuł, że jest blisko.

– Niech pan skręci w prawo i przejedzie przecznicę, żebyśmy się oddalili od Franklin Avenue – powiedział kierowca. – Potem wysiądę na jakimś rogu.

Kierowca zaparkował obok nowego modelu bmw.

– Mam zaczekać?

Walter pokręcił głową. Wręczył taksówkarzowi kilka banknotów przez otwór w plastikowej szybie.

– Nie, dam sobie radę. Reszty nie trzeba. Dziękuję.

Po zachodzie słońca powietrze stało się chłodniejsze. Walter na razie nie czuł zimna, ale zaczął się obawiać, że zmarznie. Miał na sobie tylko marynarkę; powinien był włożyć płaszcz. Wsunął dłonie do kieszeni i ruszył w stronę kamienicy. Nie zatrzymał się, ale ją obszedł. Podążał w przeciwnym kierunku, niż przyjechała taksówka. Chciał lepiej się zorientować w otoczeniu, nim podejmie decyzję, jak postąpić. Ciągle nie był pewien, co zrobić. Kiedy pełnił służbę patrolową, widział wiele nielegalnych interesów, ale nie miał pojęcia, jak funkcjonuje agencja Elite Escorts. Mogła być centralą telefoniczną wysyłającą dziewczyny do klientów. Mogły tam mieszkać, wykorzystywać ją jako bazę.

Mógł to być normalny burdel albo pusty pokój z telefonem odbierającym przekierowane połączenia, stojącym na kartonowym pudle i kilkoma podświetlonymi czasomierzami rozmieszczonymi w strategicznych miejscach.

Okolica była dość spokojna. Obok przebiegło kilka osób uprawiających jogging. Kobieta z golden retrieverem z roztargnieniem skinęła Walterowi głową, po czym ukucnęła obok psa i wyjęła plastikową torebkę na odchody. W pobliżu przeszła para trzymająca się za ręce.

Kiedy zbliżył się do numeru 415, nie zauważył niczego szczególnego, z wyjątkiem żółtej rośliny doniczkowej stojącej na ganku od frontu. W środku paliło się kilka lamp, oświetlając krawędzie ciężkich zasłon. Lekko zwolnił, usiłując usłyszeć dźwięki dochodzące zza ceglanej fasady. Miał nadzieję, że zauważy jakiś ruch. Kiedy okrążył budynek po raz drugi, na Franklin Avenue zatrzymał się mercedes, z którego wysiadła młoda blondynka w dżinsach i ciemnym swetrze. Obeszła zaparkowane samochody i zniknęła w środku kamienicy.

Kilka minut później wyszła z niej inna dziewczyna, rudowłosa, w czarnej sukni wieczorowej. Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu tego samego mercedesa i po chwili odjechała. W ciągu następnych trzydziestu minut Walter zauważył siedem innych dziewczyn przyjeżdżających i odjeżdżających w podobnych samochodach. A także trzech mężczyzn. Nie dostrzegł Willow ani Amy Archer.

Nie znaczyło to, że nie ma ich w środku.

Po raz kolejny okrążył kamienicę, gdy zadzwonił aparat telefoniczny w budce na rogu Franklin Avenue i Nineteenth Street, około sześciu metrów od miejsca, gdzie stał. Zerknął na kamienicę i miał wrażenie, że widzi kogoś przy oknie na pierwszym piętrze, ale nie był pewien.

Telefon zadzwonił osiem razy. Milczał przez dziesięć sekund i znowu zaczął dzwonić.

Walter zbliżył się do budki i wszedł do środka, pozostawiając otwarte drzwi. Podniósł słuchawkę i przyłożył do ucha, ale się nie odezwał. Na początku słyszał tylko cichy oddech. Później rozległ się jej głos.

– Co ty robisz, Walterze?

– Amy?

Milczała przez chwilę.

– Będziemy miały kłopoty. Ja i Willow. Musisz odejść.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– To niemożliwe.

– Gdzie poszłaś wczoraj wieczorem?

– Nie pamiętasz?

Przycisnął słuchawkę ramieniem do ucha i obrócił się lekko w stronę kamienicy.

– Nie. Większość nocy to zamazane obrazy.

– Wczorajszy wieczór był błędem.

– Nie mów tak.

– Był błędem.

– Wyjdź na ulicę.

Westchnęła.

– Nie mogę.

– Więc mnie wpuść.

Nie odpowiedziała.

– Mam... – O mało nie powiedział, że ma pieniądze, ale na szczęście ugryzł się w język. Nawet jeśli pracowała w agencji towarzyskiej, to, co się między nimi zdarzyło poprzedniego wieczoru, nie miało z tym nic wspólnego. Nie mógł popełnić błędu. – Muszę... z tobą porozmawiać.

Milczała, ale słyszał jej oddech. Nie rozłączyła się.

– Chcę po prostu wiedzieć, co się stało po tym, jak tamtej nocy uciekłaś z mojego samochodu, po Alvinie Schalku. Martwię się o ciebie od sześciu lat. Do licha, myślałem, że nie żyjesz.

– O kim ty mówisz? – Milczała przez sekundę. – Walter, myślę, że z kimś mnie pomyliłeś. Nie znam żadnego Alvina... jak się nazywał?

– Alvin Schalk.

– Nie znam nikogo o takim nazwisku. Nigdy nie jechałam z tobą samochodem. Mówiłeś, że już się spotkaliśmy, ale jeśli to prawda, zupełnie cię nie pamiętam. Przykro mi. – Znowu zamilkła, a kiedy się odezwała, mówiła ciszej. – Trzy miesiące temu przeprowadziłam się tu z New Jersey. Nigdy wcześniej nie byłam w Detroit. Jestem tu tylko dlatego, że Angie... to znaczy Willow... powiedziała, że mogę u niej mieszkać, dopóki nie stanę na nogi. Praca tutaj... robienie... tych rzeczy... nie tak to planowałam, ale to tylko na jakiś czas, aż stać mnie będzie na własne mieszkanie. Może znowu się przeprowadzę, nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam. Ale najważniejsze, że to tylko tymczasowe. To nie jestem prawdziwa ja i nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Przykro mi. Mam nadzieję, że ją znajdziesz, kimkolwiek jest. Wygląda na to, że ci na niej zależy, ale to nie ja. Muszę iść...

– Amy, zaczekaj, ja...

Po prawej stronie w szybę budki uderzyła ogromna pięść. Kiedy Walter się odwrócił, zobaczył największego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widział. Olbrzym, gniewnie wykrzywiony, miał co najmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i ważył blisko sto czterdzieści kilo. Potężnie umięśniony



kark zlewał się z klatką piersiową; mężczyzna właściwie nie miał szyi. Był ubrany w ciemnogramatową jedwabną marynarkę, bordowy krawat i czarne lśniące półbuty. Na szczęście, nad białym kołnierzykiem, Walter zauważył część więziennego tatuażu. Drogi garnitur był tylko mundurem, przebraniem. Wyglądał na brutala; gdyby ktoś go poprosił o podzielenie się jedzeniem, chętnie wbiłby mu śrubokręt w brzuch.

– Zdaje się, że pani kazała ci spadać – rzucił szorstko olbrzym.

Walter ciągle przyciskał słuchawkę do ucha, ale panowała w niej martwa cisza. Powoli odłożył ją na widełki i wyjął portfel.

– Jestem policjantem. Pokażę odznakę.

Mężczyzna prychnął.

– Mam to w dupie. – Skinął wielką głową w stronę białej furgonetki zaparkowanej w odległości stu metrów. – Ty jesteś gliniarzem, oni też są gliniarzami. Wszędzie kręcą się gliniarze. Chcę, żebyście się odpieprzyli. Pani prosiła, żebyś się zmył, więc masz się zmyć. Jeśli nie odejdziesz, zadzwonię do szefa, a on zadzwoni do swojego szefa. Potem ktoś zadzwoni do twojego szefa. Pogada z nim i nie skończy się to dla ciebie dobrze.

Walter wyjął odznakę. Uniósł ją. Mężczyzna to zignorował. W dalszym ciągu wpatrywał się w Waltera.

– Wygląda na to, że bez powodu mnie nękaś. Mnie, mieszkańca tej pięknej dzielnicy. Twoja obecność sprawia, że czuję się zagrożony.

– Czujesz się zagrożony?

Osilek był cięższy od Waltera o jakieś pięćdziesiąt kilogramów. Powoli kiwał głową.

– Nie tylko ja, również dziewczyny w środku. Śledziłeś je, a teraz kręcisz się przed lokalem. Podglądasz, jak jakiś świr. – Zmrużył oczy. – Masz nakaz? Prowadzisz śledztwo, posterunkowy?

– Jestem detektywem.

– Żadna różnica, mendo.

Albo znał się na terminologii prawniczej, albo go przygotowano. Tak czy inaczej, Walter wiedział, że osilek ma rację. Co gorsza, facet mógł wrócić do kamienicy i wyładować frustrację na Amy, Willow albo Bóg wie kim jeszcze.

Walter wyszedł z budki telefonicznej.

– Wrócę z nakazem.

Typek uśmiechnął się ironicznie.

– Nie, nie wrócisz.

Nie odsunął się i Walter musiał go okrążyć, by wrócić na chodnik. Wyobraził sobie Amy stojącą za jedną z zasłon, opartą plecami o ścianę. Może ciągle trzymała przy uchu słuchawkę?

Mężczyzna odwrócił się w stronę białej furgonetki.

– Pozdrów przyjaciół przed odjazdem.

Walter ruszył w stronę samochodu.

– Wezwę ci taksówkę – rzekł osiłek i ruszył w stronę drzwi.

Walter pokazał mu za plecami środkowy palec.

Biała furgonetka była odrapana, z plamami rdzy. Nie była oznakowana, ale miejskie tablice rejestracyjne i nalepka warsztatu obsługującego wozy policyjne na przedniej szybie mówiły same za siebie.

Trzy masywne anteny na dachu również zwracały uwagę. Walter podszedł do tylnych drzwi i dwa razy uderzył w nie pięścią. Rozległo się szczęknięcie i drzwi się otworzyły. Ukazał się w nich przygarbiony mężczyzna z ogromnym brzuchem, trzymający burrito. Miał rozczochrane kasztanowe włosy o rudawym odcieniu i wąsy podobnego koloru wymagające przystrzyżenia. Pokręcił głową i szybko rozejrzał się po ulicy.

– Mają kamery ze wszystkich stron, na ścianach, nad drzwiami. Prawdopodobnie zauważyli pana przed nami. Obserwowaliśmy pana, gdy zaczął pan krążyć po okolicy. Następnym razem powinien pan zabrać wózek dziecięcy, żeby się wtopić w otoczenie.

– Proszę wejść – odezwał się ktoś w głębi furgonetki. Czarnoskóry mężczyzna siedzący w obrotowym fotelu i patrzący na kilka masywnych monitorów. Miał duże słuchawki: lewą na uchu, a prawą zsuniętą na szyję.

Walter wszedł do furgonetki. Rudawy grubas z burrito zamknął drzwi i usiadł na fotelu.

– Nazywam się Buncy, a to Wilson. Jesteśmy z obyczajówki. Kim pan jest, do licha, i dlaczego węszy pan obok naszego burdelu? – Buncy wyciągnął rękę, po czym zdał sobie sprawę, że po nadgarstku spływa mu sos, i cofnął dłoń.

– Jestem detektyw O'Brien z wydziału zabójstw – odpowiedział Walter.

– Wydziału zabójstw? Coś przeoczyliśmy? Nikt nam nie wspomniał o zabójstwach.

– Po prostu podążam pewnym tropem.

Wilson się zaśmiał.

– Wygląda na to, że raczej ugania się pan za dziewczyną.

– Słyszał pan naszą rozmowę?

– Telefon w budce jest na podsłuchu. Podobnie jak trzy inne w promieniu kilkuset metrów. Nagrywamy wszystko jak leci, ale jeśli rozmowa nie jest związana z operacją w sprawie prostytutek, nie mamy prawa słuchać, musimy ją wyciszyć. Pana telefon wydawał się związany ze śledztwem – dodał Wilson. –

Słyszałem każde słowo, nawet zrobiłem notatkę w swoim zmyślnym notesie elektronicznym. Brzmiała tak: „Gliniarz? Cipki każdemu mogą zrobić wodę

z mózgu”. – Uśmiechnął się. – Witamy w naszej bazie danych, detektywie. Która to? – Wskazał rząd fotografii przypiętych do tablicy nad prowizorycznym biurkiem.

Dwa zdjęcia pochodziły z kartotek policyjnych; reszta wyglądała, jakby zrobiono je teleobiektywami. Willow była trzecia od lewej (fotografia z kartoteki); pod spodem nabazgrano nazwisko Rebecca Edgecomb.

Amy była...

Walter zrobił krok do przodu. Przekrzywił głowę i przyjrzał się pierwszemu zdjęciu.

– To może być ona, ale nie jestem pewien. Zdjęcie jest kiepskiej jakości.

– Lolita numer jeden – rzekł Buncy, kiwając z aprobatą głową. – Nie lubi się fotografować, ale i tak ją dopadniemy. Doskonale potrafi unikać kamer. Chyba najlepszy kasek ze wszystkich. Wie pan, jak się nazywa?

„Amy Archer”.

Walter próbował grać na zwłokę.

– Wczoraj rozmawiałem z człowiekiem, który powiedział, że nazywa się Amelia Dyer, ale moim zdaniem to lipa.

– Mówił pan o niej „Amy”. To ksywka?

Walter kiwnął głową.

„Nie zrozumieliby mnie”.

Bundy odchrząknął, napisał AMELIA „AMY” DYER na kawałku taśmy i przykleił ją pod fotografią.

– Ma związek z jakimś morderstwem? Szkoda. Taka dziewczyna miałaby ciężkie życie w więzieniu.

Walter nie miał pojęcia, co Bundy przez to rozumie, ale się nie odezwał.

– Obserwujemy to miejsce już od kilku miesięcy – ciągnął policjant. – Wcześniej działali w innej kamienicy w Wilmington. A jeszcze wcześniej w trzech połączonych mieszkaniach w centrum miasta... W ciągu ostatnich trzech lat korzystali z dziewięciu różnych lokali.

– Dlaczego ich nie aresztujecie?

Buncy zerknął kątem okna na Waltera i ugryzł kawałek burrito.

– Wiemy, czym się zajmują – odezwał się z pełnymi ustami. – Wiemy nawet, kto w tym uczestniczy. Rozpracowaliśmy ich metody działania, ale są piekielnie ostrożni. Ma pan ich telefon z wizytówki, prawda?

Walter skinął głową.

– Drukują je w niewielkich partiach, prawdopodobnie po pięćdziesiąt sztuk. Numery działają przez dwa tygodnie, a potem je zmieniają. Po każdej wizycie dziewczyny dają klientom nową wizytówkę, ale trzeba szybko zadzwonić, bo numer przestanie działać. To pomaga utrzymać klientów. Kiedy pojawia się

nowy numer, potrzebujemy nowego nakazu. Trudno go zdobyć na czas. Kiedy sędzia wydaje nakaz, numer przestaje działać. Kilka razy mieliśmy szczęście i udało nam się nagrać jakieś rozmowy, ale są wyjątkowo ostrożni. Jeśli pojawia się coś obciążającego, zmieniają numer. Telefony są przekierowywane, krążą po całym świecie, co sprawia, że ich namierzanie to koszmar. W tej chwili odbierają telefony w tej kamienicy, ale często zmieniają bazę. Wysyłają dziewczyny do klientów, ale żadna nie uprawia tu seksu, więc tylko przychodzą i wychodzą. To nie przestępstwo. Mieszkanie tutaj też nie jest zabronione. Do przestępstw dochodzi za zamkniętymi drzwiami w hotelach w centrum.

– Dlaczego nie wyślecie agenta w cywilu i nie aresztujecie ich w hotelu? Zadzwońm z baru w Huntley i natychmiast kogoś przysłali. Mogłem ją zwinąć, gdy poszliśmy na górę.

Wilson zaśmiał się w tylnej części furgonetki. Buncy uśmiechnął się do Waltera.

– Łatwe, co?

– Tak.

– Jedziemy za nimi do hoteli, ale nie mamy oczu i uszu w pokojach – wyjaśnił Buncy. – Wszystko, czego się dowiedzieliśmy, pochodzi od klientów, których zwinęliśmy, gdy wychodzili. Gdybyś zdołał zaprowadzić dziewczynę na górę, poprosiłaby o twoje prawo jazdy i przekazała twoje dane, żeby mogli cię sprawdzić. Spytałaby prosto z mostu, czy jesteś policjantem. Gdybyś zaprzeczył, byłby to nielegalny podstęp. Gdybyś potwierdził, natychmiast by wyszła. Jeśli znajdują coś podejrzanego w czasie sprawdzania, dziewczyna też wychodzi. Przekonałbyś się, że nie prosi o pieniądze. Ktoś powiedziałby ci przez telefon, ile masz zostawić i w którym pokoju. Nie powiedziałaby ani słowa o forsie. Mogłaby ją zabrać, ale to nie przestępstwo. Ani uprawianie seksu z nieznanym. Przemstwu pojawia się, gdy wszystko się łączy: pieniądze, nieznanym mężczyzna, seks. Ci ludzie prowadzą tę działalność od bardzo dawna i są wyjątkowo ostrożni. Dbają, by nic się nie łączyło. Uważamy, że za sznurki prawdopodobnie pociąga rosyjska mafia. Może włoska, ale bardziej pachnie to Rosjanami. Tak czy inaczej, nie ma dowodów. Dziewczyny to tylko pionki. Ich aresztowanie niczego nie zmieni. Znajdą dziesięć następnych na miejsce każdej zdjętej z szachownicy. Chcemy dorwać ludzi kierujących tą operacją, a to wymaga czasu. Trzeba zebrać dowody, przygotować sprawę, czekać na okazję. Tak to działa.

„Rosyjska mafia?”

Walter pomyślał o aktach ciągle leżących na blacie w kuchni.

– Słyszeliście, żeby te dziewczyny chodziły w tym tygodniu do Four Seasons albo hotelu Edison?

– Hotelu Edison? – powtórzył Buncy z lekkim rozbawieniem. – Te dziewczyny nie pracują w tamtej dzielnicy. Pozostawiają ją tanim dziwkom. Ale Four Seasons? – Umiłkł i popatrzył na Wilsona, który wertował notatnik.

Przejechał palcem wskazującym po stronie.

– Trzy wypadły do Four Seasons, wczoraj. – Skinął głową w stronę fotografii.  
– Numer jeden, trzy i dziewięć.

Numerem pierwszym była Amy, trzecim Willow. Dziewiątym była jasnowłosa dziewczyna o wysoko osadzonych kościach policzkowych, pełnych wargach i jasnozielonych oczach. Wydawało się, że pochodzi z Europy Wschodniej.

– Potrzebuję kopii wszystkich materiałów, jakie macie o tej trójce.

NAZAJUTRZ WALTER zdołał dotrzeć do pracy wczesnym rankiem, ale nie był pierwszy. Kiedy tuż po siódmej w sali wydziału zabójstw rozsunęły się drzwi windy, Brayman siedział już na swoim miejscu. W jednej ręce trzymał kawę, a w drugiej resztki kanapki zjedzonej na śniadanie. Popatrzył na Waltera, czujnie zlustrował niesione przez niego teczki, po czym znowu spojrzął na biurko.

Walter przeszedł przez salę i położył akta na blacie. Na górze leżały teczki trzech dziewczyn z agencji towarzyskiej, a niżej teczki mafii pokryte kolorowymi karteczkami samoprzylepnymi.

– Chyba coś mam.

– Aha – mruknął Brayman.

Czytał kronikę kryminalną „Detroit Herald”. Rzucił się w oczy duży nagłówek artykułu o zbrodni w Four Seasons.

– Najpierw historia o zwłokach w Corktown, a teraz to. Czy musimy porozmawiać o dziennikarzach? Nie gadamy z tymi sukinsynami, to żelazna zasada.

– Z nikim nie rozmawiałem.

– No cóż, znają wszystkie szczegóły. Nasze nazwiska, opis ofiary. Wspominają nawet o tętniaku i o tym, że zwłoki przeniesiono w inne miejsce. Wygląda to tak, jakby reporter chodził za tobą krok w krok.

– Za mną? Skąd mam wiedzieć, że to nie ty z nim rozmawiałeś?

– Bo z zasady nie rozmawiam z prasą. Nigdy. Nie jestem taki głupi.

Walter czuł, że płonie mu twarz.

– Jesteś kompletnym dupkiem, wiesz o tym?

– Tak, jestem dupkiem. – Brayman pokręcił głową. Przez chwilę siedział bez ruchu, po czym powoli wstał z krzesła z gazetą w ręku. – Chce się z nami zobaczyć kapitan.

– Już przyszedł? O co chodzi?

„Nadler”.

„Jazda po pijaku”.

„To, że nadużywam alkoholu”.

Lista się wydłużała.

Dlaczego nie skończą z tymi bzdurami i nie pozwolą mu wykonywać swojej pracy?

– Chodźmy, O’Brien.

Walter zebrał akta. Pokaże im, co odkrył. Później nic nie będzie miało znaczenia. Zapomną o tych dziecięcych idiotyzmach.

Kapitan Hazlett siedział za biurkiem, trzymając ręce na egzemplarzu „Heralda”. Kiedy Walter wszedł do gabinetu, popatrzył na niego beznamyślnie.

– Zamknij drzwi.

Walter zatrzasnął barkiem drzwi, po czym położył teczkę na biurku kapitana.

Brayman stał po prawej stronie, opierając się o ścianę. Popatrzył na teczkę i wymienił szybkie spojrzenie z Hazlettem, ale się nie odezwał.

Walter odchrząknął.

– Myślę, że namierzyłem nieznaną kobietę z hotelu. Nie jestem na sto procent pewien, ale znalazłem związek z inną sprawą.

Kapitan zmrużył oczy.

– O’Brien, ja...

– Słyszeliście o Sergiuszu Turgieniewie? – przerwał Walter.

Nie odpowiedzieli. Przejrzał akta, znalazł teczkę Turgieniewa i rozłożył papiery na biurku kapitana.

– Turgieniew to rosyjska mafia. Twardziel, stara szkoła. Ma bazę na zapleczu drogerii we wschodniej części miasta. Mieszka tam niewielka społeczność imigrantów. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z kilkoma funkcjonariuszami obyczajówki i...

– Rozmawiałeś z obyczajówką? – przerwał Hazlett. – Z kim konkretnie?

– Buncym i Wilsonem. Powiedzieli, że Turgieniew zarządza kilkoma grupami prostytutek. Dwie zwróciły moją uwagę: agencja Elite Escorts, w lepszej części miasta, i gang alfonsów z okolic Arlington i Edgewater, gdzie znaleziono pierwszą ofiarę. Proponuje alfonsom i ich dziewczynom ochronę w zamian za udział w zyskach. – Walter wyjął z teczki zeznanie nocnego recepcjonisty z hotelu Edison, a także zdjęcie z kamery monitoringu w Four Seasons. Położył je obok siebie na biurku. – Dziewczyna z hotelu Edison była prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała ofiarę za życia. Mamy też fotografię z Four Seasons. To samo, dwie dziewczyny, najpewniej zawodowe prostytutki, ale z zupełnie innego kręgu. Łączy je jedna osoba.

– Turgieniew – mruknął Hazlett.

– Właśnie. Obie te operacje są powiązane i w tle zawsze pojawia się Turgieniew. Wygląda na to, że jeśli jeden z alfonsów znajduje dziewczynę, która może pracować w lepszej części miasta, Turgieniew wypłaca mu premię i umieszcza dziewczynę w Elite Escorts. Jeśli któraś z dziewczyn z Elite za mało zarabia albo kończy karierę, przenoszą ją w rejon Arlington. Dziewczyny trafiają w różne miejsca zależnie od swojego potencjału zarobkowego. Oba biznesy współdziałają.

– Jaki to ma związek z naszymi ofiarami? – spytał Brayman. – Jaki jest motyw?

– Myślę, że to wyroki.

– Wyroki? Naprawdę?

– Uważam, że rosyjska mafia chciała zlikwidować tych ludzi i posłużyła się jedną z dziewczyn Turgieniewa.

Wydawało się, że Brayman za chwilę wybuchnie śmiechem.

– Coś w rodzaju femme fatale? Zabójczej femme fatale?

Walter zignorował uwagę partnera.

– Wszystkie trzy ofiary zostały zamordowane; po prostu jeszcze nie wiemy, w jaki sposób. Założę się, że jeśli zaczniemy to drążyć, okaże się, że wszystkie miały związki z Turgieniewem. Może pracowały dla niego? Może w trakcie pracy były narażone na kontakt z jakąś substancją toksyczną i ten kontakt wywołał nowotwór, tętniaka? Choroby wyglądające na naturalne. Może kazał zabić tych ludzi, by nikomu o tym nie powiedziały?

Kapitan Hazlett odchylił się na krześle.

– Kobieta z dworca autobusowego była jedną z dziewczyn Turgieniewa?

Walter skinął głową.

– Prawdopodobnie uciekła i ją dopadli. – Popatrzył na Braymana. – Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? Wydawało się, że sprawca się śpieszył. Ktoś chciał szybko ją uciszyć. Zrobił to na dworcu autobusowym. Och, na pewno uciekała. Ktoś ją załatwił.

Hazlett popatrzył na Braymana.

– Dyskutowaliście na ten temat?

Brayman uniósł dłonie, pokręcił głową i nie odpowiedział. Walter milczał przez chwilę, po czym wyjął ze stosu kolejną teczkę i położył przed Hazlettem.

– Myślę, że to dziewczyna, której szukamy.

Kapitan pochylił się i przeczytał nazwisko na naklejce.

– Amy Archer – powiedział powoli i wyprostował się w fotelu.

Walter nie chciał, żeby była to Amy, ale instynktownie czuł, że ma rację. Nie mógł się już wycofać. Była brakującym elementem układanki. Wyjaśniało to, dlaczego udawała kogoś innego.



– Nie wiem, czy zna pan tę sprawę, kapitanie – ciągnął. – Jest stara, sprzed sześciu lat. Nadler i ja znaleźliśmy Amy Archer w mieszkaniu z martwym mężczyzną o nazwisku Alvin Schalk. W owym czasie wydawało się, że Schalk ją porwał i że go zabiła, by się uwolnić. Ale dowody rzeczowe tego nie potwierdzały. Znaleźliśmy krew na materacu, sznury. Uznaliśmy, że Schalk ją związał i maltretował. Okazało się, że była to jego krew, nie jej. Zniknęła, nim to odkryto. Detektyw prowadzący sprawę, Freddie Weeden... Nie wiem, czy po prostu się pomylił, czy był niestaranny, ale nigdy nie podjął tego wątku. – Walter poklepał teczkę. – Połowa informacji zawartych w jego raporcie mija się z prawdą. Rysopis dziewczyny kompletnie się nie zgadza. Może pomylił sprawy? Nie wiem, nie powinienem go tłumaczyć. Gdyby ktoś szukał Archer na podstawie raportu Weedena, nigdy by jej nie znalazł. Później miałem szczęście i przed kilkoma dniami zauważyłem ją na ulicy.

Hazlett i Brayman znowu wymienili spojrzenia. Brayman nie patrzył na materiały rozłożone przez Waltera na biurku, tylko na swoje buty.

– Znalazłeś ją? Amy Archer? – spytał Hazlett.

Walter skinął głową.

– Pracuje teraz w agencji towarzyskiej Elite Escorts. Dla Sergiusza Turgieniewa. Posługuje się nazwiskiem Amelia Dyer.

Hazlett się zastanawiał. Długo milczał. W końcu stęknął, sięgnął do szuflady i wyjął stos papierów.

– Nie pierwszy raz znalazłeś Amy Archer, prawda?

Stwierdzenie, nie pytanie.

WALTER POZNAŁ RAPORT leżący na wierzchu. Prawdopodobnie w dalszym ciągu miał jego kopię w pudle w mieszkaniu.

– Nie jest tak, jak pan myśli, kapitanie – powiedział niepewnie.

– Naprawdę? – odpowiedział Hazlett. – Uważam, że to sądowy zakaz zbliżania się do poszkodowanego. Wiesz dlaczego? Bo na górze jest wielki nagłówek: „Zakaz zbliżania się do poszkodowanego”, a na dole podpisał się sędzia. Wszystko wygląda bardzo oficjalnie. Widzisz? – Obrócił dokument i puknął palcem w podpis.

– To było pięć lat temu. Prawie sześć.

– Tuż po jej ucieczce – rzekł kapitan. – Czytałem te wszystkie bzdury, nim podpisałem twoje papiery i zgodziłem się przyjąć cię do wydziału zabójstw. Wiem wszystko o tej sprawie. Wie o niej cały cholerny wydział. Weeden stale o tym gadał, kiedy wytykaliśmy mu, że nie rozwiązał wielu spraw. Mówił, że miał żółtodzioba, młodego punka o nazwisku O'Brien, który pozwolił się wykiwać smarkuli. Związała mu sprzed nosa. Ale nie to go denerwowało. Błędy się zdarzają. Wszyscy je popełniamy. Denerwowało go to, że nie możesz się odczepić od tej sprawy. Nie była twoja, ale ciągle wściubiałeś nos. Do tego stopnia zadrećzałeś jakiegoś smarkacza, że jego matka musiała się zwrócić do sądu, byś się od niego odczepił. – Hazlett znowu puknął palcem w dokument, tym razem mocniej. – Czarna kobieta z nędznej dzielnicy uważała, że musi iść na policję, złożyć raport i poprosić sąd, żebyś trzymał się z dala od jej syna. Zdajesz sobie sprawę, co trzeba zrobić, żeby skłonić czarnoskórą matkę do zwrócenia się do gliniarzy? Zaufania systemowi?

– Ten chłopak widział Archer z Schalkiem – odparł Walter. – Mówił, że Schalk trzyma w mieszkaniu dziewczynę. Obserwował mieszkanie, wiedział, co tam się dzieje, i mógł pomóc ją znaleźć.

– To nie była twoja sprawa – rzekł beznamiętnie Hazlett.

– Chłopak widział, kto wchodził i wychodził. Mógł zeznać, czy to Schalk zwabił tam Archer, czy odwrotnie.

– Chłopak nie żyje – odparł Hazlett. – Zmarł pięć lat temu w wyniku zarośnięcia tętnicy płucnej. To rzadka wada wrodzona.

Walter poczuł ściskanie w gardle. Nie miał o tym pojęcia. Brayman zrobił krok w stronę biurka.

– Nadler mówi, że masz obsesję na punkcie Amy Archer. Że nie możesz o niej zapomnieć.

– To nieprawda – powiedział lekceważąco Walter.

Hazlett odłożył na bok nakaz sądowy i pokazał Walterowi stos faksów w koszulkach.

– Jak zamierzasz to wytłumaczyć?

Walter milczał.

– Przefaksowałeś list gończy do połowy komisariatów w stanie. Jest tu co najmniej pięćdziesiąt faksów, a to tylko te, które znalazł Weeden. Wściekał się przez cały miesiąc, mówił, że podałeś zły rysopis dziewczyny.

– Nieprawda! To Weeden się pomylił!

– Twierdził, że wszystko schrzaniłeś i dlatego uciekła. Jeśli ktoś próbował jej szukać, miał fałszywe informacje. Gdyby inny policjant zrobił coś takiego, wyleciałby ze służby. Na twoje szczęście Nadler cię krył i zatuszował sprawę. Przekonał Weedena, żeby nie składał meldunku drogą służbową.

Walter powiedział sobie, że powinien zachować spokój.

– Niech pan wyciągnie raport z archiwum. Weeden opisał ją jako blondynkę o zielonych oczach. Była brunetką o szarych oczach.

– Och, widziałem ten raport! – prychnął Hazlett. – Myślisz, że Weeden mi go nie pokazał? Pracował u mnie. Wiesz, co jeszcze widziałem? Zeznania innych funkcjonariuszy obecnych na miejscu przestępstwa. Każde z nich zaprzeczało twojej wersji. Wszyscy naśmiewali się za twoimi plecami, choć nie miałeś o tym pojęcia. Powinieneś o tym pamiętać, jeśli chcesz mieć jakąś przyszłość w policji, przynajmniej w moim wydziale. Minęło kilka lat. Myśleliśmy, że w końcu dałeś temu spokój, przestałeś ją ścigać. Dlaczego nie miałbyś się zmienić? Awansowałeś, masz nowego partnera, nowe sprawy... Świetny moment, by zacząć wszystko od początku, prawda? To tylko plotki biurowe, nabijanie się z żółtodzioba, dawne dzieje. I nagle wczoraj dzwoni do mnie Nadler, mówi, że poprzedniego wieczoru telefonowałeś do niego z jakiegoś klubu, pijany jak bela, i przysięgałeś, że jedna z dziewczyn to Archer. Koszmarna sprawa, nie może być gorzej, prawda? Okazało się, że jest jeszcze gorzej, bo Nadler powiedział, że widzisz Archer wszędzie. Na ulicy, w sklepie, w barach, biegającą w parku, jak ducha, którego zauważasz częściej niż swoje odbicie w lustrze. Mówił, że

trzymał to w tajemnicy, bo w gruncie rzeczy jesteś dobrym policjantem. Powiedział, że był dla ciebie wyrozumiały: wychowałeś się w domu dziecka i wyszedłeś na ludzi. Byliście partnerami przez wiele lat. Nie chciał psuć ci opinii, pogarszać twojej sytuacji. Ale teraz się zastanawiam: czy naprawdę popełniłem cholerny błąd, przyjmując cię do swojego wydziału?

– Ja nie...

Hazlett pokręcił głową i spojrzał wściekle na teczki leżące na biurku.

– A teraz te bzdury?! Zamierzasz ją włączyć do nowego śledztwa? Powinienem natychmiast zabrać ci odznakę.

Na biurku Hazletta zadzwonił telefon. Nie podniósł słuchawki. Rozległo się sześć piskliwych sygnałów, w które wsłuchiwali się trzej milczący mężczyźni. Wreszcie odebrał połączenie.

– Hazlett.

Odezwał się kobiecy głos. Walter nie był w stanie zrozumieć słów. Hazlett zerknął kilka razy na Braymana, ale unikał kontaktu wzrokowego z Walterem. Po minucie odsunął papiery na bok i nabazgrał coś w notatniku.

Po zakończeniu rozmowy wyrwał kartkę i wręczył Braymanowi.

– Dzwoniła Jane Ackerman. Zidentyfikowała ofiarę z Four Seasons. Earl Golston. To jego adres domowy.

Brayman zacisnął wargi i spytał:

– A co z...

Hazlett popatrzył ze złością na Waltera.

– Jeśli jeszcze raz coś schrzani, daj mi znać i będzie załatwiony.

BRAYMAN, SIEDZĄCY ZA KIEROWNICĄ, wydawał się pokonany i zmęczony. Nie odzywał się w czasie jazdy, a Walter nie mógł znaleźć odpowiednich słów, by przerwać milczenie.

Analizował dowody, dokładnie tak, jak go uczono.

Zgodnie ze wskazówkami Braymana nie przyjmował niczego z góry.

Postępował zgodnie z procedurami. Zawsze.

Czy chciał, żeby to była Amy Archer?

Oczywiście, że nie.

Kiedy dowody wskazywały na Amy, zamykał oczy, widział dziewczynę patrzącą na niego z przerażeniem w łazience i przekonywał się, że to nie ona.

Jednak stale podpowiadała mu to intuicja.

Miał świetny instynkt.

Fakty wspierały jego teorię.

Turgieniew.

Gangi kontrolujące prostytutkę.

Podobieństwa między zwłokami.

Ma rację, oni się mylą.

Jak ich przekonać?

Cholerny Nadler! Dlaczego nie trzymał gęby na kłódkę?!

Westchnął.

– Co się dzieje? – spytał Brayman.

– Nic – odparł Walter i wyjrzał przez okno. Zapuszczali się w coraz nędzniejsze dzielnice.

Hazlett podał im adres starej trzypiętrowej kamienicy z czerwonej cegły znajdującej się w biedniejszej części Detroit, niezbyt daleko od hotelu Edison. Okna dwóch mieszkań na parterze były zabite sklejką i pokryte tyłoma namalowanymi sprejem symbolami, nazwiskami i nazwami gangów, że prawie nie dawało się ich odczytać.

Brayman zatrzymał forda za wypalonym wrakiem starego hatchbacka i wyłączył silnik. Walter skinął głową w stronę samochodu i odchrząknął.

– Drogówka nie powinna zostawiać czegoś takiego na ulicy, nawet tutaj.

Brayman nie odpowiedział. Przynajmniej od razu. Nie patrzył na Waltera. Siedział w milczeniu, bębniąc palcami w kierownicę. Rozpiął pas, chciał wysiąść, ale znowu opadł na fotel.

– Nie wiedziałem, że wychowałeś się w domu dziecka.

– To bez znaczenia.

– Hazlett pokazał mi twoje akta personalne.

Walter poczuł krew napływającą do twarzy.

– Co takiego?! Powinny być poufne.

– Nie, kiedy pracujesz w policji i nosisz broń. Nie dla twojego zwierznika.

– Znowu zaczął bębnić palcami w kierownicę. – Zapomnij o tym. To bez znaczenia. Wspominam o tym tylko dlatego, że wcześniej nie wiedziałem. Jeśli mamy razem pracować, ważne, żebyśmy się rozumieli. W pewnych sytuacjach możemy zginąć, jeśli nie potrafimy przewidzieć reakcji partnera. Trzeba rozumieć doświadczenia, które go ukształtowały.

Walter walczył z pokusą opuszczenia samochodu. Z całego serca wolałby iść chodnikiem i nie uczestniczyć w tej rozmowie. Nie chciał, by ludzie oceniali go na podstawie jego przeszłości. Nie był małym chłopcem. Już nie. Wpłynęło to na jego relacje z Nadlerem i nie chciał, by to samo stało się z Braymanem. Pragnął być osądzany jako mężczyzna, nie tamten smarkacz. Nigdy więcej.

– Daj temu spokój, dobra?

Brayman nie umilkł. Powiedział coś, co zaskoczyło Waltera.

– Kiedy miałem pięć lat, mój ojciec został zastrzelony na tyłach domu. Przypadkowa kula po kłótni handlarzy narkotyków. Rok później straciłem matkę w wypadku samochodowym. Do dwunastego roku życia wychowywała mnie babka, potem ją też straciłem. Zawał. Później tułałem się po kuzynach. Wiem, że to nie to samo, ale chcę powiedzieć, że nie jesteś jedyny. Codziennie tęsknię za rodzicami. Ta pustka nigdy naprawdę się nie wypełni. Nie do końca.

– Tak? Założę się, że twoi rodzice się kochali.

Brayman popatrzył na swoje ręce. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Zawsze. Codziennie to powtarzali. Co ważniejsze, było to widać na ich twarzach. Kiedy na siebie patrzyli i myśleli, że nikt nie widzi.

Walter nie miał pojęcia, jak to jest.

– Mój ojciec był pijakiem i oszustem. Traktował matkę jak śmiecia. W nocy, gdy wybuchł pożar, widziałem, jak całował jakąś kobietę. Na naszym własnym podwórku. Zauważył mnie, ale miał to w nosie. Matka musiała o tym wiedzieć, musiała. W ogóle się tym nie przejmował. Egoistyczny skurwysyn. Cieszę się, że

umarł; to najlepsza rzecz, jaka mogła go spotkać. – Popatrzyl na Braymana. – Czytales całą moją teczkę?

Brayman się zawahał, później przytaknął. Walter westchnął i pokręcił głową. Następne słowa jego partnera były ostrożne, wyważone:

– Wiem, że cię bił. A także twoją matkę. Widziałem zaświadczenia ze szpitala. Sześć wizyt na oddziale ratunkowym. Pracuję w policji wystarczająco długo, by wiedzieć, że skoro trafiłeś tam sześć razy, prawdopodobnie musiało być mnóstwo incydentów, gdy nie posunął się tak daleko. Trudno mi sobie wyobrazić takie dzieciństwo, nienawiść, strach i lęk, które stopniowo narastają...

– Chcesz zadać pytanie, więc je zadaj. Przestań owijać w bawełnę.

Brayman się odwrócił i spojrzał mu w oczy.

– To ty wywołałeś pożar?

Walter wytrzymał spojrzenie.

– Nie.

– Wiesz, kto to zrobił?

Walter pokręcił głową. Siedział dłuższą chwilę w milczeniu, po czym włożył rękę do kieszeni, ujął palcami starą psią obrozę i wyjął ją.

– Niewiele pamiętam. Nie wiem, czy dlatego, że byłem małym chłopcem, czy dlatego, że wyrzuciłem to z głowy. Wielu wykwalifikowanych ludzi próbowało się dowiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy, ale prawie nic nie pamiętam. Zaalarmował mnie pies. Obudziłem się, kaszląc; siedział na podłodze przy łóżku i wydawał okropny dźwięk: połączenie szczekania, skomlenia i wycia. W pokoju było pełno dymu; prawie nic nie widziałem. Zaprowadził mnie do drzwi, zeszliśmy po schodach i wyszliśmy z domu. Stałem na trawie i zrozumiałem, że to nie sen. Później czekałem, aż rodzice też wyjdą.

– Ale nie wyszli.

– Nie wyszli.

– I nie wiesz...

– Pożar mógł wywołać ojciec albo kobieta, z którą się spotykał – przerwał Walter. – A może matka postanowiła wszystko zakończyć... Nie mam pojęcia. To mógł też być dziwny przypadek: ktoś zostawił coś za blisko kuchenki. Jeśli czytales moje akta, na pewno zauważyles raport straży pożarnej. Nie wiedzieli, skąd wziął się ogień. Mogli tylko zgadywać. – Przekręcał w palcach obrozę. –

Chyba zachowałem ją jako szczęśliwy talizman. Kiedy trafiłem do rodziny zastępczej, straciłem psa i resztę swoich rzeczy. Lubię myśleć, że dożył starości na farmie albo u starszej pani, która niemożliwie go rozpieszczała, ale tak naprawdę nie wiem, kto go wziął.

– Jak się nazywał?

– Scritch.

Zapadła cisza, a kiedy Walter nie mógł jej dłużej znieść, z powrotem wsunął obrożę do kieszeni i wysiadł z samochodu.

Brayman odczekał chwilę i ruszył za nim.

Zatrzymali się przed porzuconym wozem. Niewiele z niego zostało. Walter poczuł woń spalonego metalu i plastiku. Powiedział sobie w duchu, że to zapach wraku stojącego na ulicy, a nie wspomnienie wywołane przez partnera.

Brayman się pochylił i zajrzał do wnętrza wozu.

– Spłonął niedawno.

– Ktoś go podpalił trzy dni temu – odezwała się kobieta siedząca z kubkiem kawy w ręce na ławce przed kamienicą. Była ubrana w wytartą beżową sukienkę i miała papiloty na głowie. – Czekaemy, aż ktoś go odholuje. Poprzedni spalony wrak stał na ulicy dwa miesiące. Mam nadzieję, że ten zniknie szybciej. To niebezpieczne dla dzieci.

Walter obszedł samochód i pochylił się nad zderzakiem.

– Tablica rejestracyjna zniknęła.

– Pewnie ją ukradli i sprzedali – jęknęła kobieta i wypila kolejny łyk kawy. – Zawsze to robią.

Brayman uśmiechnął się blado i ruszył po schodach do budynku.

– Bardzo dziękujemy za informacje, proszę pani.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – odparła i zajęła się kawą.

W westybulu za frontowymi drzwiami, na klatkach schodowych i korytarzach widać było te same graffiti co na zewnątrz budynku. Na ścianach i suficie łuszczyła się farba.

Mieszkanie Earla Golstona znajdowało się na drugim piętrze na końcu korytarza. Brayman znieruchomiał przed drzwiami mieszkania.

– Co się stało?

– Czujesz?

Walter przekrzywił głowę.

– Gaz?

– Jakiś łatwopalny płyn, może do zapalniczek. Wiadomo, czy mieszkał sam?

– Hazlett nic o tym nie wspominał. Po prostu dał nam adres.

Brayman mocno zastukał do drzwi.

– Departament Policji Detroit!

Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Walter dał mu znak, by się odsunął.

– Policja Detroit, wchodzimy! – Brayman stanął z boku, wyciągnął pistolet i kiwnął głową.

Walter uderzył drzwi barkiem i kiepski zamek puścił. W środku zapach był mocniejszy. Na podłodze i ścianach widać było mokre smugi. Brayman miał



rację: płyn do zapalniczek.

Okno w sypialni było otwarte, znajdowały się za nim schody przeciwpożarowe. Walter wszedł do pokoju i rozejrzał się, ale nikogo nie zauważył. Sprawca zniknął.

Nie miało to znaczenia, nie teraz.

Szybko wrócili do salonu, by lepiej się przyjrzeć temu, co zauważyli z holu. Brayman stał nieruchomo, a Walter powoli obszedł pomieszczenie, by wyrobić sobie lepszy obraz.

– Ale syf... – mruknął.

– Tak, syf – przytaknął Brayman.

Podłogę pokrywała cienka warstwa soli. Na wszystkich ścianach wisiały prymitywne szkice, obrazy i fotografie przedstawiające kobiety.

WALTER PODSZEDŁ DO NAJBLIŻSZEGO ZDJĘCIA, słysząc sól chrzęszczącą pod stopami. Papier nasączony benzyną do zapalniczek zwinął się i oddzielił się od ściany. Lśniaca fotografia formatu piętnaście na dwadzieścia pięć centymetrów, czarno-biała, wykonana za pomocą teleobiektywu. Dziewczyna idąca chodnikiem. Ubrana w wysokie czarne buty sięgające prawie do kolan, minispódniczkę i cienką koszulkę bez rękawów. Burza włosów rozwianych przez wiatr. Obróciła głowę, spoglądając na wystawę pobliskiego sklepu. Niepozowane zdjęcie, choć twarz była niewidoczna.

Pozostałe fotografie były podobne. Na każdej z nich dziewczyna stała odwrócona plecami do obiektywu albo jej twarz otaczała jasna poświata, podobnie jak na filmie z Four Seasons, który wcześniej oglądał Walter.

– Myślisz, że to ta sama kobieta?

– To tylko zgadywanki – odpowiedział lekceważąco Brayman. – Na żadnym zdjęciu nie widać twarzy. Popatrz na strój, fryzurę, samochód... Fotografie mogły być robione w odstępach dziesięcioleci. To nie może być ta sama osoba.

Walter nie patrzył na fotografie, kiedy zadawał ostatnie pytanie. Studiował rysunki.

Niektóre wykonano tuszem, ale większość ołówkiem. Autor, prawdopodobnie Golston, miał talent. Walter mógł mu tylko pozazdrościć. Kobieta stała naprzeciwko wirtualnej kamery. Czasem się uśmiechała, czasem została sportretowana z pewnej odległości. Szła, czytała książkę, spała, brała kąpiel. Na kilku rysunkach była w różnym stopniu rozebrana. Jeden zwrócił szczególną uwagę Waltera – siedziała nago przy toalecie, szcotkując długie włosy. Jej twarz odbijała się w lustrze. Był to jeden z nielicznych rysunków wykonanych kolorowymi kredkami; Golston spędził nad nim dużo czasu.

„Chryste, wszystkie wyglądają jak Amy”.

Cóż, nie dokładnie jak Amy, ale prawie. Jakby mimo talentu nie potrafił dobrze jej narysować. Jednak Walter widział w każdym szkicu ślad Amy.

– Wszystkie są trochę podobne – powiedział Brayman. – Wygląd, budowa i wiek, ale fotografie i rysunki się różnią. Subtelnie, a jednak się różnią. Nie ma wątpliwości, że był dobrym rysownikiem. Moim zdaniem interesował go pewien typ kobiet, nie konkretna osoba. Na kilometr pachnie seryjnym zabójcą.

– Może lubił się tylko gapić, ale nic nie robił.

Brayman odwrócił się plecami do Waltera i rozglądał się po pokoju.

– Wygląda na to, że żył jak koczownik. Żadnych normalnych mebli, tylko stół i śpiwór w kuchni. Jeden krok od bezdomności. Four Seasons nie ma takich stałych klientów. Skoro tak wyglądał jego świat, zupełnie tam nie pasował.

Walter rozejrzał się po pomieszczeniu i ogarnęło go dziwne déjà vu. Przypomniawszy sobie mieszkanie Alvina Schalka: nie dom, tylko tymczasowy biwak. Zerknął na otwarte drzwi łazienki, na podłogę obok zlewu.

„Nikogo tam nie ma” – pomyślał. „Nikt nie jest przykuty do umywalki. Spodziewałeś się ją zobaczyć?”

– Co się stało?

– Przypomniało mi się mieszkanie Schalka, to wszystko.

Brayman odłożył pistolet i przyjrzał się dokładniej rysunkom wiszącym na ścianach.

– Amy Archer była jedyną ofiarą Schalka?

– W budynku znaleziono dwa niezidentyfikowane ciała. Znajdowały się w należącej do niego piwnicy, ale były w zbyt zaawansowanym stanie rozkładu, by ustalić tożsamość ofiar. Przypisano mu tylko uprowadzenie Amy Archer.

– Myślę, że lokator tego lokalu zauważył dziewczynę z filmu z Four Seasons, spodobała mu się i ją tu zwabił. Tętniak to tykająca bomba zegarowa. Jeśli chciał ją skrzywdzić, stres i adrenalina mogły wywołać pęknięcie aorty. Kobieta, zawodowa prostytutka, nie chciała zostać przyłapaną w pokoju hotelowym z martwym klientem, więc wciągnęła go pod prysznic na ręczniku, by namieszać w sprawie.

Walter trącił czubkiem buta torbę podróżną i przewrócił ją na bok. W środku były tylko męskie ubrania: kilka koszul, dżinsy, bielizna. Wszystko przesiąknięte płynem do zapalniczek.

– Jest spora szansa, że samochód na ulicy należy do Golstona.

– Więc jak się dostał do hotelu? – spytał Brayman.

– Może taksówką? Powinniśmy przesłuchać dyspozytorów.

Brayman znowu umilkł i powoli spacerował po pokoju. Walter podszedł do składanego stolika pośrodku pomieszczenia i przejrzał przedmioty leżące na blacie. Postrzępiony atlas drogowy, plik paragonów z barów z jedzeniem na wynos, kilka starych książek Philipa K. Dicka. Pod spodem niewielki notatnik.

Wszystko również przesiąknięte łatwopalnym płynem. Otworzył zeszyt i przejrzał go.

– Co to jest twoim zdaniem?

– O czym mówisz? – Brayman zatrzymał się przed kilkoma pudłami stojącymi pod oknem.

– Moim zdaniem to coś w rodzaju dziennika. Nazwiska, daty, adresy... niektóre sprzed lat, a nawet dekad. Znowu rysunki dziewczyn.

Nie patrząc na Waltera, Brayman wyjął z kieszeni plastikową torebkę na dowody rzeczowe i rzucił ją w jego stronę.

– Schowaj to.

Walter podniósł torebkę z podłogi, włożył do niej notatnik i wsunął do kieszeni.

Golston przeciągnął długi przewód telefoniczny między kuchnią a stołem. Walter ujął słuchawkę i wykręcił \*69. Po pięciu sygnałach odezwał się męski głos:

– Four Seasons. Czym mogę służyć?

Walter się rozłączył.

– Ostatni telefon był do Four Seasons. Ściągniemy billingi i sprawdzimy, z kim jeszcze rozmawiał. Założę się, że znajdziemy kogoś związanego z Four Seasons.

– O Boże...

Brayman, ciągle przykucnięty nad pudłami, zachwiał się i wpatrywał się w to, które otworzył.

– Co się stało?

Walter podszedł i popatrzył. W pudle znajdowało się kilkanaście weków.

Brayman wyjął jeden słój i odstawił z przerażeniem. Naczynie było prawie wypełnione ludzkimi zębami.

Niektóre były stare, inne wydawały się nowe, z krwią zaschniętą na korzeniach, kawałkami skóry lub dziąseł.

Walter poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Zerknął na schludny rząd metalowych pokrywek.

– Co jest w pozostałych?

Brayman nie odpowiedział.

– Zamierzasz zajrzeć?

– Sam zajrzyj. Nikt ci nie zabrania.

Walter spojrział z frustracją na partnera i sięgnął do pudła. Wyjął słój z zębami i ostrożnie odstawił na bok, po czym wyciągnął następny. Ten był pełen jasnych włosów. W kolejnym znajdowały się kasztanowe. W trzecim rude. W czwartym...

– O kurwa... – mruknął Walter, o mało nie upuszczając słoja, podobnie jak wcześniej Brayman.

Paznokcie.

Niektóre pomalowane, inne nie. Prawdopodobnie kobiece, ale nie można było mieć pewności. Nie obrzynki, tylko całe paznokcie. Bez palców, dzięki Bogu.

– Co to jest, do cholery? – spytał stojący obok niego Brayman. Kartonowe pudło nasiąkło łatwopalnym płynem, który zebrał się na dnie.

– Dowody rzeczowe – mruknął Walter. – Ktoś zamierzał je zniszczyć i coś mu przeszkodziło.

– Jeśli to pamiątki Golstona, zniszczyłyby je tylko wtedy, gdyby obawiał się aresztowania.

– A może chciał je zniszczyć ktoś inny? Ktoś próbujący go chronić? – Walterowi przyszła do głowy pewna myśl. – Słyszałeś kiedyś o seryjnym mordercy mającym wspólnika?

– To rzadko się zdarza, ale nie byłby to pierwszy taki przypadek. – Brayman znowu umilkł i zaczął się zastanawiać. Otworzył jedno z pozostałych pudeł, po czym znalazł następną fotografię i rysunki. Setki. Na odwrocie niektórych zdjęć znajdowały się nazwy miejscowości i daty. – Phoenix. Santa Barbara. Seattle, Miami... Jeśli to seryjny morderca, chyba będziemy musieli poprosić o pomoc FBI.

– Wspomniałem o szantażu w Four Seasons. Może dziewczyna czegoś się domyśliła, a potem żądała pieniędzy albo groziła, że go zadenuncjuje.

Brayman podszedł do telefonu i wykręcił numer.

– Musimy wezwać techników. Golston okazał się bardzo interesujący. Sprawdź, czy uda ci się znaleźć coś jeszcze.

– Pudła z ludzkimi szczątkami i kilkadziesiąt ofiar ci nie wystarczają?

– Obejrzyj kuchnię. Tacy goście czasem trzymają trofea w lodówce.

– Cudownie – mruknął Walter i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. – Hej, jeśli ten typ to seryjny zabójca, nie ma nic wspólnego z naszym seryjnym mordercą, chyba że w jednym z tych słoików są palce. – Obejrzał kuchnię, otworzył zamrażarkę i lodówkę. – Nic oprócz masła orzechowego, połówki bochenka chleba i paczki proszku do pieczenia.

Brayman nie odpowiedział. Mówił do słuchawki, spoglądając na pudła i słoje. Walter zaczął otwierać szafki kuchenne i wyciągać szuflady. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Jeśli Golston polał wszystko benzyną i zamierzał spalić mieszkanie, by zniszczyć dowody... o czymkolwiek świadczą... i jeśli założymy, że samochód należał do niego, dlaczego też chciał go spalić? Nie potrzebowałby go, żeby odjechać? Spalić mieszkanie i uciec?

– Może w wozie było coś obciążającego?

– Spalenie go przed domem zwracało uwagę na budynek. Ludzie zaczynają zadawać pytania. Nikt nie robi takich rzeczy, gdy próbuje coś ukryć. Może ktoś chciał się do niego dobrać i celowo spalił samochód, żeby go przestraszyć? Jeśli dziewczyna rzeczywiście go szantażowała, mogła spalić wóz, by pokazać, że nie cofnie się przed niczym, i wytrącić go z równowagi? – Walter otworzył kolejną szafkę kuchenną, ale niczego nie znalazł. Przeszedł do następnej. – Wszystko pasuje – ciągnął. – Zastanów się nad tym. Facet to seryjny morderca, dziewczyna to odkrywa, mówi, że wie. Później żąda pieniędzy i niszczy mu samochód, żeby go przestraszyć. Wyobraź sobie tego gościa, jak stoi na ulicy, patrzy na płonące auto i czeka, aż policja zastuka do drzwi jego mieszkania. W tym momencie mógł chwycić pojemnik benzyny, oblać wszystko i czekać na pukanie do drzwi z zapalką w ręku. Nikt w nie nie zastukał, więc jej nie zapalił, a potem spotkał się z dziewczyną w Four Seasons, by załatwić sprawę, zapłacić jej, zabić ją, to bez znaczenia, wszystko się zgadza. Nie mógł wytrzymać stresu i pękło mu serce. Po śmierci Golstona dziewczyna wpadła w panikę, wciągnęła go pod prysznic i uciekła.

– Więc nie ma już żadnych związków z Turgieniewem?

Walter wzruszył ramionami.

– Kapitan kazał mi dać temu spokój, więc przedstawiam inną teorię. Wymyśl jakiś powód, żeby ktoś...

Walter znieruchomiał. Wszystkie szuflady i szafki były puste. Jednak ta – duża szafka stojąca po prawej stronie umywalki – nie była pusta. Wręcz przeciwnie. Znajdowało się w niej skurczone ciało.

Pochylił się, by się lepiej przyjrzeć, a ciało się poruszyło. Do przodu wystrzeliła noga i uderzyła go w goleń.

Poleciał do tyłu i upadł na blat znajdujący się za plecami. Zobaczył drugą nogę. Potem ramiona i dłoń trzymającą pojemnik benzyny do zapalniczek. Gdy usiłował się odsunąć, w jego nadgarstek trafiła struga płynu. Po chwili błysnęła zapalona zapalka i poleciała w jego stronę.

TRAFIŁA W NADGARSTEK i na skórze wybuchły płomienie. Zapałka odbiła się od ręki, uderzyła w ścianę kuchni, która również zajęła się ogniem. Światło i gorąco, szum.

Z szafki wypadła ludzka postać, uderzyła Waltera i odepchnęła. Usiłował utrzymać równowagę, ale potknął się o próg i runął ciężko na ziemię. Postać, która przed chwilą go podpaliła, przebiegła nad nim. Widział niewyraźnie – zauważył dzinsy, czerwony dres z kapturem i białe tenisówki. Nadepnęła na niego, co prawdopodobnie uratowało mu życie, bo zdusiła płomienie na nadgarstku. Ból, który po chwili się pojawił, przypomniał mu, by się wytoczyć z kuchni: w całym pomieszczeniu szalał pożar.

Poczuł na ramionach czyjeś dłonie. Ktoś ciągnął go po podłodze.

Brayman.

Kiedy znalazł się poza kuchnią, Brayman krzyknął:

– Leć za nim! Ja wyprowadzę wszystkich z budynku! Goń go!

Walter wstał i wypadł przez drzwi.

Zauważył błysk czerwieni na klatce schodowej i postać skręcającą za róg na dole. Zbiegał po cztery, pięć stopni naraz, wylądował na podeście, o mało się nie poślizgnął, uderzył w ścianę i biegł dalej. Kiedy dotarł do niewielkiego holu na parterze, drzwi budynku akurat się zamykały. Wypadł na ulicę.

Kobieta, która siedziała przed kamienicą, gdy przyjechali, wstała. Obok stóp miała kałużę kawy. Kiedy zobaczyła Waltera, wskazała chodnik po lewej.

– Tam pobiegł!

– Proszę wezwać straż pożarną! – krzyknął Walter w biegu. – Trzeba wyprowadzić z domu wszystkich mieszkańców!

Mężczyzna skręcił w prawo i zniknął w wąskim zaułku. Walter dobiegł do wylotu i zdążył zauważyć, że na przeciwległym krańcu napastnik skręcił w prawo. Omijając torby i pudła ze śmieciami, Walter dotarł do końca zaułka, po czym zobaczył dworzec kolejowy Lawson i wylewające się z niego tłumy.

Zauważył pod stopami czerwony dres leżący na ziemi.

Zaklął, zaczerpnął tchu i zaczął się rozglądać po zatłoczonych chodnikach. Nagle ją zobaczył – Amy Archer we własnej osobie, wchodzącą do głównego terminala. Biały top, białe džinsy, białe tenisówki, włosy związane w kucyk.

Nie był to wcale mężczyzna.

Na jej widok poczuł przypływ energii. Zanim zdał sobie sprawę, co robi, znalazł się przy drzwiach i zaczął je otwierać. Zauważył ją znowu w środku terminala, u wylotu tunelu prowadzącego do torów, którymi jeździły pociągi do wschodniej części miasta. Obejrzała się i ich oczy się spotkały. Spojrzenie Amy przypominało wystrzelony pocisk: uderzyło Waltera z taką siłą, że o mało się nie przewrócił. Oparł się o najbliższą ścianę, by utrzymać równowagę, a kiedy znowu uniósł wzrok, przeciskała się przez tłum w połowie peronu.

– Amy!

Znowu pobiegł za nią. Nie zamierzał pozwolić jej odejść. Na peronie stał pociąg. Drzwi po przeciwnej stronie się otworzyły, by pasażerowie mogli wysiąść. Po tej stronie były ciągle zamknięte i sto osób czekało na możliwość wejścia do wagonów. Była odwrócona plecami do Waltera, ale musiała wiedzieć, że jest blisko – kiedy się przy niej znalazł, zeszywniała, ale się nie odwróciła. Wcisnęła się głębiej w tłum.

Przepychał się w tłumie pasażerów, był coraz bliżej, ignorował spojrzenia ludzi wskazujących jego zranione ramię.

Znalazł się trzy metry od Amy, gdy drzwi się rozsunęły i do wagonu wsiadła duża grupa pasażerów. Dzieliło ich zaledwie półtora metra. Nagle Amy uniosła rękę i dotknęła karku mężczyzny stojącego przed nią. Miał około sześćdziesięciu lat i kosmyki siwych włosów na łysiejącej głowie.

Dotknięcie było krótkie, nie trwało dłużej niż sekundę. Każdy pomyślałby, że chce mu pomóc albo odzyskać równowagę, popychana przez ludzi z tyłu.

Mężczyzna zamarł, a jego ciało stężało. Wyciągnął rękę i chwycił drzwi; z lewej dłoni wypadła mu teczka.

Stał w odległości metra od Waltera, który próbował chwycić Amy za koszulę; jego palce musnęły biały bawełniany materiał, ale nie zdołał ich zacisnąć, bo dała nura pod wyciągniętym ramieniem mężczyzny i zniknęła w wagonie.

Przepychali się za nim ludzie, z prawej i lewej. Mężczyzna runął na peron. Zbladł, ścisnął dłońmi pierś.

– Atak serca! – krzyknęła jakaś kobieta.

Nieznamy leżał u stóp Waltera, podrygując nogami. Rozchylił koszulę i zacisnął na niej palce. Jego ciałem wstrząsały konwulsje.

– Czy ktoś z obecnych umie udzielić pierwszej pomocy?



Był to głos innego mężczyzny stojącego obok Waltera. Podniósł teczkę nieznajomego i rozglądał się z desperacją po peronie.

Amy zniknęła. Była w tej chwili gdzieś w pociągu.

„Wiesz, gdzie ją znaleźć”.

Walter uklęknął, wyprostował ciało mężczyzny i rozpoczął reanimację, mając nadzieję, że ktoś miał dość rozsądku, by wezwać pomoc.

**TERAZ**

RIGBY USTAWIŁA GRUPY SZTURMOWE dwie przecznice dalej, na niewielkim prywatnym parkingu przy Woodward Avenue między Starbucksem a antykwariatem. Ekipy telewizyjne zajęły miejsca między blokadami otaczającymi klub – wszędzie stały kamery i mikrofony kierunkowe rozmieszczone w nadziei, że uda się zarejestrować coś, czego nie zdobędzie konkurencja. Rigby nie wiedziała, kto obserwuje okolicę i gdzie Walter O'Brien rozstawił swoich ludzi, więc nie mogła ryzykować, że strzelcy wyborowi coś zauważą.

Trzy sześciuosobowe grupy szturmowe w kombinezonach bojowych. Na chodniku pracownik miejskiego przedsiębiorstwa robót publicznych uniósł ciężką żeliwną pokrywę i odtoczył ją na bok.

Rigby rozmawiała z trzema dowódcami grup. Stali odwrócenii plecami do ulicy.

– Nikt nie wchodzi bez mojego rozkazu, jasne? Zajmijcie stanowiska i przygotujcie się do ataku. Musicie podejść niepostrzeżenie, to najważniejsze.

Trzej antyterrorysty skinęli głowami. Każdy z nich trzymał mapę tuneli technicznych z zaznaczonymi trasami – pierwszą do piwnic Banku Moreland, drugą do podziemi budynku przy Park Avenue 1812, trzecią do Klubu Stomp. Rigby nie mogła dłużej czekać, na wypadek gdyby O'Brien rozmieścił dodatkowych strzelców, a jej ludzie ich nie wykryli. Musiała działać szybko.

– Wiemy, jaki to typ bomby?

Pytanie zadał Hersh. Trzy razy służył w Iraku i Afganistanie, specjalizował się w bombach pułapkach. Właśnie dlatego Rigby ściągnęła go do klubu.

– Nie – odpowiedziała. – Gdy zajmiecie pozycje, wykorzystajcie psy tropiące. Może coś wyczują. Wprowadźcie do środka kamerę, byle dyskretnie. Jeśli wnieśli bombę przez drzwi frontowe, musiała być na tyle mała, że przepuścili ją bramkarze, ale mogli łatwo podłożyć ją wcześniej, gdy lokal był zamknięty. Nie da się tego ustalić. Nieliczni goście, którzy wyszli, niczego nie zauważyli.

Odwróciła się w stronę dwóch pozostałych dowódców grup szturmowych.

– Zanim wejdziecie, spróbujemy ustalić pozycję strzelców kamerami termowizyjnymi. Jeśli to się nie uda, będziemy musieli sprawdzać piętro po piętrze. Blokujemy sygnały komórek, ale wydaje się, że ich komunikacja ciągle działa. Jeśli namierzycie strzelca, działajcie szybko: nie może zdetonować bomby albo skontaktować się z kimś, kto trzyma palec na guziku.

– Rozumiemy – odpowiedzieli jednym głosem.

– Rigby? – W komunikatorze rozległ się głos Hurwitza.

– Tak?

– Mam na linii zastępcę szefa.

– Już idę.

Rigby po raz ostatni spojrzała na antyterrorystów, poleciła im wrócić do grup i pobiegła z powrotem do furgonetki oddziału SWAT. Kiedy weszła do środka, zza budynku wyjechał pług śnieżny rozsypujący sól.

Hurwitz przełączył rozmowę na głośnik. Zastępca szefa nie marnował czasu.

– Jest pani pewna, że to on? Walter O'Brien?

– Brak potwierdzenia, ale nie mam powodu w to wątpić.

– Powiedział, że tropi kobietę? Konkretną kobietę?

– Nie podał nazwiska ani rysopisu. Moim zdaniem nie wie, jak wygląda. Ale tak, powiedział, że tropi kobietę.

– Gdzie są ich stanowiska?

– W dwóch budynkach zajęli pozycje snajperzy. Jeszcze nie jestem pewna, ilu ich jest, ale na pewno są na różnych piętrach. Przed chwilą kazałam grupom szturmowym zająć pozycje wyjściowe. W klubie jest co najmniej dwieście osób, żadnego kontaktu, ale widzimy ich na termowizji. Przygotowujemy drogi wejścia.

– A bomba?

– Wiemy tylko to, co powiedział, sir. Najpewniej zapalnik czasowy, prawdopodobnie z dodatkową możliwością zdalnej detonacji. Blokujemy wszystkie sygnały radiowe.

– O nic nie prosił?

– Tylko o nią, sir.

Głos zastępcy szefa stał się przytłumiony. Wydawało się, że mówi do kilku osób obecnych w pomieszczeniu. Odezwał się znowu po około dwudziestu sekundach.

– Proszę zwracać uwagę na czas. Niezależnie od tego, czy bomba jest, czy jej nie ma, odliczanie jest dla niego ważne. Wszystko musi się skończyć, nim dojdzie do zera. To znaczy, że zostało trzydzieści siedem minut. Nie ma czasu na negocjacje. Kiedy snajperzy namierzą jego strzelców, musi pani wyeliminować

wszystkich jednocześnie. Ewakuować klub. Zlokalizować i rozbroić bombę. Żadnego wahania.

Rigby zerknęła na Hurwitza.

- Pracował w policji, sir.
- Niezbyt długo. Stał się terrorystą.
- Rozumiem, sir.

Zastępca szefa się rozłączył. Hurwitz wskazał duży monitor.

- Mam jego akta personalne.
- Dlaczego wydział spraw wewnętrznych ich nie utajnił?
- Zostawiłem trzy wiadomości i nikt...

Zrozumiała. Nie dostał akt od wydziału spraw wewnętrznych. „Prosty sposób”. Postanowiła martwić się tym później.

– Co w nich jest?

– Służba patrolowa od osiemdziesiątego szóstego do dziewięćdziesiątego drugiego, później awans do wydziału zabójstw. Imponująca liczba aresztowań. Liczne pochwały. Kilka przyspieszonych awansów, ale...

– Ale co?

– Zwolniony ze służby w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Manipulowanie dowodami rzeczowymi. Fałszowanie protokołów przesłuchań. W ciągu ostatniego roku miał kilka spraw dyscyplinarnych z powodu picia alkoholu na służbie. W końcu się załamał.

Przewinął tekst i wskazał coś innego. Partnerów O'Briena. Kilku oznaczono jako zmarłych. Herbert Nadler. Wesley Brayman. Przy drugim znajdowała się uwaga: „okoliczności łagodzące”. Hurwitz wklepał nazwisko do komputera.

– Może dlatego akta są w wydziale spraw wewnętrznych? Jego partner zginął na służbie – zauważył.

– W jakich okolicznościach?

– Nie wiadomo. – Okulary Hurwitza zsunęły się na czubek nosa. Poprawił je.  
– Większość starych akt nie jest zdigitalizowana. Najważniejsze sprawy wprowadzono do systemu, ale reszta jest ciągle na papierze. To kwestia budżetu. Zbyt kosztowna operacja.

Otworzył następne okienko i wpisał nazwisko „Brayman”.

Pojawiło się około dwudziestu pięciu spraw. Kiedy wklepał „Nadler”, było ich prawie tyle samo.

– Te same nazwiska jak na USB.

W głośnikach zamontowanych pod sufitem furgonetki zahuczał męski głos:

- Tu zespół żółty, odbiór.
- Złóż meldunek, żółty.

– Brak dostępu do klubu przez tunel techniczny. Kończy się ścianą z litego betonu. Przechodzi przez nią kilka rur, ale człowiek się nie zmieści. Maksymalna szerokość to dwadzieścia pięć centymetrów. Nie mogę ryzykować użycia materiałów wybuchowych. Musielibyśmy pruć ścianę. To byłoby za głośne. Nie ma innej drogi.

Nie było też czasu.

– Zrozumiałam. Wycofajcie się i przygotujcie się do wejścia do klubu od strony ulicy. W chwili ataku musicie sforsować drzwi frontowe.

– Tak jest.

W górnych monitorach pojawiły się obrazy z licznych kamer osobistych; mężczyźni powoli rozglądali się po dwóch piwnicach w zielonkawym świetle.

– Zespół niebieski, zespół zielony, meldujcie.

– Niebieski na stanowisku.

– Zielony na stanowisku.

– Przygotujcie się do akcji na mój rozkaz – powiedziała Rigby.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy. Ten, który dał jej Walter O'Brien.

# 1992

## ALIASY?

Amy Archer

Amelia Dyer

Alvin Schalk

Dwa ciała /zamrażarka w piwnicy

Niezidentyfikowany mężczyzna /hotel Edison

Niezidentyfikowana kobieta / dworzec autobusowy w Corktown

Earl Golston /niezidentyfikowany mężczyzna /Four Seasons

Mężczyzna z peronu

Włosy

Paznokcie

Zęby

Rysunki /związane z dziewczynami?

**Walter O'Brien, dwadzieścia osiem lat**

WALTER ZAUWAŻYŁ CZARNY dym na długo przed dotarciem do domu, w którym mieszkał Earl Golston. Usłyszał nadjeżdżające wozy straży pożarnej i wycie syren już w chwili, gdy pchnął szklane drzwi dworca kolejowego i ruszył w niekończącą się drogę powrotną.

Na ulicy stali mieszkańcy budynku. Niektórzy byli ubrani; inni mieli na sobie piżamy; prawie wszyscy trzymali w rękach przypadkowe przedmioty, które zdołali chwycić, gdy pobiegli w stronę drzwi. Brayman siedział z tyłu karetki pogotowia, obserwując pożar.

Walter rzucił na ziemię czerwony dres i również usiadł.

– Wyciągnąłeś wszystkich?

– Tak przypuszczam. Budynek jest zadymiony, ale wygląda na to, że strażakom udało się opanować pożar. Objął tylko mieszkanie Golstona i może lokal piętro wyżej. Zniszczenia spowodowane przez wodę to inna historia. – Skinął głową w stronę kamienicy.

Z frontowych drzwi wylewała się rzeka wody i spływała po schodach. Ulica była częściowo zalana i wszyscy stali w kałużach.

Sanitariusz wrócił do karetki i zajął się nadgarstkiem Waltera. Przeciął niewielkimi nożyczkami rękaw koszuli i podwinął go do łokcia, odsłaniając oparzenie. Walter zacisnął zęby i głęboko odetchnął.

Brayman ujął dwoma palcami czerwony dres z kapturem. Podniósł go, powoli nim zakręcił i z powrotem rzucił na ziemię.

– Co się stało? Zgubiłeś go?

„Amy. Zgubiłem Amy”.

Walter wiedział, że nie może powiedzieć prawdy, nie po tym, co usłyszał na komendzie. Gdyby to zrobił, Brayman na pewno odsunąłby go od sprawy. Hazlett wysłałby go na urlop albo jeszcze gorzej.

Zaczeka na raport lekarza sądowego i zajmie się ofiarą pęknięcia tętniaka. Jeśli lekarz znajdzie w ultrafiolecie ślad na szyi mężczyzny, powie o tym



Braymanowi. A także Hazlettowi.

– Stałem obok jakiegoś faceta, który dostał ataku serca na peronie, i musiałem zdecydować: zostać i udzielić mu pomocy czy kontynuować pościg.

– Czy on...

Walter pokręcił głową. Sanitariusz skończył bandażować mu nadgarstek. Walter podziękował. Patrzył, jak mężczyzna niknie w tłumie, a później poruszył dłonią.

– Widziałeś, co było w słojach. To oczywiście jakieś wariactwo, ale czy naprawdę uważasz, że to Golston zabił nasze ofiary? Coś tu się nie zgadza.

Brayman popatrzył na swoje dłonie i pokręcił głową.

– Sam już nie wiem, co o tym myśleć. To przełom i śledztwo się kończy, nim mamy szansę zbadać sprawę.

– Wszystko się kończy z wyjątkiem...

Brayman sięgnął do kieszeni i wyjął torebkę na dowody rzeczowe z notatnikiem w środku.

– Nie wszystko.

BRAYMAN SIEDZIAŁ PRZY BIURKU w wydziale zabójstw. Leżał przed nim otwarty notatnik Golstona z kilkoma stronicami oznaczonymi spinaczami. Walter nabazgrał na papierze parę notatek i rozłożył mapy kilku miast i duży plan sieci autostrad w całych Stanach. Notatnik zawierał nazwy, daty i adresy. Brayman zaznaczał każdy z nich na mapie czerwonym markerem. Był zaledwie w połowie, ale mapę pokrywały kropki i zygzakowate linie obejmujące całą Amerykę.

Walter patrzył na tablicę, z całych sił usiłując zapomnieć o oparzeniu na nadgarstku. Nie mógł. Bolało jak cholera, nawet po trzech ibuprofenach. Wiedział, że powinien iść do lekarza, dostałby wtedy coś mocniejszego, ale nie chciał teraz wychodzić. Nie w chwili, gdy wydawało się, że wreszcie robią postępy.

Ze zdjęć na tablicy spoglądały martwe oczy trzech ofiar (albo dwóch, jeśli sprawcą był rzeczywiście Golston). Ku zaskoczeniu Waltera, Brayman dodał starą fotografię Sergiusza Turgieniewa wyciągniętą z kartoteki policyjnej. Wisiało tam również zdjęcie dziewczyny z kamery monitoringu w Four Seasons.

– Nie twierdzę, że twoja teoria jest coś warta, ale nie chcę na tym etapie niczego wykluczać.

Walter nie odpowiedział. Zastanawiał się, jak zareaguje Hazlett.

Brayman pośpiesznie coś nabazgrał, dumął przez chwilę, po czym zmiął kartkę i rzucił na podłogę. Leżało tam kilka innych papierów. Kiedy zadzwonił telefon, podniósł słuchawkę, nie odrywając wzroku od notesu.

– Brayman.

Głos w słuchawce mówił coś szybko. Brayman wziął długopis i pustą kartkę. Zaczął notować.

– Jesteś pewien? To było dawno temu. Co robił od tamtego czasu?

Walter słuchał.

– Aha.

Brayman odłożył słuchawkę i popatrzył na notatki, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– A zatem?

– Dostałem trochę informacji o Golstonie. Spodobają ci się. – Brayman przejrzał zapiski. – Był prywatnym detektywem.

– Prywatnym detektywem?

– Pracował w firmie o nazwie Macallum Associates w Chicago. Zwolnili go za porzucenie pracy. Wziął sprawę wymagającą podróży i przestał się odzywać. Nigdy nie wrócił. Zniknął.

– Jaka była jego ostatnia sprawa? Powiedzieli?

– Niewierny mąż o nazwisku George Grendal.

Walter wziął notatnik i otworzył go na pierwszej stronie. Dotknął palcem wpisu na górze.

– Dwunasty kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. Wpis brzmi: „GG 19480412, Detroit”.

Brayman się uśmiechnął.

– GG, George Grendal. – Milczał przez chwilę, po czym dodał: – To było czterdzieści cztery lata temu. Nie ma żadnych informacji, że Golston później gdzieś pracował; urzędy skarbowe nic o tym nie wiedzą. W chwili zwolnienia miał dwadzieścia sześć lat. Teraz ma siedemdziesiąt. No cóż, miał.

Walter przewertował notatnik.

– Bóg jeden wie, jak przeżył te lata, ale wyraźnie dalej prowadził śledztwo. Między czterdziestym ósmym a teraźniejszością jest ze sto wpisów. Ostatni... – Przeszedł na koniec, znalazł końcowy wpis, ale się nie odezwał.

– No?

– Pochodzi sprzed dwóch tygodni, z Detroit. – Przełknął ślinę, oblizał usta. – Inicjały to WO.

Brayman skamieniał.

– Pokaż mi to.

Walter obrócił notatnik, po czym wskazał pierwszy i ostatni wpis.

„GG 19480412, Detroit”.

„WO 19920814, Detroit”.

– GG to George Grendal, a WO Walter O...

– To nie jest zabawne – przerwał.

– Trochę jest. – Brayman uśmiechnął się ironicznie.

– To nie muszę być ja. Wpisy obejmują przeszło czterdzieści lat. Zbieg okoliczności.

Brayman przejrzał notatnik, lecz się nie odezwał. Walter przeczytał zapiski Braymana z rozmowy telefonicznej.

– Glendale? Co to znaczy?

– Cervantes podał personalia ostatniej osoby, która zaangażowała Goldstona. Przebywa w domu starców na przedmieściach Glendale.

– Ostatnia osoba, która go zaangażowała w czterdziestym ósmym roku, ciągle żyje?!

Brayman chwycił notes, mapy i marker, którym się posługiwał. Skinął głową w stronę kluczyków do samochodu.

– Muszę nad tym popracować. Ty prowadź.

– Odebrano mi prawo jazdy, pamiętasz?

– Więc nie spowoduj wypadku.

DOM STARCÓW W GLENDALE był położony około piętnastu kilometrów od Detroit, przy autostradzie numer 96. W pobliżu znajdowało się kilka marketów, stacji benzynowych, restauracji sieciowych i tanich hotelików przeznaczonych dla oszczędnych podróżników, którzy nie chcieli albo nie mogli płacić miejskich stawek.

Walter zatrzymał samochód na parkingu dla gości.

Pulchna, siwiejąca recepcjonistka spojrzała na nich nerwowo i podniosła słuchawkę telefonu.

– Nie, dwaj funkcjonariusze policji chcieliby porozmawiać z Normą Grendal. Słuchała przez chwilę.

– Nie, nie powiedzieli. Mówią, że to prywatna sprawa.

Po chwili odłożyła słuchawkę i westchnęła głęboko.

– Pani Grendal ma siedemdziesiąt dziewięć lat, rozumieją panowie. Nie chcielibyśmy jej zdenerwować. Przed kilku laty miała wylew i wróciła do zdrowia, ale od chwili, gdy u nas zamieszkała, zawsze pojawiają się problemy z ciśnieniem, więc usiłujemy oszczędzać jej stresów.

Brayman uśmiechnął się do kobiety.

– Przyrzekam, że będziemy delikatni. Zajmie to tylko kilka minut.

Skinęła głową i wskazała wyłożony terakotą korytarz z boku.

– Proszę iść do końca i skręcić w prawo. Znajdziecie ją w oszklonej werandzie.

Na końcu korytarza stała pielęgniarka w białym fartuchu medycznym, trzymając uchylone drzwi werandy. Wskazała kobietę siedzącą samotnie na kanapie stojącej na końcu pomieszczenia. Wydawało się, że robi na drutach.

– Ja będę mówił – powiedział Brayman, gdy się do niej zbliżyli.

– Staruszek porozmawia ze staruszką? Moim zdaniem coś w tym jest.

– Pieprz się, dzieciaku. Nie wolno jej spłoszyć. Nie pokazuj jej odzna...

Walter wyciągnął odznakę i pokazał ją staruszce, przerywając partnerowi.

– Pani Grendal? Nazywam się O’Brien, a to pan Brayman. Jesteśmy funkcjonariuszami policji. Pracujemy w wydziale zabójstw policji Detroit. Czy mogłaby pani poświęcić nam kilka minut?

Dłonie kobiety znieruchomiały.

Trzymała tylko jeden drut. Walter był prawie pewien, że do robienia na drutach są potrzebne dwa druty.

– Detektywi z wydziału zabójstw?

– Chcielibyśmy z panią porozmawiać o Earlu Golstonie. Pamięta pani to nazwisko? Minęło dużo czasu.

Na twarzy staruszki pojawił się uśmiech, nieco niepewny. Szybko zmienił się w grymas.

– Earl Golston? Wiecie, gdzie jest? Jest mi winien dwadzieścia trzy dolary.

Brayman usiadł obok kobiety.

– Nie żyje, proszę pani. Zmarł wczoraj.

– Do licha, więc nigdy nie odzyskam pieniędzy! – Położyła robótkę na kolanach i popatrzyła na Braymana. – Był zwykłym oszustem. Brał moje pieniądze, uśmiechał się i dużo gadał. Potem się przeprowadził i zniknął.

Walter usiadł naprzeciwko staruszki w wielkim fotelu.

– Dlaczego go pani zaangażowała?

– Żeby wytropił głupią, małą dziwkę, która odebrała mi Georgiego, po czym nasze dzieci zostały bez ojca. Miał ją znaleźć, zakończyć ten nonsens. Później Georgie umarł, Golston zniknął, a ja musiałam sama wychowywać dwóch chłopców i dziewczynkę. Przynajmniej mógłby mi zwrócić to, co mu zapłaciłam. Dałam mu wszystko, co miałam. Wszystkie pieniądze na czarną godzinę zarobione na robieniu na drutach i sprzedaży wypieków...

– Może nam pani powiedzieć, co się właściwie stało?

– To było prawie pięćdziesiąt lat temu. Czy ma to teraz jakieś znaczenie? Jak umarł?

– To nieważne, proszę pani. – Walter z trudem dobierał właściwe słowa. – Więc zaangażowała pani Golstona, bo pani mąż... był nieszczerzy?

Prychnęła.

– Nieszczerzy?! Pieprzył się z tą dziwką, gdy powinien być w domu. Albo w biurze. Albo grać w kręgle z kumplami.

Jej twarz poczerwieniała, trzęsły jej się ręce.

„Powinniśmy oszczędzać jej stresów”.

Brayman pogłodził staruszkę po dłoni.

– Proszę głęboko oddychać, pani Grendal. Nie ma się czym przejmować. To wydarzenia sprzed wielu lat. Jeśli nie chce pani o tym rozmawiać, nie musi pani. Możemy wyjść.

Pokręciła głową i na chwilę zamknęła oczy.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. – Popatrzyła na pielęgniarkę stojącą przy drzwiach. – Powiedzieli panom, że stoję nad grobem, tak?

– Wspomnieli, że ma pani ostatnio kłopoty ze zdrowiem.

Lekceważąco machnęła ręką.

– Nieważne. Mogę panom wszystko opowiedzieć, jeśli do czegoś się to przyda albo ma jakieś znaczenie. – Spojrzała na motek leżący obok. – Georgie cierpiał na bezsenność. Na początku po prostu przewracał się z boku na bok. Potem zaczął mamrotać. Nie mogłam zrozumieć, co mówi. Później dotarło do mnie, że to kobiece imię: Jane. Nie znałam żadnej Jane, on twierdził, że też nie zna, ale domyślałam się, o co chodzi. Mężczyzna nie wymyśla bez powodu babskich imion. Trwało to przeszło miesiąc i wiedziałam, że coś przede mną ukrywa. Podejrzywałam, co jest grane, i na początku nie byłam pewna, czy chcę znać odpowiedź. Później zdałam sobie sprawę, że jeśli z tym nie skończę, Georgie może wylądować w szpitalu albo gorzej, więc wynajęłam Golstona. Śledził męża od chwili wyjścia z domu aż do wieczora, gdy wracał. Po trzech tygodniach przyszedł do mnie i powiedział to, czego się spodziewałam: jest inna kobieta. Ale reszta okazała się dziwna.

Umilkła na sekundę i wypila łyk wody z niebieskiego plastikowego kubeczka stojącego obok niej na stoliku.

– Powiedział, że Georgie codziennie chodzi do parku w czasie przerwy na lunch – ciągnęła. – Siadał na kamieniu i obserwował dziewczynę czytającą książkę pod drzewem. Nigdy z nią nie rozmawiał, przynajmniej w obecności Golstona, tylko patrzył na nią, jedząc lunch. Na początku myślałam, że przechodzi kryzys wieku średniego, że to jakieś nieszkodliwe zauroczenie, ale wydawało się, że Georgie ma obsesję na punkcie tej dziewczyny. Stracił na wadze, stał się chudy jak patyk. Zaczęłam się zastanawiać, czy nieoceniony detektyw Golston mnie nie okłamuje. Poszłam do parku i rzeczywiście Georgie siedział na kamieniu, gapiąc się na młodą dziewczynę z długimi rudymi włosami, która czytała książkę pod drzewem. Po prostu na nią patrzył, nic więcej. Nie zwracała na niego uwagi. Po dwudziestu minutach zamknęła książkę i odeszła, a Georgie spakował lunch i wrócił do biura. Chyba powinnam z nim porozmawiać, ale co miałam powiedzieć? Golston kilka razy śledził dziewczynę do jej domu. Okazało się, że nazywa się Jane Toppan i wynajmuje z dwiema innymi dziewczynami niewielkie mieszkanie przecznicę od parku. Nie zauważył, by chodziła do pracy, więc doszedł do wniosku, że ma własne pieniądze. Zaczął ją obserwować, usiłując się dowiedzieć czegoś więcej. Nie kazał mi za to płacić, co było dziwne, ale nie nalegałam. I tak zainkasował spore honorarium za męża.

Westchnęła.

– Georgie przestał jeść i chodzić do pracy. Wyglądał dziesięć, nawet dwadzieścia lat starzej. Prawie się nie odzywał. Zaczął wychodzić w nocy. Znajdowałam go w parku, albo na kamieniu, albo pod drzewem. Nigdy więcej nie widziałam Jane Toppan. Zobaczyłam ją tylko raz. Nie mogłam powstrzymać Georgiego od wycieczek do parku. W końcu przestał to nawet przede mną ukrywać, po prostu wstawał i wychodził. Zmarł pod tamtym drzewem. Jakies trzy miesiące po tym, gdy wszystko się zaczęło. Usiadł i już nie wstał.

Walter pochylił się do przodu.

– Uważa pani, że nigdy nie rozmawiał z Jane?

– Och, zupełnie nie wierzę w te nonsensy! – prychnęła. – Myślę, że Golston próbował oszczędzić mi przykrości. Czasami mijał się z prawdą.

– Na przykład?

– Na początku śledził George’a tylko dwa razy, choć utrzymywał, że znacznie częściej. Później się dowiedziałam, że przede wszystkim obserwował pannę Toppan, nawet gdy przestałam mu płacić. Po śmierci George’a zaczęli do mnie dzwonić jego pracodawcy. Nie wiedzieli, że go zaangażowałam, by śledził mojego męża, nie dziewczynę. Kilka raportów złożonych przez Golstona dotyczyło tylko dziewczyny i jego szef powiedział, że były to „kompletne bzdury”. Po śmierci George’a odwiedziłam ten park tylko raz. Źle się tam czułam. Miałam wrażenie, że widziałam Golstona pod drzewem, ale nie jestem pewna. Zniknął, gdy się zbliżyłam.

Walter i Brayman szybko wymienili spojrzenia. Później Walter spytał:

– Jest pani pewna, że miała rude włosy?

Norma Grendal popatrzyła na niego. Wydawała się zdezorientowana. Walter rozumiał dlaczego. Przed chwilą opowiedziała im o najciemniejszych dniach swojego życia, a Walter pytał o włosy obcej dziewczyny. Ale musiał zdobyć tę informację.

– Mogły być farbowane?

– Ja... nie wiem. Chyba tak.

– Jaki miała kolor oczu?

– Nie podeszłam dostatecznie blisko, przykro mi.



WALTER ZNALAZŁ SIĘ z powrotem w samochodzie. Błądził myślami bardzo daleko.

– Muszę zadzwonić.

– Po co?

– Chcę sprawdzić, co było w ostatnim raporcie Earla Golstona złożonym Macallum Associates, zanim zniknął.

– Po co?

Walter nie odpowiedział. W końcu Brayman podniósł z deski rozdzielczej radiotelefon i nacisnął guzik nadawania.

– Dyspozytor, mówi cztery jeden dziewięć siedem. Chcę, żebyście zadzwonili i przełączyli rozmowę do mnie.

– Zrozumiałem, cztery jeden dziewięć siedem. Gdzie mam zadzwonić? Na jaki numer?

– Musicie go odszukać. Macallum Associates w Chicago.

– Proszę zaczekać.

W słuchawce zabrzmiał sygnał wybierania, następnie kilka tonów, po czym odezwał się kobiecy głos.

– Macallum Associates. Czym mogę służyć?

– Proszę mnie połączyć z Artiem Lowmanem – odpowiedział Brayman.

W słuchawce rozległo się kilka piknięć, po czym odezwał się opryskliwy męski głos:

– Lowman.

Brayman przedstawił Waltera i przekazał mu radiotelefon.

– Macie szczęście. Akta Golstona są ciągle na moim biurku. Kiedy znaleziono go martwego, w biurze sporo o nim rozmawiano. Od kilkudziesięciu lat był zagadką, czymś w rodzaju legendy. – Rozległ się szelest papierów, po czym Lowman ciągnął: – W porządku, mam. Czego wam potrzeba?

– Wszelkich informacji o jego ostatniej sprawie.

– Tak, cóż, nie ma tego zbyt wiele. Dostał obsesji na punkcie obserwowanej dziewczyny i zniknął. Wylano go z pracy.

– Proszę przeczytać to, co pan ma – powiedział Walter.

– Okej. Jest raport z obserwacji kobiety... Jane Toppan, około dziewiętnastu lat, jasne włosy, zielone oczy, w Beacon Park w Detroit...

– Jasne, nie rude ani ciemne?

– Tak, jasne.

Walter popatrzył na Braymana, który odwrócił głowę i spoglądał przez okno.

– Tak... Beacon Park w Detroit. Zapisał serię dat i godzin. Kiedy wchodziła do parku i z niego wychodziła. Jest jej adres, ale to stara kamienica, która już nie istnieje. Zburzono ją dwadzieścia lat temu, żeby zbudować apartamentowiec... Zobaczmy... tu się zaczyna coś dziwnego. Podnieca się jak nastolatek podglądający kobiety przez okno: „Przesunęła dłonią po ciele i wygładziła sukienkę, a później usiadła pod drzewem. Zacząłem je nazywać jej drzewem, bo nikt inny pod nim nie siadał. Tylko genialny artysta mógłby w pełni oddać na obrazie złocistą opaleniznę i kremowe...” Jest pan pewien, że mam to czytać?

– Niech pan czyta.

Lowman westchnął i ciągnął:

– W porządku, ale przeskoczę trochę do przodu. Czeka na mnie szef, mamy spotkanie. Znalazłem drugi raport, który złożył. Raport to za dużo powiedziane. „Rozmawiałem z nią dzisiaj. Przynajmniej miałem takie wrażenie. Opuściłem bezpieczny samochód, przeszedłem przez park, nim zdążyła odejść, po czym zbliżyłem się i przedstawiłem. Drżałem na całym ciele, nie wiem dlaczego, zdenerwowany jak chłopak, który po raz pierwszy zaprasza dziewczynę do tańca na szkolnym balu. Ach, Earl, weź się w garść, człowieku! Uśmiechnęła się do mnie, położyła na kolanach książkę, powieść Agathy Christie, którą czytałem kilka lat wcześniej, i powiedziała: »Cześć!«. Miała anielski głos, przypominał ciche dzwoneczki poruszane letnim wiatrem. W powietrzu unosił się piękny zapach, na początku myślałem, że to woń parku, ale później stało się jasne, że to ona: połączenie słodczy i świeżych kwiatów. Zrozumiałem wtedy obsesję George’a Grendala, to, co go ciągnęło i od czego nie mógł się uwolnić. Przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy Grendal mnie teraz obserwuje, kipiąc z zazdrości, bo odważyłem się do niej odezwać, a on nie. Później przestałem się tym przejmować. Moje i cudze myśli nie miały żadnego znaczenia, bo w końcu ją znalazłem. Prawdziwą bratnią duszę. Drugą połowę. Moją Iele. Anielską, piękną, czarodziejską Iele. Myślałem, że z nią rozmawiam, ale potem otworzyłem oczy i ciągle siedziałem w samochodzie na parkingu, a ona zniknęła spod drzewa”. Koniec. To wszystko, co napisał. Nic z tego nie rozumiem. Przeczytałem jego raporty dotyczące kilku innych spraw, były jasne i związane.

Był solidnym detektywem, a potem nagle się zagubił. Przedstawił faktury za wyjazdy do pięciu różnych miast, bez żadnych wyjaśnień. W końcu go wylali. Powiedzieli, że nie prześlą mu żadnych pieniędzy, jeśli się nie skontaktuje albo osobiście, albo telefonicznie. Właśnie wtedy zniknął.

– Powiedział pan, że to był jego przedostatni raport – odezwał się Walter. – A ostatni?

– Miał pół strony. Jedno słowo napisane sto razy. Iele. Nie jestem pewien, czy dobrze je wymawiam.

– Wymawia się „ajli” – rzekł cicho Brayman. – „Ajli”.

IELE? KTO TO? – SPYTAŁ WALTER po zakończeniu rozmowy.

– Coś w rodzaju symbolu – odpowiedział lekceważąco Brayman. – Obsesja, główny przedmiot marzeń. Coś w tym rodzaju. Widywałem facetów takich jak Golston. Spędzają mnóstwo czasu samotnie, obserwują różne osoby, aż coś w nich pęka. Kierowcy ciężarówek jeżdżący na długich trasach mają podobne problemy. Znałem kiedyś gościa, który rozmawiał z odświeżaczem powietrza wiszącym na lusterku. Mówił do niego, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Czasem się z nim kłócił. Właśnie dlatego policja zmienia funkcjonariuszy zajmujących się prowadzeniem obserwacji. Prywatni detektywi nie mogą liczyć na taki luksus. To zwykle występ solowy.

„W końcu ją znalazłem. Bratnią duszę. Drugą połowę. Moją Iele. Moją anielską, piękną, czarodziejską Iele”.

– Mogę zobaczyć mapę, nad którą pracowałeś?

Brayman wyjął mapę wciśniętą między fotele i podał Walterowi.

Walter wygładził zagniecenia. Słońce zaczęło zachodzić, głębokie cienie przesuwają się po desce rozdzielczej w stronę papieru.

– Jak daleko dotarłeś?

– Do połowy, może trochę dalej. Zaczyna się od kilku wpisów o George’u Grendalu. Później są tylko miejsca, daty i inicjały, czasem rysunki. – Brayman zaznaczył każdy punkt czerwonym markerem i zapisał obok datę drobnym, schludnym pismem. Niektóre punkty były połączone liniami. – Prawie całe Stany Zjednoczone: Detroit, Nowy Jork, Boston, Cleveland, Chicago, Nowy Meksyk, Las Vegas, Los Angeles, Filadelfia. Wschodnie Wybrzeże, potem Zachodnie Wybrzeże, miasta na północy, zachodzie i południu. Wielkie pętle obejmujące cały kraj.

Wyjął notatnik i zaczął wertować.

– Czas spędzony w poszczególnych miejscach jest różny. Czasem krótkie, kilkudniowe wizyty, a potem dłuższe, trwające kilka miesięcy. Ale ani jednego

powtórzenia, z wyjątkiem Detroit. – Milczał przez chwilę. – Problem polega na tym, że nawet jeśli śledził tę dziewczynę, ile miałaby teraz lat? Sześćdziesiąt trzy? Sześćdziesiąt cztery? To nie ona. Może Golston notował trasy swoich podróży? Może poczuł się zmęczony, rzucił pracę i zaczął się włóczyć po Stanach?

– Kolekcjonując włosy, paznokcie i zęby? – spytał Walter. – Nie zapominaj, co znaleźliśmy w jego mieszkaniu. Słyszałeś, co mówili strażacy? Część szczątków mogła się zachować.

Zanim Brayman zdążył odpowiedzieć, rozległo się ćwierkanie radia.

– Cztery jeden dziewięć siedem, zgłóście się.

Brayman chwycił radiotelefon i wcisnął guzik nadawania.

– Cztery jeden dziewięć siedem, jesteśmy na linii.

– Dzwoniła lekarka sądowa. Zidentyfikowali ofiarę z dworca autobusowego. Chcecie, żebym was połączył?

– Nie. Jesteśmy niedaleko. Powiedzcie doktor Ackerman, że przyjedziemy za dziesięć minut.

NAZYWA SIĘ ANETA KOSTENKO. – Jane Ackerman szybko wprowadziła ich do chłodni przez podwójne drzwi.

– Kostenko? – Walter spojrział na Braymana, mrużąc oczy. – Hm, brzmi jak rosyjskie nazwisko.

Lekarka wyciągnęła szufladę po prawej stronie i delikatnie uniosła niebieskozieloną płachtę, odsłaniając klatkę piersiową kobiety z dworca.

– To nazwisko ukraińskie – powiedziała. – Ukraina była kiedyś częścią Związku Sowieckiego. Identyfikacja okazała się trudna, ale na szczęście miała implanty w piersiach. Numer serii doprowadził mnie do lekarza w New Jersey, którego niedawno aresztowało FBI, bo operował nielegalne imigrantki, ofiary handlu żywym towarem. Czarny charakter, ale miał dobre archiwum. Ustaliłam jej nazwisko. Miała teczkę w Interpolu, która zawierała trochę więcej informacji. Pochodziła z niewielkiego miasta o nazwie Prypec. Zaginęła w wieku dwudziestu czterech lat. Cztery lata temu.

– Jeśli postanowisz zostać detektywem, zadzwoń do mnie – rzekł Brayman. – Dziś trafiają do nas głównie osły, które nie potrafią znaleźć własnego tyłka.

Walter zignorował przytyk, popatrzył na martwą kobietę i gwizdnął.

– Czyli ma zaledwie dwadzieścia osiem lat! Wygląda na sto.

Minęły raptem dwa dni, ale skóra Anety wyschła. Twarz, szyja i ramiona były ciemnoszare, prawie przezroczyste. Przypominała mumię.

– Zmiany pośmiertne nabierają tempa – zgodziła się Ackerman. – Mężczyzna, którego przywieźliście z hotelu Edison, jest w jeszcze gorszym stanie. Zamroziliśmy go, by zachować to, co z niego zostało. Ją również będziemy musieli zamrozić do zakończenia sprawy. Jeśli tego nie zrobimy, za kilka dni nic z niej nie zostanie. Mam wrażenie, że płyny fizjologiczne przepływają z głowy i kończyn do jamy brzusznej.

Brayman wyciągnął rękę i delikatnie dotknął twarzy kobiety. Przesunął palcem wskazującym po zmarszczkach otaczających oczy i kąciki ust.

– Czy to progeria?

– Zastanawiałam się nad progerią, gdy przywieźli mężczyznę z hotelu Edison. Poważnie rozważałam tę możliwość, gdy ją przywieziono, więc wysłałam kilka próbek do laboratorium Johns Hopkins Hospital. – Lekarka skinęła głową w stronę kobiety. – Nie mam jeszcze wyników. Centrum Zwalczenia Chorób chce przysłać z Atlanty specjalistę.

– Progeria? Co to takiego? – spytał Walter.

– Zespół progerii Hutchinsona-Gilforda, w skrócie HGPS – odpowiedziała Ackerman. – Rzadka choroba genetyczna, która sprawia, że dzieci błyskawicznie się starzeją. Większość umiera w dwunastym lub trzynastym roku życia. Ich komórki się degenerują; przyczyną śmierci są komplikacje charakterystyczne dla osób w zaawansowanym wieku.

– Na przykład kilka postaci raka obecnych jednocześnie – dorzucił Brayman. Ackerman skinęła głową.

– Progeria zwykle ujawnia się w bardzo młodym wieku, ale w rzadkich przypadkach w okresie dojrzewania, najpóźniej około dwudziestego roku życia. Nawet wtedy widać znaki ostrzegawcze: niski wzrost, przerzedzone, siwe włosy, starcze plamy na skórze, zmieniony głos. Czasem tiki, osłabienie ramion lub nóg, brak reakcji mięśni... podobnie jak w przypadku pacjentów po udarze. Ta kobieta ma dwadzieścia osiem lat. Mężczyzna z hotelu Edison mógł mieć trzydzieści pięć. Oboje są za starzy jak na progerię, przynajmniej podręcznikową. Nie wykluczyliśmy tej możliwości, ale jest mało prawdopodobna. Hipoteza robocza to mutacja genetyczna.

Walter podrapał się po głowie.

– Sugeruje pani, że zmiany mają podłoże genetyczne, tak? Więc to, co ich zabiło, nie jest zaraźliwe?

– W żadnym wypadku. Prawdopodobieństwo wystąpienia takich objawów u dwojga ludzi mających bliski kontakt jest praktycznie zerowe, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę różnice w pochodzeniu. W tej chwili mamy inny problem. – Przykryła kobietę płachtą, wsunęła szufladę i zamknęła drzwiczki. – Chcę wam pokazać coś innego. Możemy mieć jeszcze jedną ofiarę.

Walterowi zabiło serce.

„Zawał na dworcu kolejowym. Mężczyzna, którego dotknęła. Na pewno”.

Ackerman przeszła przez salę do kolejnego rzędu chłodziarek, otworzyła trzecią szufladę po lewej i wyciągnęła wózek na kółkach. Te zwłoki również były przykryte niebieskozieloną płachtą. Uniosła ją równie ostrożnie jak tę przykrywającą kobietę.

– Tym razem nie brakuje palców, ale są oznaki podobnej degeneracji.

„Nie pasażer, który umarł na atak serca”.

Było to ciało białego mężczyzny, którego nie poddano jeszcze autopsji. Miał pomarszczoną skórę i był łysy, z wyjątkiem niewielkiej kępki siwych włosów otoczonych ciemnymi plamami starczymi na głowie i skroniach. W lekko rozchylonych ustach widać było niekompletne uzębienie. Miał popękane, żółte paznokcie.

– Przywieźli go przed jakąś godziną – powiedziała Ackerman. – Jego żona mówiła, że od kilku dni źle się czuł, nie wstawał z łóżka. Zamknął się w sypialni i nie chciał jej wpuścić. Kiedy w końcu otworzył drzwi, wpadła w panikę i zadzwoniła na dziewięćset jedenaście. Histeryzowała, była kompletnie załamana. Trudno się dziwić, miał zaledwie trzydzieści cztery lata. Zmarł w drodze do szpitala. Ciężki zawał. – Wyjęła z kieszeni wizytówkę i podała ją Braymanowi. – Miał to przy sobie. Żona powiedziała sanitariuszom, że niedawno go napadnięto, twierdziła, że może to mieć jakiś związek z jego śmiercią.

Walter słyszał tylko część rozmowy. Wpatrywał się w poranione knykcie mężczyzny.

– O kurwa...



BRAYMAN UNIÓSŁ WIZYTÓWKĘ i na jego twarzy pojawił się grymas.

Była to wizytówka Waltera.

Chociaż w pomieszczeniu panowała lodowata temperatura, Walter poczuł krople potu na szyi i między łopatkami.

– Mam dość osłaniania cię. – Brayman zrobił krok do przodu. – Jeśli coś wiesz, to mów. Wszystko. Natychmiast.

– Nie uwierzysz mi.

Ackerman odwróciła wzrok, majstrowała przy termometrze. Wyglądała, jakby czegoś się wstydziała.

– To Michael Driscoll – rzekł cicho Walter. Uniósł dłoń i dotknął blednącego siniaka pod okiem, gojącej się rany pod brodą. – Zdradzał żonę. Nie został napadnięty. To on... mnie uderzył.

Brayman schował wizytówkę do kieszeni.

– Dlaczego właściwie cię uderzył?

– Widziałem go... z Amy Archer. – Walter chciał powiedzieć to przekonująco, ale czuł, że mu się nie udało. Wypowiedział imię Amy nieśmiałym tonem.

Wyraz twarzy Braymana świadczył, że mu nie wierzy i nie chce tego słuchać.

– Mówmy precyzyjnie. Widziałeś go z kimś, kto przypominał Amy Archer.

– Nie. – Walter pokręcił głową. – Widziałem go z Amy Archer. Jestem pewien, że to była ona. Kiedy do niego... do nich... podszedłem, uderzył mnie. Pozbawił mnie przytomności. Ale to była ona.

– Byłeś pijany?

Walter milczał przez chwilę.

– Wieczorem uczestniczyłem w przyjęciu w barze U Miga. – Uniósł obie ręce w obronnym geście. – Ale jestem pewien, że ją widziałem. To była ona.

– Potrzebujesz pomocy psychologa – rzekł beznamiętnie Brayman, kręcąc głową.

– To była ona!

– Jestem zdumiony, że przeszedłeś testy kwalifikacyjne.

– Powiedziała mu, że nazywa się Amelia Dyer. To fałszywe nazwisko. Nie ma go w federalnym rejestrze pojazdów, nie mogłem go nigdzie znaleźć. Ale ją wytropiłem. Pracuje w Elite Escorts.

– Więc dlatego zainteresowałeś się Sergiuszem Turgieniewem? Ciągnąłeś tę sprawę? Ścigałeś dziewczynę, która ci uciekła przed sześciu laty?

Walter niechętnie skinął głową. Długo milczeli. Ackerman stała, mnąc kieszeń fartucha. Kiedy Brayman w końcu się odezwał, usiłował powstrzymać gniew.

– Natychmiast pojedziemy na komendę i opowiesz to wszystko Hazlettowi.

– Nic nie zrozumie. Powie, że uganiam się za błędnym ognikiem, i wyleje mnie z policji.

– Powinien to zrobić.

Walter zerknął na zegar na ścianie. Dochodziła ósma.

– Nie będzie go na komendzie o tak późnej porze, wiesz o tym. Daj mi czas do rana, spróbuję zdobyć jakieś dowody.

Brayman prychnął i pokręcił głową.

– Nie zamierzam spuszczać cię z oczu. Zadzwonimy do niego do domu, pojedziemy, załatwimy sprawę. Nie chcę ponosić za ciebie odpowiedzialności. To jego sprawa, nie moja.

„Hazlett na pewno zabierze mi odznakę”.

Mógł go aresztować. Do licha, Brayman pewnie go poprze. A jeśli zaangażuje się w to Nadler, do tego oficjalnie...

Walter dostał gęziej skórki, czuł narastający lęk. Odwrócił się z powrotem w stronę Ackerman.

– Co pani zobaczyła w ultrafiolecie?

Nie odpowiedziała i spojrzała nerwowo na Braymana, który po chwili kiwnął głową.

– Jeszcze nie patrzyłam. Dajcie mi sekundę.

Otworzyła aluminiowe drzwi i zniknęła w korytarzu. Walter i Brayman zostali sami. Milczeli. Walter patrzył na pomarszczone ciało Driscolla. Brayman wpatrywał się w podłogę, klepiąc się dłonią w lewe udo.

Ackerman wróciła z przenośną lampą ultrafioletową.

– Możesz wyłączyć światło? – zwróciła się do Braymana. Podszedł do kontaktu w ścianie i nacisnął go.

W sali zapadła ciemność, choć nie zupełna. Podświetlone termostaty na chłodziarkach wypełniały pomieszczenie żółtą poświatą.

Ackerman włączyła lampę i oświetliła głowę Michaela Driscolla.

– Cholera...

Wszyscy to spostrzegli. Usta mężczyzny lśniły. Nie tylko usta. Były również ślady na policzkach i kilka na szyi.

– Pocałowała go – rzekł cicho Walter. – Widziałem, jak kilka razy go całowała.

– To nie znaczy... – odezwał się Brayman, ale umilkł, nim dokończył myśl. Widać było, że ma mętlik w głowie.

Na piersi Driscolla nie było żadnych śladów. Znajdowały się tylko na twarzy i szyi. Walter wskazał pachwinę mężczyzny.

– Ona... no wiecie.

Ackerman znowu zerknęła na Braymana. Powoli uniosła płachtę i oświetliła ultrafioletem tors Driscolla, ramiona, dolną część brzucha.

– O Jezu...

Penis Michaela Driscolla i jego okolice były pokryte dziesiątkami lśniących plamek. Mijały minuty. Stali w milczeniu.

– Jest chory na raka, jak inni? – spytał w końcu Brayman.

– Nie miałam czasu sprawdzić – odparła Ackerman. – Jak powiedziałam, niedawno go przywieziono. Ale widać zmiany chorobowe na głowie, ramionach i barkach, wyglądają jak czerniak. Niezidentyfikowany mężczyzna z hotelu Edison i Aneta Kostenko mieli podobne ślady. Zaczekajcie...

Wzięła skalpel ze stolika po prawej stronie i wykonała niewielkie nacięcie w górnej części brzucha Driscolla, o długości pół centymetra. Później wsunęła do otworu igłę strzykawki, cofnęła tłoczek i wyjęła.

– Wątroba? – spytał Brayman.

Kiwnęła głową i poszła ze strzykawką do innego stołu, na którym stał mikroskop. Przeniosła próbkę na szkiełko i wyregulowała ostrość.

Westchnęła, odsunęła się i skinęła w stronę Braymana, by spojrzeć. Oglądał próbkę prawie przez dwadzieścia sekund.

– Znalazłaś komórki rakowe jak na zwłokach Earla Golstona i ofiary z Four Seasons? – spytał, nie podnosząc wzroku.

Ackerman pokręciła głową.

– Miał tylko tętniaka aorty. I ślad podobny do tego, który pokazałam wam w hotelu.

– Wbito mu igłę?

– Szukałam nakłuć w skórze, ale niczego nie znalazłam.

– Ona nie posługuje się igłami – rzekł cicho Walter.

Ackerman i Brayman w dalszym ciągu go ignorowali. Nie winił ich. Jego hipoteza wydawała się absurdalna. Sugerował, że Amy Archer zabiła tych ludzi za pomocą dotyku.

„Nie tylko zabiła, wyssała z nich życie” – pomyślał. „Z niektórych szybciej, z innych wolniej, ale i tak umarli”.

W końcu Brayman uniósł wzrok i skinął głową w stronę szuflady, w której znajdowały się zwłoki Anety Kostenko.

– Mówiłaś, że ta sprawa ma związek z handlem żywym towarem. To informacja z kartoteki?

Ackerman skinęła głową i podeszła do biurka w rogu sali. Przejrzała zawartość teczki leżącej na wierzchu. Wręczyła Braymanowi i Walterowi kilka fotografii pięknych kobiet w wieku dwudziestu kilku lat. To nie mogła być ta sama kobieta, ale Walter wiedział, że patrzy na Amy.

Wróciła do teczki i dotknęła jednego z raportów czubkiem palca.

– Nie ma wzmianki o Turgieniewie, co nie oznacza, że nie jest w to zamieszany. Aresztowano ją dwa razy. Za drugim razem miała w torebce plik wizytówek. Nie było na nich nazwiska, tylko numer telefonu. Ktoś załatwił jej drogiego adwokata, który nie pozwolił jej złożyć zeznań. Wymigała się, kara była bardzo łagodna.

– Czarne wizytówki z czerwonymi napisami?

– Ach... – Ackerman przejrzała jeden z meldunków. – Tak. Czarne wizytówki z czerwonymi napisami.

– To Elite Escorts.

Brayman przeszedł przez salę i spojrzał na szufladę, w której leżały zwłoki Anety Kostenko. W końcu popatrzył na Waltera. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Zawieź mnie tam.

Ruszył w stronę drzwi, ale Ackerman go zatrzymała.

– Wes?

– Tak?

– Jest coś, co powinieneś wiedzieć. – Trzymała arkusz papieru. Popatrzyła nerwowo na Waltera. – Kilka dni temu zadzwoniła do mnie Lynn Crowley z działu dowodów. Usiłowała odnaleźć informacje o starej sprawie. Protokoły sekcji zwłok... Poprosił ją o to twój partner.

Brayman popatrzył wściekle na Waltera.

– Czyich zwłok?

– Znalezionych w zamrażarce w piwnicy Alvina Schalka. Sprawa... Amy Archer.

Walter sięgnął po papier, ale Brayman chwycił go pierwszy. Szybko przebiegł wzrokiem po tekście.

– Zwłok dwóch mężczyzn w zaawansowanym stanie rozkładu, chorych na raka. Brakowało palców.

WALTER POINFORMOWAŁ BRAYMANA, że ludzie kierujący Elite Escorts doskonale wiedzą, iż znajdują się pod obserwacją. Pojawienie się samochodu Departamentu Policji Detroit, nawet nieoznakowanego, nie będzie dla nich niespodzianką. Mimo to Brayman zaparkował forda crown victoria przecnicę od Franklin Avenue, po czym ruszyli razem w stronę kamienicy.

– Monitorują całą okolicę, a ich sprzęt jest znacznie lepszy od naszego. – Walter trzymał ręce w kieszeniach i wpatrywał się w chodnik. – Nie jestem pewien, czy posługują się kamerami, czy umieścili ludzi w oknach, ale gwarantuję, że już nas obserwują. Pewnie nas zauważyli, nim wyłączyłeś silnik.

– Co nie znaczy, że powinniśmy przyjechać nieoznakowanym samochodem i parkować pod ich nosem. Nie chcę niepotrzebnie drażnić lwa. Zamierzam po prostu się rozejrzeć.

– Na pewno się ciebie nie przestraszą – odparł Walter, nie podnosząc wzroku. – To tu, po lewej. Kamienica z żółtą rośliną w donicy przed wejściem, numer czterysta piętnaście.

Naprzeciwko parkowała biała furgonetka. Walter zastanawiał się, czy ktoś celowo ją tak ustawił. Może wóz obserwacyjny to stały element krajobrazu, a detektywi nieustannie się zmieniają? A może nie chcą tracić miejsca parkingowego, które trudno znaleźć w tej okolicy?

Nim zdążyli zapukać, czarne drzwi furgonetki się otworzyły. Detektyw Buncy nie golił się od kilku dni i miał ciemne worki pod oczami.

– Znowu mamy gości z wydziału zabójstw – odezwał się do Wilsona, który zajmował to samo miejsce co poprzednio, naprzeciwko rzędu monitorów. – Tym razem w sprawie randki. – Skinął głową do tyłu. – Wchodźcie szybko. Dzieją się tam dziwne rzeczy.

Brayman wszedł pierwszy. Walter wgramolił się za nim i zamknął drzwi.

Wilson, ze słuchawkami na uszach, szybko kiwnął im głową, po czym znowu skupił uwagę na monitorach. Wokół leżało co najmniej kilkanaście pustych

puszek po jolt coli – niektóre na stole, inne na podłodze. Wilson trzymał jedną w wolnej ręce.

Buncy popatrzył na partnera Waltera.

– Nazywa się pan Wes Brayman, prawda? Pracowaliśmy razem przed dziesięciu laty. Nie wiem, czy pan pamięta.

– Lou Buncy, pamiętam. Dziewczyna, którą wyciągnęliśmy z jeziora St. Clair. Służył pan w Dwudziestym Trzecim Komisariacie.

– Ciągłe tam pracuję. Na przestrzeni lat tą sprawą zajmowały się różne jednostki i szefowie przestali rywalizować, kto ją poprowadzi. Pozostawili przy niej mnie i Wilsona oraz dwa inne zespoły. Obserwujemy ich przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Brayman przeszedł powoli przez furgonetkę, oglądając wiszące nad biurkami fotografie wykonane przez teleobiektywy. Zatrzymał się przed zdjęciem po lewej podpisany „Amelia Dyer”.

– Coś dziwnego?

– Słucham?

– Powiedział pan, że dzieje się tam coś dziwnego.

Buncy zerknął na Waltera.

– Pamięta pan, jak mówiłem, że wykorzystują to miejsce tylko jako punkt wysyłkowy? Klienci dzwonią, dziewczyny wychodzą. Nigdy nie przyjmowali tu gości.

Walter skinął głową.

– No cóż, przed kilkoma godzinami ten model prowadzenia interesu się zmienił. Po zachodzie słońca do budynku weszło ośmiu mężczyzn i żaden jeszcze nie wyszedł.

– Dziewięciu – sprostował Wilson. – Dziewięciu, nie ośmiu.

Buncy przewrócił oczami.

– Nieważne. Znamy co najmniej sześciu, to stali klienci. Sfotografowaliśmy pozostałych i próbujemy ich zidentyfikować. Od kilku godzin nie wyszła żadna dziewczyna. Te, które przebywały w mieście, wróciły i znajdują się w środku. Wygląda to trochę tak, jakby je wezwano na przyjęcie z udziałem klientów.

Walter wskazał ziarnistą fotografię Amy Archer.

– Ta dziewczyna jest w kamienicy?

– Wszyscy tam są. Nawet Turgieniew, choć nigdy tu nie przychodzi. Dzieje się coś niezwykłego.

Brayman patrzył na monitory i oglądał zdjęcia z kamer.

– Następny – powiedział Wilson.

Wskazał monitor na górze po prawej stronie. Przy drzwiach, obok rośliny w donicy, stał mężczyzna w spodniach khaki i ciemnoniebieskiej koszuli.

Wilson nacisnął kilka guzików pod monitorem, wyjął z gniazdka kabel słuchawek i z dwóch głośników wiszących na suficie furgonetki dobiegły dźwięki. Usłyszeli, jak mężczyzna puka dwa razy do drzwi. Spojrzał w prawo w górę i odezwał się do kamery:

– Podział koncertu AT&T źle się skończy.

– Co to znaczy? – spytał Walter.

– Hasło – wyjaśnił Wilson, zwiększając głośność. – Wszyscy to mówią, a zatem...

Po chwili drzwi się otworzyły i mężczyzna wszedł do środka. Zamknęły się za nim. Nie widzieli z samochodu, kto je otworzył.

– Tracimy ich z oczu – odezwał się Wilson.

– W środku nie ma podsłuchu? – spytał Brayman.

Buncy pokręcił głową.

– Nakaz obejmuje podsłuch i podgląd w środku lokalu, ale co wieczór co najmniej raz szukają pluskiew. Te, które udało się nam zainstalować, szybko przestały działać. Zarejestrowaliśmy trochę rozmów, lecz to tylko bełkot, jakby wiedzieli, że słuchamy, i grali nam na nosie. Podsłuchy telefoniczne nic nie dają. Wyjaśniliśmy to pańskiemu partnerowi, gdy ostatnim razem wpadł bez zaproszenia.

Brayman wyjął z kieszeni fotografię. Była to kobieta z Corktown; miała odsłoniętą twarz. Pokazał zdjęcie Buncy'emu.

– Nazywała się Aneta Kostenko. Widział ją pan wcześniej?

Buncy się skrzywił.

– Boże, nie! Niech pan to zabierze.

Brayman popatrzył z ukosa na Waltera, po czym wyjął zdjęcie z kartoteki policyjnej Anety Kostenko.

– A ją?

Tym razem Buncy kiwnął głową.

– Widziałem ją. Kilka dni temu wybiegła z torbą. Nie wróciła. Doszliśmy do wniosku, że uciekła.

Brayman znowu spojrzał na Waltera, ale się nie odezwał. Schował oba zdjęcia do kieszeni.

– Dlaczego kogoś tam nie wyślecie? – spytał Walter. – Znacie hasło, tajemny znak, cokolwiek. Dlaczego nie posłać kogoś, kto by zdobył konkretne dowody, które ich pogrążą?

– Złożyliśmy wniosek. Czekamy, żeby kogoś przysłano. Znają nas obu. Potrzebujemy nowej twarzy.

– Ile to potrwa?

Buncy nie potrafił odpowiedzieć.

– Ja to zrobię – rzekł Walter.

Buncy się roześmiał.

– Wykluczone. Już pana znają. Barczysty dżentelmen, który wyszedł z domu ostatnim razem, opowiedział o panu swoim kumplom. Kazał dziewczynom trzymać się od pana z daleka. Nie może pan tam iść.

– Ja mógłbym spróbować – rzekł Brayman. – Mnie nie kojarzą.

Buncy obejrzał go od stóp do głów, ale się nie odezwał.

– Sam nie wiem – wtrącił Wilson. – Myślę, że powinniśmy poczekać na kogoś, kogo przyśle szef.

Brayman westchnął.

– O'Brien może mieć rację. Jest dobry moment. Liczba gości przekroczyła normę, co oznacza, że rozluźniono środki bezpieczeństwa. To może być nasza jedyna szansa.

Buncy obliznął usta i zastanawiał się przez chwilę.

– Sprawdź pana przy drzwiach. Nie może pan mieć broni, magnetofonu. Grałby pan w ciemno. Jest pan gotowy?

– Nie byłaby to moja pierwsza tajna operacja po cywilnemu. Wszyscy jesteśmy zainteresowani tą sprawą. Ta grupa przestępcza może być związana z przynajmniej trzema albo czterema zabójstwami popełnionymi w zeszłym tygodniu. Jeśli mamy szansę ją rozbić, powinniśmy ją wykorzystać. Nie da się przewidzieć, kiedy pojawi się następna okazja.

Kiedy to powiedział, do drzwi kamienicy podszedł następny mężczyzna, podał hasło i zniknął w środku.

– Teraz albo nigdy, panowie – powiedział Brayman.

Musiał wiedzieć, jaka będzie odpowiedź, ponieważ obok na krześle leżała zapasowa broń. Zaczął odpinać kaburę pod pachą.

Po chwili Walter, Buncy i Wilson siedzieli przed monitorem i patrzyli, jak Brayman podaje hasło i wchodzi do kamienicy.



MINĘŁO PIĘĆ MINUT.

Dziesięć.

– Chcesz sobie golnąć? – Wilson wyciągnął puszkę jolt coli, wpatrując się w monitor.

Walter pokręcił głową.

– Nie, dziękuję.

Wilson wzruszył ramionami, otworzył puszkę i wypił łyk. Nie śpieszył się. Postawił puszkę na stole, otarł usta wierzchem dłoni i beknął.

– Uwielbiam takie sytuacje.

– Mogliśmy popełnić błąd – mruknął Buncy. – Ile lat ma Brayman? Prawdopodobnie zbliża się do emerytury. Nikt nie uwierzy, że szuka panienki.

– To bystry facet. Będzie wiedział, jak to rozegrać.

Buncy zarechotał.

– Na przykład jak? Powie: „Wysadziłem tu syna pół godziny temu i zapomniał zabrać portfela. Wiecie, w którym pokoju może być?”.

Wilson się roześmiał.

– Lepiej wykorzystać wiek. „Kim wy właściwie jesteście? Zaczekajcie... to przecież nie mój dom!”

Walter uważnie obserwował pozostałe monitory. Zauważył czarnego mercedesa zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy.

– To ich samochód? Tamtej nocy zauważyłem, że odwozi i zabiera dziewczyny.

Buncy skinął głową.

– Kierowca jest w środku razem z resztą. Wszedł dwie godziny temu.

Kwadrans.

– Może należało ustalić jakiś limit czasowy albo sygnał, żebyśmy wiedzieli, że nic mu się nie stało?

– Na przykład co? Miałby powiesić skarpetkę na klamce na znak, że pobrał forszę z karty kredytowej? – Wilson roześmiał się z własnego dowcipu i trysnęła mu z nosa jolt cola. – Chryste, ale piecze...

– Nie martwię się, że Braymanowi coś się stanie – powiedział Buncy. – Martwię się, że go zdemaskują, a potem wywalą na zbity pysk, co zniszczy nasze szanse wprowadzenia tam kogoś innego dziś wieczorem. Wiedzą, że ich obserwujemy. Nie zaatakowałiby gliniarza.

– To Brayman? – spytał Walter, odwracając się z powrotem w stronę monitorów.

Wilson wskazał fotografie na ścianie.

– To twoja dziewczyna, Lolita Numer Jeden. Idzie szybko.

Kiedy Walter oderwał oczy od monitora, zauważył tylko rozmazaną plamę, gdy postać oddaliła się od kamery.

Wilson wskazał dwa inne ekrany.

– Zaczekajcie sekundę. Kamery powinny ją złapać tutaj albo tutaj, zależnie od tego, w którym kierunku pójdzie.

Wpatrywali się w monitory, ale dziewczyna znowu się nie pokazała.

– Kurwa, nic z tego nie rozumiem. Przecież nie ma martwych pól.

Buncy zmarszczył brwi.

– Gdzie ona polazła, do cholery?!

– Do licha, odsuń się... – Walter odepchnął potężnego mężczyznę, pobiegł w stronę drzwi, szarpnął klamkę i wyskoczył na chodnik. Zauważył ją w połowie przecznicy, jak łapie taksówkę. Była ubrana w obcisłą czarną sukienkę i czarne pantofle; ciemne włosy miała zaczesane do tyłu.

Walter pobiegł w jej stronę. Przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Kiedy wsiadła do samochodu, wskoczył na siedzenie obok i zatrzaskał drzwi.

Miała zaskoczoną minę.

– Walter?! Co ty tu robisz?

Szukał właściwych słów. Nie mógł ryzykować, że ucieknie.

– Zamierzam dać ci możliwość wyboru.

– Jakiego wyboru?

– Jedź ze mną, natychmiast. Złóż zeznania przeciwko tym typom. Mogę cię wyciągnąć. Zapewnić ci bezpieczeństwo. Z dala od Turgieniewa albo innej kreatury, która cię szantażuje.

Kierowca popatrzył na nich w lusterku wstecznym z kompletnie obojętną miną.

– Dokąd jedziemy, proszę pani?

Podawała mu adres. Ruszył i dotarł do Franklin Avenue, przyśpieszył i włączył się w potok aut.

Jej makijaż był dziełem zręcznej ręki profesjonalistki; bił od niej słodki zapach lawendy. Odłożyła niewielką torebkę trzymaną w ręku. Uśmiechnęła się lekko.

– Chcesz być moim rycerzem w lśniącej zbroi? Taki masz plan, Walterze? Prawie nic o mnie nie wiesz.

– Wiem wystarczająco dużo. Wiem, do czego prowadzi takie życie.

– A jeśli je lubię? Mam pieniądze. Mogę robić, co chcę, kiedy chcę.

– Wiesz, że policja obserwuje ten budynek, prawda?

– Tak?

– Na pewno nie chcesz, żeby cię zwinęli, kiedy wszystkich aresztują. W najlepszym wypadku cię zwolnią, ale będzie się to za tobą ciągnąć przez wiele lat. W najgorszym razie trafisz na długi czas do więzienia. Jeśli zmuszali cię do robienia rzeczy, których nie chciałaś robić, to nie twoja wina. To ty jesteś ofiarą.

Popatrzyła na swoje dłonie.

– Ludzie tacy jak Turgieniew nie pozwalają nikomu odejść. Turgieniew mnie zabije. Albo każe zabić. Kto wie, co zrobi z moimi przyjaciółkami? Nie mogę zostawić Willow.

– Znajdę sposób, żeby ją wyciągnąć. Mogę wam załatwić ochronę dla świadków. Jeśli będziecie współpracować, zadbam, żeby nic wam się nie stało. To wasza szansa, by z tym skończyć, ale musisz natychmiast podjąć decyzję.

Samochód się zatrzymał. Odwróciła się w stronę okna i cicho westchnęła.

– To poważna sprawa, Walterze.

– Mogę ci zapewnić bezpieczeństwo – powtórzył.

Wzięła go za rękę. A może to on ujął jej dłoń? Nie był pewien, ale czuł jej zaciskające się palce i ciepłe ciało; dzielące ich centymetry wydawały się ogromną odległością. Musiała też to poczuć, bo przysunęła się bliżej i oparła mu głowę na ramieniu. Siedzieli tak przez chwilę. Nagle w jej oczach zapalił się psotny błysk. Uśmiechnęła się do Waltera.

– A może najpierw zaprosiłbyś mnie na kolację?

Zanim zdążył odpowiedzieć, wysiadła i obeszła samochód.

Zatrzymali się przed restauracją U Giovanniego. Tą samą, w której zauważył ją w niedzielę z Michaelem Driscollem. Weszła do środka, nie oglądając się za siebie.

Zaklął pod nosem. Kiedy chciał otworzyć drzwi, kierowca skrzywił się ze złością.

– Hej, a kto zapłaci za kurs?!

Walter szybko wyjął z portfela kilka banknotów, rzucił je na przednie siedzenie i podążył za Amy Archer.

PO WEJŚCIU DO LOKALU WALTERA natychmiast zaatakowały dźwięki włoskiej muzyki, zapach czosnku i głosy gości, którzy usiłowali się przekrzykiwać. Hostessa się zmieniła. Dwie trzecie miejsc było zajętych. Spostrzegł kelnera, starszego mężczyznę, wysuwającego krzesło dla Amy przy niewielkim stoliku w odległym kącie, częściowo zasłoniętym przez roślinę doniczkową. Jeśli smarkacz z poprzedniego dnia pracował, nie zdołał go zauważyć.

Przecisnął się w labiryncie stolików i usiadł naprzeciwko Amy.

Uśmiechnęła się, rozwinęła serwetkę i położyła na kolanach.

– To jedna z moich ulubionych restauracji. Zawsze miałam słabość do włoskiej kuchni, prawdziwej włoskiej kuchni. Wielu próbuje ją naśladować, ale *chef* tego lokalu, Luca Gulia, pochodzi z Palermo. Nie zna ani słowa po angielsku, ale to prawdziwy mistrz. Mówiłam mu, że powinien założyć własną sieć restauracji. Nie chce o tym słyszeć. Woli pozostać anonimowy. Moim zdaniem ma to jakiś sens, lecz takie pyszne potrawy powinny być znane na całym świecie, a nie tylko w Detroit.

– Znasz włoski?

– Oczywiście. *Parlo molte lingue, Walter.*

Kelner napełnił wodą dwie szklanki. Walter wziął stojącą najbliżej niego, wytarł kciukiem kropelki na zewnętrznej ściance i odstawił. Nie dotknął jej ustami.

– Dlaczego tu siedzimy? Powinniśmy iść.

Wydeła wargi.

– Nie chcę wychodzić, jeszcze nie. Czekają nas złe dni. Myślę, że jesteś na nie tak samo nieprzygotowany jak ja. Udawajmy, że to randka, dobrze? Pierwsza randka. Pochodzę z niewielkiej farmy w Dubuque w stanie Iowa i poznaliśmy się dzisiaj w kolejce do kasy w markecie. Zaprosiłeś mnie na kolację, a ja lekkomyślnie się zgodziłam.

– Mamy udawać inne osoby?

Usiadła wygodnie na krześle, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Zadrzała i nagle coś się w niej zmieniło. Wyprostowała się. Mięśnie jej twarzy drgnęły i ułożyły się inaczej niż kilka minut wcześniej. Kiedy otworzyła oczy, były inne. Kolor się nie zmienił, nic z tych rzeczy, ale coś było nie tak. Walter nie rozumiał, co się stało. Uniosła ręce, wyjęła kilka szpilek z włosów i pozwoliła im opaść na ramiona; lekko nimi potrząsnęła. Kiedy znowu się odezwała, w jej głosie pojawił się akcent, którego wcześniej nie było, ślad wymowy ze Środkowego Zachodu, zupełnie inny niż zwykle.

– Gdybyś mnie nie zaprosił, to ja mogłabym wykonać pierwszy ruch. Myślę, że nie pozwoliłabym ci odejść.

Walter spoglądał na Amy. Miał wrażenie, że stała się inną osobą.

Powtarzał sobie, że to tylko złudzenie, ale nawet ciemne włosy wydawały się jaśniejsze, pojawiły się w nich złociste pasemka.

Kiedy podszedł do nich kelner, by przyjąć zamówienie na drinki, nic się nie zmieniło. Poruszała się jak inna osoba, język ciała nie przypominał dawnego.

– Chętnie bym coś zjadła, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem głodna jak wilk. Ty też, Henry?

Pochyliła lekko głowę i uśmiechnęła się do niego z przeciwnej strony stołu.

„Henry?”

– Bardzo chętnie.

Popatrzyła na kelnera.

– Proszę *ossobuco alla milanese* z focaccią.

Przed chwilą mówiła po włosku z nienagannym akcentem, lecz teraz wypowiedziała to zdanie koszmarnie, jakby robiła to pierwszy raz.

„Dokładnie tak jak ktoś, kto spędził całe życie w stanie Iowa”.

Walter zamówił niewielką pizzę i usiłował sobie przypomnieć, ile ma gotówki w portfelu. Kelner wziął menu i zniknął w kuchni.

Walter poczuł, jak pod stołem stopa Amy dotyka jego kostki.

– Opowiedz mi o sobie, Henry. Gdzie się wychowałeś?

Pochylił się w jej stronę.

– Nie mamy na to czasu, Amy.

Ona również się pochyliła i odezwała się konspiracyjnym szeptem:

– Nazywam się Velma, Henry. Velma Barfield. To nasza pierwsza randka. Powinieneś przynajmniej mówić do mnie po imieniu. – Uśmiechnęła się psotnie.  
– Nic o tobie nie wiem, ale chyba chciałabym skorzystać z wieczoru. Właśnie dlatego mam w torebce majtki na zmianę.

Kelner wrócił z pieczywem na talerzu, butelką białego wina i dwoma kieliszkami.

– Luca, szef kuchni, przesyła pozdrowienia. – Najpierw napełnił kieliszek Amy, a później Waltera. – Powiedział, że wygląda pani dziś olśniewająco – dodał. – Dzięki pani obecności nasza sala promienieje.

Oblała się rumieńcem i przycisnęła dłoń do policzka.

– Jest słodki. Podziękuj mu w moim imieniu. – Po odejściu kelnera uniosła kieliszek. – Zdrowie tych, którzy widzieli nas w najlepszych i najgorszych chwilach, ale nie potrafią ich odróżnić! Nie pasujemy do świata.

Powiedziała to z akcentem ze stanu Iowa. Wydawał się jeszcze doskonalszy. Walter z trudem przypominał sobie, jak brzmi jej prawdziwy głos. Upiła łyk wina, uśmiechnęła się i odstawiła kieliszek.

– Mój tata robi świetne wino truskawkowe, ale to też jest dobre.

Walter nie dotknął kieliszka stojącego na stole.

– Dlaczego spaliłaś mieszkanie Earla Golstona? Kim był dla ciebie?

Przekrzywiła głowę.

– Earla Golstona? Chyba nie wiem, o kim mówisz.

Walter rozpiął mankiet koszuli, podwinął go i odsunął róg bandaża.

– Może to pomoże ci sobie przypomnieć?

Nie popatrzyła na oparzenie. Uśmiechnęła się i oderwała niewielki kawałek chleba.

– W porządku, Henry. Jeśli nie chcesz mi opowiedzieć o swojej przeszłości, będę zgadywać. – Wyciągnęła rękę nad stołem, obróciła dłoń Waltera i przyjrzała się jej. – Moja babcia była w tym naprawdę dobra, mówiła, że mam talent do wróżenia z ręki. Ale to nieprawda. Ona robiła to wspaniale, bezbłędnie, a ja czasami się myślę, muszę zaczynać wszystko od początku. – Zmrużyła oczy i dotknęła jedną z linii, biegnącą od palca wskazującego do nadgarstka. – Widzę w twoim życiu tragedię. Kiedy byłeś małym chłopcem, spotkało cię coś strasznego. Strata. Ogromna strata. – Popatrzyła na Waltera. – Och, to twoi rodzice, prawda? Zginęli w wypadku samochodowym? Nie, zaczekaj. Chodzi o coś innego. Pożar?

„Noc. Ojciec Waltera stał przed oknem kuchni, oparty plecami o drzewo. Obejmował kobietę, która nie była jego matką. Wsunął jej dłoń we włosy, przycisnął do siebie, ich usta się spotkały. Położyła rękę na jego koszuli, piersi. Zerknął w okno, zauważył syna, patrzył na niego, ale nie mógł się powstrzymać”.

Cofnął rękę.

– To nie jest śmieszne.

– Nie żartowałam. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – To musiało być koszmarnie... wytrzymać coś takiego, zwłaszcza w tak młodym wieku.

– Nie mamy dużo czasu – odpowiedział. – Musimy się skupić na tobie, bo nie będę w stanie nic dla ciebie zrobić. Opowiedz, co się stało w Four Seasons. Byłaś w hotelu Edison?

– Oboje mieliśmy w życiu zmartwienia, smutne chwile. Przypuszczam, że takie doświadczenia nas kształtują. Z gliny można uformować piękny przedmiot, nie trzeba naciskać ze wszystkich stron. Myślę, że to na początku mnie do ciebie przyciągnęło: ukryty ból. Nie jesteś jedyny. Wielu ludzi cierpi, ale twoje cierpienie ma w sobie coś niezwykłego. Przypomina lekko uchylone drzwi, przez które nie można przejść. To nas łączy. Wiem, że to widzisz, kiedy na mnie patrzysz. Właśnie dlatego pragniesz mi pomóc. Ja też chcę ci pomóc. Możemy zniknąć. Zacząć nowe życie gdzieś daleko. Wyleczyć rany i stać się jednością zamiast dwiema połowami o nierównych brzegach. – Skinęła głową w stronę wejścia do restauracji. – Za tymi drzwiami są dwie przyszłości. Pierwsza: zawieziesz mnie do swoich przyjaciół w białej furgonetce z Franklin Avenue, a oni mnie zabiorą i zamkną w klatce. Druga: wyjdziemy razem, weźmiemy się za ręce, pójdziemy chodnikiem, wsiądziemy do samochodu i pojedziemy w daleki świat. Mam pieniądze. Możemy zniknąć.

Chwyliła go za rękę pod stołem. Wiedział, że nie powinien się na to godzić, ale nie cofnął dłoni. Wiedział, że nie powinien patrzeć jej w oczy, ale nie odwrócił wzroku, ponieważ zdawał sobie sprawę, że to, co czeka po drugiej stronie drzwi, nie jest dobre, i nie chciał o tym myśleć, nie teraz, nie w tej wyjątkowej chwili.

Znowu zniżyła głos do szeptu.

– Chcę, żebyś był pierwszą osobą, którą widzę rankiem, i ostatnią, którą widzę wieczorem. Chcę cię czuć w sobie. Nie będziemy mieć przed sobą żadnych sekretów, nigdy więcej.

Walter nie słyszał zbliżającego się kelnera, który stał teraz obok nich i rozstawiał talerze.

Amy – Velma – odchrząknęła, wstała i położyła serwetkę na krześle.

– Pójdę do toalety i umyję ręce. Zaraz wrócę.

Odeszła, nim Walter zdążył zaprotestować. Ruszyła na tyły restauracji i zniknęła za drzwiami w krótkim korytarzu.

Po minucie Walter spytał kelnera:

– Czy da się tamtędy wyjść?

Mężczyzna popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Z toalet? Nie. Jedyne tylne drzwi są w kuchni.

Znowu spojrzał na Waltera, jakby chciał spytać: „Czy pańska randka naprawdę poszła tak źle?”.

Walter wstał i ruszył do niewielkiego korytarza na tyłach restauracji. Zapukał do drzwi z napisem: DONNE/PANIE. Kiedy nikt nie odpowiedział, wszedł do środka.

Kelner miał rację. Nie było drzwi, okna, żadnej widocznej drogi wyjścia – tylko jedna kabina i umywalka na cokole. Toaleta była pusta.

Na lustrze zamazyście napisano czerwoną szminką trzy wielkie słowa: „Do widzenia, Henry!”.



WALTER BIEGŁ.

Wyskoczył z łazienki. Pędził przez zatłoczoną restaurację. Wypadł na chodnik przez drzwi frontowe.

Rozpaczliwie rozglądał się po ulicy, nie widząc śladu Amy. Po prawej stronie restauracji znajdował się wąski zaułek odgradzony bramą. Obok stał kelner, który go obsługiwał: opierał się o mur i palił papierosa.

Walter przywarł do ogrodzenia.

– Hej, jestem z policji! Widziałeś, jak wychodziła tędy moja dziewczyna?

Kelner zareagował z lekkim opóźnieniem.

– Nie. Już panu mówiłem, że to niemożliwe, nawet gdyby próbowała. Klucz od bramy ma Luca, szef kuchni.

Walter wsunął dłoń za drucianą siatkę i potrząsnął kłódką.

Zamknięta.

„Kurwa! Kurwa! Kurwa!”

Kiedy Walter wskoczył do taksówki, kelner krzyknął coś o rachunku.

– Franklin Avenue czterysta piętnaście!

Cztery minuty.

Tyle trwał powrót. Rzucił kierowcy kilka banknotów, nie był pewien ile, ale zupełnie go to nie obchodziło. Wyskoczył z taksówki, pobiegł w stronę białej furgonetki, otworzył drzwi i wgramolił się do środka.

Buncy obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

– Co się dzieje, do cholery?! Gdzie się pan podziewał?

Wilson w dalszym ciągu siedział na swoim miejscu i manipulował pokrętłami, wpatrując się w monitory ze słuchawkami na uszach.

– Gdzie jest dziewczyna? – spytał Buncy.

– Gdzie Brayman?

Buncy oparł potężne ciało o krawędź stołu.

– Widzieliśmy, że wsiadł pan z nią do taksówki. Zgubił ją pan?

„Dwa albo trzy razy, jeśli nie liczyć dworca”.

„A może pozwoliłeś jej uciec?”

Buncy nie zadał tego pytania na głos, ale można było wyczuć, że się nad nim zastanawia.

– Brayman jeszcze nie wyszedł? – naciskał Walter. Spojrzał na zegarek. Jego partner przebywał w kamienicy już przeszło pół godziny.

Buncy pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Wilson próbował coś złapać mikrofonem kierunkowym, ale w środku panuje cisza. Nikt nie wchodził, nikt nie wychodził. Staram się zdobyć nakaz. Sędzia Belton powiedziała...

Walter już go nie słuchał. Wyskoczył z furgonetki i pobiegł do drzwi kamienicy, a potem uderzył w nie pięścią.

– Departament Policji Detroit! Otwierać, natychmiast!

Nacisnął klamkę. Drzwi okazały się zamknięte. Znad nich spoglądało na niego oko niewielkiej kamery, spokojne, nieruchome.

Znowu uderzył pięścią w drzwi.

– Otwierajcie, do cholery!

Na ulicy Buncy i Wilson wychylali się z tylnych drzwi furgonetki.

– Co się dzieje, do cholery?! – spytał teatralnym szeptem Buncy.

Walter wyjął rewolwer, odciągnął w kurek i trzykrotnie strzelił w zamek.

Pierwszy pocisk minął cel i utkwiał w drewnie, ale pozostałe dwa trafiły w płytkę osłaniającą zamek, wybijając dużą dziurę.

Walter chwycił gałkę, otworzył drzwi i wszedł do kamienicy, trzymając przed sobą rewolwer.

O mało się nie potknął o ciało potężnego mężczyzny, który wcześniej wyszedł z kamienicy i zrobił mu awanturę. Ochroniarz leżał na podłodze, oparty leniwie o ścianę, z jedną ręką przy boku, a drugą zgiętą za plecami pod dziwnym kątem. Miał otwarte usta i z sinych warg wypływała lśniąca strużka śliny. Ściekała po tatuażu na szyi na kołnierzyk koszuli. Jedno martwe oko spoglądało na Waltera, drugie było skierowane w prawo, wpatrując się w nieznane. Walter przypomniał sobie zwłoki Earla Golstona w Four Seasons. Nie miał wątpliwości, że w świetle ultrafioletowym okaże się, że ochroniarz ma niewielki ślad na skroni przypominający odcisk palca.

– Brayman! – krzyknął, szybko ruszając korytarzem prowadzącym do salonu.

Całe wyposażenie składało się z drogich antyków. Na każdej kanapie, każdym krześle znajdowały się następne ciała. Siedmiu martwych mężczyzn i cztery kobiety spoglądali na siebie z głowami przekrzywionymi na bok, dłońmi złożonymi na kolanach. Wydawało się, że prowadzą niemą rozmowę. W pokoju

pachniało czymś słodkim, a zarazem kwaśnym. Walter doskonale wiedział, że ci ludzie zmarli niedawno, prawdopodobnie w ciągu ostatnich kilku godzin.

Z góry dobiegała muzyka. Walter znał tę piosenkę: *Crying in the Rain* duetu The Everly Brothers. Jego matka puszczała ich płytę długogrającą tak często, że rowki zupełnie się zdarły i w końcu słychać było tylko szum.

Znowu zawołał Braymana. Biegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz.

W każdych otwartych drzwiach – sypialniach i kilku toaletach – widział kolejne zwłoki. Usiłował nie patrzeć. Podążał w stronę muzyki, śpiewu i cichego dźwięku gitary.

Znalazł Braymana w ostatniej sypialni po lewej.

Leżał na środku łóżka. Całkowicie ubrany, z takim samym martwym wyrazem twarzy jak pozostałe ofiary. Przytuliła się do niego Willow. Trzymała rękę na jego piersi, mieli splecione nogi. Jej skóra była nienaturalnie biała.

Muzyka dobiegała z niewielkiego adaptera stojącego na komodzie. Kiedy piosenka się skończyła, Walter zobaczył, że pałak się unosi, wraca na początek płyty, opada i wszystko zaczyna się od początku. Chwila szumu, a potem akord D-dur na gitarze i leniwe dźwięki perkusji.

**TERAZ**

RIGBY DAŁA wcześniej komórkę Hurwitzowi, który podłączył ją do magnetofonu i urządzenia do namierzania sygnału. Lekko skinęła głową. Wklepał do komputera kilka komend, po czym włączył głośnik i odebrał telefon.

Odezwał się ten sam męski głos co wcześniej:

– Musicie się wycofać.

– Wiesz, że nie możemy.

Hurwitz wycelował kamerę w Waltera O'Briena, który się nie poruszył. W dalszym ciągu siedział w odrapanym samochodzie policyjnym z otwartymi drzwiczkami, patrząc na wejście do klubu. Jeśli słuchał rozmowy, w ogóle tego nie okazywał.

– Wiemy, że macie ludzi w tunelach technicznych i szykujecie się do szturmu. Proszę, by się wycofali. Nie chcemy ich wystrzelać w świetle kamer telewizyjnych.

Rigby popatrzyła na Hurwitza, który ze zmartwioną miną spoglądał na obrazy z kamer grup szturmowych.

Może ludzie Waltera mają własne kamery?

– Dlaczego pan sądzi, że mam ludzi w tunelach technicznych?

– Bo sam bym ich tam wysłał. Byłbym rozczarowany, gdyby pani tego nie zrobiła.

Hurwitz nabazgrał na kartce papieru: „Zgaduje. Nie widzi ich”. Rigby spojrziała na zegar.

– Według pańskiego przyjaciela zostały trzydzieści trzy minuty. Nie nawiązałam z wami dialogu. Nie wysuwacie żadnych żądań. Nie mogę pozwolić, by odliczanie doszło do zera. Muszę coś zrobić.

– Nie obwiniam pani, że wykonuje pani swoją pracę. Właśnie tego się spodziewałem. Ale uprzedzam, że jeśli pani ludzie spróbują się przedrzeć tymi tunelami, zginą. Jeśli w jakiś sposób zdołają zneutralizować jednego z moich strzelców, nie będę miał wyboru i zdetonuję bombę. Będzie pani miała mnóstwo

krwi na rękach. Uważam, że jako osoba dowodząca akcją powinna pani rozważyć wszystkie fakty przed podjęciem decyzji. Walter dał pani USB?

– Nie – skłamała Rigby.

– Nie wiem, czy mogę pani wierzyć.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Powiedzą pani, że Walter to skorumpowany gliniarz, maniak. Nie można się z nim dogadać. Każą go zabić, podobnie jak nas wszystkich. Chcą nas zdyskredytować. Ma pani w ręku dowód.

– Na co?

– Kim naprawdę jesteśmy, co widzieliśmy. Dowód na to, że coś, co nie powinno istnieć, jest realne. Kiedy to się skończy, ludzie będą się domagać odpowiedzi, a pani nimi dysponuje.

Hurwitz szybko przewijał dane na ekranie. Zatrzymał się na folderze o nazwie: „Walter O’Brien – Departament Policji Detroit”.

Po jego otwarciu ukazała się seria dokumentów prawie identycznych z tymi, które niedawno oglądali w bazie danych wydziału spraw wewnętrznych, prawie, ale nie zupełnie...

W aktach nie było notatki, że O’Brien został dyscyplinarnie zwolniony. Znajdowała się informacja: „Odszedł ze służby” wraz z datą 12 sierpnia 1997. Żadnej wzmianki o postępowaniach dyscyplinarnych. Wymieniono dwóch nieżyjących partnerów.

Rigby powiedziała sobie, że to bez znaczenia. Prawdopodobnie jakaś lipa. Niczego to nie zmienia. W dalszym ciągu patrzyła na tykający zegar. Sprawcy wzięli zakładników, a teraz po prostu ją okłamują.

– Myślę, że gracie na zwłokę – odezwała się. – Potrzebuję gestu dobrej woli. W klubie jest mnóstwo ludzi. Im dłużej to potrwa, tym trudniejsza będzie sytuacja. Goście będą głodni. Będą musieli skorzystać z toalety. Niektórzy mogą być chorzy. Zwolnijcie połowę albo dwie trzecie. Dajcie mi coś, co poprawi również waszą sytuację.

– Jeśli ta kobieta nie wyjdzie z własnej woli, bomba eksploduje za trzydzieści dwie minuty. Wizyty w toalecie i przekąski to nie problem.

Hurwitz wskazał coś na ekranie. Rigby przeczytała dokument, a młody człowiek wyświetlił następne. Wszystkie były prawie identyczne, różniły się tylko datami.

– Kasztanowe włosy, szare oczy, dwadzieścia kilka lat – powiedziała. – Zna pan ten opis?

– Coś pani znalazła.

– Walter O’Brien w ciągu jedenastu lat piętnaście razy wysłał ten sam list gończy. Za kobietą poszukiwaną w związku z zabójstwem Alvina Schalka

w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku. Szczególnie często w dziewięćdziesiątym drugim. Amy Archer. Czy to tę kobietę tropicie?

W aktach znajdowała się fotografia, ale okropna. Ziarnista. Prawie nic nie było widać.

– Ile miałyby teraz lat? Przeszło pięćdziesiąt? Jeśli jest w klubie, łatwo będzie ją znaleźć.

– Niech pani odwoła grupy szturmowe.

– Wie pan, że nie mogę tego zrobić.

– Za tydzień będzie pani zeznawała przed komisją dochodzeniową, która szczegółowo zbada każdą pani decyzję. Byłoby mi przykro, gdyby musiała pani tłumaczyć jakieś nieprzemyślane rozkazy i ich konsekwencje, zwłaszcza jeśli można ich było uniknąć. Śledzi pani telewizję?

Mieli na dachu antenę satelitarną, ale żaden z monitorów nie wyświetlał wiadomości. Rigby nie chciała, by telewizja ją rozpraszała. Kiedy ostatnio spoglądała na blokady, zauważyła co najmniej trzy dziennikarskie wozy transmisyjne. Teraz prawdopodobnie jest ich więcej. Reporterzy każą stażystom podsłuchiwać rozmowy policjantów. Zawsze podążają ich tropem. Rigby powtarzała sobie, że wykonują swoją pracę. Pozwalała im na to, dopóki nie wchodzili jej w drogę.

– Wszystkie oczy są zwrócone na panią. Na tę sprawę. Nie powinna pani robić niczego, czego później będzie pani żałować.

– To, co chcę zrobić i co robię, to moja sprawa.

Jeden z komputerów wydał melodyjny dźwięk i Hurwitz uruchomił urządzenie namierzające.

– Wiesz, gdzie jest? – szepnęła Rigby.

Pokręcił głową i napisał na skrawku papieru: „Myślę, że to telefon satelitarny. Przechodzi przez sieć komórkową dopiero na końcu. Ale domyślam się, że źródło znajduje się w pobliżu”.

Zostało trzydzieści jeden minut.

– Chcę, żebyście wypuścili z klubu co najmniej dziesięć osób.

– Nie.

– Powinnam przynajmniej wysłać sanitariusza, by sprawdził, czy wszyscy są zdrowi.

– Nie.

– Proszę wpuścić kogoś z kamerą. Spróbujemy znaleźć tę kobietę. O'Brien może z kamery i...

– To nic nie da.

– Dlaczego?

– Proszę przejrzeć USB.

Grał na zwłokę. Marnował jej czas.

– Kończę. – Rigby się rozłączyła.

„Pieprz się”.

Odetchnęła i nacisnęła guzik transmisji.

– Zespół zielony, zespół niebieski, wchodźcie na mój znak. Trzy, dwa...

– Hej, zaczekajcie! – prawie krzyknął Hurwitz.

– Stop! – powiedziała nagle Rigby.

Nagrania z kamer na hełmach widoczne na kilku monitorach podskoczyły – nerwowe, gwałtowne ruchy – po czym znieruchomiały.

Rigby popatrzyła wściekle na Hurwitza.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Walter O’Brien nie jest jedyną osobą, która wysłała list gończy za dwudziestokilkuletnią kobietą o kasztanowych włosach i zielonych oczach, znaną z kiepskiej fotografii.

Wskazał inny dokument na ekranie.

W rogu znajdowało się logo.

– FBI?



# 1997

## ALIASY?

Amy Archer

Amelia Dyer

Velma Barfield

Ile

## OFIARY?

Alvin Schalk

Dwa ciała /zamrażarka w piwnicy

Niezidentyfikowany mężczyzna /hotel Edison

Aneta Kostenko /~~niezidentyfikowana kobieta~~ /dworzec autobusowy w Corktown

Prywatny detektyw Earl Golston /~~niezidentyfikowany mężczyzna~~ /Four Seasons

Mężczyzna z peronu

Michael Driscoll

## KAMIENICA

Wes Brayman

Rebecca Edgecomb (Willow)

17 innych ofiar

Zacieranie śladów?

Włosy

Paznokcie

Zęby

Notatnik – nazwiska, daty, adresy

Rysunki /związane z dziewczynami?

~~Te same????~~

**Walter O'Brien, trzydzieści trzy lata**

TRZYMAJ NISKO BARK, O'BRIEN! Pochyl się, gdy zadaje cios! Jeśli się cofasz, przeciwnik ma przewagę, może uderzyć z pełną siłą. Pochyl się i wykonaj unik. Przeciwnik spudłuje i straci równowagę!

Walter wykonał zwód w lewo, odskoczył w prawo i wyrzucił do przodu lewą nogę, trafiając przeciwnika w kostkę. Chłopak się potknął, stracił równowagę i wylądował na tyłku.

„Trzeci raz. Zobacz, jak to smakuje, gówniarzu”.

– Lepiej!

Po chwili instruktor Sanchez z FBI zerwał mu czapkę bejsbolową z logo Akademii FBI i rzucił ją na pierś chłopaka.

– Wstawaj, Desmond! Poleżysz jeszcze sekundę i będziesz martwy! Możesz spać, jak będziesz miał wolne!

Tim Desmond, dwudziestosiedmioletni entuzjasta MMA z Cleveland, wstał i popatrzył na kilkunastu rekrutów otaczających matę. Na jego twarzy malowały się zmęczenie i wstyd. Wyprostował się i spojrzał gniewnie na Waltera.

– Daj spokój, staruszkule! Skończ z tymi brudnymi sztuczkami i zadaj prawdziwy cios!

Znowu „staruszek”. Trzydziestotrzyletni Walter był zaledwie sześć lat starszy od Desmonda.

„Jesteś pięć lat starszy od przeciętnego kandydata do pracy w FBI, prawie jedenaście lat starszy od studentów, którzy przychodzą prosto z college'u. Naprawdę jesteś stary, Walterze. Jeśli statystyki cię nie przekonują, co powiesz na ból w brzuchu, gdy wczoraj coś podniosłeś? A orteza na twoim kolanie? Jestem pewien, że wszyscy zauważyli ją pod dressem. Jak długo wytrzymasz, nim dadzą ci naprawę w kość?”

Walter otrzymał uderzenie prosto w żołądek. Wyrzucił powietrze z płuc i jęknął. Usiłował zaczerpnąć tchu, ale nie mógł. Kolejny cios w nerki. Nie próbował się zasłaniać, zdał się na reakcje własnego ciała. Desmond uderzył go

w korpus, a później zadał kolejny cios. Zanim Walter wylądował na ziemi, przekręcił się i zdołał zaczepić nogą o łydkę Desmonda, po czym obaj runęli spleceni na matę.

Nie zważając na ból, podciągnął ramiona, uniósł prawą rękę i zdołał objąć szyję przeciwnika. Zamierzał ją ścisnąć, ale Sanchez dmuchnął w gwizdek.

– Koniec!

Desmond wstał pierwszy i wyciągnął rękę do Waltera. Kiedy Walter wyciągnął swoją, Desmond się odwrócił i ruszył na skraj maty.

– Życie bywa okrutne, dziadku – powiedział.

Sanchez chciał pomóc wstać Walterowi, który nie skorzystał z propozycji. Powoli zaczynał czuć ból w całym ciele, zwłaszcza wokół oparzenia na nadgarstku, gdzie skóra była stwardniała i napięta.

Instruktor popatrzył na twarze rekrutów otaczających matę i wskazał Waltera.

– Widzieliście? Zareagował jak ćpun osaczony przez trzech napastników w ciemnym zaułku. Właśnie tak należy walczyć. Nieważne, że jesteście ranni czy czujecie ból; nie możecie się poddać. Jeśli to zrobicie, będziecie martwi. Załatwi was jakiś debil urodzony w więzieniu. Nie obchodzi mnie, czy skończycie w wydziale przestępstw finansowych, gdzie będziecie się zajmować kreatywnymi księgowymi, którzy mogliby co najwyżej ukłuć was piórem albo poderżnąć wam gardło futerałem na okulary. Kiedy walczyacie, niezależnie od przyczyny, powinniście traktować przeciwnika tak samo: ten facet zamierza mnie zabić, a ja mu na to nie pozwolę. Napastnicy zawsze mają przewagę, nikt nie zakończy walki i będziecie martwi. Nigdy nie traćcie czujności.

– Nie chciałem zrobić mu krzywdy – rzekł cicho Desmond. – Nie chcę, żeby mnie ścigał adwokat stowarzyszenia emerytów.

Nie wywołało to salw śmiechu, na które liczył. Zamiast tego przyczepił się do niego Sanchez.

– Wiesz, co zyskujesz z wiekiem, dupku? Szybkość i odporność. – Zrobił krok do przodu. Desmond był trzydzieści centymetrów wyższy i czterdzieści kilogramów cięższy, ale Sanchez spoglądał na niego wyzywająco. Przekrzywił lekko głowę i zmrużył oczy. – Mam pięćdziesiąt dwa lata, od drugiej klasy podstawówki nie przegrałem ani jednej walki. Byłem raniony nożem, postrzelony i pobity kijem bilardowym, ledwo się wylizałem. Nigdy się nie poddałem, zawsze potrafiłem dać napastnikowi w kość. Chcesz spróbować?

Desmond nie odpowiedział. Sanchez podszedł do niego.

– Tak sądziłem. – Wskazał kciukiem na Waltera. – Ten człowiek sześć lat pracował na ulicach Detroit. Detroit, zastanów się nad tym! A później pięć lat jako detektyw w wydziale zabójstw. Prawie dwanaście lat pracy w terenie, zanim do nas trafił. Wyobraź sobie wszystkie gówna, z którymi miał do czynienia.

Gdybym miał stworzyć dobry zespół, myślisz, że wziąłbym kogoś takiego jak ty, chłopaka prosto po studiach, który przeczytał kilka razy *Podziemny krąg*, czy człowieka mającego doświadczenie?

Patrzył na Desmonda jeszcze pół minuty w całkowitym milczeniu. Kiedy młody mężczyzna w końcu się poddał i zamrugął, instruktor powoli obszedł krąg rekrutów.

– Jeśli chcecie odnieść sukces w FBI, powinniście zapamiętać jedno słowo: doświadczenie. Doświadczenie jest ważniejsze niż wola walki, szkolenie, młodość. Doświadczenie pozwala awansować, a brak doświadczenia może sprawić, że zginiecie. Kiedy się czymś zajmujecie, czy to strzelanina, pożar budynku czy przesłuchanie babci, powinniście obserwować kogoś mającego więcej doświadczenia. Śledzić go, uczyć się od niego. W końcu sami zdobędziecie doświadczenie i inni będą chcieli was naśladować.

Walter chciał, żeby to się wreszcie skończyło, bo kursanci, którzy nie patrzyli na Desmonda albo Sancheza, gapili się na niego. Za żadne skarby nie chciał zwracać na siebie uwagi. W drzwiach sali gimnastycznej pojawiła się kobieta w dresie Akademii, zauważyła Sancheza i podeszła do niego, po czym wszyscy z ulgą odetchnęli.

Kobieta szepnęła coś do ucha instruktora, który spojrzał na Waltera. Chwila wytchnienia się skończyła.

– O'Brien, zastępca dyrektora Harwood zaprasza cię do swojego gabinetu. Pośpiesz się.

AKADEMIA FBI w Quantico w Wirginii to coś więcej niż kampus. Stanowi miniaturową bazę wojskową, niewielkie miasto, samowystarczalne i odizolowane, oazę cywilizacji na pustkowiach Wschodniego Wybrzeża.

Ośrodek sportowy znajduje się przy Bureau Parkway. Walter mógłby dotrzeć do budynku administracyjnego korytarzami, przechodząc przez centrum treningowe i kilka sal wykładowych, ale wolał wyjść na zewnątrz bocznymi drzwiami i przebiec przez trawnik, by zyskać na czasie. Minęła siódma rano, powietrze było rześkie i chłodne. Wstał o szóstej trzydzieści, pokonał tor z przeszkodami, a później ćwiczył z kolegami w sali gimnastycznej. O ósmej miał zajęcia z uwalniania zakładników. Cuchnął potem. Jeśli chciał wziąć prysznic i zmienić ubranie, musiał to zrobić szybko: nie powinien tracić cennego czasu na spacer długimi korytarzami, gdzie bieganie było zabronione. Droga na zewnątrz powinna skrócić dystans o połowę.

Otworzył szklane drzwi i dotarł do gabinetu Harwooda w rekordowym czasie. Sekretarka dyrektora rozmawiała przez telefon; zerknęła na przepocone ubranie Waltera, zasłoniła dłonią słuchawkę i wskazała drzwi za swoimi plecami.

– Czekają na pana.

„Liczba mnoga? Kilka osób?”

Minął kobietę, przełknął ślinę i zastukał do drzwi gabinetu Harwooda.

– Proszę wejść.

Nigdy wcześniej nie rozmawiał z zastępcą dyrektora, ale kilka razy widział go na terenie kampusu. Pod pięćdziesiątkę, zadbany. Ciemne włosy i okulary, które wydawały się trochę za duże na pociągłej twarzy. Stał za biurkiem z podwiniętymi rękawami koszuli; marynarka wisiała na krześle.

– Zamknij za sobą drzwi, O'Brien, i usiądź.

W pokoju znajdował się inny mężczyzna. Niski, barczysty, umięśniony, w przyciasnym ciemnoszarym garniturze. Może były wojskowy? Wydawał się

zaledwie kilka lat starszy od Waltera, ale emanował autorytetem. To on jest dowódcą, niezależnie od oficjalnej hierarchii.

Walter usiadł na jednym z drewnianych krzeseł i zerknął na akta na biurku Harwooda. Było ich kilka, ale zdołał przeczytać tylko swoje nazwisko napisane na teczce na wierzchu.

– Przepraszam za swój wygląd. Przybiegłem prosto z ćwiczeń gimnastycznych. Cieszę się, że wreszcie pana poznałem, sir.

Harwood machnął ręką.

– Dajmy spokój formalnościom, dobrze? Mam następne spotkanie za dwanaście minut, więc musimy się streszczać. – Usiadł wygodnie na krześle, poprawił okulary i spojrzał na akta Waltera. Drugi mężczyzna stał z boku, nawet nie próbował się przedstawić. – Jedenaście lat w policji Detroit, z tego pięć w wydziale zabójstw jako detektyw – ciągnął Harwood. – Kilka drobnych plam na życiorysie, ale wygląda na to, że nieźle sobie radziłeś. Muszę cię o coś spytać. Dlaczego wybrałeś FBI? Dlaczego tu jesteś? Dlaczego teraz?

– Potrzebowałem odmiany.

Harwood zdjął okulary i popatrzył na Waltera.

– Wszyscy straciliśmy partnerów, współpracowników, przyjaciół... Jeśli uciekasz przed bólem, marnujesz czas. Tu też cię dopadnie.

– Przed niczym nie uciekam.

– Jak właściwie zginął twój dawny partner, Wesley Brayman?

– Zdarzyło się to sześć lat temu. Byliśmy partnerami dopiero od tygodnia. Bardzo dokładnie opisałem wszystko w raporcie. – Walter skinął głową w stronę teczki. – Powinna tam być kopia. Druga strona, na dole. Poznaję nagłówek.

Harwood nie spojrzał na teczkę. Wyjął drugi arkusz i przesunął po blacie biurka w stronę Waltera.

– Cieszę się, że możesz na to zerknąć, bo nic z tego nie rozumiem.

Przynajmniej dwie trzecie tekstu utajniono. Nazwiska, adresy i ważniejsze szczegóły były zamazane na czarno. Walter wiedział, że oficjalnie za przyczynę zgonu Braymana uznano zator tętnicy płucnej. Jego emeryturę, świadczenie na wypadek śmierci i ubezpieczenie na życie wypłacono córce, o której nikt wcześniej nie słyszał, mieszkającej w Kalifornii.

Dwa dni po wydarzeniach w kamienicy Waltera wezwano do gabinetu kapitana Hazletta. Mężczyzna podobny do umiśnionego gościa stojącego w tej chwili po prawej stronie Harwooda oświadczył, że śledztwo zostało przejęte przez inną agencję i że nie może podejmować żadnych czynności w tej sprawie. Gdyby próbował to zrobić, jego kariera byłaby zagrożona, naraziłby się na postępowanie karne, a firmy ubezpieczeniowe i agencje rządowe, które wypłaciły odszkodowania córce Braymana, mogłyby żądać zwrotu pieniędzy.

Czasami należy wszystko zatuszować; skoro zapadła decyzja, że Brayman zmarł śmiercią naturalną, nie wolno dopuścić, by ujawniono prawdę.

Kiedy Walter słuchał wyjaśnień mężczyzny, Hazlett milczał. Trzy dni później Walter odwiedził lekarkę sądową, Jane Ackerman, która dała jasno do zrozumienia, że usłyszała podobne groźby. Sprawa się zakończyła. Buncy i Wilson nagle stali się niezwykle małomówni, więc Walter przestał zajmować się sprawą. Przynajmniej oficjalnie.

Poszedł obejrzeć dowody rzeczowe w magazynie w piwnicy, ale szybko odkrył, że zniknęły, razem z pudłem z materiałami z mieszkania Schalka.

Był pewny, że przez jakiś czas go śledzono, ale szybko się to skończyło. Kiedy wrócił do służby, wydarzenia w kamienicy wydawały się odległym wspomnieniem. Nie tylko jemu, lecz wszystkim detektywom wydziału. Po tygodniu z sali śniadaniowej zniknęła nawet oprawiona w ramkę fotografia Braymana, znacznie młodszego i w mundurze.

Historię szybko napisano po cichu na nowo. Walter jednak nie protestował.

Nieznajomy mężczyzna, który wytłumaczył wszystko Walterowi w gabinecie Hazletta (i niewątpliwie odwiedził również Ackerman, Buncy'ego i Wilsona), był bardzo podobny do człowieka stojącego w tej chwili obok Harwooda. Wydawali się ulepieni z jednej gliny.

Raport złożony przez Waltera miał prawie dziewięć stron i zawierał wszystko, co udało mu się zapamiętać, nawet szczegóły na temat Amy Archer. Przełał całą swoją wiedzę na papier. W owym czasie nie obchodziło go, kto przeczyta raport, co sobie pomyśli i jak to wpłynie na jego karierę. Chciał po prostu przedstawić fakty. Obecnie ktoś ocenzurował raport i przekazał Harwoodowi.

Zastępca dyrektora puknął palcem w papier.

– Twój raport nie podaje, jak zginął Brayman. Przynajmniej nie mogę tego wywnioskować z kilkunastu słów, które są ciągle czytelne, więc może mi powiesz?

– Bardzo mi przykro, sir. Nie wolno mi udzielić tych informacji.

Walter zawsze zakładał, że zakaz udzielania informacji pochodzi ze szczebla federalnego, ale skoro nieocenzurowanej kopii raportu nie otrzymał nawet zastępca dyrektora FBI, to jak wysoko zapadła decyzja?

Harwood patrzył przez chwilę na Waltera, po czym wyjął z teczki kolejną kartkę.

– Kilka plam na twoim życiorysie ma związek z alkoholem. Ciągle pijesz?

Walter pokręcił głową.

– Nie. Już od... pięciu lat.

Barczysty mężczyzna położył dłoń na ramieniu Harwooda i odchrząknął. Zastępca dyrektora znowu popatrzył na Waltera, wygładził kilka kartek, schował



je do teczki, wstał i włożył marynarke.

– Idę na następne spotkanie. Zostawiam was samych.

Barczysty mężczyzna odczekał, aż Harwood zamknie drzwi i ucichnie jego wymiana zdań z sekretarką. Później usiadł w fotelu Harwooda i odchylił się do tyłu.

– Dziwny z siebie człowiek, Walterze O’Brienie. – Mówił ochrypłym głosem nałogowego palacza albo sierżanta piechoty morskiej, który przez całe życie wrzeszczał na rekrutów.

– Dlaczego? – spytał Walter.

Nieznajomy sięgnął do czarnej torby stojącej obok jego stóp, wyjął teczkę i ułożył je na biurku. Walter znał nazwiska widoczne na okładkach: „Alvin Schalk”, „Aneta Kostenko”, „Earl Golston”. Na jednej znajdował się napis: „Niezidentyfikowany mężczyzna /hotel Edison”.

– Widzisz rzeczy, których nie widzą inni, i nie boisz się gonić za błędnym ognikiem, nawet jeśli parzy.

WALTER OTWORZYŁ USTA, by odpowiedzieć, po czym znowu je zamknął, bo mężczyzna zaczął wyjmować z innej teczki rysunki. Większość była nadpalona. Wszystkie pachniały dymem nawet z daleka, nawet po tylu latach.

– Skąd pan to wziął? Mieszkanie Golstona spłonęło. Obejrzałem je i nic w nim nie zostało. – Spojrzał na mężczyznę. – A słoiki z włosami, zębami i paznokciami? Też je pan znalazł?

Mężczyzna milczał i dalej rozkładał rysunki. Kiedy skończył, sięgnął do torby, a następnie wyjął oryginalny notatnik Golstona i mapy, na których Brayman zaczął oznaczać adresy, lecz nigdy nie skończył. Położył je na biurku. Miał nawet kilka dużych fotografii tablicy powieszanej przez Waltera i Braymana w sali wydziału zabójstw. Zniknęła, gdy Walter był na urlopie.

Walter spojrział na biurko i zmusił się do zachowania obojętnego wyrazu twarzy. Ignorował mocne bicie serca w piersi.

– Chcę, żebyś mi o tym opowiedział – odezwał się nieznajomy.

Walter przypomniał sobie wizytę w gabinecie Hazletta i groźby, zwłaszcza związane z córką Braymana. Mogła to być pułapka albo sprawdzian. Nawet jeśli nie, dlaczego miałby coś mówić, skoro mężczyzna niczego nie powiedział?

– Już od dawna nie zajmuję się tą sprawą.

– Nie musisz udawać, O'Brien. Jesteś wśród przyjaciół. Wiemy, że zajmowałeś się tym śledztwem na własną rękę. Powiedz, co odkryłeś.

Byli sami w pokoju. Użycie słowa „przyjaciele”, w liczbie mnogiej, zastanowiło Waltera.

– Kim pan jest? Mógłbym zobaczyć legitymację?

Mężczyzna zakołysał się lekko w fotelu Harwooda i wyjrzał przez okno, za którym przebiegała czwórkami grupa około trzydziestu kursantów.

– Myślę, że doskonale wiesz, kim jestem. Człowiekiem, którego oficjalnie tu nie ma. Ochrona nie odnotowała mojego wejścia na teren kampusu. Gdyby ktoś spytał Harwooda, szybko odpowiedziałby, że spotkał się z tobą sam na sam.

Mam w biurze młodego człowieka, którego jedyne zadanie polega na tym, by stwarzać pozory, że nie ma mnie tam, gdzie jestem. Jest w tym cholernie dobry. Wystarczy, że kupię Big Maca w Nowym Jorku i już po minucie ma trzy dowody, że to nie mogłem być ja, bo przebywałem w tym czasie w Honolulu i opalałem się na plaży. Właśnie taki jestem. Nie ma mnie tutaj, nie byłem w mieszkaniu Golstona, gdy się spaliło, podobnie jak w burdelu na Franklin Avenue, kiedy próbowałem się zorientować, co się dzieje, i trzy razy wysłuchałem tej przekłętej piosenki The Everly Brothers. To ja przed laty przez dwie godziny przetrząsałem twoje mieszkanie w Detroit, gdy po raz pierwszy zaczęłaś węszyć wokół tej sprawy. To ja przejrzałem dziś rano twoją szufladę z bielizną, kiedy biegałeś po lesie. Możemy to rozegrać na dwa sposoby. Pierwszy wariant: spędzimy następną godzinę, rozmawiając o twoim trudnym dzieciństwie i o tym, jak mogę ci pomóc w karierze albo ją zakończyć. Drugi wariant: możemy się skupić na szczegółach, porównać doświadczenia, może sobie pomóc. – Pochylił się i pukał palcem w notatnik Golstona leżący na rogu biurka Harwooda. – Myślę, że obaj wiemy, co to znaczy. Golston wszystko odkrył. Kiedy zobaczyłem jego notatki, zjeżyły mi się włosy na głowie.

Walter usiłował nie patrzeć na notatnik prywatnego detektywa. Nie chciał ryzykować. Brayman zdołał zrobić kopię, nim zwrócił oryginał do magazynu dowodów rzeczowych. Walter zabrał kopię z forda crown victoria, nim wydział spraw wewnętrznych odholował samochód. Zastanawiał się, czy nie zwędzić map, ale doszedł do wniosku, że lepiej je zostawić. Ich odtworzenie zajęło zaledwie kilka godzin. Później posunął się znacznie do przodu.

Kiedy się nie odezwał, mężczyzna ciągnął:

– W porządku, chcesz grać w ten sposób? W takim razie to ja zacznę. – Odszukał na biurku najstarszą teczkę. – Alvin Schalk, zabity ciosem tępego narzędzia w głowę. W czasie sekcji odkryto, że w lewym ramieniu, tylko lewym, znajdowały się liczne guzki nowotworowe. Nie była to przyczyna zgonu, ale w końcu umarłby na raka. Założę się, że jesteś ciekaw, jak wyglądało jego ramię w ultrafiolecie. Wasz lekarz sądowy tego nie sprawdził i minęło kilka lat, nim się zorientowaliśmy. Zrobiono to krótko po tym, jak w osiemdziesiątym szóstym przejęliśmy zwłoki.

Sięgnął do teczki i wyjął błyszczącą, kolorową fotografię ramienia Schalka formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Doskonale ukazywała spektrum barw widocznych w ultrafiolecie: fiolet, granat i róż. Poniżej kości nadgarstka znajdował się lśniący odcisk dłoni. Otaczał nadgarstek; wyraźnie widać było ślady czterech drobnych palców. Mężczyzna wyjął inne zdjęcie wewnętrznej części nadgarstka Schalka, gdzie znajdował się odcisk kciuka.

Położył obie fotografie obok siebie i sięgnął do następnej teczki.

– To Glenn Beede, znaleziony nagi i martwy w łóżku w hotelu Edison. Myślę, że ciągle uważasz go za niezidentyfikowaną ofiarę. Wiesz również, że na jego zwłokach znaleziono podobny ślad. Pokazał ci go lekarz sądowy. Beede nie był nikim wyjątkowym, lubił ekskluzywne prostytutki, ale nie odwiedzał hoteli, w których trzeba płacić kartą kredytową. Kiedy zamawiał dziewczynę, jechał do centrum miasta i znajdował hotel przyjmujący gotówkę. Postanowił coś zmienić. Była to jego jedyna wizyta w hotelu Edison. Co ciekawe, ostatni raz telefonował do Elite Escorts z automatu dwie przecznice od hotelu Edison. Jestem pewien, że Brayman sprawdziłby billingi okolicznych budek telefonicznych, ale myślę, że tę by przeoczył: znajdowała się trochę za daleko. Jednak jestem prawie przekonany, że wiesz, kogo Elite wysłało, by obciągnął mu fiuta.

Mężczyzna nie patrzył na szkice leżące na biurku, ale Walter na nie spojrział. Nie chciał, lecz nie mógł się powstrzymać.

Nieznajomy sięgnął po następną teczkę.

– Oczywiście znasz Anetę Kostenko. Miesiąc wcześniej pracowała w Elite Escorts. Myślimy, że widziała coś, czego nie powinna, po czym śmiertelnie się przeraziła i uciekła. Ktoś, przed kim uciekała, dopadł ją na dworcu autobusowym w Corktown. Na jej ciele pojawił się odcisk dłoni, poza tym zachorowała na kilka śmiertelnych odmian raka; miała ich więcej niż całe hospicjum w Boca Raton na Florydzie. Zdradzę ci mały sekret: nie uciekała przed Sergiuszem Turgieniem. Tego dnia wcale nie był najbardziej przerażającą osobą w okolicy, co mówi samo za siebie.

Wyciągnął teczkę Earla Golstona, ale odłożył ją na bok.

– Za chwilę porozmawiamy o naszym prywatnym detektywie. Bardzo się w to zaangażował, więc to trochę potrwa. – Wyjął szarą tekturową teczkę, otworzył ją, wyciągnął kolejny plik fotografii i rozłożył na blacie na pozostałych papierach. – Dziewiętnaście trupów w kamienicy. Ładna, czysta robota. Wszyscy zmarli z przyczyn naturalnych: zator, wylew, tętniak mózgu, dwa zawały... Chryste, musiałem zrobić specjalną listę, żeby to zapamiętać. – Machnął ręką. – Lekarze sądowi oczywiście podali błędne przyczyny zgonu, ale myślę, że obaj rozumiemy, że trafiliśmy na prawdziwą bombę. Mam wcześniejsze raporty, rozumiesz?

Walter zamierzał kiwnąć głową, ale się powstrzymał. Nie chciał niczego zdradzić. Mężczyzna położył rękę na fotografii przedstawiającej Braymana leżącego na łóżku i obejmowanego przez Willow.

– Pozostaje jednak pytanie, czy przyczyna zgonu to tylko tętniak albo inne choroby, które przed chwilą wymieniłem. Jak wytłumaczyć, że dziewiętnaście osób zmarło w odstępie kilku minut, wszyscy z przyczyn naturalnych? Ludzie, którzy godzinę wcześniej byli względnie zdrowi?

Walter milczał.

– Dwadzieścia dziewięć osób zmarłych z przyczyn naturalnych.

Milczał przez chwilę, a kiedy Walter ciągle się nie odzywał, zniżył głos.

– Wiem, że przychodziło ci to do głowy, prawdopodobnie wiele razy, ale to jedna z rzeczy, które odrzucasz, ponieważ jako detektyw uważasz je za niemożliwe. A jednak wiem, że się nad tym zastanawiałeś. Do licha, była to pierwsza rzecz, o której pomyślałem, gdy zobaczyłem te lśniące odciski dłoni. – Zaczął mówić jeszcze ciszej. – Ci ludzie zostali зараżeni. Nie pytaj mnie, jak to się stało, bo nie wiem, ale w jakiś sposób zostali зараżeni śmiercią. Wsunąłem także hipotezę, że w jakiś sposób wyszano z nich życie; to wydaje się bardziej sensowne niż inne teorie. – Popatrzył na ofiarę z hotelu Edison. – Glenn Beede. Wygląda to tak, jakby ktoś wbił w niego słomkę i wyssał z niego życie. To samo z Anetą Kostenko. I z twoim kumplem Michaelem Driscollem, nie możemy o nim zapominać. U niego mogło się to posuwać trochę wolniej, ale na pewno zaraził się tą samą chorobą. Później Earl Golston i inni ludzie z kamienicy. Wystarczyło dotknięcie. – Popukał się w skroń palcem wskazującym. – Natychmiast zginęli, jakby strzelono im w głowę. Jakby ktoś chciał szybko oczyścić dom przed wyjściem. Prędko i skutecznie.

Rozmówca Waltera zerknął na zegarek i zaczął chować akta do torby. Rysunki Golstona przedstawiające dziewczynę zostawił na koniec.

– Wiem, że masz do niej słabość, O'Brien. Coś między wami było. Szczerze mówiąc, ciągle nie jestem pewien, po której stronie stoisz, ale mogę cię zapewnić, że powinienesz stać po mojej. W swoim interesie.

– Ciągle nie wiem, kim pan jest.

Kiedy biurko Harwooda było puste, mężczyzna powiedział:

– Nazywam się Lincoln Sealey i jestem albo twoim najlepszym przyjacielem, albo najgorszym wrogiem. – Wstał i ruszył w stronę drzwi. – Masz spakowaną torbę podróżną?

– Jeśli przeszukał pan mój pokój, wie pan, że mam. To część szkolenia.

– Weź ją. Spotkajmy się za dziesięć minut na polu w pobliżu wschodniej bramy. Chcę ci pokazać coś jeszcze.

AGENCI FBI CZĘSTO wyjeżdżają służbowo i zwykle dowiadują się o tym w ostatniej chwili, więc po przybyciu do Akademii kandydatów do pracy w Biurze uczy się, że powinni mieć przygotowany bagaż na wypadek nagłego wyjazdu. Walter miał duży worek marynarski zawierający pięć ubrań na zmianę, podróżne wersje artykułów toaletowych, magnetofon mikrokasetowy i pudełko amunicji do pistoletu kalibru 9 milimetrów. Większości kursantów wydawano broń osobistą dopiero po zakończeniu nauki, ale Walterowi pozwolono zachować swoją z powodu wcześniejszej służby w policji.

Trzymał torbę w szafie, obok podobnej torby współlokatora, ale kiedy wszedł do pokoju, zauważył ją leżącą na łóżku. Nie było żadnych innych oznak, że Sealey odwiedził jego kwaterę, ale to wystarczyło. Walter uniósł materac i odkrył, że jego kopia notatnika Golstona oraz mapy i notatki prowadzone na przestrzeni lat zniknęły.

Będzie się tym martwił później.

Sealey dał mu zaledwie dziesięć minut. Stracił dwie na bieg do Madison Building naprzeciwko kompleksu administracyjnego. Szybko zrzucił przepocone ubranie, poświęcił cztery minuty na prysznic, wytarł się, ubrał i wybiegł. Zostały dwie minuty. Na kampusie w Quantico nieustannie krążyło kilka minibusów; zdołał wsiąść do jednego z odjeżdżających sprzed akademików. Liczył upływające sekundy, gdy bus ruszył Bureau Parkway w stronę wschodniej części kompleksu. Nie czekał, aż wykona pełne okrążenie; wysiadł przy Hoover Road i pobiegł po trawie do wschodniej bramy.

Spodziewał się zobaczyć samochód, ale kiedy się zbliżył, przypomniał sobie, że Sealey mówił o polu w pobliżu wschodniej bramy, a nie o samej bramie. I rzeczywiście, na polu stał biało-niebieski helikopter Bell 206 z coraz szybciej wirującymi łopatami. Sealey wskazał otwarte tylne drzwi i dał znak, by Walter wsiadł.

– Tak będzie szybciej! Na autostradzie jest korek z powodu wypadku! – krzyknął. Wręczył Walterowi słuchawki, zatrzasnął drzwi i klepnął pilota w ramię. Po chwili wzbili się w powietrze i polecili nad kampusem.

Słuchawki Waltera miały mikrofon, ale kiedy się odezwał, wydawało się, że Sealey go nie słyszy. Zobaczył jego poruszające się wargi; może mówił coś do pilota. Zdał sobie sprawę, że korzysta z innego kanału. Wyciągnął rękę w stronę selektora znajdującego się nad głową, ale gdy próbował obrócić tarczę, Sealey pokręcił głową i szepnął, by dał spokój; Walter odczytał to z ruchu jego ust.

Niespełna trzy minuty później wylądowali w bazie sił powietrznych piechoty morskiej położonej w pobliżu Akademii.

Zanim śmigła zwolniły, Sealey otworzył drzwi i wyskoczył na ziemię, po czym dał Walterowi znak, by podążył za nim. Pobiegł skulony w stronę niewielkiego odrzutowca stojącego w odległości około piętnastu metrów na asfaltowym pasie startowym. Czarna torba obijała mu się o nogi. Walter ruszył za nim, trzymając w ręku worek marynarski. Weszli po schodkach do samolotu, może gulfstreama, Walter nie był pewien. W maszynie znajdowali się tylko Sealey i dwóch pilotów. Sealey usiadł na jednym z foteli i położył obok torbę. Wskazał Walterowi miejsce naprzeciwko siebie i zwrócił się do pilota:

– Lecimy. Mamy mało czasu.

Drugi pilot wstał z fotela, podszedł do drzwi i nacisnął guzik. Rozległ się syk, schodki zostały wciągnięte do odrzutowca przez mechanizm hydrauliczny. Pilot zamknął drzwi, zablokował je ręcznie, sprawdził i wrócił do kokpitu. Po chwili samolot ruszył. Niespełna minutę później znaleźli się w powietrzu.

– Dokąd lecimy?

Walter nie spodziewał się, że Sealey odpowie, więc był trochę zaskoczony, gdy to zrobił.

– Do Atlanty. Cóż, na przedmieścia.

– Co z moimi zajęciami w Akademii?

Sealey nie odpowiedział. Otworzył niewielką szafkę, w której znajdował się minibarek z bogatym asortymentem drinków i przekąsek.

– Chcesz się czegoś napić?

Walter miał już dość tajemnic.

– Chcę, żeby mi pan powiedział, co się właściwie dzieje.

Sealey wzruszył ramionami, przyjrzał się butelkom i wyjął jedną.

– Ja napiję się szkockiej.

– Jestem abstynentem, pamięta pan?

Sealey przewrócił oczami, wyjął puszkę napoju gazowanego i postawił ją przed Walterem.

Otworzył torbę, wyjął teczkę i notatnik Golstona i położył je na stole. Później wyciągnął kopię notatnika Golstona wykonaną przez Waltera, jego prywatne notatki i mapy sporządzone na przestrzeni lat. Przejrzał notatnik, zatrzymując palec na kilku wpisach – datach, inicjałach, nazwach miast.

– Ile spraw udało ci się odkryć?

Było prawie pewne, że zna odpowiedź.

– Sześć – odparł Walter.

Sealey znowu przejrzał notatnik skopiowany przez Waltera, tym razem wolniej.

– Które? Nie zaznaczyłeś ich.

– Nie, nie zaznaczyłem.

Sealey zacisnął usta i położył dłoń na notatniku.

– Cóż, biorąc pod uwagę to, czym dysponowałeś, przypuszczam, że sześć spraw w ciągu pięciu lat to całkiem niezły rezultat. Wiem o Lou Morterze z Tamy. Kazałem ci śledzić, gdy tam poleciałeś dwa lata temu. Jim Malerman w Austin. Zidentyfikowaliśmy George’a Grendala już w czterdziestym ósmym. Kim byli inni?

Walter ciągle milczał.

Sealey westchnął, wypił łyk szkockiej i spojrzał na białe chmury poniżej odrzutowca. W dalszym ciągu nabierali wysokości.

– Jeśli nie chcesz pomóc, możemy zakończyć tę sprawę.

Walter usłyszał pyknięcie w uszach z powodu wysokości, wsadził do ucha palec, próbując je odetkać, ale mu się nie udało. Usiadł wygodniej w fotelu.

– A ilu ty znalazłeś?

Sealey odstawił szklaneczkę i zakręcił nią na blacie stołu.

– Większość lokalnych komend policji jest już skomputeryzowana, ale w bazach danych panuje chaos. Wszyscy używają innego oprogramowania. Można kupić około sześciu gotowych aplikacji wspomagających pracę policji; istnieje kilkanaście typów baz danych. FBI próbuje to uporządkować, włączyć dane do systemu NCIS, ale zajmie to jeszcze kilka lat. Poza tym w mniejszych miejscowościach, których nie stać na komputeryzację, policjanci ciągle pracują na papierze. Niektóre komendy są gdzieś pośrodku: mają system komputerowy, ale wklepują ręcznie informacje o dawnych sprawach. Może to trwać latami. Opracowaliśmy technikę opartą na zestawie podobieństw. Opierając się na adresach w notatniku, datach i inicjałach, przeszukujemy bazy danych pojawiające się w internecie i typujemy ofiary. Mój zespół zdołał znaleźć dwadzieścia trzy sprawy w NCIS i kilku innych federalnych bazach danych; zbieramy informacje przynajmniej o dziewięciu podobnych przypadkach.



Wszystkie osoby zmarły z przyczyn naturalnych, co nie ułatwia pracy, bo musimy badać dokumentację medyczną i akta koronerów.

– W notatniku jest sto czterdzieści dziewięć wpisów.

Sealey skinął głową.

– Tak. Z okresu blisko pięćdziesięciu lat i prawie każdego stanu. Widać to na mapie: obejmują cały kraj, pojawiają się na Wschodnim Wybrzeżu, potem Zachodnim Wybrzeżu i znowu na Wschodnim Wybrzeżu. – Skinął ręką, po czym wypił kolejny łyk szkockiej. – Najciekawsze jest to, że im więcej nazwisk odnajdujemy, tym mniej ważna wydaje się identyfikacja ofiar. Każda ofiara jest podobna: martwy mężczyzna pomiędzy dwudziestym a czterdziestym rokiem życia zmarły z przyczyn naturalnych w niezwykłych okolicznościach. Tak czy inaczej, rekonstruujemy jej trasę.

Puknął palcem w jeden z rysunków w notesie, dotykając ciemnych włosów dziewczyny.

– Wszyscy to mężczyźni?

Sealey uniósł dłoń.

– W notatniku tak, ale znaleźliśmy również kilka ofiar płci żeńskiej z różnych okresów. Jednak motywy wydają się inne. Wygląda na to, że kilka kobiet weszło jej w drogę, jak ofiara z dworca autobusowego, Aneta Kostenko. Uważamy, że Kostenko zobaczyła coś, czego nie powinna, a później twoja dziewczyna szybko, brutalnie ją uciszyła.

– Moja dziewczyna? – spytał cicho Walter. – Amy Archer nie żyła w czasie, gdy Golston prowadził większość swoich notatek. Tropił jakąś kobietę, ale nie ją.

– Nie jestem wcale taki pewny. To coś znacznie poważniejszego. Nie chodzi tylko o Amy Archer. – Sealey dopił szkocką i znowu napełnił szklaneczkę. –

Może to rodzina, grupa spokrewnionych kobiet? Matki, córki, siostry... Amy Archer nie jest nawet prawdziwym imieniem twojej przyjaciółki.

Walter miał wrażenie, jakby dostał cios w brzuch.

– Co takiego?!

W oczach Sealeya pojawił się błysk.

– Tyle lat, tyle pseudonimów i naprawdę wierzysz, że podała ci prawdziwe nazwisko? Może pokładałem w tobie nadmierne nadzieje, O'Brien.

Sięgnął do torby, wyjął notatnik i położył między nimi na stole. Na pierwszej stronie znajdowało się kilka nazwisk.

– Pierwsze nazwisko, w sprawie George'a Grendala, to Jane Toppan, prawda?

Walter skinął głową.

– No cóż, Jane Toppan to pseudonim kobiety o nazwisku Honora Kelley, urodzonej w tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku. Została zatrzymana

w tysiąc dziewięćset pierwszym roku i przyznała się do trzydziestu jeden morderstw. Zwróć uwagę na jeden szczegół: powiedziała policjantom, którzy ją aresztowali, że jej celem było „zabić więcej ludzi, bezbronnych ludzi, niż ktokolwiek inny”. Niezła baba. Imię, które twoja dziewczyna na początku ci podała, Amy Archer, również ma swoją historię. Prawdziwa Amy Archer, lepiej znana jako Amy Duggan Archer-Gilligan, zabiła między tysiąc dziewięćset dziesiątym a tysiąc dziewięćset siedemnastym rokiem pięć osób w stanie Connecticut, a prawdopodobnie nawet więcej. Była właścicielką domu opieki. Później natrafiliśmy na nazwisko, które twoja dziewczyna podała Michaelowi Driscollowi.

– Amelia Dyer.

– Tak, Amelia Dyer. Kolejna gwiazda. Zidentyfikowaliśmy trzysta do czterystu morderstw przypisywanych prawdziwej Amelii Dyer. Popęłniła je w Wielkiej Brytanii między tysiąc osiemset osiemdziesiątym a tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym. Specjalizowała się w dzieciach. Adoptowała za pieniądze nieślubne dzieci córek bogatych rodziców, po czym je zabijała i pozbywała się zwłok. Potwór z piekła rodem, odniosła sukces finansowy i stała się bogatą kobietą. Kiedy ją aresztowano, wynajęła dobrych adwokatów, ale w niczym jej to nie pomogło: i tak ją powiesili.

Sealey obrócił notatnik w stronę Waltera, by mógł przeczytać listę nazwisk.

– Kogo tu jeszcze mamy? Jak ci się przedstawiła w czasie udawanej randki we włoskiej restauracji?

– Jako Velma Barfield.

– Dubuque w stanie Iowa, tak?

Walter kiwnął głową.

– Cóż, nie wszystko się zgadza. Mam na myśli Iowę. Prawdziwa Velma Barfield urodziła się w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku jako Velma Bullard w Karolinie Południowej; stracono ją za pomocą śmiertelnego zastrzyku w siedemdziesiątym ósmym. Popęłniła sześć morderstw. Barfield to nazwisko po mężu. – Sealey spojrzął Walterowi w oczy. – Problem polega na tym, że stale cię oszukiwała. Każde nazwisko, które ci podała, było fałszywe. Uważam, że specjalnie wybierała nazwiska seryjnych morderczyń; uważała to za żart. Może chciała sprawdzić, czy się zorientujesz? Nie tylko ty; o to właśnie chodzi. Golston miał notatki sięgające tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, ale moim zdaniem to nie był początek. Natrafił na tę sprawę gdzieś w środku, tak samo jak ty i ja. Kto wie, kiedy tak naprawdę się zaczęła? Myślę, że mamy do czynienia z długim ciągiem seryjnych morderczyń, czarnych wdów, jakoś ze sobą związanych, działających jak coś w rodzaju sekty. Jakby matka przekazywała chorobę córce... Uczestniczyły w tym kobiety z kilku pokoleń.

Golston tropił je przez większość swojego dorosłego życia, dostał obsesji. Śledził je aż do progu twojego domu. Właśnie dlatego ostatni wpis ma twoje inicjały. Później go zabiły. Domyślam się, że zaaranżowały spotkanie w Four Seasons, po czym go zlikwidowały. Właśnie dlatego jego śmierć upozorowano w taki sposób, by wydawała się naturalna. Moim zdaniem usiłowały ukryć swój udział.

Walter osunął się na fotelu i myślał o tym wszystkim. Dowiedział się wielu nowych rzeczy.

– Czarne wdowy zwykle zabijają dla pieniędzy. Czy znalazłeś...

– Nie – przerwał Sealey. – Brak dowodów, że kradną pieniądze ofiar. To nie znaczy, że ich nie znajdziemy, ale dotychczas się nam nie udało. Pojawiają się w tym wszystkim wyraźne prawidłowości. Pracujemy nad tym.

– Jak tłumaczysz to, co znaleźliśmy w mieszkaniu Golstona?

– Włosy, paznokcie i zęby? Sól?

Walter skinął głową.

– Nie mam pojęcia, próbujemy to rozgryźć – odparł Sealey. – Jest też sprawa butelki wina ze śladami nakłuc, którą znalazłeś w pokoju Golstona w Four Seasons.

– Opus One. – Walter przypomniał sobie markę. – Laboratorium nie wykryło żadnej trucizny. Nigdy nie ustaliliśmy, co tam wstrzyknął.

– Nasze laboratorium znalazło ślady czegoś o nazwie pochrzyn.

Na twarzy Waltera pojawiło się zdziwienie.

– Pochrzyn? Co to takiego, do licha?!

– Roślina pochodząca z Azji. Jagody mogą wywołać sraczkę, ale nie są śmiertelną trucizną. Nigdy nie ustaliliśmy, po co zadał sobie tyle trudu. Kiedyś to rozgryziemy, ale nie dzisiaj. – Sealey popatrzył na zegarek, wziął czarną torbę z pobliskiego krzesła i postawił na stole. – Wybierz to, czego potrzebujesz. Nie mam przed tobą tajemnic. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla nas obu. Mamy jeszcze kilka godzin i muszę się przespać. Proponuję, żebyś zrobił to samo. Czeka nas mnóstwo roboty.

Opuścił plastikowe żaluzje w oknie, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Walter nie byłby w stanie zasnąć. Zaczął rozpakowywać torbę. Obawiał się, że Sealey zmieni zdanie.

KIEDY LINCOLN SEALEY ZNOWU otworzył oczy, Walter zdążył przyjrzeć się każdemu skrawkowi papieru w jego torbie. Zapamiętał wszystko, co mógł, a resztę zanotował (starannie ukrył zapiski w kieszeniach). Następnie odłożył materiały na miejsce. Nie chciał dać Sealeyowi satysfakcji, że wie, które informacje go zainteresowały (a zwłaszcza które były dla niego nowe). Jedynym przedmiotem leżącym na stole był notes z pseudonimami: Amy Archer, Jane Toppan, Amelia Dyer i Velma Barfield. A także pozostałymi: Gesche Gottfried, Nannie Doss, Myra Hindley, Leonarda Cianciulli, Dagmar Overbye i blisko dwudziestoma pięcioma innymi nazwiskami. Mimo to Walter zawsze myślał o niej jako o Amy Archer.

Odrzutowiec zaczął zniżać lot, Walter czuł to w brzuchu. Sealey oblizał usta i wyprostował plecy.

– Domyślam się, że w ogóle nie spałeś?

– Nie mogłem. Ta sprawa nie daje mi spokoju. – Walter znalazł w tylnej części samolotu ekspres do kawy i pił już drugi imbryk, co z pewnością utrudniło zaśnięcie. – O ile osób twoim zdaniem chodzi?

– Masz na myśli ofiary?

– Nie, sprawczynie.

Sealey wzruszył ramionami.

– Chcesz znać moje zdanie? Jedna na pięć lat, więc przynajmniej dziesięć, ale prawdopodobnie więcej. Najdokładniejsze informacje mamy dzięki Golstonowi, ale jak powiedziałem, ta maszyna sprawnie działała, nim zauważył, co się dzieje. Nie byłbym zdziwiony, gdyby zaczęły zabijać dziesięć, a nawet dwadzieścia lat przed tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. Najważniejszy jest motyw. Jeśli zrozumiemy, dlaczego to robią, będziemy mogli zdobyć przewagę.

Odrzutowiec podskoczył, lądując na betonowym pasie startowym. Sealey wstał i zaczął otwierać drzwi, nim samolot znieruchomiał.

– Weź moje rzeczy, idziemy.

Walter schował notatnik do torby Sealeya, zarzucił na ramię własną torbę i zszedł za nim po schodkach do czarnego chevroleta suburbana zaparkowanego na płycie lotniska. Zajęli miejsca na tylnym siedzeniu i zamknęli drzwi.

– Jesteśmy w Hartsfield?

Sealey pokręcił głową.

– To Dobbins w Marietcie, około dwudziestu pięciu kilometrów od Atlanty. Staram się unikać lotnisk cywilnych, jeśli to możliwe. – Klepnął szofera w ramię. – Ruszajmy.

Szybko przejechali kilka dróg dojazdowych, minęli dwie bramy, po czym dotarli na Cobb Parkway. Kilka minut później znaleźli się na autostradzie międzystanowej numer 75, przekraczając limit prędkości co najmniej o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Walter nie zauważył na chevroletcie żadnych oznaczeń. Na dachu nie było koguta, ale nikt nie kazał im zjechać na pobocze, gdy kierowca przez godzinę fachowo przeciskał się slalomem między samochodami. Opuścił autostradę międzystanową w pobliżu miasta o nazwie Cuman, o którym Walter nigdy nie słyszał. Ruszyli pustą drogą, minęli opuszczoną stację benzynową i kilka zarośniętych krzakami farm oraz zardzewiałego pikapa z klonem rosnącym w szoferce, otoczonego wysoką trawą. Szofer skręcił jeszcze kilka razy, po czym asfalt się skończył. Pojechali żwirówką, która po trzech kilometrach zmieniła się w drogę gruntową.

Walter czuł nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Prawie od dwudziestu minut nie widzieli innego samochodu. Sealey mógł go wieźć na miejsce ostatniego spoczynku – kula w tył głowy na odludziu i nikt nigdy nie znajdzie jego zwłok. O tym, że opuścił Quantico, wiedział tylko Harwood. Lot do Georgii z pewnością nie został nigdzie odnotowany. Instynktownie napiął mięśnie pleców i poczuł pod pachą kaburę rewolweru kalibru 9 milimetrów. Nie zauważył, by Sealey był uzbrojony.

Chevrolet podskoczył, przejeżdżając przez koleinę. Kierowca zwolnił, wyminął kilka dziur i znowu przyspieszył. O dach ocierały się gałęzie drzew rosnących przy drodze, uderzały w boki samochodu.

– Gdzie właściwie...

Zanim zdążył dokończyć pytanie, przejechali szczyt wzgórza i znaleźli się po drugiej stronie. Ukazała się duża polana w gęstym lesie. Zobaczyli kilkanaście pojazdów oraz czterdziestu lub pięćdziesięciu krzątających się ludzi. Większość miała na sobie kurtki FBI, a niektórzy przepocone T-shirty. Trzymali w rękach łopaty. Przyczepa mieszkalna, kilka dużych namiotów i białych plandek na słupkach. Walter pomyślał, że to coś w rodzaju wykopalisk archeologicznych.

Czarne worki na zwłoki leżące na ziemi świadczyły, że nie ma to nic wspólnego z archeologią.

– O mój Boże...

Sealey odchrząknął.

– Nazywamy to miejsce Ogrodem.

ZATRZYMALI SIĘ OBOK przyczepy i w milczeniu wysiedli z chevroleta, po czym podeszli, by się lepiej przyjrzeć.

Walter otworzył usta. Zamierzał coś powiedzieć, lecz wydał tylko cichy jęk.

Niektóre z czarnych worków zawierały zwłoki; inne wydawały się puste, ale leżały w pobliżu niedawno wykopanych dołów albo kilkudziesięciu niewielkich żółtych chorągiewek wbitych w ziemię. Walter nie zdołałby ich policzyć. W pobliżu warczało kilka generatorów.

– Pierwsze zwłoki odkryto zupełnie przypadkowo – powiedział Sealey. – Padało trzy dni z rzędu i teren zmienił się w morze błota. Kilkoro dzieciaków przyjechało w to miejsce quadami. Jeden z nich zauważył but – limitowaną edycję Air Jordan firmy Nike, czarno-czerwono-białą. Nie znam się na butach sportowych, ale wygląda na to, że dzieciaki płacą za ten model przeszło dwieście dolarów. Chłopak dokładnie znał cenę, więc zsiadł z quada, żeby obejrzeć but. Później prawdopodobnie tego żałował. W środku ciągle tkwiła czyjaś stopa, ale brakowało nogi. Miejscowy szeryf znalazł zwłoki sześć metrów dalej, częściowo odgrzebane przez jakieś zwierzę. Ściągnął ekipę kopaczy i jeden z jej członków poszedł się odlać pod drzewami w odległości stu metrów. Zauważył świeżo poruszoną ziemię, może kolejny grób. Szeryf podzielił ekipę i kazał rozkopać to miejsce. W efekcie znaleziono drugie zwłoki.

Sealey wytarł nos i wskazał kierunek, z którego przyszli.

– Mijaliśmy po drodze kilka farm. Przed laty paru farmerów kupiło na spółkę GPR. Wiesz, co to takiego?

Walter pokręcił głową.

– Georadar, urządzenie prześwietlające ziemię. Mieli nadzieję opracować mapę podziemnych cieków wodnych, żeby je uregulować. Plany spełzły na niczym, bo skończyły im się pieniądze, ale szeryf pamiętał, że mają georadar. Kiedy tylko znajdował poruszoną ziemię, miejsce wyglądające jak grób, oznaczał je żółtą chorągiewką. Po otwarciu trzeciego pudła z chorągiewkami

wezwał policję stanową, a po otwarciu piątego – zawiadomiono FBI. Kiedy tu przyjechaliśmy, całe pole było pokryte małymi żółtymi chorągiewkami, które przypominały kwitnące jastruny. Nie wiem, kto nazwał to miejsce Ogrodem, ale nazwa się przyjęła. Chodź za mną...

Sealey poprowadził Waltera wzdłuż bocznej części przyczepy do dużego białego namiotu i uchylił zasłonę w wejściu.

Kiedy Walter wszedł do środka, owiało go zimne powietrze. Jeden z generatorów był podłączony do klimatyzatora, lecz chłodne poddmuchy nie maskowały znajomego zapachu śmierci. Był zbyt intensywny.

Po lewej stronie, na stalowych wózkach otoczonych jasnymi halogenami, leżało pięć ciał. Czterech lekarzy w maskach i strojach chirurgicznych prowadziło sekcje, każdą na innym etapie. Gdy weszli, kilka osób na nich spojrzało. Wszystkie wydawały się zmęczone. Po prawej stronie leżały w schludnych rzędach plastikowe worki na zwłoki podobne do tych znajdujących się na zewnątrz.

– Ilu?

– Po sekcji przewozimy ich do miejscowego szpitala. Według ostatnich obliczeń sześćdziesięciu trzech, ci stąd i znalezieni na polu. Ciągłe kopiemy. Jest ich więcej. Prawdopodobnie blisko osiemdziesięciu.

– Osiemdziesięciu?

Sealey kiwnął głową.

– Większość to szkielety, ale niektórzy, jak ten w butach marki Nike, zmarli niedawno. Ci, u których zachowały się tanki miękkie, cierpieli na różne choroby. Głównie rak, kilka śmiertelnych zatorów, nawet trzy zawały, choć to dość nieprecyzyjne określenie. Kiedy jeden z lekarzy pokazał mi ostatnie serce, wyglądało, jakby eksplodowało w klatce piersiowej.

Walter spoglądał na worki ze zwłokami.

– Zidentyfikowaliście kogoś?

– Pytanie za milion dolarów, które kazało mi się do ciebie zwrócić – odparł Sealey. – Robimy odlewy zębów, by je porównać z dokumentacją stomatologiczną osób zaginionych, ale to zajmie trochę czasu. Wszystkim brakuje kości śródreńca. Brzmi znajomo?

– Jak u faceta z hotelu Edison, Glenna Beede'a, i Anety Kostenko z Corktown.

– Nie zapominaj o dwóch trupach w zamrażarce Alvina Schalka – przypomniał Sealey. – Nie znaleźliśmy żadnych kobiet, tylko mężczyzn. O czymś to świadczy.

Milczał przez chwilę, by sens jego słów dotarł do Waltera, po czym odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.



– Nie znoszę zapachu tego miejsca, przypomina mi o naszych niepowodzeniach. Chcę ci pokazać coś jeszcze.

Walter wyszedł z namiotu. Dotarli do przyczepy, wspięli się po rampie i weszli do samochodu.

PRZYCZEPA BYŁA mobilnym centrum dowodzenia. Wchodząc do środka, Walter zauważył tablicę rejestracyjną: nie została wydana przez jeden ze stanów, lecz znajdował się na niej napis „Służby federalne”.

Sealey rzucił czarną torbę na składane krzesło stojące za zagraconym biurkiem. Zgarnął ze stołu kilka opakowań po kanapkach z McDonalda, zmiął je w kulę i cisnął do przepełnionego kosza na śmieci w pobliżu drzwi.

– Wyjeżdżam na jeden dzień, a smarkacze robią burdel. Masz ochotę na kawę?

– Nie, dziękuję.

Sealey wzruszył ramionami i podszedł do ekspresu w rogu. Wlał do zbiornika kilka butelek wody, wsypał mieloną kawę z puszki i nacisnął guzik.

Walter obserwował go kątem oka. Podszedł do mapy topograficznej wiszącej na ścianie. Otaczały ją dziesiątki szkiców i fotografii – obrazy, które zapamiętywał przez lata. Mapa wyglądała jak powiększenie. Linie i szczegóły były rozmazane, niewyraźne, ledwo czytelne.

– Trudno zdobyć dobrą mapę zadupia w Georgii. To najlepsza, jaką udało nam się szybko znaleźć. Pochodzi z almanachu rolniczego – wyjaśnił Sealey, stając obok Waltera. Dotknął krawędzi czubkiem palca. – Zaczęliśmy tutaj i posuwaliśmy się w tę stronę. Wstępnie przeszukaliśmy okoliczne lasy, ale niczego nie znaleźliśmy. Wydaje się, że wszystkie zwłoki znajdują się na polanie. Żółte pinezki oznaczają chorągiewki w miejscach, których jeszcze nie rozkopano. Czerwone to doły, gdzie znaleziono zwłoki. – Potrząsnął pudełkiem niebieskich pinezek stojącym na stoliku obok mapy. – To do oznaczania miejsc, gdzie niczego nie znaleziono. Jeszcze nie otworzyliśmy pudełka, bo jak dotąd zwłoki były w każdym miejscu wskazanym przez georadar.

Walter dotknął niewielkiej karteczki przypiętej jedną z czerwonych pinezek. Znajdował się na niej napis „M-1906 2”.

– Co to znaczy?

– Mężczyzna, dwa metry pod ziemią. Przybliżona data pochówku na podstawie głębokości.

– Tysiąc dziewięćset szósty rok?! – Walter ciągle oglądał karteczki przypięte pinezkami. – Ta podaje rok tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy.

Sealey skinął głową.

– Chciałem, żebyś to zobaczył na własne oczy. Nie było sensu mówić o tym w samolocie. Najstarszy grób pochodzi z lat dwudziestych osiemnastego wieku. Ci ludzie, kimkolwiek są, grzebią w tym miejscu ciała od przeszło trzystu lat.

Sealey nie mógł się doczekać, aż imbryk wypełni się kawą. Trzymał kubek, do którego wpadał cienki strumień ciemnego płynu.

– Wysypisko zwłok. To idealne miejsce. Co roku pole jest zalewane, zamienia się na trzy miesiące w bagno. Jest nisko położone, podmokłe, woda dochodzi do linii drzew. Jeśli ktoś wyrzuci tu obciążone ciało, utonie w błocie. Każdego roku, gdy woda wysycha, pojawia się nowa warstwa ziemi. Poza tym dzikie zwierzęta traktują tę polanę jak bufet; dziwne, że w ogóle odkryto jakieś zwłoki. Gdyby nie ulewny deszcz i dzieciaki na quadach, nigdy byśmy tego miejsca nie odnaleźli.

Sealey skinął dłonią w stronę obrazów wiszących na ścianie wokół mapy. Były to powiększenia rysunków i szkiców z notatnika Golstona, a ponadto fotografie z monitoringu Four Seasons, przedstawiające wchodzącą i wychodzącą dziewczynę podobną do Amy Archer, a jednak zupełnie inną. Ciągle były trochę rozmazane, ale jakość poprawiono od czasu, gdy Walter widział je po raz ostatni. Sealey najwyraźniej dysponował lepszymi technologiami niż policja Detroit. Były również zdjęcia z obserwacji przed kamienicą na Franklin Avenue, prawdopodobnie wykonane przez Buncy’ego i Wilsona. Walter zauważył także kilka policyjnych portretów pamięciowych, których wcześniej nie widział.

– Zdjęcia z obserwacji zawierają dokładne daty. Porównywałem szkice Golstona z jego notatkami i próbowałem coś wywnioskować. Widać wyraźne podobieństwo, prawda?

Walter skinął głową, ale żaden z obrazów nie przypominał Amy Archer. Nawet zdjęcia z kamienicy były tylko trochę podobne.

– Jest coś, czego nie rozumiem – rzekł Sealey. – Golston był dobrym rysownikiem, cholernie dobrym. Nigdy w życiu nie stworzyłbym takich portretów. Więc jeśli tworzył podobizny tej samej osoby, rysunki powinny wyglądać podobnie. Subtelne różnice nie są rezultatem braku umiejętności, niezręcznych prób uchwycenia podobieństwa. Wręcz przeciwnie: Golston był tak dobry, że potrafił wyłapać drobne różnice, rozumiesz?

– To potwierdza twoją teorię, że na przestrzeni lat tropił różne kobiety, na tyle podobne, że mogły należeć do tej samej rodziny.

Sealey skinął głową.

– Nie rozumiem kwestii wieku – powiedział.

– Wieku?

– Każda z tych dziewczyn wygląda, jakby miała co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Golston śledził je przeszło czterdzieści lat. Dlaczego nie ma rysunków matek ani córek? Co z chłopcami? Jedna z nich musiała mieć syna. A jednak Golston skupił się na dwudziestopięcioletnich dziewczynach. Wygląda to tak, jakby w danym momencie jedna z nich stanowiła twarz grupy, a później, po osiągnięciu pewnego wieku, znikła z pola widzenia i jej rolę przejmowała następna. Matki przekazujące chorobę córkom, jak mówiłem w samolocie.

Walter stał przed ostatnią fotografią. Ziarnistym, czarno-białym zdjęciem Amy Archer wychodzącej z kamienicy. Poznał sukienkę i wiedział, że fotografię zrobiono chwilę przed jej wejściem do taksówki, nim zaczął ją ścigać. Był tego pewien, a jednak nie wydawała się podobna. Cienie nie pomagały: obraz był niewyraźny.

– Nie widziałem jej tego wieczoru po wyjściu z restauracji.

– Poznałbyś ją, prawda?

– Tak, oczywiście.

– To ważne. Bardziej, niż przypuszczasz, bo o ile wiem, jesteś jedyną osobą, która miała z nią kontakt i ciągle żyje.

Sealey spojrzął z powrotem na mapę pokrytą kolorowymi pinezkami.

„Nie zrobiłaby mi krzywdy”.

Walter pragnął zapomnieć o tej myśli. Nie chciał, by Amy kojarzyła mu się z czymś złym. Poczul na ramieniu dłoń Sealeya.

– Chodź ze mną. Przywiozłem cię tutaj z jeszcze jednego powodu.

POPROWADZIŁ WALTERA wydeptaną ścieżką. Okrążyli namiot wypełniony skrzynkami z zapasami i grupę skulonych ludzi, którzy w skupieniu wpatrywali się w stary budzik pokryty rdzą i ziemią.

Kiedy wyszli z za rogu, ukazał się kolejny namiot i dwóch żołnierzy w mundurach polowych trzymających karabiny maszynowe AR-15. Jeden, czarnoskóry, miał nie więcej niż dziewiętnaście lat. Drugi, na oko dziesięć lat starszy, miał krótkie, jasnorude, przerzedzone włosy i bladą, piegowatą skórę głowy.

– Sir! – odezwali się jednocześnie. Przycisnęli broń do piersi i stanęli na baczność po obu stronach wejścia.

– Idź pierwszy! – Sealey odsunął zasłonę i skinął w stronę Waltera, by wszedł do środka.

W namiocie znajdowało się dwóch innych żołnierzy i Walter zauważył, że lufy ich karabinów kierują się w jego stronę. Po chwili spostrzegli idącego za nim Sealeya i również odступili na bok.

Wnętrze namiotu okazało się większe, niż Walter się spodziewał: miało co najmniej trzy metry kwadratowe. W środku trzech żołnierzy budowało coś podobnego do dużej klatki z zakratowaną podłogą i sufitem; żelazne ściany miały jakieś dwa i pół metra wysokości. W prawie ukończonej klatce na metalowym składanym krześle siedziała drobna dziewczyna. Dłonie i kostki miała przykute do stalowej ramy, a na głowie czarny worek opadający luźno na ramiona.

Spod kajdanek wypływała oleista substancja.

– Co to takiego? – spytał Walter.

– Pochrzyn. Wspomniałem o nim w samolocie. Prowadziliśmy... testy.

– Jakie testy?

– Nieważne. – Sealey wszedł do klatki i wyciągnął rękę w stronę czarnego worka. – Będiesz jedyną osobą, która może jej się przyjrzeć. Właśnie dlatego tu

jesteś. – Ściągnął worek z głowy zakutej więźniarki i trzymał go w opuszczonej ręce.

Dziewczyna poruszyła głową w obie strony. Szare oczy – ciemne i pełne lęku – szybko zlustrowały namiot. Obejrzała otaczających ją mężczyzn, zauważyła Sealeya i wpatrzyła się w Waltera. Nie mogli oderwać od siebie wzroku.

Jej usta były zaklejone kawałkiem taśmy; sądząc po opuchniętych policzkach, wciśnięto jej knebel do ust. Prawdopodobnie kawałek materiału. Była ubrana w białe płócienne tenisówki, krótkie dżinsowe szorty i białą koszulkę bez rękawów – miała brudną odzież, jakby wleczono ją po ziemi. Włosy związane w kucyk. Na czoło i policzki opadało kilka luźnych kosmyków.

Sealey poruszył stopą, raz, niecierpliwie. Walter poczuł, jak mocno zabiło mu serce.

– Nie.

Wypowiedział to słowo bez namysłu. Jakby znalazło się w pułapce i koniecznie chciało się wyrwać na wolność.

„To nie ona, prawda?”

Jest za młoda.

„Ale, do licha, wygląda dokładnie jak Amy. Mogłaby być jej młodszą siostrą”.

Kiedy się poznali, Amy Archer miała dwadzieścia kilka lat. Było to jedenaście lat temu, co oznacza, że gdy po raz ostatni widział ją w restauracji U Giovanniego, zbliżała się do trzydziestki. Ta dziewczyna mogła mieć co najwyżej dziewiętnaście lat, prawdopodobnie mniej. Nie ulegało wątpliwości, że są bardzo podobne – oczy miały prawie identyczne – ale to przecież nie Amy.

Na twarzy Sealeya malowała się frustracja.

– Jesteś pewien?

Walter cofnął się w przeszłość, wyobraził ją sobie siedzącą przy stoliku i pocierającą kostką jego kostkę.

„Nazywam się Velma, Henry. Velma Barfield. To nasza pierwsza randka”.

Nie mówiła prawdy. Velma Barfield była morderczynią – osądzoną i skazaną na karę śmierci. A on nie był Henrym. Velma Barfield, która siedziała naprzeciwko niego w restauracji U Giovanniego i udawała dziewczynę ze stanu Iowa, różniła się od Amy Archer. A teraz widział przywiązaną do krzesła jeszcze inną osobę.

Usiłowała się odsunąć od Sealeya, jej szare oczy błagały Waltera, by ją uwolnił, udzielił jej pomocy. Kimkolwiek była, wydawała się przerażona.

– To nie może być ona.

– Dobrze się zastanów. Czy to Amy Archer?

– Nie.

– Jesteś pewien? – powtórzył Sealey.

Walter poczuł, że kiwa głową. Zastanawiał się.

– Jest jakieś podobieństwo? Rozmawialiśmy o tym, prawda? Rodzina?

Wykrzywiła usta zaklejone taśmą. Wydała nieartykułowany dźwięk; jej ramiona, kostki i tors poruszyły się spazmatycznie. Krzesło się zakołysało, wydawało się, że się przewróci, lecz dalej stało prosto. Stalowe kajdanki zabrzęczały, ale nie puściły. Spróbowała znowu, potem po raz kolejny. Nie spuszczała wzroku z Waltera, jakby chciała powiedzieć: „Jestem tutaj przez ciebie i tylko ty możesz mnie uratować”.

Jeden z żołnierzy lekko uniósł lufę karabinu, na tyle, by zwrócić uwagę dziewczyny. Znieruchomiała.

„Proszę, pomóż mi!”

– Musicie ją uwolnić. To nie w porządku.

– Zostanie tu.

Na podłodze stał brudny metalowy kubek. Walter nie chciał się zastanawiać, do czego służy. Na ziemi leżało kilka pustych butelek po wodzie.

Dwóch żołnierzy montujących dach klatki zaczęło przykręcać śruby. Znajdowały się w odległości piętnastu centymetrów od siebie.

Walter myślał jednocześnie o tylu rzeczach, że miał mętlik w głowie.

Groby.

Zwłoki.

Ludzie zamordowani w Detroit.

Alvin Schalk.

Wes Brayman.

Rysunki – ona, ale nie ona.

„Jeśli mnie uratujesz, wszystko ci powiem”.

Ta myśl była głośniejsza niż wszystkie inne. Słyszał cudzy krzyk. Znowu spojrzał na dziewczynę.

Nie patrzyła już na niego, wbiła wzrok w ziemię. Po jej twarzy spływały łzy. Zmusił się, by się odwrócić i spojrzeć z powrotem na Sealeya.

– Dlaczego uważasz, że ona ma z tym coś wspólnego?

– Pokażę ci.

SEALEY ZAPROWADZIŁ WALTERA na drugą stronę polany, do niewielkiego namiotu w pobliżu drogi gruntowej, którą przyjechali. W środku było nieznośnie gorąco; wokół zabłoconej, zardzewiałej toyoty camry stały cztery podwójne reflektory halogenowe na przenośnych statywach. Bagażnik i maska silnika były otwarte. Podobnie drzwi. Samochód umieszczono na podpórkach około czterdziestu pięciu centymetrów nad ziemią. Pod spodem leżały arkusze sklejki z widocznymi niewielkimi śladami kółek leżanki monterskiej.

Kiedy się zbliżył, zauważył, że auto jest nadal pokryte proszkiem do zbierania odcisków palców. Samochód był w koszmarnym stanie, nadawał się na złom.

Sealey puknął palcem we wgniecioną karoserię.

– Zeszłego wieczoru zatrzymano ją w tym gruchocie za jazdę z niedozwoloną prędkością około sześciu kilometrów stąd. Uważamy, że jechała do Atlanty. Odciski opon pasują do śladów znalezionych na polanie. Wysłaliśmy do laboratorium próbki błota z bieżników. Jestem pewien, że również pochodzi stąd. Samochód jest zarejestrowany na nazwisko niejakiego Barneya Simpsera, pielęgniarza z domu starców w Mableton na zachodnich przedmieściach Atlanty. Zniknął przed trzema dniami. Pierwszego dnia zadzwonił i powiedział, że jest chory, później urwał się z nim kontakt.

Sealey oprowadził Waltera wokół toyoty, podszedł do bagażnika i wskazał rdzawe plamy na dywaniku po lewej stronie.

– Badanie luminolem potwierdziło, że to ślady krwi. Jestem prawie pewien, że należy do Barneya.

– Nie ma zwłok?

– Jeszcze go nie znaleźliśmy. Ale jestem przekonany, że gdzieś tu jest. –

Wyciągnął rękę w stronę ściany namiotu, za którą rozciągał się Ogród. – Przeszukujemy teraz część podmokłą, położoną z tyłu, za linią drzew, z dala od miejsca, gdzie dotychczas pracowaliśmy. Prawdopodobnie zaczęła się pozbywać ciał w nowej lokalizacji. Domyślam się, że nas zauważyła i nie chciała



ryzykować. Gdyby się zbliżyła, ktoś by ją spostrzegł. Znaleźliśmy ślad przeciągania ciała o szerokości dorosłego mężczyzny, w końcu zniknął w błocie. Uważamy, że zaparkowała samochód, a potem go ciągnęła. Jakies dwieście metrów.

– To bardzo drobna dziewczyna. Trudno sobie wyobrazić, że ciągnęła dorosłego mężczyznę przez dwieście metrów.

Sealey spojrział na Waltera zmęczonym wzrokiem, jakby doskonale wiedział, ile wysiłku wymaga ciągnięcie zwłok; prawdopodobnie robił to wiele razy.

– Mogła również go przyprowadzić i zabić, kiedy dotarli na miejsce, ale to nie wyjaśnia śladów ciągnięcia ciała.

– Bez zwłok nie macie żadnych konkretów.

– Przyznaję, to tylko poszlaki. – Sealey westchnął. – Ale są solidne. Przede wszystkim powiedziała, że nazywa się Mary Clement. Nazwisko jest zmyślane. Prawdziwa Mary Clement zmarła w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, skazana za próbę otrucia rodziny siostry w Rose Hill w stanie Illinois. Wcześniej zabiła rodziców i dwie siostry w Dubuque w stanie Iowa.

„Kiedy Amy Archer przedstawiła się fałszywie jako Velma Barfield na fikcyjnej randce, powiedziała, że pochodzi z Dubuque w stanie Iowa”.

– Na dodatek w domu starców, w którym pracował Barney Simpers, odnotowano w ciągu ostatnich pięciu miesięcy szesnaście zgonów. Wyłącznie mężczyźni, zmarli z przyczyn naturalnych. Mary Clement pracowała tam razem z Simpersem.

– To dom starców. Ludzie umierają – powiedział Walter.

– Od kiedy się tam zatrudniła, liczba zgonów trzykrotnie wzrosła.

– Nie możesz jej oskarżyć o to, że ktoś zmarł z przyczyn naturalnych, gdy pracowała w domu starców. To nic nie znaczy.

Sealey zmarszczył brwi.

– Po czyjej stronie właściwie stoisz?

– Bawię się w adwokata diabła, to wszystko. Sam wiesz, że sędzia cię wyśmieje, jeśli mu to powiesz. Nie uzyskasz nawet aktu oskarżenia.

– Jeśli krew znaleziona w samochodzie należy do Barneya Simpensa albo odkopimy jego zwłoki, wszystko ułoży się w całość. – Sealey zaczął odliczać na palcach. – Jej odcisków nie ma w kartotece. Posługiwała się sfałszowanym prawem jazdy. Przedstawiła fałszywe CV w domu starców. Jej licencja pielęgniarki to gówno. Podróbki są dobre, nie możemy nikogo winić, że się na nie nabrał, ale to wszystko fikcja. Nie mamy pojęcia, kim ani czym jest, ale to wszystko ma ze sobą związek. Wie, skąd pochodzą zwłoki, i może nam powiedzieć, co się stało w Detroit.

– Zamierzasz ją trzymać w klatce przykutą do krzesła, dopóki czegoś się nie dowiesz?

Sealey nie odpowiedział na pytanie Waltera, ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że taki właśnie ma plan.

Kryło się w tym coś jeszcze. Sealey wyraźnie coś ukrywał.

– Pozwól mi z nią porozmawiać.

CHCĘ, ŻEBY WSZYSCY WYSZLI – powiedział Walter, gdy wrócił do namiotu.

Dziewczynie znowu założono kaptur. Uniosła głowę, usłyszawszy głos Waltera. Poruszyła się lekko na krześle i wyprostowała.

Żołnierze się zmienili – w namiocie znajdowali się teraz czarnoskóry chłopak i rudzielec. Dwaj pozostali stali na zewnątrz. Praca nad klatką była prawie zakończona: jeden z żołnierzy przykręcał śrubokrętem ostatnią ścianę, a drugi sprawdzał zamek ciężkich drzwi.

– Mamy rozkaz nie spuszczać jej z oczu, sir – zwrócił się do Waltera rudzielec, mocniej ściskając AR-15. Trzymał palec na osłonie spustu.

– Sealey się zgodził. Możecie go spytać, jeśli chcecie.

Rudzielec kiwnął głową.

– Proszę dać mi chwilę.

Żołnierz nacisnął guzik na krótkofalówce przymocowanej do ramienia i powiedział coś cicho do mikrofonu. Walter zdjął kaptur z głowy dziewczyny i rzucił go na ziemię obok krzesła.

Mrugnęła kilka razy, aż jej oczy przyzwyczyły się do światła, po czym przyjrzała się Walterowi i pozostałym osobom znajdującym się w namiocie.

Jedno z ramiączek jej koszulki opadło i Walter umieścił je z powrotem na właściwym miejscu. Spodziewał się, że odsunie się od niego, ale na chwilę się do niego przytuliła. Natychmiast zrobił kroku do tyłu, zdając sobie sprawę, że czarnoskóry żołnierz go obserwuje.

Rudzielec puścił krótkofalówkę i wykonał palcem kolisty gest.

– Wszyscy na zewnątrz. Robimy krótką przerwę.

– Muszę iść do klopa – powiedział żołnierz ze śrubokrętem. Schował go do kieszeni i ruszył w stronę drzwi. Jego koledzy podążyli za nim.

Czarnoskóry żołnierz się nie poruszył. W dalszym ciągu spoglądał na dziewczynę, zatopiony w myślach.

– Przestań bujać w obłokach, Thompson. Wyjdź.

Kiedy żołnierz nadal się nie poruszył, rudzielec lekko trącił go w ramię.

– Obudź się, Romeo!

W oczach chłopaka pojawiło się zrozumienie. Marszczył przez chwilę brwi, jakby nie był pewien, gdzie się znajduje, po czym powoli się obrócił i wyszedł.

Rudzielec podszedł do Waltera.

– Ma siedzieć na krześle, w kajdankach. Rozumie pan?

Walter kiwnął głową. Kiedy zostali sami, uklęknął obok dziewczyny, zdarł jej taśmę z ust i wyjął knebel.

Popatrzyła błagalnie na Waltera.

– Oni mnie zabijają!

– Nikt nie robi ci krzywdy. Nie pozwolę na to. – Usiłował ją uspokoić, ale wiedział, że to pusta obietnica. – Opowiedz mi o Barneyu Simpserie.

– Nie wiem, kto to jest! – Szarpnęła za łańcuchy. Kajdanki ociekające oleistą substancją zabrzęczały o krzesło. – Ma pan kluczyki?

– Złapali cię, gdy prowadziłaś jego samochód.

Wydawała się zdziwiona.

– Jaki samochód? Jechałam autostopem siedemdziesiątką piątką, chciałam się dostać do Chattanooga, spotkać się z kuzynką. Zatrzymała się obok mnie biała furgonetka. Myślałam, że ktoś chce mnie podwieźć, ale kiedy chciałam wejść do środka, otworzyły się tylne drzwi, wyskoczyli z nich ci ludzie i mnie chwycili. Rzucili mnie na podłogę, związali i przywieźli tutaj. Musi mi pan pomóc, zawiadomić policję, znaleźć pomoc, prawdziwą pomoc! – błagała. – Seaton... Sarley...

– Sealey.

– Sealey. Powiedział, że kiedy będzie po wszystkim, skończę w błocie jak cała reszta. Mówił, że nikt mnie nie szuka, szczególnie to podkreślał, a potem... chwycił mnie... obmacywał... i powiedział, że będą mieli świetną zabawę. Musi mnie pan uwolnić!

– To agenci federalni, FBI. Nikt nie robi ci krzywdy.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– To nie FBI. Porwali mnie, okłamują pana. Dlaczego FBI miałyby współpracować z ludźmi przebranymi za żołnierzy? Dlaczego budują jakąś zasraną klatkę? Musi mnie pan stąd zabrać. Widział pan ich odznaki? Naprawdę pan myśli, że to FBI tylko dlatego, że mają kilka kurtek i koszulek z nadrukami?! Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan do kogoś zadzwoni, sprawdzi. –

Ściszyła głos, szare oczy wypełniły się łzami. – Kim pan właściwie jest?! Dlaczego pana tu przyprowadzili?! Ma pan samochód? Co powiedzieli? Nie

wiem, co się właściwie dzieje, ale to coś innego, niż się wydaje. To oni zamordowali tych wszystkich ludzi!

– Pracowałaś w domu starców z Barrym Simpersem?

Zmarszczyła brwi.

– Z kim? Nie. Jestem studentką Uniwersytetu Florydy w Gainesville. Ostatnio pracowałam w kawiarni w pobliżu kampusu. Jak mówiłam, jechałam autostopem na północ, by się spotkać z kuzynką, gdy porwali mnie ci psychopaci.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Kim jest dla ciebie Amy Archer?

– Kto?

– Amy Archer. Jane Toppan. Amelia Dyer. Velma Barfield. Co znaczą dla ciebie te nazwiska? Jestem pewny, że wiesz, o czym mówię, więc nie udawaj idiotki.

– Mówię prawdę! – Uniosła ręce, napinając łańcuch łączący kajdanki. – Niech pan je zdejmie!

Walter obserwował jej oczy, wyraz twarzy, język ciała. Szukał oznak kłamstwa i nie zdołał ich zauważyć. Chciał wierzyć, że dziewczyna mówi szczerze, choć instynkt podpowiadał mu, że nie powinien.

– Jak się nazywasz?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie mogła dłużej się opanować. Zaczęła łkać.

– Nie chcę tu umrzeć! Nie w ten sposób! Proszę, nie w ten sposób!

Skuliła się na krześle, zmaląła, skurczyła. Ktoś odchrząknął za plecami Waltera.

Obejrzał się i zobaczył Sealeya stojącego przy wejściu do namiotu. Sealey kiwnął głową, dając znak ludziom znajdującym się na zewnątrz. Do środka weszli w milczeniu żołnierze; żaden z nich nie patrzył na rozhisteryzowaną dziewczynę przykutą do krzesła.

Nikt oprócz młodego czarnoskórego chłopaka. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

WALTER WYSZEDŁ ZA SEALEYEM z namiotu i zdał sobie sprawę, że zupełnie stracił poczucie czasu. Słońce zaszło, ale ciągle było duszno i parno. Na skraju polany brzęczały reflektory halogenowe umieszczone na dużych stojakach, zalewając wszystko żółtawym blaskiem. Krążyły wokół nich ciemne roje owadów.

Strażnicy popatrzyli na Waltera, lecz się nie odezwali.

Sealey powoli odszedł na bok z przenośnym telefonem przyciśniętym do ucha. Kiedy uniósł wzrok, koło jego twarzy brzęczał wielki komar. Zabił go, zmarszczył brwi i spojrzał na Waltera.

– Jest świetną aktorką, muszę jej to przyznać, ale nie pozwól, żeby zrobiła ci wodę z mózgu.

Walter wskazał telefon.

– Mogę skorzystać?

– Jasne. – Sealey wręczył mu aparat. – Widziałeś już coś takiego? To telefon satelitarny. Można dzwonić wszędzie, pod warunkiem że widać niebo. Cudowne urządzenie. Wystarczy wybrać numer i nacisnąć guzik SEND. Połączenie trwa tylko chwilę.

Telefon był cięższy, niż Walter się spodziewał, masywny. Wklepał z pamięci numer centrali Akademii FBI, wcisnął guzik z napisem SEND i uniósł aparat do ucha, nie spuszczać oczu z Sealeya. Kiedy minęło około pół minuty i nikt się nie odezwał, popatrzył na wyświetlacz. Czerwone cyfry zniknęły.

– Nie działa.

Sealey wziął telefon i spoglądał przez chwilę na pusty ekran.

– Cholera, znowu wyczerpała się bateria. Po każdym ładowaniu mam tylko kilka godzin rozmów. Stale muszę szukać kontaktu. Drugi aparat jest w chevroletcie, możesz z niego skorzystać.

Spodziewał się, że Sealey spyta, do kogo chce zadzwonić, ale tego nie zrobił. Walter w głębi duszy na to liczył. Ułatwiłoby to sprawę.

– Od wyjazdu z Quantico nie pokazałeś mi odznaki.  
– Odznaki? Mówisz poważnie? Zabrałem cię z chronionego obiektu, z gabinetu twojego szefa, i przywiozłem tutaj federalnym odrzutowcem. Jesteś otoczony przez agentów federalnych. I chcesz zobaczyć moją odznakę?

Walter kiwnął głową.

– Chcę dokładnie wiedzieć, kim jesteś i dla kogo pracujesz. Jeśli nie udzielisz tych informacji, zabieram stąd tę dziewczynę i spróbuję się zorientować w sytuacji.

Sealey gwizdnął.

– Do licha, jest naprawdę dobra! Dwie minuty i owinęła cię wokół palca. Nie miej do siebie pretensji, działa w ten sposób na wszystkich. Właśnie dlatego stale zmieniamy strażników.

– Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

– Myślę, że mamy podobne zdanie – odparł Sealey. – Nie pozwól jej zamącić sobie w głowie. Musimy się skupić na tym, po co tu przyjechałeś. Czy to ona? Dziewczyna, którą ścigasz w wolnych chwilach?

– Dlaczego stale o to pytasz? Już ci mówiłem, że nie. Jest za młoda. Może być jej siostrą. Powiedziała, że zamierzała odwiedzić kuzynkę, więc nie wykluczam, że to krewna Amy Archer, jak wspomniałeś. Albo po prostu jest do niej cholernie podobna i schwytałicie niewłaściwą osobę.

Wypowiadając te słowa, Walter nie był pewien, czy próbuje przekonać Sealeya, czy samego siebie.

– Już cię oskarżano o podejmowanie błędnych decyzji, prawda? Zawsze się myliłeś?

Walter otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz się nie odezwał. Sealey tupnął nogą.

– Posłuchaj, przywiozłem cię tutaj, żebyś ją zidentyfikował. Obaj rozumiemy, że jej identyfikacja to raczej połowa powodów, dla których tu naprawdę jesteś. Sytuacja jest bardzo poważna i... delikatna. Jeśli mamy do czynienia z sektą rodzinną, ta dziewczyna może nam powiedzieć, kim są jej krewni, gdzie mają bazę, dlaczego zakopano tutaj kilkadziesiąt trupów. Możemy uzyskać wszystkie potrzebne informacje.

– A jeśli przykułeś do krzesła niewłaściwą osobę?

– Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich ją schwytailiśmy, nie mam najmniejszych wątpliwości, że słusznie się tu znalazła.

– Kazesz jej sikać do wiadra. Kiedy dostanie adwokata, nie zostawi na was suchej nitki.

– To tymczasowe rozwiązanie. Rano przetransportujemy ją z powrotem do Atlanty.

„Bzdury. Jeśli to prawda, po co klatka?”

– Dlaczego nie dziś wieczór? Dlaczego trzymacie ją tutaj, a nie w areszcie stanowym albo biurze miejscowego szeryfa? W pobliżu musi być lepsze miejsce.

– Nie są odpowiednio wyposażeni. Rano przyjedzie opancerzony samochód.

– Po nią?

– Po nią – odpowiedział beznamiętnie Sealey.

– Co przede mną ukrywasz?

Sealey długo milczał. Kiedy w końcu się odezwał, mówił bardzo cicho, by nikt go nie usłyszał.

– Jest częścią większej grupy. To wszystko tłumaczy. Dzięki temu możemy zrozumieć, z czym mamy do czynienia. Wiem, że tobie też to wiele wyjaśnia. Pytania, które chodzą ci po głowie od lat. Różne wątki się splatają i tworzą ładną kokardkę jak na pudełku z tortem. – Milczał przez chwilę, po czym dodał: – Przywiozłem cię tutaj z konkretnego powodu. Cała ta sprawa mnie przeraża.

– O co ci właściwie chodzi?

– Chcę ustalić, czy miałeś rację. Potwierdzić to, co zawsze przypuszczałeś – odparł beznamiętnie Sealey. – Że za wszystkie sprawy ponosi odpowiedzialność tylko ona. W jakiś sposób, przez te wszystkie lata, ta sama kobieta.

W namiocie rozległ się ogłuszający strzał. Później dwa następne.

Dwaj strażnicy wpadli do środka, Sealey i Walter za nimi. Sealey wyciągnął z kabury na kostce niewielki pistolet kalibru 380. Walter trzymał w ręku pistolet kalibru 9 milimetrów; wyjął go jednym płynnym ruchem, instynktownie. Wbiegł do namiotu nisko pochylony, gotów do wykonania przewrotu, i szybko się rozejrzał.

Rudowłosy żołnierz leżał na ziemi, z dziurą w czole i dwiema dziurami w piersi. Spoglądał pustym wzrokiem w przestrzeń. Stał nad nim młody czarnoskóry kolega, a z lufy jego AR-15 ciągle sączył się dym.

Dwaj żołnierze, którzy pierwsi wpadli do namiotu, wycelowali broń w strzelca. Sealey wyprostował się i krzyknął:

– Rzuć broń!

Dziewczyna siedząca na krześle obserwowała całą scenę, skamieniała.

Czarnoskóry żołnierz otworzył usta, spoglądając na zwłoki leżące u jego stóp, na dziewczynę i Sealeya.

– Karabin po prostu wypalił... – wyjąkał. – Nie chciałem...

Jeden ze strażników oddał strzał z bliskiej odległości, prawie z przystawienia. Pocisk trafił w szyję chłopaka tuż nad jabłkiem Adama. Z tyłu głowy trysnęła fontanna krwi.

Czarnoskóry żołnierz runął na ziemię. Jego kolega, który strzelił, spojrzął na karabin trzymany w rękach, puścił go, aż zawisnął na pasku. Patrzył na swoje



ręce, zdezorientowany.

– Nie miałem zamiaru... Ja..

Na zewnątrz namiotu ucichł miarowy warkot generatorów. Zgasły światła. Wokół rozległy się strzały.

COŚ PRZELECIAŁO Z WIZGIEM obok głowy Waltera i nim zdążył się zorientować, żołnierz stojący pół metra od niego został dwukrotnie trafiony w pierś, po czym zadygotał i runął na ziemię. Kilka innych pocisków rozdarło płótno namiotu. Drugi strażnik też upadł.

– Kryć się!

Wydawało się, że krzyczał Sealey, ale Walter nie był pewien. Stracił z oczu dwóch żołnierzy zajmujących się klatką.

– Na ziemię, do cholery!

Miał wrażenie, że minęło kilka minut, choć w rzeczywistości trwało to ułamek sekundy. Padł na ziemię; nad jego głową przeleciało kilka następnych pocisków. Leżał obok dziewczyny siedzącej na krześle i wydawało mu się, że słyszy jej krzyk, po czym zdał sobie sprawę, że dźwięki dobiegają spoza namiotu. Wrzaski, jęki, strzały. Narastały, stawały się coraz głośniejsze. W obozie zapanował chaos.

„Czy Sealey ma rację? Czy dziewczyna należy do jakiejś sekty? Czy jej przyjaciele próbują ją uwolnić?”

Zdołała przewrócić krzesło i leżała na ziemi obok Waltera z pustą, nieruchomą twarzą. Przez chwilę myślał, że nie żyje. Później jej wargi się poruszyły i chociaż nie słyszał jej słów w panującym hałasie, zrozumiał ich znaczenie...

„Zabierz mnie stąd, nim mnie zabiją!”

Walter przeczołgał się po ziemi, wsunął rękę do kieszeni jednego z martwych żołnierzy, wyjął kluczyki do kajdanek i szybko wrócił do dziewczyny.

Kilka kroków dalej leżał Sealey, przyciśnięty do ziemi. Spojrzał wściekle na Waltera i skierował pistolet w ich stronę.

– Nie dotykaj jej! Odsuń się od niej!

W ścianę namiotu uderzyły serie pistoletów maszynowych. Pociski trafiły w podłogę. Sealey odczołgał się kilka kroków i ukrył za ciałem jednego

z zabitych żołnierzy. Walter zbliżył się do dziewczyny i zaczął otwierać kajdanki na nogach.

– Pośpiesz się! – krzyknęła.

W ziemię w pobliżu uderzyło kilka następnych pocisków. Jeden trafił z głośnym brzękiem w metalową klatkę.

„Ilu żołnierzy strzela?”

Walter przekręcił klucz. Zamek się otworzył i kajdanki spadły z nóg dziewczyny.

Kolejne więzy, często stosowane w więzieniach: długi łańcuch owinięty wokół talii i przymocowany do krzesła. Otworzył zamek.

Ciągle miała skute ręce, ale nie była już przymocowana do krzesła. Ruszyła w stronę wyjścia.

Walter chwycił ją za nogę, przyciągnął do siebie i wskazał przeciwległy koniec namiotu.

Ruszyła w tym kierunku, rozpaczliwie kiwając głową. Walter posuwał się za nią, powoli obeszli klatkę.

– Zasłaniasz mi pole strzału, O'Brien!

Słowa te wypowiedział Sealey. Kiedy Walter zaryzykował i zerknął do tyłu, zobaczył, że idzie za nimi na czworakach. Zbliżał się, starając się nie unosić głowy. Wokół świszczały kule.

Walter nie przypuszczał, że Sealey strzeli, a jednak to zrobił: pocisk przeleciał nad głową Waltera.

– Nie może wyjść! Zatrzymaj ją! Jeśli ona...

Namiot przeszyły kolejne serie z pistoletów maszynowych. Pociski minęły o kilka centymetrów stopę Waltera; uderzyły między nim a Sealeyem, wyrzucając w górę piasek, ziemię i kamienie.

Dziewczyna dotarła do tylnej ściany namiotu i szarpała stalowe bolce mocujące tkaninę do ziemi. Wyrwała dwa.

Walter nie wypuścił pistoletu. Skierował lufę w stronę Sealeya i zastanawiał się, czy nie oddać strzału ostrzegawczego, ale przestał cokolwiek widzieć w pyle wypełniającym namiot. Nie wiedział, kto jest żywy, a kto martwy.

Dziewczyna wyrwała trzeci bolec i wślizgnęła się pod ciężki brezent. Poczłgał się za nią.

Skulili się obok siebie i Walter próbował się rozejrzeć.

Na początku myślał, że strzały padają spośród drzew, ale trudno było się zorientować. Wiedział, że jest tam co najmniej pięćdziesięciu agentów FBI; chociaż zauważył tylko kilku żołnierzy, musiało ich być więcej. Wyobrażał sobie, że atak na obozowisko nastąpił spośród drzew i że ludzie przebywający w namiotach odpowiadają na ogień. Polana leżała na nisko położonym terenie

i była zewsząd otoczona lasem; każdy strzał odbijał się od echem od ściany drzew. Noc była bezksiężycowa, zgasły światła i widział tylko błyski strzałów, ale ich źródła nie dawało się określić – wydawały się padać ze wszystkich stron. Wśród strzelaniny rozlegały się głosy: okrzyki bólu, wołania o pomoc, komendy nakazujące przerwanie ognia.

Ziemię pokrywały ciała. Niektóre się poruszały, inne nie. Walter nie wiedział, kto został trafiony, a kto chroni się przed pociskami.

– Tędy!

Prowadził ją, trzymając w jednej ręce pistolet kalibru 9 milimetrów, a w drugiej łańcuch kajdanek. Dotarli do SUV-a, ale z dwóch opon uszło powietrze, a karoseria była podziurawiona kulami; seria kończyła się w pobliżu silnika. Samochód był bezużyteczny.

Dalej stał chevrolet Sealeya. Walter pociągnął ją w stronę auta, gdy w odległości kilku metrów w ziemię trafiła seria pocisków. Znikąd pojawił się żołnierz, przykucnął i odpowiedział ogniem na ogień. Walter nie wiedział, czy strzela na oślep, i nic go to nie obchodziło. Strzały stanowiły bezcenną osłonę, której potrzebowali.

Kiedy dotarli do chevroleta, otworzył drzwi i zauważył kluczyk tkwiący w stacyjce. Wepchnął dziewczynę do wozu.

– Prowadź! – krzyknął. Wsadził ją za kierownicę i usiadł obok niej.

Kiedy zamknął drzwi, szybę roztrzaskała kula. Wycelował pistolet i otworzył ogień w kierunku, z którego padł strzał. Dziewczyna przekręciła kluczyk w stacyjce, zmagając się z kajdankami. Cofnęła chevroleta i nacisnęła pedał gazu. Uderzyli w stojącego za nimi SUV-a. Cofnęła się gwałtownie, znowu nacisnęła gaz i skręciła w stronę polnej drogi wyjazdowej.

W tylną szybę trafił następny pocisk. Walter odpowiedział ogniem i zobaczył, że kobieta w bluzie FBI pada na ziemię.

Zastrzelił agentkę federalną.

CHEVROLET PODSKAKIWAŁ na wybojach. Walter spoglądał przez wybite tylne okno, nie mając pewności, co przed chwilą widział. Pistolet ciążył mu w dłoni.

– Wstała – powiedziała dziewczyna, zerknąwszy w lusterko wsteczne. – Miała kamizelkę kuloodporną. Nie zabiłeś jej.

Odwrócił się w jej stronę.

– Jesteś ranna?

Pokręciła głową.

– Co się właściwie stało, do cholery?! Ktoś próbuje cię odbić?!

Droga gruntowa zmieniła się w żwirówkę. Dziewczyna nacisnęła pedał gazu.

– Nie pomogę ci, jeśli nie będziesz chciała ze mną rozmawiać!

Poruszyła z brzękiem kajdankami.

– Zdejmij je.

– Nie! – rzucił wściekle. – Powiedz, że to nie twoi przyjaciele!

– Widzisz kogoś za nami? Śledzą nas?

Walter nikogo nie zauważył, ale nie zamierzał pozwolić jej przejąć kontroli nad sytuacją. Trzymał w ręku pistolet, a ona została aresztowana przez policję.

– Zatrzymaj się gdzieś, wjedź między drzewa. Musimy poczekać na wsparcie.

Gwałtownie przekręciła kierownicę w prawo, omijając ułamany konar leżący na drodze. Później znowu ruszyła w lewo. Chevrolet wpadł w poślizg, ale zdołała nad nim zapanować.

„Jak szybko jedziemy?”

– Zwolnij.

Nie posłuchała. Zwiększyła prędkość i pochyliła się do przodu nad kierownicą, by lepiej widzieć drogę.

Walter usłyszał dzwonek komórki i zdał sobie sprawę, że dobiega z teczki leżącej na tylnym siedzeniu. Zapasowy telefon satelitarny. Sealey wspomniał, że zostawił go w samochodzie.

Sięgnął do tyłu, otworzył sprzączkę torby i nacisnął błyskający guzik TALK. Nim zdążył się odezwać, z niewielkiego głośnika odezwał się pełen paniki głos Sealeya.

– Walterze, posłuchaj mnie uważnie, nie wiem, jak ona to zrobiła, ale ta strzelanina... to jej robota. Nikt na nas nie napadł: jakoś zdołała skłonić moich ludzi, żeby otworzyli do siebie ogień. Wszyscy, których dotknęła... albo którzy jej dotknęli... Myślę...

– Nie słuchaj go, Walterze – powiedziała. – Kłamie.

– Musisz ją przywieźć z powrotem.

Przyciskał telefon do ucha. Powoli obrócił się w jej stronę i przez chwilę wszystko nabrało sensu: znał te ciemnoszare oczy równie dobrze jak własne. Patrzył na Amy Archer. To była ona.

Uniósł pistolet, wycelował w nią.

– Niech cię diabli, Walterze! – powiedziała i westchnęła.

Nacisnęła pedał gazu i chevrolet skoczył do przodu. Impet wcisnął Waltera w fotel. Spoglądał przez przednią szybę, lecz po chwili zderzyli się ze starym pikapem, w którego szoferce wyrosło drzewo.

Rozległ się ogłuszający huk, później zapadła niepokojąca cisza. Walter stracił przytomność.

## PŁYNAĆCA WODA.

Była to następna rzecz, którą usłyszał Walter, i z jakiegoś powodu przypomniał mu się szałas, który zbudował jako dziecko z dwoma przyjaciółmi w lesie za domem rodziców w Dearborn. Dość prosta konstrukcja. Ukradli kilka arkuszy sklejki z pobliskiego placu budowy i przybili do drzew, tworząc ściany. Płyta służąca jako dach miała w środku dziurę i w czasie deszczu lała się przez nią woda. Żadna z pozostałych płyt nie miała dziur, więc trudno zgadnąć, dlaczego właśnie z tego arkusza zrobili dach (albo czyja to była wina). Zamiast go wymienić, stawiali na ziemi garnek i łapali wodę. Deszcz padał przez korony drzew, głośno uderzał w dach, a później wpadał z metalicznym brzękiem do garnka. Pili później deszczówkę i – co ważniejsze – gasili nią ognisko przed odejściem, bo żadnemu z nich nie wolno było mieć zapalek i oczywiście nie chcieli wywołać pożaru lasu.

Plusk.

Płynąca woda.

Kiedy Walter otworzył oczy, spodziewał się, że będzie leżał w szałasie. Szybko przypomniał sobie wypadek, a później pomyślał, że siedzi w chevroletcie w fotelu obok kierowcy. Okazało się, że nie jest w żadnym z tych miejsc.

Obudził się nagi w łóżku i zobaczył nad sobą poplamiony sufit. Ramiona miał odrzucone do tyłu, a nadgarstki przywiązane sznurami do szczytu łóżka. Kiedy spróbował poruszyć nogami, poczuł liny wrzynające się w kostki: nogi też miał skrępowane.

– Nic sobie nie złamałeś, ale nieźle się potłukłeś! – zawołała dziewczyna, która zdawała się nie mieć własnego imienia.

Obrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczył źródło płynącej wody.

Łazienka po przeciwnej stronie pokoju, uchylone drzwi. Wylatywała z nich para.

Brała prysznic.

Zapisał zakręcany kran.

Widział przez szparę, jak sięga zza zielonej plastikowej zasłony po ręcznik wiszący na umywalce. Po chwili odsunęła zasłonę i wyszła, owinięta ręcznikiem, przyciskając go jedną ręką do piersi. Z jej głowy kapłała woda i spływała po plecach. Dziewczyna dotknęła wolną ręką ciemnych włosów i zarzuciła je na plecy.

Nad zlewem, gdzie powinno wisieć lustro, była tylko pusta rama. W lewym rogu pozostał odłamek szkła. Jeśli resztki lustra leżały na podłodze, dziewczyna nie próbowała ich omijać, gdy wyszła z łazienki i podeszła do komody stojącej naprzeciwko łóżka.

Leżała na niej torba podróżna Waltera.

Rozsunęła zamek błyskawiczny, zaczęła grzebać w torbie i wyjęła jedną z koszul. Włożyła ją, odwrócona plecami, i pozwoliła ręcznikowi opaść na podłogę.

– Koszula pachnie tobą. To miłe – powiedziała, zapinając guziki. – Mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał, jeśli ją wezmę. Nie mam własnych ubrań.

– Gdzie jesteśmy?

Walter ledwo rozpoznał swój głos. Zaschło mu w gardle i mówienie sprawiało mu ból.

„To nasz dom, Walterze. Będę z tobą na zawsze”.

– W niewielkim motelu na przedmieściach Garson, pokój czterysta dwa. Musiałeś odpocząć, a ja marzyłam o prysznicu. Szukają nas twoi przyjaciele, więc doszłam do wniosku, że powinniśmy znaleźć spokojne miejsce, zastanowić się i opracować plan.

– Co się stało?

W dalszym ciągu stała odwrócona do niego plecami. Popatrzył na jej nogi, ciągle lśniące od wody. Koszula, a poniżej gładkie uda.

– Uratowałeś mnie, Walterze. To najważniejsze, późniejsze wydarzenia nie są już takie istotne. Zaryzykowałeś życie, żeby mi pomóc. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Odwróciła się w jego stronę i zniknęły jakiegokolwiek wątpliwości, jakie mógł mieć co do jej tożsamości. Patrzył na Amy Archer. Nie rozumiał, jak to możliwe, ale wydawało się to oczywiste. Nie była ani odrobinę starsza niż w dniu, gdy widział ją po raz ostatni – w czasie kolacji w restauracji U Giovanniego – i nie wyglądała tak młodo jak w Ogrodzie. Była po prostu sobą. Dziewczyną, którą znał, pamiętał.

Przeszła przez pokój i uklękła na skraju łóżka między jego nogami. Zapięła tylko trzy guziki koszuli i kiedy się poruszała, widział pod spodem nagie ciało.



Koszula przylegała do wilgotnej skóry, sutki były sztywne, a w szarych oczach błyskały psotne ogniki.

– To ty. – Walter usłyszał własne słowa.

– To zawsze byłam ja, Walterze. Zawsze byliśmy tylko ty i ja. Zawsze będziemy. Czy nie tego pragniesz?

– To niemożliwe, wykluczone... – Szarpnął liny, gdy się pochyliła.

Położyła dłoń na jego kolanie i lekko je ścisnęła. Poczł ostry ból przeszywający nogę od kostki do pachwiny.

– Sznury są dla twojego własnego bezpieczeństwa, Walterze. Jak mówiłam, bardzo się potłukłeś. Lepiej, żebyś się nie ruszał. Sama się wszystkim zajmę. Będę ostrożna, przyrzekam. Chcę ci podziękować. Pozwól mi wyrazić wdzięczność.

Walter patrzył nad jej ramieniem na brzydki kwaciastą tapetę na ścianie za komodą. Przysięgłby, że już ją gdzieś widział. Sznury i łóżko również wydawały się znajome.

Materac był pokryty plamami i śmierdział. Walter przypomniał sobie mieszkanie Alvina Schalka w Forest Park. A może był to pokój w hotelu Edison, gdzie znaleźli mężczyznę o nazwisku Glenn Beede, z którego wyciekło całe życie i pozostała tylko pusta skorupa przeżarta przez raka?

– Musiałam przeciąć twoje ubranie – powiedziała i delikatnie pocałowała go w udo. – Z powodu lin. – Przykro mi, ale nie było innego wyjścia. – Przysunęła się bliżej, przycisnęła do niego, czuł ciepło jej ciała. – Kiedyś cię poprosiłam, żebyś ze mną uciekł, i ciągle nie jest za późno. Możemy zniknąć, znaleźć miejsce dla nas dwojga. Ale musimy działać szybko, wkrótce zaczną nas ścigać. Nie chcę znowu cię stracić. Naprawdę nie chcę.

Musnęła palcami jego penis, bawiąc się z nim, a później dotknęła blizny na nadgarstku.

– Przepraszam. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić.

Pochyliła się i polizła krawędź blizny. Walter szarpnął liny i krzyknął: język Amy przypominał ostrze noża wnikającego w głąb ciała i próbującego wyszarpnąć bliznę.

Popatrzyła na niego i wydeła wargi.

– Przepraszam, maleńki, to bolało?

Walter wstrzymał oddech, napiął wszystkie mięśnie. Z końca języka Amy kapła krew. Uśmiechała się ironicznie.

– Polubisz to. Wszyscy to lubią.

Kiedy znowu opuściła głowę, Walter ponownie krzyknął.

OBUDZIŁ SIĘ! SIOSTRO! Nie ruszaj się! Walter! Nie ruszaj się!

Walter gwałtownie zadygotał. Czasami zdarza się to przed zaśnięciem. Czuł, że spada z wielkiej wysokości, a potem uderza w niewidzialną ziemię. Podskakiwał na łóżku.

– Ma konwulsje!

Głosy.

Inne głosy i ręce. Nieznajome.

– Nie umieraj! Nie umieraj! – Głos kobiety. – Pięć centymetrów sześciennych midazolamu i diazepam, natychmiast!

Ręce. Przytrzymały go.

– Mówię, żebyś nie umierał!

– Przepraszam... Przepraszam...

„Sealey?”

– Niech ktoś zaciśnie pasy! Wsadźcie mu do ust ochraniacz, żeby nie przegryzł sobie języka! Moreno, możesz dosięgnąć?

– Mam. Zaczekaj...

Minęło dziesięć sekund, może dziesięć minut. W pierwszych chwilach czas wydawał się płynny: kojarzył się z wodą tryskającą z węża ogrodowego, której nie można zatrzymać w dłoni. Walter miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, po czym zamiast czerni zobaczył pomarańczowe światło, otworzył oczy i ujrzał jaskrawe lampy na statywach – halogeny podobne do tych otaczających toyotę camry, ale tamte halogeny były kwadratowe, a te okrągłe i...

– Słyszysz mnie, Walterze?

Znowu kobiecy głos. Zobaczył stojącą nad nim postać. Odchyliła palcem powieki i poświeciła w źrenice kieszonkową latarką.

– Możesz patrzeć na światło? Staraj się nie poruszać głową, tylko oczami.

Chciał mrugnąć, lecz nie mógł, bo trzymała powieki, więc spełnił polecenie. Kiedy wreszcie puściła, mrugnął kilka razy.

Stały nad nim jeszcze trzy inne osoby.

– Gdzie jestem?

– W szpitalu ogólnym w Atlancie. Nazywam się Logan, jestem lekarką. Przestraszył nas pan.

Zauważył ruch kątem oka i próbował obrócić głowę, ale nie drgnęła.

– Jest pan skrępowany. Proszę leżeć bez ruchu. To dla pańskiego dobra. Dostał pan duże dawki lekarstw.

Poczuł falę bólu, ale wydawał się przytłumiony, jak krzyk pod wodą.

– Co się... Jest źle?

Lekarka spoglądała przez chwilę w kąt pokoju.

– Pasy bezpieczeństwa czasem ratują życie pasażera samochodu, panie O'Brien. Niestety postanowił pan nie zapiąć pasów. Przez trzy dni był pan w śpiączce farmakologicznej; w tym czasie próbowaliśmy pana leczyć. Wyleciał pan przez przednie okno auta i doznał wielu obrażeń. Z czasem rany się zagoją. Pozostaną blizny, więc może zechce pan porozmawiać z chirurgiem plastycznym. Doznał pan złamania miednicy, lewej kości ramiennej, prawej kości łokciowej, kości promieniowej i nadgarstka. A także obu kości udowych; prawa jest w gorszym stanie niż lewa. W prawej nodze doszło również do pojedynczego złamania kości piszczelowej i wielokrotnego złamania strzałki. Rzepka prawego kolana jest zmiażdżona. Zacznie pan znowu chodzić, ale zajmie to trochę czasu; potrzebna będzie rehabilitacja. Kręgosłup jakimś cudem pozostał nienaruszony. Żebra spełniły swoje zadanie i zamortyzowały uderzenie w klatkę piersiową, co uratowało organy wewnętrzne. Jednak doszło do pęknięcia śledziony, więc musieliśmy ją usunąć. Prawdopodobnie czuje pan ucisk na twarzy, przyczyną jest...

– Pani doktor? – rozległ się czyjś głos.

Uniosła wzrok i znowu popatrzyła w kąt pokoju.

– Mogę mu podać pozostałe szczegóły – rzekł Sealey i podszedł do łóżka Waltera. – Da nam pani kilka minut?

Na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, ale skinęła głową.

– Co najwyżej kilka. Później muszę przeprowadzić badania. – Delikatnie dotknęła ramienia Waltera. Zauważył jej gest, ale go nie poczuł. – Miał pan szczęście, chcę, żeby pan to zrozumiał. W tej chwili może się wydawać inaczej, ale to się zmieni w ciągu najbliższych miesięcy. Powinien pan o tym pamiętać.

Doktor Logan wyszła z pokoju. Pozostałe trzy osoby podążyły za nią, rozmawiając po cichu.

– Dlaczego nie czuję ręki? – spytał Walter, gdy wyszły.

Sealey zmarszczył brwi. Później zrozumiał, o co naprawdę pyta Walter.

– Prawdopodobnie dlatego, że jest w gipsie, który wygląda, jakby miał trzy centymetry grubości, a poza tym dali ci tyle środków przeciwbólowych, że powaliłyby nosorożca.

Przysunął krzesło do łóżka i gwizdnął.

– Nieźle cię załatwiła.

– Gdzie ona jest?

– Zniknęła. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Uderzyła w furgonetkę i drzewo, jadąc z prędkością stu kilometrów na godzinę. Oboje wylecieliście przez przednią szybę. Minąłeś drzewo, przeleciałeś nad furgonetką i upadłeś w błoto, co prawdopodobnie uratowało ci życie. Gdybyś z tą prędkością trafił w drzewo, ciągle musielibyśmy zdrapywać cię z kory. Przypuszczamy, że ona też upadła na ziemię, ale wstała i odeszła. Nie znaleźliśmy ani kropli krwi na fotelu kierowcy i na szybie, tylko ślady w lesie. Sprowadziliśmy psy; szły za nią ścieżką przez trzydzieści metrów, po czym zgubiły trop w okolicach autostrady. Ktoś musiał ją podwieźć.

– Kto mógłby...

Walter zamierzał zadać pytanie, po czym natychmiast sam sobie na nie odpowiedział. Ładna dziewczyna zatrzymuje samochód na ciemnej autostradzie, jest zakuta w kajdanki i wygląda, jakby ją gdzieś więziono. Wystarczyłaby prosta bajeczka. Jedzenie, ubranie, pieniądze... ludzie potrafią być hojni. Większość pomogłaby bez zastanowienia.

Trzy dni. Może być wszędzie.

Sealey uniósł trzy fragmenty pocisków.

– Myślę, że to one ją trafiły, znalazłem je na fotelu kierowcy. Zrobiły na niej takie samo wrażenie jak ugryzienia komara.

To nie było możliwe.

– Nie jesteś z FBI – wykrztusił Walter. – Dla kogo naprawdę pracujesz?

Sealey milczał przez chwilę.

– Chcesz wiedzieć, co znaleźliśmy w domu, w którym mieszkał Barney Simpers? W mieszkaniu obok, które powinno być puste? W tym samym korytarzu?

Walter próbował skinąć głową, ale nie chciała się poruszyć.

– Powiedz mi – rzekł.

– Zwłoki Simpensa. Przez wiele dni leżał przywiązany do łóżka, bez jedzenia i wody. Nie pozwalała mu nawet korzystać z toalety, robił pod siebie. W końcu chyba nie miało to dla niego żadnego znaczenia. – Sealey odchrząknął i odparł niechętnie: – Odgryzła mu palce, gdy jeszcze żył. Na pewno krzyczał, ale miał zrakowaciały, opuchnięty język, więc dźwięki musiały być przytłumione. Przypominał pozostałe ofiary. W całym jego ciele znaleziono agresywne

komórki rakowe: w rękach, nogach, najważniejszych organach, mózgu. Moi eksperci ciągle usiłują ustalić, dlaczego przeżył tak długo, ponieważ już dawno powinien umrzeć na każdą z tych chorób. Zgadza się tylko w jednej sprawie: rak został sztucznie wywołany. W środku każdego skupiska komórek rakowych znajduje się ślad dłoni widoczny w ultrafiolecie. Najgorsze są na twarzy i ustach: przypominają pocałunek śmierci.

Sealey znowu zamilkł na sekundę.

– Ona dotyka ludzi i w jakiś sposób wysysa z nich życie. Komórki rakowacieją, ulegają degradacji, błyskawicznie się starzeją. Rak nie jest normalną chorobą, ale symptomem, produktem ubocznym. Pojawia się, kiedy... wysysie życie do końca. Wyssała je z tych ludzi. Dotykaniem.

– To nie...

– Niemożliwe? – Sealey położył fragmenty pocisków na piersi Waltera. – Mam dość zastanawiania się, co jest możliwe, a co nie! Skupiam się na tym, co ustaliliśmy. To jej robota.

– Jesteś pewien, że to ona, a nie grupa osób? – spytał z wysiłkiem Walter.

Sealey wbił wzrok w podłogę.

– Kiedy zająłem się tą sprawą, przypuszczałem, że to musi być grupa, taki był pogląd firmy. Ale gdy badaliśmy kolejne przypadki, pojawiało się dziesięć dowodów wskazujących, że to jedna osoba. Jest tylko ona i zajmuje się tym od bardzo, bardzo długiego czasu. Z logicznego punktu widzenia to bzdura, lecz mam stos raportów wysokości człowieka, które świadczą o czymś zupełnie innym. Chciałbym zadać ci pytanie. Opisz dziewczynę, którą widziałeś w namiocie. Jak wyglądała?

Mówienie sprawiało Walterowi trudność i nie chciał znowu uczestniczyć w starej grze. Był senny. Mimo to zmusił rozkojarzony umysł do pracy.

– Dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Kasztanowe włosy do ramion, szare oczy. Jasna cera. Żadnych widocznych znaków szczególnych, blizn, tatuaży.

Sealey skinął głową, a następnie wyjął z kieszeni na piersi niewielką złożoną kartkę.

– Chcę ci coś przeczytać. Znaleźliśmy to przy młodym żołnierzu, który oddał w namiocie pierwszy strzał i zabił kolegę. – Odchrząknął.

*Kazali mi pilnować mojej przyszłej żony, mamo. Nie wiem, co zrobiła, i zupełnie mnie to nie obchodzi. Moim zdaniem to jakieś nieporozumienie. Kiedy wszystko się wyjaśni, zawiozę ją do najbliższego kościoła, a potem do domu, nim spakuje manatki i zniknie. Mamo, musisz ją zobaczyć – przepiękna cera, jedwabiste czarne włosy opadające na plecy. Idealne oczy w kształcie migdałów. Jakby ktoś wziął najlepsze części Diany Ross,*

*połączył z Whitney Houston i stworzył ósmy cud świata. Wiem, wiem, to nie ma znaczenia, urzekła mnie jej osobowość. Mamo! Ona...*

– Nie była Afroamerykanką – przerwał Walter. – Opisuje kogoś innego.

Sealey opuścił kartkę.

– To list do jego matki. Dlaczego miałyby kłamać?

– Opisał kogoś innego – powtórzył Walter.

Sealey westchnął.

– Ja widziałem blondynkę w wieku około dwudziestu pięciu lat. Niebieskie oczy, długie, opalone nogi. Tak wyglądała od przyjazdu do chwili, gdy z tobą uciekła.

Walter nie odpowiedział.

– Dwudziestu trzech rannych, czterech zabitych. Tak to się skończyło. Nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego strzelał do kolegów. Rozsądna część mojego umysłu mówi, że to był koszmarny wypadek: paniczna strzelanina w ciemności. Inna część, która lepiej rozumie sytuację, mówi, że to ona zmusiła żołnierzy do otwarcia ognia. Wszyscy opisują ją inaczej. Policjant, który ją aresztował, twierdził, że to Latynoska z Gwatemali, gdzie się wychował. Trzech żołnierzy przysięga, że była Azjatka. Ty, ja, wszyscy moi ludzie widzieliśmy inne osoby. Mam geja, który utrzymuje, że na tym krześle siedziała nie kobieta, tylko androgyniczna istota, skrzyżowanie Demi Moore i Roba Lowe'a. Wszyscy opisują ją inaczej, ale zgadzają się co do jednego: nigdy nie widzieli równie pięknej kobiety. Kimkolwiek albo czymkolwiek jest, nie jest normalna. Nie jest tworem natury, tylko... czymś niepojętym. Ale to ona zabiła wszystkie ofiary, które wykopaliśmy w Ogrodzie, i Bóg jeden wie kogo jeszcze. Chcielibyśmy, żebyś zaczął z nami współpracować. Wytropił ją, powstrzymał, nim znowu kogoś zamorduje. Ale możesz odejść. Wyzdrowiejesz, zapomnisz, że się kiedykolwiek spotkaliśmy, wrócisz do normalnego życia. Nie znam dobrze FBI, jesteś kulawy i możesz się nie nadawać na funkcjonariusza operacyjnego, znajdują ci jakąś funkcję, jeśli o to poprosisz. Jednak myślę, że chcesz ją znaleźć tak samo jak ja. Jesteś mi potrzebny. Potrzebuję twojej energii. Potrzebuję cię w swoim zespole.

– Dla kogo dokładnie pracujesz?

– To skomplikowana sprawa. Zajmujemy się kwestiami bezpieczeństwa narodowego, ale nie podlegamy żadnej konkretnej agencji federalnej. Nasz budżet pochodzi z różnych źródeł. Trochę stąd, trochę stamtąd... Nadzoruje nas tajny komitet. Oficjalnie nie istniejemy; tropimy ludzi, którzy nie istnieją. Śledzę ją od dziesięciu lat i chciałbym, żebyś nam pomógł.

Sealey przeszedł przez pokój i wrócił z lusterkiem.

– Jest coś jeszcze, Walter. Niełatwo mi to powiedzieć, więc po prostu ci pokażę. – Uniósł lusterko i umieścił przed jego twarzą. Jego dłoń lekko drżała.

Walter wziął lusterko i jęknął. Nie mógł wykrztusić słowa. Jego mózg nie był w stanie formułować słów. Spoglądał na twarz widoczną w okrągłym, pokrytym smugami szkłe. Miał zmarszczki wokół oczu i ust, zmarszczki, których nie było przed kilku dniami. Jego włosy się przerzedziły i posiwiały. Były białe jak mleko. Mężczyzna spoglądający na Waltera z lustra wydawał się znacznie starszy. Ledwo się rozpoznawał.

W jego umyśle pojawiło się wspomnienie krótkiej chwili, ale nie miał wątpliwości, że pamięta rzeczywiste wydarzenie. Kilka sekund po wypadku, gdy jego zmasakrowane ciało przestało się toczyć po ziemi, Amy Archer pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta.

Pocałunek pożegnalny. Pogładziła go po policzku i odeszła.

**TERAZ**



FBI SZUKA tej kobiety? – spytała Rigby, czytając nad ramieniem Hurwitza.

– Nie jestem pewien, o co chodzi. Wszystko jest oznaczone jako tajne. Jakieś śledztwo w okolicach Cuman w Georgii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku... – Umilkł, przewijając dokumenty na ekranie. Studiował je znacznie szybciej niż Rigby. – To nie może być prawda.

– Cuman w Georgii? Co to takiego?

Nie odpowiedział. Zamiast tego zatrzymał się na jednym z dokumentów, oznaczył kursorem numer sprawy, po czym otworzył nowe okno: NCIC – FBI, National Crime Information Center. Wpisał nazwę użytkownika, numer odznaki i hasło, po czym otworzył zaszyfrowaną stronę wyszukiwarki. Wkleił numer sprawy z dokumentu i nacisnął ENTER.

„Brak wyników”.

Powtórzył wyszukiwanie, tym razem dotyczące Cuman w Georgii w ciągu ostatnich czterdziestu lat.

„Brak wyników”.

Hurwitz zastanawiał się przez chwilę, po czym otworzył nowe okno.

– Może nie powinna pani na to patrzeć.

– Dlaczego?

– Czasami warto móc wiarygodnie zaprzeczyć.

Przejrzał serię okien i obrazów, szybko stukając w klawiaturę. Na początku tekst wydawał się bezsensownym bełkotem, później na górze pojawiło się logo FBI wraz z nagłówkiem: „Biuro Ekspertyz Finansowych. Komisja Izby Reprezentantów do spraw Budżetu, Podkomisja do spraw Handlu, Wymiaru Sprawiedliwości, Nauki i Agencji Rządowych. Waszyngton. Dystrykt Kolumbia”.

Zanim Rigby zdążyła się odezwać, Hurwitz powtórzył:

– Zawsze warto móc wiarygodnie zaprzeczyć.

Nie musiał tłumaczyć, o co chodzi. Widziała, jak nawiguje po menu; w końcu dotarł do archiwum finansowego FBI. Dane o wydatkach, pokwitowania. Szybko przeszedł do 1997 roku, otworzył stronę, wpisał kilka słów do wyszukiwarki i zmarszczył brwi.

– Nie ma tu niczego, co pozwoliłoby sfinansować operację o takiej skali.

– Czego konkretnie szukasz? – spytała Rigby.

– Dokumenty na tym dysku opisują dużą operację w Georgii w dziewięćdziesiątym siódmym roku – odpowiedział, czytając. – Wysłano w teren przeszło stu agentów i żołnierzy, przebywali na miejscu cały miesiąc. –

Popatrzył na Rigby. – Prawie sto trupów zakopanych w odludnym miejscu. Ekshumacje, transport zwłok, próby identyfikacji... Takie informacje są na dysku, ale nie ma wzmianki, kto pokrył koszty.

– Dokumenty na dysku są utajnione.

– Nie można ukryć transferu pieniędzy, nie w realnym świecie. To się zdarza tylko w filmach. Powinien tu być link do numeru utajnionej sprawy bez żadnych szczegółów, ale z danymi o przelewach bankowych. – Otworzył okno przeglądarki i wyszukał informacje o Cuman w Georgii. Pojawiła się mapa, kilka linków do miejscowych gazet, nic więcej. – Wykluczone, żeby nie wywąchali tego dziennikarze. Ludzie zauważyliby dużą grupę agentów federalnych kopiących na odludziu. Sprawa trafiłaby do krajowej prasy. Nakręcono by o tym film fabularny.

– Więc dokumenty są fałszywe.

– Muszą być fałszywe.

Rigby popatrzyła na raport na temat ekshumacji. Zauważyła podpis na dole.

– Lincoln Sealey. Co o nim wiemy?

Hurwitz wrócił do bazy NCIC i otworzył wyszukiwarkę funkcjonariuszy federalnych. Wklepał nazwisko i numer identyfikacyjny podany w raporcie.

– Pozwolono mu odejść ze służby w dwa tysiące dziewiątym roku. Manipulowanie dowodami rzeczowymi. Fałszowanie zeznań. W ostatnim roku kilka postępowań dyscyplinarnych w związku z pijaństwem... – Zerknął na nią z fotela. – Te same powody co w aktach O'Briena. Prawie słowo w słowo.

W furgonetce oddziału antyterrorystycznego zadzwonił telefon. Zastępca szefa. Rigby głęboko odetchnęła i odebrała połączenie.

– Sir?

– Dlaczego nie przeprowadziliście szturm?

– Wie, że jesteśmy w pobliżu, sir. Zagroził, że zdetonuje bombę, jeśli zaatakujemy strzelców.

– Więc niech ich wyeliminują snajperzy. Ustaliliście ich pozycje?

Hurwitz wyświetlił w podczerwieni obrazy dwóch budynków. Widać było wyraźną sygnaturę termiczną na trzecim piętrze banku i drugą w biurowcu, tym razem na najwyższym piętrze. Były też cztery inne.

– Zlokalizowała pani snajperów, tak? Należy ich zlikwidować w tym samym momencie co O'Briena. Proszę zakończyć tę sprawę.

Rigby spoglądała na obrazy w podczerwieni i na okna z danymi z pamięci USB. Coś się nie zgadzało.

– Jest tam pani?

Przełknęła ślinę.

– Sir, wiedzieli, że zastosujemy termowizję, więc po przybyciu włączyli ogrzewanie w obu budynkach. Odcieśliśmy elektryczność, ale ciągle jest za gorąco, by ustalić pozycje snajperów. Widzimy co najmniej sześciu, ale przypuszczamy, że jest ich więcej. Wolałabym mieć dodatkowe informacje przed rozpoczęciem akcji.

Hurwitz wiedział, że Rigby kłamie, lecz milczał. Przeszukiwał dane na USB.

– Przyjadę za jedenaście minut. Kiedy się pojawię, proszę przedstawić konkretne propozycje.

Zastępca szefa się rozłączył.

– Mamy trochę czasu – odezwał się Hurwitz. – Zyskaliśmy dziesięć minut, żeby się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi. Muszę coś z tego zrozumieć.

Wrócił do katalogu głównego i szybko przewijał foldery.

– A to? – Rigby wyciągnęła rękę. – Bakersfield?

# 2009

## ALIASY

Amy Archer\*

Amelia Dyer\*

Velma Barfield\*

-lele-

Jane Toppan\*

Gesche Gottfried\*

Nannie Doss

Myra Hindley\*

Leonarda Cianciulli\*

Dagmar Overbye\*

Mary Clement\*

\*CZARNE WDOWY /LIPA

## OFIARY

Alvin Schalk

Dwie ofiary /zamrażarka w piwnicy

Glenn Beede/~~niezidentyfikowany mężczyzna~~ /hotel Edison

Aneta Kostenko /~~niezidentyfikowana kobieta~~ /dworzec autobusowy w Corktown

Prywatny detektyw Earl Golston /~~niezidentyfikowany mężczyzna~~ /Four Seasons

Mężczyzna z peronu

Michael Driscoll

KAMIENICA

Wes Brayman

Rebecca Edgecomb (Willow)

17 innych

Zacieranie śladów?

OGRÓD

Przeszło 80 zwłok

Niektóre sprzed 200 lat

Wysypisko

Włosy

Paznokcie

Zęby

Notatnik – nazwiska, daty, adresy

Rysunki /związane z dziewczynami?

Te same????

**Walter O'Brien, czterdzieści pięć lat**

WALTER PRAWIE PRZEZ DZIESIĘĆ MINUT obserwował pacjenta przez lustro weneckie, nie odzywając się do lekarza stojącego obok. Było oczywiste, że doktor chce zrozumieć, o co chodzi. Gdyby ich role się odwróciły, Walter też byłby zaciekawiony.

– Uważa pan, że pan Larson jest religijny albo przesądny? – spytał po długim milczeniu.

Lekarz – przedstawił się jako doktor Patrick Frazer – zdjął okulary w okrągłych oprawkach, szybko przetaił je krawatem i umieścił z powrotem na nosie.

– Red? Nie, w żadnym wypadku.

– Dlaczego pozwalacie na takie zachowania? Po co dawać mu kredę?

– Dla jego własnego bezpieczeństwa. Na początku pisał paznokciami na ścianach pokoju. Drapał farbę, uszkadzał gipsowe ścianki. Kiedy stracił paznokcie, mazał krwią z czubków palców. Daliśmy mu kredę i pozwoliliśmy zabandażować sobie ręce. Ciągłe pisze jak szalony, ale przynajmniej rany się goją.

Ręka mężczyzny była grubo obandażowana.

– Dlaczego go nie skrępować, aż to minie?

– Z moich doświadczeń wynika, że pacjent powinien się wyładować. Jeśli próbujemy go powstrzymać, zaczyna się denerwować, co przypomina wzrost ciśnienia w kotle parowym. Red nie wyrządza nikomu krzywdy. W końcu to minie, ale wydało mi się tak dziwne, że postanowiłem się z panem skontaktować.

Walter spojrział przez szybę. Podłogę i dwie ściany pokrywały różnokolorowe teksty zapisane kredą: „Pieprz się, Lilin – nie jestem Walterem O’Brienem”. Mężczyzna, Red Larson, pisał na trzeciej ścianie.

– Wie pan, skąd zna moje nazwisko?

Lekarz pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Pytałem personel, ale nikt nic nie wie. Miał długie, bogate życie, więc mógł je gdzieś usłyszeć. W czasie pobytu u nas nigdy nie halucynował, więc doszliśmy do wniosku, że nazwisko jest prawdziwe, i postanowiliśmy pana odszukać.

Walter poczuł ostry ból w prawej nodze, jakby ktoś ukłuł go igłą w piętę. Usiłował nie myśleć o fiolce oksykodonu w kieszeni. Zażył ostatnią tabletkę zaledwie przed godziną. Powinien usiąść.

– Kiedy to się zaczęło?

– Tydzień temu. Wcześniej słyszałem pańskie nazwisko tylko dwa razy w czasie regularnych sesji terapeutycznych.

Walter przestąpił z nogi na nogę, stanął na lewej i oparł się na lasce. Ból, który towarzyszył mu zawsze, jak oddech, złagodniał na chwilę, po czym zaczął narastać po drugiej stronie ciała. Poczuł przeszywające ukłucie w miednicy i znowu zmienił pozycję.

Mężczyzna, którego obserwowali, zbliżał się do sześćdziesiątki. Miał krótko ostrzyżone siwe włosy i pomarszczoną twarz człowieka, który dużo przeżył. Był ubrany w luźny beżowy kombinezon i przybrudzone białe płócienne tenisówki.

– Dlaczego tu trafił?

– Pan Larson przyjechał po raz czwarty jakieś trzy miesiące temu – wyjaśnił doktor Frazer. – Przebywa w podobnych zakładach od powrotu z Wietnamu.

– Jest niebezpieczny?

– Tylko wtedy, gdy dostanie do ręki karabin. Był strzelcem wyborowym. Red Larson chce po prostu zapomnieć, a umysł mu na to nie pozwala. Na przestrzeni lat tworzyliśmy subtelne koktajle leków, które pozwalały mu wychodzić ze szpitala, funkcjonować w społeczeństwie, ale po jakimś czasie wszystko się waliło i wracał. Jak powiedziałem, to jego czwarty pobyt u nas. Zawsze witamy go z otwartymi ramionami w nadziei, że znajdziemy sposób, by go znowu wypisać.

Walter był w Bakersfield. Niewielkim szpitalu psychiatrycznym na zadupiu w stanie Michigan, na przedmieściach miejscowości o nazwie Broken Creek.

– Niełatwo było pana odnaleźć – ciągnął doktor Frazer. – Jest wielu Walterów O'Brienów.

Walter patrzył na swoje odbicie w lustrze weneckim. Cienkie blizny stały się z czasem mniej widoczne. Najbardziej drażniły go siwe włosy. Próbował je farbować – na czarno, kasztanowo, blond – ale nic to nie dawało. Po kilku dniach znowu był siwy, zmiana zachodziła równie szybko jak przed laty.

– Jak właściwie mnie pan znalazł? – spytał.

– Siostra Mary Susan zauważyła pana nazwisko w artykule na temat pożaru w Detroit. Domyśliła się, że pracował pan w policji.

– Już dawno odszedłem ze służby.

– Skontaktowaliśmy się z kilkudziesięcioma Walterami O'Brienami, ale tylko pan wszystko rzucił i przyjechał natychmiast po naszym telefonie. Rozumiem, że jest pan właściwym Walterem O'Brienem. Pozostali albo grzecznie nas spławili, albo odkładali słuchawkę.

W celi – trudno było nazwać to pomieszczenie inaczej – Red w dalszym ciągu bazgrał na trzeciej ścianie. Jego charakter pisma był zaskakująco schludny, wyraźny, równy.

„Pieprz się, Lilin – nie jestem Walterem O'Brienem”.

„Pieprz się, Lilin – nie jestem Walterem O'Brienem”.

„Pieprz się, Lilin – nie jestem Walterem O'Brienem”.

– Chciałbym z nim porozmawiać.

– Tak przypuszczałem.



DOKTOR FRAZER POPROWADZIŁ WALTERA szerokim korytarzem o łukowatym ceglany suficie. Zapach środków odkażających i pasty do podłóg ledwo maskował odór moczu i zgnilizny.

– Była to kiedyś letnia rezydencja znanego fabrykanta tekstyliów, który inwestował w przemysł samochodowy. Jego córka cierpiała na zaburzenia psychiczne, więc w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, po śmierci ojca, spadkobiercy przeznaczili dom na cele dobroczynne, by służył pomocą osobom cierpiącym na podobne choroby i zapewniał im opiekę. Kiedyś istniał fundusz powierniczy, ale już dawno został zlikwidowany: nasz skromny budżet opiera się na wpłatach darczyńców i dotacjach państwowych. Mamy nadzieję przywrócić budynkowi dawną świetność, ale oczywiście najważniejsza jest opieka nad pacjentami. Jesteśmy na miejscu...

Doktor Frazer wskazał pomieszczenie podobne do sali przesłuchań w areszcie komendy policji w Detroit.

– Proszę usiąść. Każę przyprowadzić Reda.

Walter ostrożnie zajął miejsce na jednym z krzeseł, z całych sił usiłując ignorować okropny ból mięśni i kości. Zakończyło się to żalosną klęską. Najgorsze były metalowe gwoździe w prawej kości udowej. Mimo to nie zamierzał zażywać następnej tabletki, jeszcze nie.

Larsona przyprowadzono skrupowanego, co wydało się Walterowi dziwne, bo przed chwilą lekarz powiedział, że nie jest niebezpieczny.

– To naprawdę konieczne?

Pielęgniarze pomogli Larsonowi usiąść na krześle naprzeciwko Waltera i przymocowali kajdanki do bolca na środku stołu.

– Takie są procedury, sir.

Larson nie zwracał uwagi na wymianę zdań. Sądząc po jego pustym spojrzeniu, przekrwionych oczach i ślinie lśniącej w kącikach ust, był pod

wpływem dużej dawki leków psychotropowych. Kołysał się powoli na krześle do przodu i do tyłu.

Pielęgniarze wyszli; rozległ się szczeł ciężkiego zamka w drzwiach. Walter zastanawiał się, czy ktoś ich obserwuje przez lustro weneckie.

Wskazał kubeczek z wodą stojący w pobliżu dłoni Larsona. Skrępowany mężczyzna nie mógł go podnieść do ust.

– Chce się pan napić? Mogę panu pomóc.

Larson wpatrywał się w Waltera tęnym wzrokiem. Po podbródku spłynęła mu kropla śliny i kapnęła na koszulę.

Walter wyjął chusteczkę i wytarł ślinę. Larson siedział bez ruchu. Wydawało się, że patrzy nie na Waltera, ale przez niego.

Walter usiadł wygodniej na krześle.

– Wie pan, kim jestem?

Kiedy Larson w końcu się odezwał, mówił powoli, rozwlekle, opryskliwie – połączenie środków psychotropowych i południowego akcentu z zapadłej prowincji.

– To ciebie chce Lilin. O tobie mówi. – Spojrzał na kajdanki na rękach. – Nie podobam jej się?

– Komu?

– Lilin.

– Kim jest Lilin?

– To ona. Lilin.

– Niestety nigdy nie słyszałem tego imienia.

Walter widział zamglone oczy Larsona, który próbował się skupić, przebić przez mgłę.

– Lilin... Preta.

– To jej nazwisko? Preta? Lilin Preta?

Walter nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. Larson powoli pokręcił głową.

– *Preta*. To wietnamski wyraz. Głodny duch, pożeracz życia. *Preta*.

– Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałeś to imię? W Wietnamie?

Larson skinął głową.

– W Wietnamie.

– Skąd znasz moje imię?

– Ciągłe mówi o tobie. Walter. Walter O'Brien. Rozmawialiśmy o tobie przez wiele godzin. Stale chce o tobie mówić. Tylko tego... pragnie. Nieważne, co robię, ona tylko zawsze: „Walter, Walter, Walter...”.

– Jest tutaj? W tym miejscu?

– Zawsze. Tutaj. Wszędzie. Zawsze.

– Nie jestem pewien, o co ci chodzi. Możesz ją opisać? Jak wygląda?

„Jaka ci się wydaje?”

Larson spojrzał na bliznę po oparzeniu na nadgarstku Waltera i jego oczy na chwilę rozbliły.

– Tęskni za tobą, Walterze. Kazała mi powtórzyć, że chciałaby, byście zostali we dwoje. Na zawsze w waszym domu.

„Nasz dom, Walterze. Pamiętasz go?”

Ktoś mocno zastukał do drzwi.

Kiedy się otworzyły, stał w nich Lincoln Sealey. Dał Walterowi znak, by wyszedł z pokoju.

WALTER I SEALEY STALI na korytarzu. Doktor Frazer zniknął.

Sealey zamknął drzwi i zasunął rygiel.

– Nie wiem, co sądzić o tym szpitalu – powiedział cicho. – Myślisz, że ona tu jest?

– Dobre miejsce, żeby się ukryć. – Walter zerknął na milczącą zakonnice stojącą w pobliżu. Wtapiała się w otaczający ją półmrok.

– Na pewno lepsze niż Albuquerque.

O mało nie schwytali jej w Albuquerque. Mieszkała z przeszło dwudziestoma dziewczynami w akademiku w okolicy dużego dwuletniego college'u przygotowującego do wyższych studiów. Lokatorki nieustannie się zmieniały: niektóre się wprowadzały, inne wyprowadzały. Nie byli pewni, jak długo tam przebywała. Pierwsze zwłoki znaleziono w dwa tysiące trzecim roku. Dziewiętnastoletni student, zmarły wskutek potężnego wylewu krwi do mózgu na tyłach małego sklepu spożywczego. Jego wargi lśniły w ultrafiolecie. Zespół Sealeya i Waltera znalazł siedem innych ofiar i szukał następnych. Ostatnią był profesor języka angielskiego zmarły przed trzema laty. Później ją zgubili. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych przestała się posługiwać nazwiskami seryjnych morderczyń: prawdopodobnie zrozumiała, że zwracają na to uwagę. Prowadzono całodobową obserwację Ogrodu, ale nie wracała do wysypiska w Georgii. Walter był pewien, że istnieją inne podobne miejsca; po prostu jak dotąd ich nie znaleźli. Setki ofiar.

– Ma obsesję na twoim punkcie, ogierze – zauważył Sealey.

– To tylko kolejna gierka.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku znaleźli pod Nashville zaginionego księgowego, którego zwłoki przysypano zwiędłymi różami. Znajdował się w starym domku wędkarskim i trzymał kartę walentynkową w dłoniach pozbawionych palców. W środku napisała: „Dla mojego cudownego Waltera. Tęsknię za twoim dotykiem. Czy Ty tęsknisz za

moim?”. W Oakland w Kalifornii zlikwidowała cały gang motocyklowy. Dziewięć osób, pięciu mężczyzn, cztery kobiety. Przykuła ich kajdankami do krzeseł w magazynie, niewątpliwie aluzja do Sealeya i jego namiotu w Ogrodzie. Nie śpieszyła się, powoli wysysała z nich życie. Trwało to co najmniej kilka tygodni. Dotknięcie, dłuższy uścisk, pocałunek. W magazynie były kamery monitoringu, które zasłoniła, ale mikrofony zarejestrowały krzyki. Między krzykami mężczyzn słychać było rozpaczliwe szepty: „Dlaczego nie pojechaliśmy do Iowy, Walterze? Gdy budzisz się z koszmaru, czy ktoś wyciera ci łzy?”. Kiedy odkryto ciała, nie dało się zidentyfikować ofiar. Sealey twierdził, że staje się niechlujna, zdeorganizowana. Walter zastanawiał się, jak długo można przetrwać w izolacji, nim samotność zacznie pożerać to, co zostało. Działo się to w dwa tysiące piątym roku.

– Jeśli tu jest, dlaczego po prostu nie zabiła go jak innych? Wygląda na to, że mu się zwierzała.

– Utrzymywała go przy życiu, żeby mieć z kim rozmawiać.

„Była samotna”.

Sealey wzruszył ramionami.

– Nie próbuję już jej zrozumieć. Nie widziałem na nim żadnych śladów. A ty? Walter pokręcił głową.

– Wiemy, że potrafi zmieniać kształt. To ważne. Pamiętasz, że Larson użył określenia *preta*?

– „Głodny duch, pożeracz życia” – zacytował Sealey. – To coś w rodzaju zjawy, większość pret jest niewidzialna, chyba że...

– Chyba że są odurzone, mają gorączkę i majaczą – dokończył Walter. – Czytałem na ten temat. Nie mów mi, że to nie pasuje. Legendy o pretach pożerających ofiary, by odzyskać siły i odwrócić proces starzenia się, szczególnie części ciała związane ze zmysłami, oczy, uszy i...

Sealey przerwał machnięciem dłoni.

– Nie mówię, że to pomyłka. Po prostu nie rozumiem, dlaczego jeszcze żyje.

„Z tego samego powodu, dla którego ja jeszcze żyję” – pomyślał Walter. „Znalazła coś, co jej się podobało. Jedyne różnica polega na tym, że trzyma go w klatce jak zwierzę domowe”.

Nie chciał o tym dyskutować, więc zmienił temat.

– Lilin? Co to takiego? Słyszałeś kiedyś to imię?

– Jasne. – Sealey podrapał kilkudniowy zarost na podbródku. – To wariant imienia Lilith pojawiającego się w różnych tekstach religijnych. W starożytnej Mezopotamii liliny były złośliwymi duchami atakującymi mężczyzn w nocy. Upiory, uwodzicielki, zjawy, takie rzeczy. Coś podobnego można znaleźć

w tekstach hebrajskich. W aramejskim przekładzie Księgi Estery, Targum Szeni, król Salomon kazał Lilin zatańczyć przed sobą.

– Zatańczyć?

Sealey machnął ręką.

– Nie powinienes traktować tego dosłownie. Moim zdaniem w tym kontekście oznaczało to pokłon, oznakę posłuszeństwa, zgodę na wykonywanie rozkazów, podległość. Chciał udowodnić, że jest od niej potężniejszy.

– Była rodzaju żeńskiego, nie nijakiego?

– Czytałem to dość dawno. Musiałbym sprawdzić, ale jeśli dobrze pamiętam, natrafiłem na to w Tanach, Biblii hebrajskiej. Coś o Lilin i jej dzieciach nazywanych lilim. – Sealey umilkł i coś sobie przypomniał. – Istnieje kilka legend, że król Salomon schwytał Lilin i próbował podporządkować ją swojej woli, wykorzystać do własnych celów. Przypuszczam, że źle się to dla niego skończyło.

Walter popatrzył na Larsona przez niewielki otwór w drzwiach. Mężczyzna pochylał się nad stołem. Był ciągle przytomny, ale ledwo trzymał się na nogach.

– Według apokryfów pierwsza żona Adama z Biblii nazywała się Lilith – dodał Sealey.

– Pierwsza żona?

– Tak, przed Ewą. Istnieje mnóstwo nieprzyjemnych legend związanych z tym imieniem i podobnymi zjawami takimi jak Lilin. Wiele kultur łączy obie postacie z sukkubami. – Zajrzał przez niewielkie okienko i patrzył przez nie na mężczyznę przebywającego w pomieszczeniu. – Larson to nazwisko skandynawskie, a w Szwecji mieszka wielu Żydów. Mógł się nauczyć tego słowa od rodziców albo dziadków. Zapamiętał imię Lilin, bo słyszał je dawno temu; później nazwał nim postać ze swoich fantazji. Nie wiemy, co się dzieje w jego głowie. Trafił tu jako kompletny wrak, a teraz coś go dręczy. Wierzy w to, co nie znaczy, że opisuje coś rzeczywistego. Może fantazjować na temat jakiejś historii, którą słyszał.

„Żyje. Ona nie pozwoliłaby mu żyć”.

– Nie fantazjuje. To nie pasuje do Reda.

Powiedziała to zakonnica. Mówiła bardzo cicho, ale ją usłyszeli. Zrobiła kilka kroków w ich stronę.

– Red jest głęboko zaburzony, ale nie ma halucynacji, nie fantazjuje, nie zmyśla.

Sealey zmrużył oczy.

– Kim pani jest?

– To ja znalazłam pana O’Briena. – Skinęła głową w stronę Waltera. – Nazywam się Mary Susan.

– Zna pani pracownika szpitala mającego imię podobne do Lilin?

– Nie.

– A inni pacjenci? Czy ktoś nazywa się Lilin, Lilith albo coś w tym rodzaju?  
Pokręciła głową.

– Mamy w tej chwili dwadzieścia siedem pacjentek i żadna tak się nie nazywa.

– Kto konkretnie ma dostęp do Larsona? – spytał Walter.

– Przebywa w swoim pokoju, bo tak zdecydował. Nigdy nie widziałam go w świetlicy ani poza budynkiem. Je posiłki samotnie. Jeśli miał kontakt z innymi pacjentami, nic mi o tym nie wiadomo. Rozmawia tylko z personelem.

– Jakie lekarstwa przyjmuje? – spytał Sealey.

– Klonidynę, fluoksetynę i propranolol.

– Chcielibyśmy, żeby był przytomny – rzekł Walter. – Mogłaby pani wstrzymać podawanie leków?

– Musiałabym mieć zgodę doktora Frazera. Nie sądzę, żeby jej udzielił.

– Rozumiem. Może pani opóźnić podanie następnej dawki? Dać nam godzinę?

Nie odpowiedziała. Było to lepsze niż odmowa.

Walter zauważył na przeciwległym końcu korytarza cień jednego z pielęgniarzy, którzy przyprowadzili Reda Larsona do sali widzeń – potężnie zbudowanego czarnoskórego mężczyzny, prawdopodobnie ważącego przeszło sto trzydzieści kilogramów. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym pracownik szpitala zniknął za zakrętem korytarza.

– To Canton Brown – powiedziała zakonnica. – Był zawodowym graczem w baseball w drużynie Buffalo Bills, ale przed ośmiu laty doznał kontuzji kolana.

– O kurwa... – mruknął Sealey. – Wydawało mi się, że już go gdzieś widziałem.

– Pracuje tu pani od dawna? – spytał Walter.

Skinęła głową.

– Tak, widziałam Reda Larsona, gdy go ostatnio przywieźli. Coś się w nim zmieniło, nie na lepsze. Mogę powiedzieć, że zmiana nastąpiła po przyjeździe. Obsesja na punkcie Lilin pojawiła się niedawno i zaczęła narastać.

– Musimy uzyskać wgląd w dokumentację pacjentów i akta personelu, a także księgi wizyt – rzekł Walter do Sealeya. – Wszystkie osoby, które wchodziły i wychodziły w ciągu ostatniego roku, nawet wcześniej. Odniesienia do Biblii mogą być przypadkowe, ale nie moje nazwisko. Ktoś musiał mu je podać.

Sealey przytaknął i rozejrzał się po korytarzu.

– Gdzie poszedł dyrektor?

– Doktor Frazer wrócił do swojego gabinetu – powiedziała zakonnica. – Prosił, żebym tam panów zaprowadziła, gdy skończycie z Redem.

– Musimy odciąć szpital od świata. Nikt nie może wejść ani wyjść. – Sealey wyjął z kieszeni komórkę i z rezygnacją spojrzął na Waltera. – Rozstawię ludzi i postaram się o nakaz.



JESTEŚMY PRZEDE WSZYSTKIM PLACÓWKĄ MEDYCZNĄ – odezwał się doktor Frazer zza dużego dębowego biurka. – Nie mogę pozwolić, by wasi ludzie kręcili się po terenie, denerwowali pacjentów i personel. Nie mogę też udostępnić poufnej dokumentacji medycznej. Musiałbym otrzymać nakaz sądowy. Moglibyśmy stracić licencję, po czym władze stanowe zamknęłyby zakład. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak nasi darczyńcy zareagowaliby na takie naruszenie procedur.

Sealey w dalszym ciągu rozmawiał przez telefon na korytarzu. Próbował zdobyć nakaz, ale jeszcze go nie uzyskał. Siostra Mary Susan stała w milczeniu, oparta plecami o drzwi gabinetu dyrektora.

– Pracujemy nad tym, ale to wymaga czasu – rzekł Walter. – Jeśli osoba, której szukamy, jest tutaj i zauważy, że weszliśmy na teren zakładu, może uciec. Najważniejsze są szybkość i zaskoczenie.

Doktor Frazer poczerwieniał.

– Powinniśmy o tym porozmawiać. Przed chwilą zadzwoniono do mnie z bramy. Pojawiło się tam dwóch mężczyzn twierdzących, że są agentami federalnymi. Nie wpuszczają samochodów dostawczych i gości, nie pozwalają nikomu wyjść ani wejść. Dwóch następnych stoi przy głównym wejściu do budynku, a kilku wokół szpitala. Mógłby pan wyjaśnić, kto wyraził na to zgodę? Na pewno nie ja.

– To niezwykle pilna...

– Przed dwiema minutami zadzwonił do mnie szef ochrony – przerwał Frazer. – Powiedział, że ktoś pomachał mu przed nosem odznaką i zażądał dostępu do nagrań z monitoringu oraz ksiąg wejść i wyjść.

– Myślę, że nie do końca pan rozumie...

– Rozumiem, że podejmuje pan działania bez odpowiedniej autoryzacji, choć pokazał pan odznakę. – Frazer podniósł słuchawkę i szybko wykręcił numer. Spojrzał na aparat, kilka razy nacisnął guzik i popatrzył wściekle na Waltera. –

Telefon jest głuchy. Przecięliście kable? – Wysunął szufladę, wyjął komórkę i usiłował zatelefonować, po czym zerknął ze zmarszczonym czołem na wyświetlacz. – Nie ma sygnału. Co się dzieje? To wasza robota? – Skinął dłonią w stronę Sealeya widocznego za oknem wychodzącym na korytarz. – Jak mam zatelefonować do swoich szefów?

Walter zignorował pytanie.

– Ilu pańskich pacjentów zmarło w zeszłym roku?

Doktor Frazer odłożył słuchawkę, schował komórkę do szuflady i z gniewną miną usiadł na fotelu.

– Co to ma wspólnego z tą sprawą?

– Ilu?

– Czternastu.

Odpowiedzi udzieliła siostra Mary Susan, nie Frazer. Dyrektor spojrział na nią ze złością.

– A ilu rok wcześniej?

– Trzech – odparła, nim doktor zdążył ją powstrzymać.

– To bez znaczenia – rzekł z kamienną twarzą Frazer. – Wszyscy zmarli z przyczyn naturalnych. Koroner okręgu przeprowadza sekcję zwłok każdego pacjenta umierającego w szpitalu. Gdyby znalazł coś podejrzanego, dokładnie by to sprawdził.

– W jutrzejszej prasie może się ukazać artykuł pod tytułem „Władze federalne prowadzą śledztwo w sprawie przeszło czterokrotnego wzrostu śmiertelności pacjentów w szpitalu psychiatrycznym Bakersfield”.

– I zostaniecie oskarżeni o oszczerstwo – odpowiedział natychmiast Frazer.

– Może. Ale sprawa sądowa potrwa kilka lat. Co się stanie w tym czasie z pańskim zakładem? Myśli pan, że władze federalne, które pozwie pan do sądu, w dalszym ciągu będą przekazywały panu dotacje? Kto będzie chciał być powiązany ze szpitalem, nad którym wiszą ciemne chmury?

– Insynuuje pan, że kobieta, której pan szuka, to anioł śmierci zabijający pacjentów – odparł dyrektor. – Mogę pana zapewnić, że wszystkie zgony miały naturalne przyczyny.

– Podobnie jak inne, które jej przypisujemy.

Nie było to do końca zgodne z prawdą, ale prawie.

– Widział ją tylko Larson – rzekł Frazer. – Używam słowa „widział” w przenośni, ponieważ pacjenci tacy jak on widzą różne rzeczy. Zakładając, że jest osobą realną, a nie tworem wyobraźni, jak pan tłumaczy jej obecność w szpitalu? Nie zauważył jej personel ani inni pacjenci. Obiekt jest strzeżony. Zawsze wiadomo, gdzie przebywa każda osoba.

„Ponieważ może dowolnie zmieniać wygląd” – pomyślał Walter. „Każdy widzi ją jako kogoś innego”.

Gdyby powiedział prawdę, sam mógłby trafić do szpitala psychiatrycznego. Spróbował inaczej.

– Chciałbym pana zapytać o coś bardzo konkretnego i musi pan być ze mną szczery. Będę wiedział, jeśli pan skłamię, rozumie pan?

Dyrektor patrzył w milczeniu na Waltera.

– Czy kiedykolwiek widział pan pacjentów przywiązanych do łóżek i torturowanych? Może przez dłuższy czas?

Na twarzy lekarza pojawił się niesmak.

– Połowa pacjentów była w różnych momentach przywiązana do łóżek. Ale torturowana? Nie, oczywiście, że nie. Jeśli opublikuje pan coś takiego...

– Wiedziałby pan o tym? – przerwał Walter.

– Wiem o wszystkim, co się dzieje w szpitalu.

– A brakujące palce?

– Palce?

– Odgryzione.

Frazer wydawał się zdumiony, zbyt zaszokowany, by odpowiedzieć. Zakonnica rozchyliła usta. Kiedy Walter na nią spojrział, szybko pokręciła głową.

– Pan dyrektor mówi prawdę. Pacjenci umierali na zawał, przewlekłe choroby. Pamiętam udar. Nie zdarzyło się nic tak okropnego jak to, co pan sugeruje. Z pewnością nikt nie zabijał pacjentów.

– A rak?

– Mieliśmy takie przypadki.

Walter zdawał sobie sprawę, że jeśli Amy postępowała ostrożnie, personel nie wiedział, na co zwracać uwagę. Nie przeżyłaby tak długo, gdyby nie nauczyła się maskować.

Oparł dłoń na biurku Frazera, ściskając w drugiej ręce laskę. Pochylił się w stronę dyrektora.

– Niedługo otrzymamy nakaz. Proszę nam pozwolić szybko zacząć przeszukanie. Wyprzedźmy ją. Nie możemy pozwolić tej kobiecie uciec. Jeśli pan nam pomoże, jutrzejsze nagłówki mogą brzmieć: „Dyrektor szpitala psychiatrycznego pomaga schwytać seryjną morderczynię”. Piłka jest po pańskiej stronie, doktorze.

Walter widział, że Frazer intensywnie się zastanawia. Nagle ktoś zastukał do drzwi.

CO TAKIEGO?! – WYKRZTUSIŁ FRAZER.

Kiedy nikt nie odpowiedział, Walter podszedł i otworzył drzwi. Na korytarzu cicho rozmawiał z Sealeyem funkcjonariusz federalny odziany w czarny kombinezon; miał pistolet w kaburze przy pasie i odznakę wiszącą na szyi. Obaj się odwrócili.

– Znaleźliśmy coś – rzekł Sealey. – W kwaterach personelu na piętrze.

Frazer wstał. Jego twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Kto wam pozwolił przeszukiwać kwatery personelu?! Macie natychmiast opuścić mój zakład!

Sealey uniósł rękę i wyciągnął komórkę w stronę dyrektora.

– Wydano nakaz. Otrzyma pan kopię faksem. Do kogo należy pokój numer dwadzieścia siedem?

Frazer go zignorował i podszedł do faksu stojącego na stole w rogu gabinetu. Kiedy okazało się, że taca jest pusta, podniósł słuchawkę telefonu, zmarszczył brwi i wyciągnął rękę w stronę Sealeya.

– Nie ma sygnału. Nie mogę honorować nakazu, którego nie widziałem. Dlaczego pana komórka działa, a mój telefon nie?

Sealey wrzucił aparat z powrotem do kieszeni.

– Korzystam z łączności satelitarnej, która jest niezależna od lokalnych przekaźników.

– Nie uszkodziliśmy linii telefonicznych szpitala – powiedział Walter. Sealey prawdopodobnie kazał przeciąć przewody i uruchomił urządzenie blokujące sygnał komórkowy, co podejrzewał Frazer, lecz Walter nie zamierzał mu tego mówić. – Jeśli zauważyła, że tu jesteśmy, jest spora szansa, że podjęła jakieś działania.

– Do kogo należy pokój numer dwadzieścia siedem, doktorze? – powtórzył Sealey.

Zakonnica westchnęła.

– Na litość boską, nie denerwujmy się. – W jej głosie zabrzmiała frustracja. Podeszła do wysokiego segregatora pod ścianą i wyciągnęła jedną z szuflad. – Pokój dwadzieścia siedem, powiedział pan?

Sealey skinął głową. Przejrzała kilka teczek, wyjęła jedną z nich i rozłożyła.

– Pokój dwadzieścia siedem zajmuje siostra Mary Daria. Przybyła do nas przed czterema laty jako nowicjuszka. Ma dwadzieścia pięć lat, jej prawdziwe nazwisko to Madelyn Johnson.

Nazwisko nic nie mówiło Walterowi. Wyraz twarzy Sealeya świadczył, że on również go nie kojarzy.

– Ma siostra jej fotografię?

Zakonnica zmarszczyła brwi.

– Powinna być w teczce, ale jej nie ma.

– Proszę mi to pokazać. – Frazer podszedł, wziął teczkę i przejrzał zawartość.

– Prawie wszystkiego brakuje. Nie ma zdjęcia, życiorysu, wywiadu środowiskowego i referencji. Zostało tylko kilka ostatnich ocen pracy. – Zmrużył oczy. Wyjął następneteczki, coraz bardziej zdenerwowany. – Ktoś ukradł dokumentację personelu. Zniknęły fotografie, życiorysy. Wszystko usunięto. –

Popatrzył na Waltera. – Gabinet jest zawsze zamknięty pod moją nieobecność. Ma do niego dostęp tylko kilka osób.

„Dlaczego miałyby kraść zdjęcia? Nigdy nie została sfotografowana. Czy komuś się to w końcu udało?”

Później Walterowi przysłała do głowy odpowiedź: gdyby usunęła tylko swoją fotografię, z łatwością by ją zidentyfikowali. Usunięcie wszystkich utrudniało śledztwo.

Zerknął na Frazera.

– Rozpoznałby ją pan, doktorze? Mógłby pan nam ją wskazać?

– Naturalnie.

Walter zdawał sobie sprawę, że prośba prawdopodobnie nigdy nie zostanie spełniona, ale przynajmniej dyrektor przestał się sprzeczać.

Sealey odwrócił się w stronę mężczyzny w czarnym kombinezonie.

– Proszę pokazać, co znaleźliście w jej pokoju.

Szli szybko przez szpital, obserwowani przez kilka zakonnice. Niektóre ostentacyjnie ruszyły za nimi. Pokój siostry Mary Darii znajdował się na pierwszym piętrze, w połowie długiego korytarza. Drzwi były otwarte, pilnował ich inny mężczyzna w czarnym kombinezonie. Odstąpił na bok i weszli do niewielkiego pomieszczenia.

Zobaczyli łóżko przykryte kołdrą. Posłano je niemal z wojskową precyzją. Na ścianie wisiał niewielki drewniany krzyż. Pod jedną ścianą stały stół i proste krzesło, pod drugą duża szafa. Szafę odsunięto od ściany; na podłodze leżał równy rząd plastikowych toreb.

– Były ukryte za szafą – wyjaśnił mężczyzna w czarnym stroju.

Zakonnica jęknęła i zasłoniła usta.

– Czy to...

Sealey pochylił się, by lepiej się przyjrzeć. Walter stał nad nim. Nie chciał w tym momencie testować swoich kolan. Mocno ścisnął laskę.

Były łącznie cztery torby – zęby, włosy i brązowe płyty podobne do pergaminu, prawdopodobnie skóra. Nieposortowane, inaczej niż w wypadku słoików znalezionych w mieszkaniu Earla Golstona. Każda torba zawierała mieszaninę różnych szczątków. Przezroczysty plastik pokrywały brązowe plamy, na zewnątrz i wewnątrz, prawdopodobnie ślady krwi.

Walter wtedy tego nie wiedział, ale ekipa Sealeya odzyskała słoje z mieszkania Golstona. W ostatnich latach zbadano zawartość, przeanalizowano DNA i ustalono, że szczątki należały do jednej osoby, nie wielu ofiar. Amy przechowywała kawałki własnego ciała.

Z twarzy Frazera zniknęły rumieńce. Zbladł jak kreda.

– Jeśli zamierza pan zwymiotować, proszę wyjść na korytarz – powiedział Sealey. Wyjął długopis z kieszeni na piersi i przewrócił na bok jedną z toreb. – Coś jeszcze? – spytał, nie patrząc na mężczyznę, który wpuścił ich do pokoju.

– Nie, sir, nic więcej. W pozostałych pokojach personelu też nic. Tylko to.

– Gdzie jest teraz siostra Mary Daria?

– Ma dyżur w bufecie – powiedziała zakonnica.

Poszli do bufetu, gdzie inna zakonnica oświadczyła, że siostra Mary Daria jeszcze nie przyszła. Nie kontaktowała się z personelem kuchni.

– Musimy otoczyć szpital – rzekł Sealey do Waltera i pozostałych funkcjonariuszy. – Nie mogła się wydostać. Gdzieś tu jest.

Walter rozglądał się po dużym bufecie i ledwo go usłyszał. Wpadł na pewien pomysł.

– Ma pan instalację nagłaśniającą w pokojach, doktorze?

Frazer kiwnął głową.

– Musimy zebrać w tej sali zakonnice i cały personel. Wszystkich poza pacjentami. Natychmiast.

ZGROMADZENIE ZAKONNIC i personelu medycznego w bufecie zajęło kwadrans i wymagało trzech komunikatów przez instalację nagłaśniającą. O tej porze dnia w szpitalu pracowały siedemdziesiąt dwie osoby. Aby uniknąć podejrzeń, doktor Frazer nazwał to zebraniem ogólnym w sprawach organizacyjnych. Był to pomysł siostry Mary Susan. W grupie rozlegały się ciche rozmowy; wszyscy zerkali ukradkiem na Waltera i Sealeya.

Doktor Frazer podszedł do nich, nerwowo szarpiąc krawat.

– Nakaz czy nie nakaz, nie podoba mi się to całkowite ogołacanie szpitala z personelu. Mamy pacjentów wymagających stałej opieki. Załatwcie to szybko, żeby nasi pracownicy mogli wrócić do swoich obowiązków.

Siostra Mary Susan pochyliła się w stronę Waltera i powiedziała cicho, owiewając mu policzek ciepłym oddechem:

– Brakuje siostry Mary Darii i przynajmniej sześciu innych osób.

– Jest siostra pewna?

Kiwnęła głową. W tym momencie do bufetu wszedł pielęgniarz, Canton Brown. Przytrzymał jedną ręką drzwi, a drugą wprowadził Larsona, który – chociaż ciągle skrupowany – poruszał się żywiej i zręczniejszo niż poprzednio. Przestał powłóczyć nogami, trzymał się prosto. Zakonnica wspomniała, że ostatnią dawkę leków otrzymał trzy i pół godziny wcześniej. Następna przypadła za trzydzieści minut.

Canton Brown zaprowadził Larsona do miejsca, gdzie stali Walter i Sealey; trzymał jedną rękę na jego ramieniu.

– Jak się czujesz, Red? – spytał Walter.

Larson obrócił głowę w jego stronę, ale uniósł oczy dopiero po chwili.

– Mam strasznego kaca. Jest pan moim nowym lekarzem?

Walter pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Po prostu przyjacielem.

Oczy Larsona rozbłysły, gdy go sobie przypomniał.

– Och, Walter O'Brien. Ona... ona...

Walter kiwnął dłonią w stronę rzędu zakonnice pod ścianą.

– Chcę, żebyś nam wskazał Lilin. Możesz to dla mnie zrobić?

Canton Brown zerknął na doktora Frazera stojącego obok Sealeya. Frazer lekceważąco machnął ręką.

– Wszystko w porządku, Brown. Po prostu na niego uważaj.

Larson przeszedł przez salę. Pielęgniarka kroczył obok niego, a Walter nieco z tyłu. Stojące obok siebie zakonnice umilkły, gdy się zbliżył. Niektóre złożyły dłonie do modlitwy; większość odwróciła oczy albo wbiła je w podłogę.

Walter, Sealey i Larson przeszli dwa razy wzdłuż rzędu zakonnice. Żaden nie rozpoznał Amy Archer; żaden się tego nie spodziewał. Wszystkie kobiety były ubrane w habity, miały zasłonięte ciała i włosy. Nie ułatwiało to identyfikacji, lecz Walter zdawał sobie sprawę, że to bez znaczenia. Pamiętał, że kilka razy sam nie potrafił rozpoznać Amy, i rozumiał, że może stać przed nim, a on nie będzie wiedział, na kogo patrzy. Zawsze wyglądała inaczej, wydawała się ideałem kobiety, zmieniała się jak kameleon. Miała taką naturę. Potrafiła przybrać dowolną postać. Już to wiedzieli.

Walter nie potrafił odgadnąć, jak zareaguje Red Larson – mógł natychmiast ją wskazać albo przejść wzdłuż zakonnice i jej nie rozpoznać. Mimo to musieli spróbować. Nie było innego wyjścia.

Larson dotarł do skraju rzędu zakonnice, szybko zerknął na pierwszą kobietę i ruszył dalej. Była starsza, prawdopodobnie zbliżała się do siedemdziesiątki. Druga była Azjatką, ją również szybko minął. Walter pamiętał list żołnierza z Ogrodu napisany do matki. Uważał ją za czarnoskórą. Policjant, który aresztował ją dzień wcześniej, myślał, że pochodzi z Gwatemali.

„Zdrowie tych, którzy widzieli nas w najlepszych i najgorszych chwilach, ale nie potrafią ich odróżnić! Nie pasujemy do świata”.

Z jakiegoś powodu przypomniał mu się toast wzniesiony przez Amy/Velmę w czasie kolacji w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. Uśmiechnęła się ironicznie, wypowiadając te słowa. Odrzucił tę myśl.

– Nie śpiesz się, Red. Może wyglądać inaczej, niż ją zapamiętałeś.

Kiedy Larson dotarł do czwartej zakonnicy, Walter zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie tylko na nie patrzy, lecz także je obwąchuje. Pochylał się w stronę każdej z kobiet i głęboko wciągał powietrze. Kilka zakonnice się cofnęło; inne patrzyły na niego z zaciekawieniem. Jeszcze inne zeszywniały i nerwowo coś do siebie szeptały. Jedna otworzyła usta, by zaprotestować, ale uciszyło ją spojrzenie Frazera.

Kiedy Walter ścigał Amy w kamienicy i gdy osaczył ją w taksówce, pachniała lawendą. Świeżymi kwiatami. Nie po raz pierwszy czuł ten zapach. W owym



czasie nie był pewien, czy umysł nie płąta mu figli, lecz teraz sobie przypomniał, że woń lawendy wypełniała mieszkanie Alvina Schalka, gdy po raz pierwszy zobaczył ją skuloną pod umywalką. Czuł lawendę wszędzie, w taksówce, w mieszkaniu, nawet we śnie po wypadku – klęczała nad nim, wilgotna, świeżo po kąpieli, i pachniała lawendą.

„Nasz dom, Walterze. Pamiętasz go?”

A może dawała się rozpoznać tylko po zapachu? Wsunął rękę do kieszeni i lekko ścisnął obrożę.

– Idź tym tropem, Red – rzekł cicho, prawie nie zdając sobie sprawy, że się odezwał.

Pielęgniarsz nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Wyraźnie się denerwował, kiedy Larson pochyłał się w stronę kolejnej zakonnicy.

Dotarł do końca rzędu, po czym zawrócił i znowu zaczął je obwąchiwać. Zrobiłby to po raz trzeci, gdyby Walter nie położył temu kresu.

– Nie ma jej tutaj, prawda, Red?

Larson pokręcił głową.

– Chciałbym, żeby była, ale nic nie czuję.

Walter poklepał go po ramieniu.

– W porządku, dobrze się spisałeś. Zaczekaj.

Podszedł do Sealeya, siostry Mary Susan i doktora Frazera. Stali przy drzwiach.

– Jest pan pewien, że to cały personel? – spytał Frazera.

– Brakuje czterech pielęgniarzy.

– Czterech?

Skinął głową.

– Hernandez, Gallowaya, Mortona i Bloomingtona. Przyszli dziś rano do pracy, ale nie pojawili się w bufecie wraz z zresztą pracowników. Jeden mógłby się spóźnić, ale nie wszyscy. Powinni przynajmniej skontaktować się z sekretariatem.

Sealey w dalszym ciągu trzymał jedną rękę w kieszeni; drugą ścisnął komórkę.

– Nikt nie wyszedł z budynku. Wysłałem Gormana, żeby ich odszukał, ale nie odpowiada. Może to kwestia grubych murów, sygnał satelitarny jest słaby, ale...

– Gdzie ostatnio byli?

– Na drugim piętrze – odpowiedział doktor Frazer.

KIEDY ZABYTKOWA WINDA zatrzymała się ze zgrzytem na drugim piętrze i drzwi się rozsunęły, stanowisko ochroniarzy okazało się puste. Trzej mężczyźni zniknęli.

Larson stał bez ruchu, napięty. Na jego szyi pulsowała niewielka żyłka. Mechanicznie poruszał głową w obie strony, w prawo, w lewo i z powrotem. Wstrzymał oddech.

– Rozwiążcie go – powiedział cicho Walter.

– Nie radziłbym panu... – zaczął Frazer.

– Proszę go rozwiązać. Jest nam potrzebny. Niech pan natychmiast każe go rozwiązać.

W powietrzu można było wyczuć coś dziwnego, niezwykłego. Pielęgniarz również musiał to zauważyć, bo nie czekał na zgodę Frazera. Wyjął kluczyki z saszetki przy pasie i szybko otworzył klamry krępujące Larsona.

Odsunęli się. Larson masował sobie nadgarstki i strząsnął z kostek skórzane pasy.

– Dziękuję – powiedział cicho do Waltera, w dalszym ciągu wpatrując się w puste korytarze. Wyszli w szóstkę z windy, Larson pierwszy, Sealey ostatni. Sealey wyjął z kabury pistolet i trzymał w opuszczonej ręce. Doktor Frazer i zakonnica to zauważyli, ale nie skomentowali.

W dali rozlegały się miarowe dźwięki aparatury medycznej. Walter przysunął się do doktora Frazera.

– Co się znajduje na tym piętrze? – spytał najcichszym szeptem.

– Pacjenci przykuci do łóżek.

– Kto może tu wejść?

– Te same osoby co na innych piętrach. Drzwi pokoi pacjentów są zamknięte. Klucze mają tylko pielęgniarze i ja. Rutynowe badania są przeprowadzane zgodnie z harmonogramem. Jeśli ktoś chce wejść do konkretnego pacjenta, musi

poprosić o zgodę drogą służbową i zostaje to odnotowane. W czasie obchodów siostrom i lekarzom zawsze towarzyszą pielęgniarki.

Zakonnica spojrzała na biurko w pobliżu windy. Nad niedopitą filiżanką kawy unosiła się para; nadjeżdżony pączek z czekoladą leżał na gazecie otwartej w dziale satyrycznym. Przysiadła na nim mucha i czyściła sobie łapki.

Sealey przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

– Gorman!

Frazer spojrział na niego z irytacją, niezadowolony, że denerwuje pacjentów. Nikt nie odpowiedział.

W niewielkim przedsiionku rozległo się echo głosu Sealeya. Nikt się nie poruszył. Nagle odezwał się telefon. Dzwonek archaicznego aparatu musiał być nastawiony na maksymalną głośność, by słyszano go z daleka. Zabrział ogłuszająco i wszyscy aż podskoczyli.

Walter ruszył w stronę telefonu, ale ubiegł go Larson. Błyskawicznie chwycił słuchawkę, choć wcześniej poruszał się niemrawo. Uniósł ją do ucha i Walter zobaczył, że jego oczy się rozszerzają.

– Kto dzwoni? – spytał Frazer. Usiłował mówić zdecydowanym tonem, lecz zdradzało go drżenie głosu.

Larson słuchał przez dłuższą chwilę, popatrzył na Waltera i podał mu słuchawkę. Walter przyłożył ją do ucha. Nim zdążył się odezwać, z niewielkiego głośnika dobiegł kobiecy głos.

– Cieszę się, że żyjesz, Walterze. Często się zastanawiałam, co się z tobą stało.

Głos Amy Archer. Nie akcent ze Środkowego Zachodu, którym mówiła w restauracji U Giovanniego. Nie głos, którym się posługiwała w Ogrodzie na przedmieściach Atlanty. Mówiła jak dziewczyna, którą Walter przed wielu laty znalazł skuloną pod umywalką. Głos był równie znajomy jak jego własny.

– Gdzie jesteś?

– Blisko.

Walter obrócił się powoli i rozejrzał po korytarzach. Nie zauważył żadnego ruchu.

– Dlaczego nie wyjdiesz? Porozmawiaj ze mną.

Spojrział w oczy Sealeyowi, który cicho wymienił kilka słów z towarzyszącym mu mężczyzną. Walter szybko wskazał dwoma palcami drugiego funkcjonariusza, a później korytarze. Sealey skinął głową i ruszył w prawo. Trzymał oburącz pistolet i systematycznie sprawdzał kolejne zamknięte drzwi.

– Zabrałeś moją zabawkę. – W małym głośniku rozległ się jej głos. – Mogę ją odzyskać?

Walter zerknął na Larsona. Mężczyzna wpatrywał się w niego. Jeśli łączyła go z Archer jakaś nić, nagle się napięła.

- Wygląda na to, że potrafi wyczuć twój zapach jak ogar.
- Musicie mnie wypuścić, bo mogę zrobić komuś krzywdę.
- Nie mogę tego zrobić.

Znowu westchnęła.

– W porządku. Lubię robić ludziom krzywdę. Chyba mi się to podoba. Bardzo się cieszę, że cię znowu widzę.

Rozległo się pstryknięcie. W słuchawce zapadła cisza. Walter przez kilka sekund przyciskał ją do ucha, a później odłożył na widelki.

- Możemy ustalić, skąd dzwoniła?

Frazer pokręcił głową.

– Zapaliła się lampka oznaczająca telefon wewnętrzny. Może być w każdym pomieszczeniu w budynku. – Wcisnął guzik z napisem SPEAKER, a później kilka innych. – Ciągłe nie mamy sygnału na liniach zewnętrznych.

- Walter!

Był to okrzyk Sealeya gdzieś na korytarzu.

ZOBACZYLI SEALEYA TUŻ za zakrętem, stojącego przed otwartym schowkiem. Na podłodze, wśród plastikowych kubłów do zmywania podłóg i butelek ze środkami czyszczącymi, leżała młoda zakonnica. Jej puste oczy patrzyły w różnych kierunkach. Spod białej opaski czarnego kornetu sterczały cienkie kosmyki jasnych włosów.

Walter uklęknął i przyłożył jej do szyi dwa palce. Wiedział, że serce przestało bić, lecz mimo to postanowił sprawdzić. Delikatnie uniósł rękę kobiety i położył na podłodze.

– Jest ciągle ciepła, stężenie pośmiertne dopiero się zaczyna. Prawdopodobnie nie żyje od trzech, czterech godzin.

– To siostra Mary Lucinda.

Walter zerknął na zakonnice stojącą za jego plecami.

– Jest siostra pewna?

Skinęła głową, zasłaniając dłonią usta.

Sealey przyklęknął na jedno kolano obok Waltera i puknął się palcem w skroń. Walter kiwnął głową.

– Chyba tak. Potrzebujemy emitera ultrafioletu, żeby się upewnić. Nie dotykałem jej.

Jeśli Sealey miał jakieś zdanie na ten temat, nie wypowiedział go na głos. Odchrząknął i wstał.

Przemoc nie była niczym nowym dla barczystego pielęgniarza eskortującego Larsona. Twarz Cantona Browna nie zdradzała emocji, gdy podszedł, by lepiej się przyjrzeć.

– Skręcenie karku w taki sposób wymaga ogromnej siły. Są panowie pewni, że zrobiła to kobieta?

Doktor Frazer wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować.

– Powinniście zejść na parter – Sealey zwrócił się do pracowników szpitala. – Upewnijcie się, że personel jest w bufecie.

Frazer spojrział na niego z wściekłością.

– Musimy zawiadomić policję! Ma pan działający telefon, niech pan zadzwoni!

– To my prowadzimy...

– Hej, Walterze!

Z jednego z pokoi w korytarzu wypadł barczysty mężczyzna ubrany na biało. Trzymał w uniesionej ręce duży śrubokręt. Popędził korytarzem, wydawało się, że nogi same go niosą.

Walter usiłował odstać na bok, ale chora noga zawiodła i musiał się oprzeć na lasce.

Canton Brown zareagował błyskawicznie. Stał między Walterem a mężczyzną, który zadał cios. Śrubokręt przeciął powietrze, tam gdzie przed chwilą stał Walter; trafił Cantona Browna w górną część pleców, tuż u podstawy szyi. Dwaj mężczyźni runęli spleceni na podłogę.

Sealey wycelował pistolet, gotów strzelać.

– Nie! – krzyknął Walter. – Może wiedzieć, gdzie ona jest!

Mimo to Sealey nacisnął spust. Pocisk trafił w ścianę dziesięć centymetrów nad dwoma mężczyznami, którzy potoczyli się w jej stronę i znieruchomieli.

Napastnik wyrwał śrubokręt z szyi Browna i usiłował się uwolnić z jego uścisku. Zawył, gdy mu się nie udało.

Brown się nie ruszał. Z rany na jego szyi tryskała fontanna krwi.

– Rzuć to! – krzyknął Sealey do pielęgniarza trzymającego śrubokręt. Na twarzy mężczyzny pojawił się oblesny uśmiech. Obrócił głowę w stronę Waltera. Kiedy się odezwał, głos nie należał do niego, tylko do niej. Był słodki, mdlący.

– Sadzę nowy ogród, Walterze!

Pielęgniarz głęboko wbił śrubokręt w swoje oko i znieruchomiał. Siostra Mary Susan krzyknęła.

Nie zważając na ból nogi, Walter uklęknął obok Browna i usiłował powstrzymać krwawienie. Nie udało mu się. Między jego palcami ciekła krew.

– Doktorze! Proszę mu pomóc!

Frazer zrobił krok do przodu, po czym się zatrzymał.

– Co pan robi?! Niech mu pan pomoże!

– Już nie żyje...

– Przecież... – Walter nagle zauważył oczy Browna i zdał sobie sprawę, że krew tryskająca chwilę wcześniej przestała płynąć. Szyja Cantona Browna przybrała fioletowy kolor.

Prawdopodobnie uratował mu życie i w konsekwencji zginął. Była to wina Waltera.

– To Rand Galloway – powiedział Frazer, patrząc na mężczyznę w białym stroju. – Jeden z zaginionych pielęgniarzy. Pracował u nas prawie osiem lat. Nigdy nie mieliśmy z nim żadnych kłopotów. Nie rozumiem, dlaczego to zrobił.

Walter rozumiał. Widział to już wcześniej.

– Ona jest w ich głowach. Tak jak w Georgii – odezwał się do Sealeya.

Po strzelaninie w Ogrodzie starali się wszystko przeanalizować. Przesłuchiwali ocalałych żołnierzy i oglądali filmy z monitoringu. Doszli do wniosku, że Amy potrafi wpływać na ludzi albo ich kontrolować za pomocą dotyku.

„Opętanie”.

Tak nazywał to Sealey. Walter uważał, że chodzi raczej o zakażenie.

– Jest w ich głowach? – spytał Frazer. – Co to znaczy? Proszę mi dać telefon. Zadzwoń na policję.

– Jak mówiłem, powinien pan zejść do bufetu i pilnować, by nikt stamtąd nie wychodził, bo narazi się na niebezpieczeństwo – odparł Sealey. – Rand Galloway nie powinien tu przebywać.

– Jeśli nie pozwoli mi pan skorzystać z telefonu, znajdę inny, który działa, i poinformuję władze, że próbował mi pan uniemożliwić zawiadomienie policji.

Sealey poruszył ręką trzymającą pistolet.

– Chce mnie pan nastraszyć?

– Brakuje dwóch pielęgniarzy – zauważyła cicho siostra Mary Susan, patrząc na martwych mężczyzn. Miała oczy mokre od łez. – Na tym piętrze dyżurowały trzy osoby. Może powinniśmy ich poszukać. – Popatrzyła na ciało siostry Mary Lucindy, ciągle leżące w schowku. – Trzeba ją przenieść w inne miejsce. Nie powinna być oglądana w takim stanie. Zasluguje na godniejsze miejsce spoczynku.

– Nie możemy jej poruszyć – mruknął Walter. Usiłował wstać, poślizgnął się we krwi i upadł. Uszkodzona noga nie wytrzymała obciążenia.

Red Larson powoli okrążył doktora Frazera i wyciągnął rękę do Waltera, by pomóc mu wstać. Podniósł laskę, otarł rączkę o spodnie, oddał mu ją i pochylił się w jego stronę.

– Znajdzie drogę do głów innych ludzi. Czuję, jak znowu próbuje wejść do mojej.

Zanim Walter zdążył odpowiedzieć, z systemu nagłaśniającego dobiegł głośny sygnał dźwiękowy, po czym odezwał się zdenerwowany głos kobiety:

– Błękitny alarm w pokoju dwieście trzydzieści cztery! Powtarzam, błękitny alarm w pokoju dwieście trzydzieści cztery! Doktor Frazer jest wzywany do pokoju dwieście trzydzieści cztery!

– Co oznacza błękitny alarm? – Sealey zmarszczył brwi.

Frazer spojrział na głośnik na ścianie.  
– Śmierć pacjenta. Śmierć pacjenta na pierwszym piętrze.



**TERAZ**

SZYBKĄ LEKTURĄ.

Szaleństwo. Fikcja. Zmyślenia. Psychoza. Teorie spiskowe. Urojenia. Fantazje. Halucynacje. Trudno to opisać w inny sposób.

Opętanie?

Demon, który „żywi się ludźmi”?

– Kliknij w to – powiedziała Rigby, wskazując nagranie z 13 sierpnia 1968 roku.

Na ekranie otworzyło się nowe okno. Niewyraźny film przedstawiający żołnierza w brudnym mundurze polowym. Z tyłu zielona tkanina namiotu.

– Moglibyście podać swoje nazwisko? To tylko formalność.

– Alfred Theodore Larson.

– Data i miejsce urodzenia?

– Czternasty marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego, Fayetteville, Arkansas.

Krótką pauza.

– To znaczy, że macie szesnaście lat.

– Podałem nieprawdę w podaniu o przyjęcie do wojska. Chciałem walczyć. Zaciągnąłem się mniej więcej rok temu.

Znowu milczenie.

– Przyjechaliście do Wietnamu. Zostaliście przydzieleni do kompanii D drugiego batalionu?

– Tak, sir. Jako strzelec wyborowy. – Miał świeżą bliznę na policzku. Czerwoną, zaognioną, pokrytą brudem. Usiadła na niej mucha i odegnał ją. – Dorastałem z karabinem w rękach, zawsze dobrze strzelałem. Myślałem, że się przydam.

– Kiedy wasz oddział przybył do My Lai?

- Czternastego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.
- W wasze urodziny.
- Tak, sir.

– Znaliście porucznika Williama Calleya juniora?

– Nie, sir.

Kolejna pauza.

– Usłyszałem to nazwisko dopiero... potem.

– Po czym?

– Po powrocie.

Szelest papierów, a później:

– Uczestniczyliście w walkach szesnastego marca?

– Nie, sir. Poprzedniego wieczoru razem z dwoma innymi strzelcami wyborowymi rozbiłem biwak na wzgórzu z widokiem na wioskę. Ona zaatakowała w nocy.

– Ona?

Na początku Larson nie odpowiedział. Wydawało się, że skupia wzrok na czymś znajdującym się poza polem widzenia kamery.

– Tak, sir. Ona.

– Możecie ją opisać?

– Jasne włosy, zielone oczy. Szesnaście albo siedemnaście lat.

– Amerykanka? Jesteście tego pewni?

Larson skinął głową.

– Akcent ze Środkowego Zachodu.

– Rozumiecie, że to bardzo mało prawdopodobne? Amerykańska nastolatka w dżungli?

– Tak, sir.

– Opowiedzcie, co się wydarzyło.

– Nie jestem pewien, czy potrafię.

– Spróbujcie.

– Po prostu... niewiele widziałem.

– Powiedzcie, coście widzieli.

Larson przełknął ślinę, zastanawiał się nad doborem słów.

– Obudziłem się około trzeciej. Leżała na Garnerze. Oni... no wie pan. Przynajmniej tak myślałem, dopóki nie zobaczyłem, co zrobiła z jego rękami. Stracił dwa palce... trzymała trzeci w ustach... i po prostu... leżała. Próbowałem wstać, ale nie mogłem się poruszyć. Nie wiem dlaczego. To było jak koszmary sen, gdy można tylko patrzeć, ale...

– Jesteście pewni, że to nie był sen?

Żołnierz zmarszczył brwi i unióś lewą rękę. Nie miał palca wskazującego.

Hurwitz zatrzymał film.

– O kurwa...

Znowu zadzwonił telefon. Zastępca szefa. Połączenie odebrała Rigby.

– Sir?

– Przeglądała pani akta funkcjonariusza federalnego o nazwisku Lincoln Sealey?

Wymieniła spojrzenie z Hurwitzem. Nie było sensu kłamać. Wiedział.

– Uważamy, że jest w to zamieszany, sir. Współpracował z O'Brienem. Mógł do mnie dzwonić, może być jednym ze strzelców.

W słuchawce rozległ się nowy głos.

– Rigby, mówi Omar Lussion z Departamentu Obrony. Powinna pani bardzo uważnie mnie wysłuchać. Lincoln Sealey został zwolniony dyscyplinarnie po nieudanej operacji w dwa tysiące dziewiątym roku. Doprowadził do śmierci kilku ludzi. Zawarł ugodę, uniknął więzienia i straciliśmy go z oczu. Jeśli tam jest, prawdopodobnie chce się zemścić. Nie wolno mu ufać. Proszę nie przyjmować jego warunków. Wysłałem agentów, którzy powinni pomóc.

Rigby zmarszczyła brwi.

– Z całym szacunkiem, sir, ale ta sprawa nie podlega jurysdykcji władz federalnych.

– Jeden ze strzelców jest w gmachu przy Park Avenue tysiąc osiemset dwanaście, prawda?

– Tak, sir.

– To budynek federalny. Sprawa podlega naszej jurysdykcji.

„O kurwa...”

– Nie proszę o wstrzymanie akcji. Nie mamy zamiaru przejmować dowództwa. Chcemy tylko Sealeya. Żywego albo martwego.

– Sir, ja...

– Ilu strzelców widzicie?

Rigby popatrzyła na cyfrowe obrazy okolicy.

– Osiem śladów termicznych, sir. W różnych miejscach na terenie dwóch budynków. Nie możemy prowadzić obserwacji wizualnej, żaluzje są zamknięte, ale zlokalizowaliśmy położenie środków ciężkości strzelców.

Snajperzy Rigby będą celować w środek korpusów strzelców. Wiedziała, że mają strzelać pociskami naddźwiękowymi CheyTac kalibru 408. Na dystansie dwóch tysięcy metrów przebiją ściany, meble i wszystko, co stanie im na drodze.

– Proszę nie odkładać szturmu, Rigby – rzekł zastępca szefa. – Atakujcie natychmiast. Snajperzy powinni wyeliminować strzelców na samym początku akcji, koordynując działania z dowódcami grup. Kiedy dojadę na miejsce, ma być po wszystkim.

– A bomba, sir?

Odpowiedzi udzielił drugi mężczyzna:

– Jeśli Sealey ma bombę, i tak ją zdetonuje. Nie działa racjonalnie. Jedyna szansa to go zaskoczyć. Zgadzam się z pani szefem: zaatakujcie na dwóch frontach, oczyśćcie klub, wyślijcie ekipę pirotechników.

Jeśli bomba wcześniej nie wybuchnie.

– Rozumie pani? – spytał zastępca szefa.

Rigby znowu popatrzyła na Hurwitza, po czym skinęła głową.

– Rozumiem.

Kiedy się rozłączyli, odetchnęła głęboko i wpatrywała się w zastygły obraz żołnierza na ekranie.

Gdyby zwlekała, nie wykonałaby rozkazu. Nie mogła zwlekać.

Nacisnęła guzik nadawania w komunikatorze i przerzuciła niewielki przełącznik, by każdy słyszał rozmowę.

– Wszystkie grupy wchodzą jednocześnie. Snajperzy zabijają strzelców. Zespoły zielony i niebieski oczyszczają oba budynki, potwierdzają eliminację przeciwników. Zespół żółty atakuje klub od frontu, unieszkodliwia stawiających opór. Ja zajmę się O'Brienem. Odwrócę jego uwagę. Wszyscy ruszają na mój rozkaz. Hasło: „Litania”. – Ruszyła w stronę drzwi i odezwała się do Hurwitza: –

Zawiadom pirotechników. Każ im się przygotować. Chcę, żeby weszli do środka, gdy Hersh z zespołu żółtego zamelduje, że jest czysto.

– A to wszystko? – spytał Hurwitz, wskazując swój monitor.

– Mają rację. Nie ma czasu.

# 2009

## ALIASY

Amy Archer\*

Amelia Dyer\*

Velma Barfield\*

-lele-

Jane Toppan\*

Gesche Gottfried\*

Nannie Doss

Myra Hindley\*

Leonarda Cianciulli\*

Dagmar Overbye\*

Mary Clement\*

\*CZARNE WDOWY /LIPA

## OFIARY

Alvin Schalk

Dwie ofiary /zamrażarka w piwnicy

Glenn Beede /niezidentyfikowany mężczyzna /hotel Edison

Aneta Kostenko /niezidentyfikowana kobieta /dworzec autobusowy w Corktown

Prywatny detektyw Earl Golston /niezidentyfikowany mężczyzna /Four Seasons

Mężczyzna z peronu

Michael Driscoll

KAMIENICA

Wes Brayman

Rebecca Edgecomb (Willow)

17 innych

Zacieranie śladów?

OGRÓD

Przeszło 80 zwłok

Niektóre sprzed 200 lat

Wysypisko

Włosy

Paznokcie

Zęby

Notatnik – nazwiska, daty, adresy

Rysunki /związane z dziewczynami?

Te same????

**Walter O'Brien, czterdzieści pięć lat**

KIEDY DRZWI WINDY rozsunęły się na pierwszym piętrze, zobaczyli starszą zakonnice. Szybko spojrziała na całą piątkę, zatrzymując wzrok na zakrwawionej koszuli i spodniach Frazera.

– Nic z tego nie rozumiem. Pokój był pusty. Nie powinno tam nikogo być.

– Co pani tu robi? – spytał Sealey.

– Jak długo pana zdaniem mamy pozostawiać pacjentów bez opieki?

Nie wyjaśniła, o co jej chodzi, odwróciła się i ruszyła korytarzem. Jej odrapane czarne buty klekotały na zapastowanej podłodze.

Poszli za nią.

Drzwi pokoju 234 były otwarte, w odróżnieniu od pozostałych drzwi na tym piętrze. Zakonnica zatrzymała się na korytarzu.

– Nie mogę... – powiedziała, gdy Walter stanął obok niej.

Frazer, idący za kobietą, skamieniał. Oparł się o ścianę, by utrzymać równowagę. Gorman leżał na łóżku, nagi od pasa w dół. Martwy.

Ramiona, wyciągnięte nad głową, miał przywiązane sznurem do szczytu łóżka; jego pas z kaburą, spodnie i bielizna leżały na podłodze. Jedno oko patrzyło prosto przed siebie, a drugie było przekrzywione w lewo, tak że nie dawało się dostrzec źrenicy.

Palce odgryziono, zostały tylko kikuty.

Larson wszedł za Walterem do pokoju, ale Sealey zdołał zatrzymać pozostałych na korytarzu, gdy zrozumiał, kto leży na łóżku.

Gorman miał rozpiętą koszulę, połowy guzików brakowało. Na jego piersi leżała niewielka karteczka. Walter zrobił krok do przodu. Nie dotknął karteczki, nie chciał niszczyć dowodów rzeczowych, lecz zdołał przeczytać słowa napisane figlarnymi, pełnymi zawijasów literami...

„Do licha, to też nie Walter!”

Pod tekstem narysowano uśmiechniętą buźkę i serduszko.

– Czuje pan? – spytał za jego plecami Larson.



Walter czuł.

– Lawenda.

Larson pochylił się nad prawą ręką Gormana i powąchał.

– To ona. Dobrze pan o tym wie. Do czegoś się szykuje. Zrobiła to niedawno, prawdopodobnie w ciągu ostatnich piętnastu albo dwudziestu minut.

Stężenie lekarstw w organizmie Larsona wyraźnie spadało. Był znacznie przytomniejszy niż dwadzieścia minut wcześniej.

– Poznajesz to po zapachu?

– Nie. Krew na jego knykciach jeszcze nie skrzepła. To zajmuje od piętnastu do dwudziestu minut, u żywego i martwego. – Skinął głową w stronę rogu pokoju nad drzwiami. – Powinien pan to sprawdzić.

Walter się odwrócił.

Zobaczył kamerę monitoringu.

Sealey polecił siostrze Mary Susan pilnować członków personelu na parterze i od czasu do czasu sprawdzać obecność, by była pewna, że nikogo nie brakuje. Frazer został, by pomóc Walterowi i Sealeyowi przeglądać nagrania z monitoringu. Larson również został – Walter nie chciał spuszczać go z oczu.

– Tutaj! – Walter wskazał ekran.

Frazer zatrzymał film.

– Trochę go cofnę.

Kiedy znowu puścił nagranie, pokój był pusty. Po kilku sekundach otworzyły się drzwi i do środka wszedł Gorman. Rozejrzał się i ruszył w stronę łóżka. Po chwili do pokoju wkroczyła zakonnica i zamknęła za sobą drzwi.

Sealey wskazał monitor.

– Proszę zatrzymać. Może pan powiększyć jej twarz?

– Spróbuję, ale sprzęt nie jest najnowszy. – Frazer poruszył kółkiem myszy, aż twarz zakonnicy wypełniła jedną czwartą ekranu. – Przykro mi, to wszystko, co mogę zrobić.

Walter i Sealey wymienili spojrzenia.

Czarny habit i kornet były doskonale widoczne, ale twarz pokrywały rozmazane cienie.

– Jak się tam dostali? Myślałem, że drzwi wszystkich pokoi są zamknięte.

Frazer spojrzał z irytacją na Sealeya.

– Jeśli są w nich pacjenci. Pokój numer dwieście trzydzieści cztery powinien być pusty. Moim zdaniem należałoby raczej spytać, dlaczego jeden z pańskich ludzi zaprowadził zakonnice do pustego pokoju. Działał na pańskie polecenie?

Sealey przewrócił oczami.

– Niech pan puści film.

Frazer wrócił do standardowego rozmiaru obrazu, kliknął przycisk PLAY.

Zakonnica dotknęła dłonią piersi Gormana i popchnęła go kilka kroków, aż oparł się łydkami o krawędź łóżka. Uniosła ręce do szyi, rozpięła czarny habit i pozwoliła mu opaść na ziemię. Nie miała niczego pod spodem i przez chwilę stała przed nim naga. Później zdjęła kornet i również rzuciła go na ziemię. Rozpuściła włosy sięgające ramion i ruszyła w stronę Gormana, który ściągnął buty.

Lekarz poruszył się niepewnie na drewnianym krześle, ale milczał.

Zakonnica chwyciła dłońmi poły koszuli Gormana i rozdarła ją. Musnęła palcami jego pierś, aż dotarła do pasa. Po chwili rozpięła spodnie i opuściła je do kostek wraz z majtkami. Gorman szybko cisnął je w kąt pokoju. Kiedy wyciągnął ręce w stronę jej piersi, zrobiła krok do tyłu i coś powiedziała.

– Mamy audio?

– Zabraniają tego przepisy. Chodzi o ochronę prywatności pacjentów.

Cokolwiek powiedziała, Gorman się uśmiechnął i opuścił ręce wzdłuż boków.

Podeszła bliżej, pogłaskała go dłonią po włosach, a następnie po policzku. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Uniosła prawą dłoń, nakreśliła palcem wskazującym kółko na jego skroni i nacisnęła.

Gorman zeszywniał, jakby poraził go piorun. Opadł na łóżko. Był martwy.

Patrzyli, jak chwyciła go za nogi i bez większego wysiłku położyła na łóżku. Wydawało się, że potężny mężczyzna jest lekki jak piórko.

Kiedy ciało Gormana znalazło się na łóżku, wyjęła dwa kawałki sznura z kieszeni habitu leżącego na podłodze, przywiązała mu ręce do łóżka, nabazgrała notatkę na kartce i położyła na jego piersi. Pochyliła się nad jego lewą ręką i zaczęła metodycznie odgryzać palce. Nie wypluwała ich ani nie wyrzucała.

Połykała.

Walter poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Podejrzewali, że zyskuje w ten sposób siłę – pożera zmysły ofiar – ale nie ułatwiło to patrzenia.

Kiedy skończyła z lewą ręką, obeszła łóżko i zajęła się prawą. Trwało to kilkanaście sekund. Przyglądała się przez chwilę swojemu dziełu, po czym odwróciła się w stronę kamery, uniosła dłoń do ust i posłała całusa. Jej twarz była niewidoczna, ginęła w świetlistej mgiele.

– Chciała, żebyśmy to zobaczyli.

Walter o mało nie wymiotował.

– To dla niej zabawa.

Podniosła habit i kornet, otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i zniknęła.

– Nikt jej nie widział? – spytał Sealey. – Nagiej kobiety idącej korytarzem?

Walter wskazał godzinę widoczną na ekranie.

– Wszyscy byliśmy w bufecie.

Frazer popatrzył wściekle na Waltera.

– Notatka, którą zostawiła przy mężczyźnie. Bazgranina Larsona na ścianie.

O co jej chodzi?!

Walter wiedział, że musi mu coś powiedzieć. Zastanawiał się, jak to zrobić, gdy nagle Sealey zaklął i szybko rozejrzał się wokół biurka, a potem po korytarzu.

– Gdzie jest Larson?!

BYLI W POŁOWIE KORYTARZA, gdy Larson wyszedł z pomieszczenia, w którym znaleźli Gormana. Garbił się, trzymał w ręku pistolet agenta.

Frazer zamarł. Sealey bez wahania wyciągnął pistolet kalibru 380 i wcelował w pierś Larsona.

Larson spojrział lekceważąco na Sealeya i popatrzył na broń w swojej dłoni.

– Nie możecie zrobić jej tym krzywdy.

Nacisnął kciukiem zwalniacz magazynka, który upadł na podłogę. Odciągnął język spustowy, wyjął zamek ze szkieletu, wyjął sprężynę oporopowrotną i wyciągnął lufę z zamka. Rzucił części na ziemię u swoich stóp.

Walter jeszcze nigdy nie widział, by ktoś rozłożył pistolet jedną ręką.

Larson sięgnął do kieszeni, wyjął zakrwawiony śrubokręt i otarł o spodnie. Mocno trzymał narzędzie, ukrywając je w dłoni.

– Mógłbyś to odłożyć? – spytał Sealey, ciągle celując do niego z pistoletu.

– To w niczym nie pomoże.

– Ale możesz dostać kulkę w pierś.

Larson rozluźnił uchwyt, lecz nie odłożył śrubokręta. Pochylił głowę, wydawało się, że nasłuchuje. Podeszedł do zamkniętych drzwi pokoju jednego z pacjentów, położył dłoń tuż pod małym okienkiem w środku i zmarszczył brwi. Nie zajrzał do wnętrza, tylko znowu pochylił głowę. Po kilku sekundach wydrapał literę X na białej farbie pokrywającej drzwi i podeszedł do następnych. Zignorował je, lecz wydrapał X na dwóch kolejnych. Posuwał się korytarzem w coraz szybszym tempie.

Trzej mężczyźni obserwowali go w milczeniu. Oznaczył sześcioro drzwi, nim Frazer w końcu się odezwał.

– Co ty właściwie robisz, Red?!

Larson stał przed następnymi drzwiami. Pokręcił głową i wydrapał kolejne X.

– Wzmacnia swoje siły...

– Wzmacnia... – powtórzył Frazer. Umilkł, gdy dotarło do niego znaczenie słów Larsona. Podeszedł do najbliższych drzwi i zajrzał przez szybę. – O nie... o nie... – Nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, po kilku próbach odnalazł właściwy, przekreślił i otworzył zamek.

Pacjent leżał na podłodze, martwy, bez palców. Stracił większość włosów, których siwe kępki leżały na podłodze. Miał wysuszoną, popielatą skórę; widać było pod nią sterczące kości.

Doktor Frazer szybko wrócił na korytarz i otworzył inne drzwi. Zajrzał do środka i zobaczył kolejnego martwego pacjenta. Podeszedł do trzecich drzwi, później czwartych.

– Niemożliwe... – mruknął bardziej do siebie niż do obecnych. – Nie wierzę, że to prawda...

Larson dotarł do końca korytarza i wracał. Czubek śrubokręta był pokryty białą, odłupaną farbą.

– To niewłaściwe piętro. Musimy stąd wyprowadzić wszystkich pacjentów.

– Skąd... – wykrztusił Walter.

– Pokazuje mi, dokąd iść – odparł Larson. – Chyba chce, żeby pan też to wiedział.

Walter i Sealey wymienili spojrzenia. Jeśli Amy tkwi w głowie Larsona, może nie tylko wskazuje drogę.

Sealey mocniej ścisnął pistolet. Zaczął spacerować po korytarzu, intensywnie myśląc.

– Nikt nie może wyjść. Obstawimy budynek i zmusimy ją, żeby się poddała. To jedyny sposób, by ją schwytać.

Larson cicho się zaśmiał. Sealey obrócił się gniewnie w jego stronę.

– Uważasz, że to zabawne?

– Nie złapiecie jej.

Walter uniósł dłonie. Wiedział, że Sealey miewa ataki wściekłości. Powinni zachować spokój i panowanie nad sytuacją.

– Doktorze, czy może pan ewakuować pacjentów i personel, żebyśmy mogli przeszukać szpital od piwnic po strych? – zawołał przez ramię.

Frazer wyszedł z pokoju w pobliżu końca korytarza.

– Wielu naszych pacjentów jest niebezpiecznych dla siebie i otoczenia. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby...

– Co pan robi w razie sytuacji awaryjnej, na przykład pożaru? – przerwał Sealey. – Ma pan plan ewakuacyjny?

Frazer zamrugnął.

– Plan ewakuacyjny? Nigdy nie musieliśmy...

Sealey pokręcił głową.

– W porządku, chcę, żeby wszyscy pacjenci zebrali się w bufecie, gdzie moi ludzie będą ich pilnować. Sprawdzimy po kolei pańskich pensjonariuszy i przeniesiemy w inne miejsce, może poza teren szpitala, ale dopiero kiedy się upewnimy, kim są. Jeśli ta kobieta nie podejmie próby wyjścia z grupą, przeszukamy wszystkie pomieszczenia i ją znajdziemy. Tak czy inaczej, nie zdoła uciec.

Frazer znowu pokręcił głową.

– Nie wiem, w jaki sposób...

Głośniki systemu nagłaśniającego zatrzeszczały.

– Pobaw się ze mną, Walterze...

Walter popatrzył na głośnik wiszący na ścianie.

– Skąd ona nadaje?

Frazer nie odpowiedział. On też patrzył na głośnik.

– Doktorze!

Dyrektor podszedł do biurka i spojrział na telefon. Dotknął palcem masywnych guzików. Pierwszy świecił się na czerwono.

– Z systemem nagłaśniającym można się połączyć z każdego telefonu w budynku. Wystarczy nacisnąć ten guzik.

– Tak za tobą tęskniłam, Walterze...

Odwrócił się w stronę głośnika.

– Gdzie jesteś?

Usłyszał odpowiedź w głowie.

– Na górze, Walterze, na strychu. Przypomina nasz dom. Pamiętasz nasz dom? Całe moje ciało tęskni za tobą. Tak mi brakuje twojego dotyku. Przyjdź tutaj, sam. Musimy nadrobić tyle czasu. Nie powinnam była cię opuszczać. Pozwól mi to wynagrodzić. Byłam niegrzeczna. Czasami nie mogę się powstrzymać, ale jeśli przyjdiesz sam, obiecuję, że nie zrobię nikomu krzywdy. Pragnę tylko ciebie.

Walter słyszał głos Amy tak wyraźnie, jakby stała tuż obok. Myślał, że jako jedyny z obecnych, ale spostrzegł, że Larson patrzy mu w oczy. Kiedy się obserwowali, Larson porozumiewawczo kiwnął głową i zerknął na sufit. W którymś momencie pozbył się bandaży z lewej ręki – nie miał palca wskazującego, rana dawno się zagoiła. Na jego nadgarstku znajdował się ślad dość podobny do śladu na piersi Waltera, gdzie Amy dotknęła go przed wielu laty. Rana wydawała się ciągle świeża.

– Czekam na górze, Walterze. Czuję się jak w naszym domu.

– Jest tu poddasze? – spytał Walter doktora Frazera.

Dyrektor skinął głową.

- Znajduje się nad całym budynkiem. Wykorzystujemy je jako magazyn, odkąd w siedemdziesiątym czwartym zalało piwnicę.
- Jak mogę się tam dostać?

NIE MOŻESZ IŚĆ SAM – powiedział Sealey, wracając z Walterem do windy. – Zabije cię. Właśnie tego pragnie.

Walter nacisnął guzik sprowadzający windę.

– Nigdy wcześniej mnie nie zabiła.

– Próbowała. Nie możesz zaprzeczyć.

Larson i dyrektor szli kilka kroków z tyłu. Larson co jakiś czas przystawał i wydrapywał symbol na ścianie. Nie X, tylko bardziej skomplikowany znak. Dziwne połączenie kół i trójkątów.

– Co to takiego? – spytał Frazer.

Larson nie odpowiedział. Wydrapał kolejny symbol i zaczął następny na ścianie naprzeciwko biurka w pobliżu windy.

– Co to takiego, do licha?! – powtórzył Frazer.

Walter obejrzał się i przyjrzał się znakowi. Widział go już wcześniej. Egipt, Azja, Włochy, liczne teksty z Mezopotamii.

– Kto cię tego nauczył?

– Czarownica z Wietnamu.

– Przypuszczałem, że to coś pogańskiego – zauważył Sealey.

– Niektóre symbole są starsze niż język. Starsze od państw albo religii. Nie należą do żadnego miejsca ani ludu. To powinno pomóc ją odpędzić.

Frazer uśmiechnął się ironicznie.

– Odpędzi ją rysunek?

Larson go zignorował i rozejrzał się po korytarzu.

– Potrzebuję też soli.

– Oczywiście.

Obok Sealeya stał w rogu korytarza porzucony wózek do rozwożenia posiłków. Chwył garść torebek soli i rzucił je w stronę Larsona. Rozsypały się po podłodze.



Larson podniósł kilka z nich, skinął z aprobatą głową i rozerwał jedną. Zaczął rozsypywać sól na progu kolejnych drzwi, tworząc białe linie pod narysowanymi przez siebie znakami.

– Nie będzie mogła nad tym przejść. Zatrzymamy ją.

Rozległ się dzwonek windy i drzwi się rozsunęły. W środku znajdowało się czterech funkcjonariuszy federalnych – jedna kobieta, trzech mężczyzn. Wszyscy leżeli martwi na podłodze. Zabito ich tak samo jak pozostałych: dotknięciem w skroń.

Frazerowi opadła szczęka.

– Ilu macie ludzi?

„Za mało” – pomyślał Walter.

Drzwi zaczęły się zasuwać, ale zablokował je nogą i wyciągnął rękę do tyłu.

– Proszę dać mi klucz.

Wcześniej dyrektor powiedział, że dotarcie do trzeciego piętra wymaga użycia klucza do windy. Znalazł właściwy klucz na kółku i podał go Walterowi, który wsunął go do otworu, po czym nacisnął guzik awaryjnego stopu, by drzwi się nie zamknęły.

– Macie kamery monitoringu na zewnątrz budynku?

Frazer znowu błędził myślami gdzie indziej. Wpatrywał się w zwłoki, w krew kapiącą z odciętych czubków palców kobiety.

– Doktorze!

Ocknął się.

– Ach... tak, oczywiście. Kamery.

Obszedł chwiejnie biurko stojące na korytarzu i opadł na fotel. Siedział przez chwilę, oszołomiony, po czym wydawało się, że przypomina sobie, co powinien zrobić. Cały czas usiłował zachować autorytet. Niewątpliwie powtarzał sobie, że ciągle jest dyrektorem szpitala, ale wyraźnie był w szoku i wyglądał, jakby miał ochotę schować się pod biurkiem.

– Doktorze... – powtórzył Walter.

Frazer odchrząknął, sięgnął po mysz i zaczął klikać. Pokazał im kilka kadrów z otoczenia budynku, ale kiedy nikogo nie zauważyli, wyświetlił obraz głównej bramy.

Na początku tu również nie było nikogo widać. Później z niewielkiej stróżówki wyszedł pielęgniarz.

– To Lewis Morton. Pracuje na tym piętrze z Gallowayem. Nie zajmuje się bramą.

Koszula Mortona była zakrwawiona i miał podartą prawą nogawkę spodni.

– Zostawiłem dwóch ludzi przy bramie – powiedział Sealey. Wyjął telefon i wystukał numer, bezskutecznie. Spojrzał na wyświetlacz, marszcząc brwi. –

Nie mam sygnału na tym piętrze.

Frazer podniósł słuchawkę aparatu stojącego na biurku i wykręcił numer.

– Jeśli system nagłaśniający działa, telefony wewnętrzne też powinny.

Pielęgniarz widoczny na ekranie uniósł głowę. Rozejrzał się, zerknął do stróżówki, po czym zniknął w środku.

Na biurku dwukrotnie zadzwonił zestaw głośnomówiący, po czym umilkł, gdy Frazer podniósł słuchawkę. Nagle rozległ się głośny trzask i połączenie zostało przerwane.

Pielęgniarz znowu wyszedł na dwór, trzymając w ręku słuchawkę z odciętym kablem. Cisnął ją w krzaki obok stróżówki i stanął. Patrzył na długi podjazd, nieruchomy jak posąg.

Sealey miał ponurą minę.

– Zostawiłem na zewnątrz ośmiu ludzi. Proszę sprawdzić pozostałe kamery.

Teren zakładu wydawał się pusty. Oglądając obrazy z różnych miejsc, zauważyli na porośniętym trawą polu za szpitalem kolejnego pielęgniarza z drugiego piętra. Ciągnął za nogi zwłoki i ukrył je za gęstym żywopłotem.

Larson szybko zerknął na ekran i znowu zaczął rozsypywać sól.

– Może wejść do głowy każdego, kogo dotknie – powiedział, nie przerywając pracy.

– Albo kogoś, kto jej dotknie – zauważył Sealey.

– Albo kogoś, kto jej dotknie – zgodził się Larson. – Spędziła tu cztery lata.

– Naprawdę wierzysz, że siostra Mary Daria to jakiś... – Wydawało się, że Frazer zapada się głębiej w fotelu. – Wiesz, jak nieprawdopodobnie to brzmi? –

Nagle przypomniał sobie, że rozmawia z pacjentem szpitala psychiatrycznego, i zaśmiał się nerwowo. – Dlaczego w ogóle was słucham, do licha?! Dlaczego słucham tych bredni?

Larson otworzył kolejną paczuszkę soli i zaczął ją rozsypywać przed drzwiami windy.

– Kiedy służyłem w Wietnamie, słyszałem opowieść o żołnierzu, który poderżnął sobie gardło. Przeciął je od ucha do ucha, ale najpierw opowiedział kilku kolegom o dziewczynie, którą poznał w Da Nang. Mówił, że nigdy w życiu nie widział takiej piękności; twierdził, że chce dla niej zrobić coś wyjątkowego, a potem... – Larson przejechał palcem po gardle i znowu zajął się solą.

– Słyszałeś opowieść... – mruknął Frazer. – Wiesz, ile różnych opowieści słyszałem w swojej karierze? Bajek o potworach? Pacjenci zapominali o nich dzięki psychoterapii połączonej z odpowiednią kombinacją leków. Może płaci tym mężczyznom, coś im obiecuje? Seks albo coś innego? Może byli pod wpływem narkotyków? Musi istnieć racjonalne wytłumaczenie, które nie ma nic wspólnego z legendami ludowymi albo przesadami.

Walter widywał już wcześniej podobne reakcje: racjonalny umysł próbuje zaprzeczać rzeczywistości. Kiedyś zachowywał się tak samo.

– Doktorze, może pan przyjąć każde wytłumaczenie, które wydaje się panu prawdopodobne. Proszę po prostu nam nie przeszkadzać.

Głośniki zatrzeszczały, po czym znowu rozległ się śpiewny głos Amy:

– Walterze... Och, Walterze...

Walter pochylił głowę w stronę Sealeya, by nikt nie mógł go usłyszeć.

– Larson do niczego ci się nie przyda, wiesz o tym, prawda?

Sealey kiwnął głową.

– Wszystkie zewnętrzne drzwi są zamknięte na łańcuchy?

Sealey znowu przytaknął.

Zabezpieczyli grubymi łańcuchami i kłódkami wszystkie wyjścia ewakuacyjne ze szpitala, z wyjątkiem głównego. Uwięzili personel w budynku. Zostały tylko drzwi frontowe.

– Godzinę przed naszym przyjazdem rozmieściłem wokół zakładu strzelców wyborowych – odezwał się Sealey. – Nikt nie zauważył, że zajmują pozycje. Ominęły wszystkie kamery: są jak duchy.

– Nie dekoncentrujmy się. Wtedy ją dopadniemy.

– Chryste, po tylu latach...

Walter wszedł do windy, zwolnił blokadę i przekręcił klucz.

– Sprowadźcie Frazera na dół razem z resztą personelu. Pilnujcie wszystkich. Weźcie Larsona i sprawdźcie, czy nikogo nie brakuje. Na dole wszystko powinno być pod kontrolą. Niech nikt nie przecina łańcuchów. Jeśli już zdążyła uciec, musimy być przygotowani. – Nacisnął guzik, by pojechać na poddasze, i drzwi zaczęły się zasuwać.

Sealey zatrzymał je ręką i podał Walterowi pistolet kalibru 380. Walter poczuł niewielki ciężar broni.

– A jeśli Larson ma rację i pociski nie działają? Pamiętasz ciężarówkę?

– A jeśli się myli?

Sealey puścił drzwi, pozwalając, by się zamknęły, i winda ruszyła w górę. Walter usłyszał, jak Amy znowu wypowiada jego imię. Nie był pewien, czy głos dobiega z głośnika w korytarzu, w windzie czy z jego umysłu. Wydawała się podekscytowana, beztroska.

Nie był pewien, co czuje, ale z pewnością nie było to podniecenie.

KIEDY WYSZEDŁ Z WINDY na poddaszu, wokół wirował niedawno poruszony kurz, wypełniając przestrzeń aż do spadzistego stropu wspartego belkami. Na brudnej podłodze z sosnowych desek stał rząd zapalonych świec, który niknął między starymi łózkami szpitalnymi, pudłami i dużymi aparatami medycznymi.

– Pistolet nie będzie ci potrzebny – powiedziała Amy Archer.

Głos dobiegał zewsząd i znikąd; tym razem Walter był pewny, że rozlega się w jego głowie.

– Więc pewnie nie przeszkadza ci, że go mam.

– Wolalabym, żebyś przyniósł kwiaty.

– To nie randka.

– Zapaliłam świece i przebrałam się dla ciebie... Dziewczyna powinna ładnie wyglądać, prawda?

Koło Waltera przebiegł masywny szczur, wdrapał się po nodze starego manekina, zniknął w brzuchu, różowy ogon uderzył w...

Walter się zachwiał.

Nie był to manekin, tylko nagie ciało kobiety, wysuszone, zmumifikowane. Stało oparte o starą komodę. Zwłoki stały w rozkroku, ramiona zwisały wzdłuż tułowia. Były pozbawione oczu, a także większości włosów. Kiedy Walter podszedł bliżej, zauważył długie czarne pasma leżące na podłodze, niektóre rozrzucone, inne zwinięte, uformowane w gniazdo.

W otwartym brzuchu pojawił się szczur i położył łapkę na końcu zebra.

– Lubię to miejsce, Walterze. To nie moje rzeczy, ale przedmioty zawsze zawierają w sobie wspomnienia. Mają w sobie coś ponadczasowego. Przenoszą nas w inną epokę, w inne miejsce. Może szczęśliwsze, może nie, ale warto się uwolnić od terażniejszości, prawda? Dla własnego zdrowia psychicznego.

Walter zauważył dwie inne martwe kobiety skulone pod starym pianinem. Trzecia siedziała na stołku, pochylona, trzymając pozbawione palców dłonie na

zakurzonych klawiszach. Wszystkie wyglądały, jakby od dawna przebywały w tym miejscu, ale Walter wiedział, że w przypadku Amy Archer pozory mają niewielkie znaczenie.

Okrążył pianino i ruszył wzdłuż rzędu migocących płomyków, które wypełniały pomieszczenie tańczącymi cieniami. Wydawały się towarzyszącymi mu zjawami, publicznością.

– Byłam tu szczęśliwa, Walterze, naprawdę. Szpital ludzi zapomnianych, przeklętych, niechcianych. Znalazłam dom wśród zakonnice, bardzo lubiłam niektóre z nich, były moimi serdecznymi przyjaciółkami. Przeprowadzałam je tutaj.

– Tak traktujesz przyjaciół?

Jego głos zabrzmiał znacznie donośniej, niż się spodziewał. Słowa odbiły się echem od sufitu.

– Nie było trudno się ukryć w dużej grupie zakonnice. Niestety kilka się zorientowało, że jestem inna, więc musiałam się ich pozbyć. Skończyły na poddaszu razem z pozostałymi. W takim szpitalu zakonnice przychodzą i odchodzą równie często jak pacjenci. Większość nie próbuje nawiązać z nikim znajomości, niektóre w ogóle się nie odzywają. Inne chcą się ukryć, pozostawiły swoje prawdziwe życie w miejscu, które wkrótce zostanie zapomniane. Jednak nieliczne bywają bardziej spostrzegawcze. Przyłapały mnie z pacjentami, więc poprosiłam, żeby się do mnie przyłączyły na górze. Siostra Mary Hazel okazała się plotkarą. Kto by pomyślał, że świetnie gra na pianinie?

Z tyłu rozległ się głośny akord. Kiedy Walter się odwrócił, zauważył szczura siedzącego na krawędzi klawiatury i poruszającego nosem.

– Jeśli ładnie ją poprosić, może coś zagra? Zatańczysz ze mną przy jej akompaniamencie, Walterze? Pamiętasz, kiedy ostatnio tańczyliśmy?

Ruszył wzdłuż świec, obok kilku skrzynek i stosów starych materacy, po czym dotarł do wejścia do ośmiokątnego pomieszczenia z łukowatym sklepieniem.

Kiedy stanął na progu, zamarł, przerażony tym, co zobaczył.

– Nic nie robi na tobie wrażenia, Walterze. Dlaczego?

GŁOS NIE NALEŻAŁ do Amy Archer. Nie tym razem. I nie rozbrzmiewał w jego głowie. Było to coś zupełnie nowego.

Wszedł do pomieszczenia, ostrożnie omijając dziesiątki świec stojących na podłodze w przypadkowych miejscach. Spływał z nich воск, plamiąc sosnowe deski. Miał wrażenie, że jego nogi żyją własnym życiem. Zatrzymał się dopiero w środku i nawet wtedy nie z własnej woli. Chciał się odwrócić i uciec, miał ochotę krzyknąć, pragnął, żeby to nie była prawda. Zatrzymał się w środku, bo właśnie o to chodziło Amy.

Na podłodze siedziało sześć zakonnic opartych plecami o ściany. Miały opuszczone ręce, rozkraczone nogi i głowy pochylone lekko na bok. Wpatrywało się w niego sześć par szarych oczu i wiedział, że gdyby podszedł do którejkolwiek z nich i zdarł z głowy woalkę albo kornet, zobaczyłyby kasztanowe włosy sięgające do ramion, związane z tyłu, niewidoczne.

Najmłodsza, mająca dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa lata, do złudzenia przypominała Archer w dniu, gdy Walter po raz pierwszy ją zobaczył pod umywalką w mieszkaniu Alvina Schalka. Teraz w jej oczach nie było strachu ani niemego błagania o pomoc. Ta Amy Archer po prostu patrzyła na Waltera pustym, obojętnym wzrokiem.

Pod przeciwległą ścianą siedziała inna Amy Archer, starsza, czterdziestokilkuletnia – z drobnymi zmarszczkami wokół oczu i ust, z wąskim pasmem siwizny we włosach w okolicy lewego ucha.

Zobaczył również inne Amy Archer. Po lewej stronie siedziała kobieta po siedemdziesiątce. Patrzyła takim samym pustym wzrokiem jak inne, miała lekko rozchylone usta, widział zęby pokrzywione ze starości. Szare oczy były zapadnięte.

Pozostałe zakonnice, w różnym wieku, pozostałe Amy Archer były do niej podobne i Walter zastanawiał się, czy Sealey nie miał racji, gdy powiedział przed laty, że Amy należy do jakiejś sekty, rodziny złożonej z matek, córek i sióstr

zajmujących się jakimiś mrocznymi... Nie, wiedział, że nie o to chodzi. Pokazywała mu, że może być tym, kim chce, w dowolnym wieku. Była to kolejna gra. Nie znajdowała się tylko w głowie Larsona, lecz również w głowie Waltera.

Znowu wsunął rękę do kieszeni i musnął kciukiem obrożę.

– Tęskniłam za tobą, Walterze.

Ich wargi poruszały się jednocześnie, wszystkie wypowiedziały to samo zdanie. Chór sześciu różnych głosów, na tyle podobnych, by zabrzmieć jak jeden. Powoli się obrócił, patrząc po kolei na zakonnice.

– To ja, Walterze. Ja to ja.

– Nie rozumiem.

– Nie sędzę, żebyś to zrozumiał.

– Kim są te kobiety?

– Kim chcesz, żeby były?

– Nie ukrywaj się za nimi – odpowiedział. – Posługujesz się tymi sztuczkami ze strachu przede mną?

Sześć zakonnice jednocześnie się roześmiało. Zabrzmiało to upiornie.

– Nie boję się ciebie, Walterze. Nie czułam strachu od tylu lat, że nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek czegoś się bałam, a przynajmniej tak jak ty. To ty jesteś przerażony, słyszę w tej chwili twoje serce, wali jak młotem. Mała żyłka na skroni pulsuje w tym samym rytmie. Pocisz się. Czuję zapach twojego potu; swędzi cię blizna po oparzeniu, ale nie chcesz się podrapać. Masz podwyższone ciśnienie krwi, boli cię chora noga. Widzę, że próbujesz to wszystko przede mną ukryć, zachować pokerową twarz. Nie musisz tego robić, Walterze. Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. To ja uczyniłam cię człowiekiem, którym jesteś. Łamałam cię wiele razy, a jednak odzyskiwałeś siły. Brałeś się w garść i odnajdywałeś drogę do mnie. Czy powinnam się tego bać? Nie. Tak czy inaczej, uważam to za komplement. To miłe, że ci na mnie zależy.

– Przyjechałem, żeby cię powstrzymać – powiedział Walter do najbliższej Amy Archer, ściskając pistolet.

Sześć zakonnice się uśmiechnęło.

– Wiem, jesteś słodki.

Zrobił kilka kroków w stronę najmłodszej zakonnicy, uniósł pistolet i przycisnął lufę do jej skroni.

– Jedna albo sześć, to dla mnie bez różnicy. Wystarczy mi pocisków.

– Dla siebie też? Jeśli zastrzelisz wszystkie, a potem okaże się, że zabiłeś sześć niewinnych kobiet, które przypadkiem są podobne, strzał w głowę może być twoją następną decyzją. Wyrzuty sumienia są przykre, ale mogą stanowić

potężny motyw. – Uśmiechy na twarzach kobiet stały się ironiczne. – Nie wolałbyś raczej się zabawić?

Najbliższa Amy Archer wyciągnęła lewą rękę i powoli podciągnęła sukienkę, obnażając uda. Pozostałe zrobiły to samo; rozłożyły nogi i uniosły kolana do piersi.

– Wybierz jedną, pierwszą z brzegu. Chcę cię poczuć w sobie. Wiem, że ty też tego pragniesz.

– Właśnie tak kusiałś Glenna Beede’a w hotelu Edison? Albo prywatnego detektywa Earla Golstona? Tak zaciągnęłaś ich do łóżka?

Wszystkie się roześmiały.

– Glenn Beede? Był nikiem. Ale Earl Golston? Ach, tęsknię za kochanym Earlem. Był psem gończym. Tropił mnie wszędzie, z nosem przy ziemi, próbując wsadzić mi rękę pod sukienkę. Z Nowego Jorku do Los Angeles. Z San Francisco do Chicago. Zdołał mnie nawet znaleźć w Grecji, potem w Niemczech i Holandii. Ale Earl umiał dotrzymać tajemnicy, nigdy nikomu jej nie zdradził. Zachował wszystko dla siebie. Wszyscy mężczyźni mojego życia... Jasne, notował miejsca i daty, tworzył brzydkie rysunki, przeglądał moje śmieci, ale nigdy nikomu nie powiedział, co odkrył. Zawsze uważałam to za urocze. Earl był dżentelmenem. Wiedział, jak traktować damę. Ty jesteś inny. Nie tylko opowiadałeś na prawo i lewo o naszych randkach; teraz przyprowadziłeś przyjaciół. Nie jestem tego typu dziewczyną, Walterze.

Znowu powoli się obrócił, bo te słowa wypowiedziała Amy Archer siedząca u jego stóp.

Chociaż wszystkie mówiły, wydawało się, że żadna go nie widzi. Starał się dostrzec między nimi jakieś subtelne różnice. Coś, co by wskazywało, które są marionetkami, a która władczynią, ale poruszały się i mówiły jednocześnie, idealnie skoordynowane.

– Jesteś w ogóle w tej sali?

– Oczywiście, Walterze. Tak blisko, że czuję twój smak.

Wszystkie wyciągnęły ręce, lecz dotknęła go tylko ręka najstarszej Archer. Musnęła mu kostkę czubkami palców. Były zimne jak u trupa.

Walter cofnął nogę. Zakonnicy odpadły trzy paznokcie. Dwa wylądowały na podłodze, jeden przyczepił się do jego skarpetki. Zadrzał z niesmakiem, a sześć kobiet znowu głucho się roześmiało. Był pewien, że najstarszej zakownicy chwieją się zęby w dziąsłach. Przypomniał sobie słoiki znalezione w mieszkaniu Earla Golstona, torby schowane w pokoju siostry na dole: włosy, zęby, paznokcie.

„Wylinka”.



– Ewoluuje, zmieniam się. Zawsze – odezwała się, tym razem w jego głowie.  
– Och, słoiki i torby, które wypełniałam przez całe lata, to niepotrzebne odpadki. Golston uwielbiał je zbierać. Stał się kolekcjonerem. Te rzeczy mają wielką moc. Spytaj kogoś, kto zna stare zwyczaje. Przydają się w razie potrzeby. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego wy, ludzie, wyrzucacie takie smakołyki. Są pyszne.

Sześć zakonnic pożądliwie oblizało wargi. Przypominały jaszczurki.

– Powinieneś odłożyć pistolet. Oboje wiemy, że go nie użyjesz. Byłabym niepokieszona, gdybyś przypadkiem się zranił.

Walter nie odłożył pistoletu. Dotknął spustu palcem wskazującym.

– Jeśli ze mną wyjdiesz, zapewnię ci bezpieczeństwo.

– Już kiedyś mi to obiecywałeś, pamiętasz? W taksówce w Detroit. Postąpiłeś szarmancko, ale oboje wiemy, że to pusta obietnica. Dobrze się czuję w tym szpitalu. Spędziłam w nim kilka lat. Na pewno chcesz, żebym wyszła?

– Nie możesz tu zostać, nie po tym, co się dziś stało.

– Tak, chyba nie mogę. Byłam niegrzeczna. Zasługuję na karę.

– Wiesz, ilu ludzi zabiłaś? Przekroczyłaś dziś wszelkie granice. A ilu wcześniej? Ile zwłok ukryłaś w ciągu tych kilku lat?

Sześć zakonnic wzruszyło ramionami.

– Samo to, że o to pytasz, świadczy, jak niewiele znaczyli. Nikogo nie obchodzą. Są ciężarem, nikt ich nie potrzebuje. Społeczeństwo wyrzuciło ich na śmietnik. Powinieneś się cieszyć, że znalazłam miejsce, które mogę nazwać domem. Na pewno chcesz, żebym odzyskała wolność?

– Nie byłabyś wolna.

– Nie?

– Znalazłbym miejsce, gdzie byłabyś bezpieczna.

– Mam swoje potrzeby, Walterze.

– Zaopiekuję się tobą.

– Zamkniesz mnie w klatce, a potem będziesz do niej wrzucał morderców, więźniów, a może bezdomnych, jak surowe mięso dla lwa w zoo. Twój naukowiec zacznie mnie badać... Nie myśl, że nie zajrzałam w głąb umysłu twojego przyjaciela Lincolna Sealeya. Nauczyłeś się ukrywać swoje myśli, ale on jest jak otwarta księga.

– To się musi skończyć.

– To się nigdy nie skończy, jak czas. Uważam, że źle na to patrzysz. Jesteś krótkowzroczny. Mogłabym sprawić, byś mnie polubił, Walterze. Uśmierzyłabym twój ból, pokazała ci, czym naprawdę jest życie. Ty i ja na zawsze razem, wyobrażasz to sobie?! Jestem samotna, Walterze. Niczego tak nie pragnę jak dzielić z tobą życie. Już to proponowałam, ale czas ucieka. Jesteś taki

słaby; ile życia ci zostało, jak sądzisz? Kiedy śmierć zatopi w tobie swoje szpony?

Kostkę Waltera musnęła kolejna ręka. Tym razem ją kopnął. Była to czterdziestokilkuletnia Amy Archer. Wszystkie się do niego uśmiechały i przez ułamek sekundy nie wyobrażał sobie ich szczęściu jako Amy w różnych fazach życia, tylko w różnych fazach śmierci. Każda powoli umierała, gniła.

Kiedy chodził w kółko, nadepnął na coś i zdał sobie sprawę, że to ząb. Żółty, z zakrwawionym korzeniem.

Musiała poczuć ogarniający go niesmak.

– Nie chcę, żebyś myślał o mnie w ten sposób – powiedziała.

– Jak inaczej...

Walter ujrzał oślepiający błysk.

– Czy tak lepiej?

KIEDY ODZYSKAŁ PRZYTOMNOŚĆ, cofnął się o dwanaście lat – znalazł się w nędznym motelu w pobliżu Ogrodu na przedmieściach Atlanty. Był przywiązany do łóżka i Amy Archer klęczała między jego nogami, ubrana w jedną z jego luźnych koszul. Włosy miała wilgotne po prysznicu. Z otwartych drzwi łazienki w dalszym ciągu sączyła się para.

– To nie może być prawda – rzekł spokojnie.

Pochyliła głowę.

– Może jest... A jeśli to rzeczywistość i wszystko, co twoim zdaniem wydarzyło się później, to tylko wytwór twojej wyobraźni? Czy nie byłoby to znacznie lepsze? Ból, który znosiłeś... Lata rehabilitacji, by udręczone, poranione ciało odzyskało sprawność. Ścigałeś mnie po całych Stanach z grupą przyjaciół... Czy nie byłoby znacznie lepiej, gdyby ten obraz okazał się prawdziwy, a tamto znikło na zawsze? Tylko my dwoje, ty i ja... To może być prawda, jeśli tego zapagniemy. – Poglądziła palcami włosy Waltera, pomasowała skroń. Zniżyła głos do szeptu. – Nie jest jeszcze za późno, żebyś ty był Henrym, a ja Velmą Barfield z Dubuque w stanie Iowa.

Przez żaluzje wpadało światło neonu na ulicy. Brzydka kwiciasta tapeta na ścianie była pokryta jasnymi paskami.

„Gdzie wcześniej widziałem taki wzór?”

Opuściła głowę i pocałowała go w pierś. Walter spodziewał się przeszywającego bólu, zranienia, które później ktoś zidentyfikuje, oświetlając jego ciało ultrafioletem, ale poczuł tylko dotyk ciepłych, wilgotnych ust.

– Wyciągnęłam cię z chevroleta i przeniosłam przez las. Odzyskałeś przytomność, mogłeś iść z moją pomocą, ale nie na tyle, by wszystko pamiętać. Podwiózł nas tutaj mężczyzna w czerwonej furgonetce. Chciał nas zabrać do najbliższego szpitala, ale zdołałam mu to wyperswadować. Położyłam cię do łóżka i umyłam. Później zasnęliśmy.

Walter szarpnął sznury na ramionach.

– Więc dlaczego jestem związany?

Trąciła nosem jego pierś i przesunęła czubek palca po ramieniu, aż dotarła do więzów na nadgarstkach.

– Majaczyłeś, rzucałeś się w łóżku. Nie mogłam ryzykować, że zrobisz sobie krzywdę.

– Nic mi nie jest. Rozwiąż mnie.

– To byłoby zabawne, prawda? – Wcisnęła kolano między jego nogi i rozsunała je, po czym dotknęła dłonią uda.

Walter usiłował się bronić, ale czuł, że ma coraz większą erekcję.

– No proszę... – powiedziała cicho.

– Kim właściwie jesteś?

Rozpięła dwa ostatnie guziki koszuli. Miękka tkanina się rozsunała i ukazały się bujne piersi. Pochyliła się i jedna z różowych brodawek musnęła usta Waltera. Później znowu się wyprostowała.

– Będę wszystkim, czym zechcesz. Dziewczyną, która chce cię pocałować o zachodzie słońca na szczycie wieży Eiffla. Dziewczyną, która chce uklęknąć i zrobić ci loda w zatłoczonym wagonie w metrze. Możesz mnie zaprosić do domu, żebym poznała twoją matkę, ale twój ojciec się najeży, gdy wejdziesz do pokoju. Wiem, jak dać ci szczęście w każdy możliwy sposób. Zrobiłabym dla ciebie wszystko. – Jej oczy rozbłysły. – Obserwowałam cię w dniu, kiedy śledziłeś mnie od restauracji U Giovanniego do zaułka, gdzie pieprzył mnie pod murem ten skurwysyn i oszust Michael Driscoll. Myślałam o tobie, Walterze. Wiedziałam, że kryjesz się w cieniu, że mnie pragniesz, ale nie możesz nic zrobić. Niewiarygodnie mnie to podniecało. Nawet nie wiesz, jaką miałam nadzieję, że go odepchniesz i zajmiesz jego miejsce. Ale jestem cierpliwa. Wiedziałam, że nadejdzie nasz czas.

– To nie może być prawda – powiedział Walter, kręcąc głową.

– Nie? – Cofnęła się i figlarnie pocałowała go w uda, przesuując po nich ustami.

– Nie... – powtórzył. Chciał, by zabrzmiało to zdecydowanie, ale mu się nie udało. Nie tylko czuł pocałunki Amy: jego prawa noga również ożyła. Przestał w niej pulsować tępy ból, do którego się przyzwyczaił w ciągu ostatnich dwunastu lat, minęło mrowienie wywołane przez połamane kości i poszarpane nerwy. Prawa noga była równie sprawna jak lewa, zdrowa jak przed wypadkiem. Wiedział, że gdyby mógł usiąść i popatrzeć, nie zobaczyłby blizn. Zniknęłyby nierówne linie kości zrosniętych po skórą. Połamane żebra, zmiażdżone kolana. Wszystko. Dwanaście lat fizjoterapii, bólu i leków.

„A jeśli naprawdę wyzdrowiałem?”

Przesunęła czubkiem palca po jego brzuchu, wokół pępka, musnęła pierś i powiedziała:

– W twoim śnie usunęli ci śledzionę. Blizna powinna być tutaj, ale zniknęła, widzisz?

Walter uniósł głowę, próbował spojrzeć, lecz nie mógł, bo miał ręce skrepowane nad głową.

– Możesz zmarnować życie, tropiąc mnie, zupełnie sam, albo możemy być Velmą i Henrym... Mieszkalibyśmy na farmie w stanie Iowa, robili wino truskawkowe i sprzedawali je turystom. Mielibyśmy dzieci. Zestarzelibyśmy się w identycznych fotelach bujanych na werandzie. Czy to nie lepszy wybór? Nikt nie chce być samotny. Życie jest zbyt cenne, po co marnować je na coś, co nie daje szczęścia? Nie mógłbyś być szczęśliwy w życiu jak z koszmarnego snu...

Walter spoglądał nad jej nagim ramieniem na tapetę pokrytą cienkimi pasami światła.

„Nie, nie światła, ale...”

Uśmiechnęła się i znowu się przysunęła.

– Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia, Walterze. Wiedziałam, że jesteś tym jedynym. Kiedy po raz pierwszy od ciebie uciekłam, była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam, ale nie miałam wyjścia: byłeś taki młody. Musiałam czekać. Szybko dorastałeś. Powiedziałam sobie, że mogę czekać, i czekałam. Ciągle o tobie myślałam, w każdej chwili, przez te wszystkie lata, gdy przenosiłam się z miejsca na miejsce. Czekałam na ciebie. Nigdy nie byłam cierpliwa, ale czekałam. To była nasza wspólna gra. – Zniżyła głos prawie do szeptu. – Zdradzę ci sekret – szepnęła. – Uciekałam tylko dlatego, że wiedziałam, że będziesz mnie ścigał.

Pocałowała go. Jej pełne wargi dotknęły jego ust. Poczuł, że dotyka językiem jego języka, i sprawiło mu to przyjemność. Przycisnął się do niej, napinając sznury, przysuwając się bliżej i pragnąc się znaleźć jeszcze bliżej.

Pocałowała go w szyję i okolice ucha. Walter dotknął nosem jej włosów i wciągnął słodki zapach lawendy. Przed chwilą go nie czuł, ale teraz do niego dotarł. Nie były to perfumy, lecz naturalna woń Amy.

„Znasz ten zapach” – szepnął jego mózg. – „To ta cholerna tapeta. Ohydna tapeta w kwiaty”.

Widział podobną tapetę w mieszkaniu Alvina Schalka. Podobną, ale nie taką samą. W hotelu Edison, gdzie znaleźli Glenna Beede’a i gdzie poznał swojego dawnego partnera Wesa Braymana, również była tapeta. Nawet w pokoju w Four Seasons – czy nie zauważył tapety w kwiaty? Nie był pewien. Ale w pozostałych dwóch miejscach też znajdowały się tapety w kwiaty, choć niezupełnie takie same jak ta. Tapeta, którą najlepiej pamiętał, pochodziła z...

Na zewnątrz błysnął kilka razy neon, oświetlając ściany. Nagle sobie przypomniał. Jak mógł zapomnieć? Musiał wyrzucić to wspomnienie z umysłu jako dziecko; nie było innego rozsądnego wytłumaczenia.

Dom jego dzieciństwa.

Ta tapeta, dokładnie taka sama, znajdowała się w domu, w którym spędził siedem pierwszych lat życia. Matka przykleiła ją do ściany za kuchnią węglową. Ojciec był niezadowolony. Mówił, że nikt nie tapetuje ściany w okolicach kuchni – tłuszcz i gorąco zniszczą ją w tydzień – ale matka postawiła na swoim. Przypomniał mu o tym migający neon. Oświetlał tapetę w kilkusekundowych odstępach i wyglądał jak...

„Ogień”.

Walter ujrzał w wyobraźni starą kuchnię węglową. Płomienie buchające z wszystkich pięciu fajerek, podpalające oliwę na blacie, szafki, łakomie wspinające się po ścianach, pożerające tapetę. Nagle przypomniał mu się inny obraz, na chwilę przed wejściem do pomieszczenia.

Pamiętał, że usłyszał coś na parterze, ale nie był pewien, co to takiego. Wygramolił się z łóżka i ruszył na palcach w stronę pokoju rodziców. Chciał ich obudzić. Chciał powiedzieć, że słyszał kogoś albo coś na dole, lecz kiedy zbliżył się do ich łóżka, okazało się, że nie śpią, ale...

„Nie, to nie tak”.

Mieli otwarte oczy. Leżeli w łóżku, wpatrując się w sufit. Pamiętał wyraz twarzy matki – lewe oko skierowane w górę, prawe w bok. Nie oddychali.

Ich sypialnia pachniała lawendą, prawda? Wtedy nie znał tego zapachu, ale teraz...

W tym momencie Scritch zaszczekał i wskoczył Walterowi na rękę. Na parterze płomienie lizały tapetę...

Okno kuchni było otwarte. Pod drzewem na podwórku stała kobieta, którą wcześniej całował ojciec i która nie była jego matką. Patrzyła na Waltera, jej długie ciemne włosy powiewały w nocnym wietrze. Poruszała ustami i chociaż była bardzo daleko, Walter usłyszał anielski głos, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek słyszał.

– Syn zawsze jest podobny do ojca.

Scritch też ją zobaczył, jego drobne ciało stężało, zaczął głucho warczeć. Zeskoczył na podłogę, podbiegł do drzwi i spojrzał na Waltera, zachęcając go, by poszedł za nim.

W pokoju w motelu Amy Archer całowała pierś Waltera.

– Chłopiec i jego pies to wspaniali towarzysze – szepnęła mu w końcu do ucha.

Próbował się odsunąć. Słowa Amy wydobyły z pamięci długo skrywane wspomnienia. Usiłował się odezwać, lecz nie mógł wykrztusić słowa.

Znowu go pocałowała.

– To chyba egoistyczne z mojej strony, że chcę cię mieć tylko dla siebie. Ten pożar był nierozważny, o mało nie zginąłeś...

Próbował ją odepchnąć, ale nie mógł. Krępowwały go sznury. Usiadła mu na kolanach, nie potrafił jej zrzucić.

– Twój ojciec stał nam na drodze, Walterze. Twoja matka także.

– To ty wywołałaś pożar.

– Nieważne, jak to się stało. Ważne, że nas połączyło. Na pewno to rozumiesz. Pożar. Wypadek samochodowy. Alvin Schalk. Earl Golston. Połączył nas los. Nie mogę przed tobą uciec, podobnie jak ty nie możesz uciec przede mną. Zdałam sobie z tego sprawę wtedy, gdy po raz pierwszy przed tobą uciekłam, gdy zostawiłam cię stojącego z psem na ulicy. Jesteśmy dwiema częściami całości, związanymi przez siły znacznie silniejsze od nas. Pogodziłam się z tym, Walterze. Chcę tego. Wiem, że ty też tego chcesz.

– To byłaś ty... – wyjąkał Walter. – Zawsze ty... Byłem tylko dzieckiem...

– Dusze są znacznie starsze od ciał, skorup, w których mieszkają. Widziałam twoją duszę. Nie przestraszone dziecko. Widziałam duszę przeznaczoną do tego, by była ze mną. Na początku mnie to przestraszyło i dlatego ja też uciekłam, ale z biegiem lat wszystko stało się jasne. Ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni.

Pochyliła się i polizała podbródek Waltera.

– Pocałuj mnie, proszę. To wszystko, co musisz zrobić. To może być nasza rzeczywistość. Nasza przyszłość zacznie się teraz, cierpienie i smutek staną się tylko złym snem. Mogę sprawić, że zapomnisz, jeśli tego chcesz. Musisz tylko mnie pocałować. Oddaj mi się.

Powietrze było nieruchome. Miało w sobie coś bezlitosnego.

Pochyliła się w stronę jego ust i zamarła. W jej szarych oczach pojawiła się panika.

– Walterze, czujesz zapach soli?!

Na nagim barku Amy pojawiła się rana, następna na policzku. Przeraził i krzyknęła.

WALTER UJRZAŁ eksplozję bieli, światło podobne do błyskawicy. Kiedy rozjaśniło mu się w głowie, znowu stał na poddaszu w Bakersfield, otoczony przez sześć zakonnice opartych o ściany. Zdezorientowany, o mało nie upadł. Uratowała go tylko laska trzymana w dłoni. Czekał przez chwilę bez ruchu, by odzyskać równowagę.

Sealey krzyknął coś za jego plecami. Kiedy Walter się odwrócił, zauważył, że Sealey pośpiesznie rozsypuje paczki soli na progu drzwi.

– Wynoś się stąd, do cholery! – wrzasnął przez ramię.

Larson stał nad jedną z zakonnice ze śrubokrętem w ręku. Szybkim ruchem zadrapał jej szyję. Twarz kobiety nie zdradzała bólu, ale rana zaczęła krwawić. Wydawał się usatysfakcjonowany, ponieważ stanął naprzeciwko zakonnicy siedzącej obok – czterdziestej którejś Amy Archer.

Nie była to Amy Archer. Żadna z nich nią nie była.

Wiedział, co się stało, rozumiał prawdę – w jakiś sposób stała się tymi kobietami.

Dwie zakonnice były czarnoskóre, jedna pochodzenia azjatyckiego, a inna latynoskiego. Larson, operujący śrubokrętem, zasłaniał pozostałe dwie, ale Walter wiedział, że one również nie są Amy. A przynajmniej tą Amy, którą znał. Tworzyła obrazy w jego umyśle równie łatwo, jak zmieniała własny głos.

Zdał sobie sprawę, że cztery pozostałe zakonnice są ranne. Miały skaleczenia na ramionach. Na ich habity kapała krew. Nad głową każdej z nich znajdował się na ścianie symbol wydrapany przez Larsona, taki sam jak na korytarzach i drzwiach na parterze. Na podłodze leżała rozsypana sól, jakby ktoś rozrzucił ją niedbale na środku pokoju.

Larson próbował przesunąć sól stopą w stronę najbliższej zakonnicy. Miał zaczerwienioną twarz ociekającą potem.

– Pośpiesz się! – krzyknął do Sealeya. – Rozsyp wokół nich sól! Nie w przypadkowych miejscach, potrzebna jest linia ciągła, bo inaczej to nie



zadziała! – Obrócił się szybko w stronę Waltera. – To, co widzisz, to złudzenie, nie rzeczywistość. To ona, za każdym razem tylko ona!

Walter patrzył, jak Larson opuszcza śrubokręt i rani siedzącą przed nim kobietę. Okazywał równie niewiele emocji jak człowiek przecinający taśmę klejącą na paczce dostarczonej przez kuriera. Kobieta nie zareagowała, choć na jej ciele pojawiła się piętnastocentymetrowa rana biegnąca od barku do piersi.

Sealey skończył z drzwiami, podszedł wzdłuż świec do najbliższej zakonnicy i wysypywał sól wokół jej ciała, tworząc ciągłą linię wokół nóg i torsu. Po chwili rzucił kilka torebek w stronę Waltera.

– Pomóż mi! Pośpiesz się!

– Nie pozwól zrobić mi krzywdy, Walterze. Uderz tego człowieka laską. Walnij go w głowę. Rozbij ją jak zgniły melon. Tego drugiego też. Chcą nas po prostu rozdzielić. Są zazdrośni, bo pragnę ciebie, nie ich. Żaden z nich nie jest Walterem O'Brienem, żaden z nich nie jest tobą. Są gorsi od ciebie, gorsi od nas. Zmiażdż ich jak karaluchy.

Walter mocno ścisnął laskę i spojrzał na potylicę Larsona.

Mógłby to zrobić.

Jedno szybkie uderzenie laską z ciężką srebrną rączką w głowę Larsona, potem cios zadany Sealeyowi obiema rękami. Zaatakuje jak pałkarz pierwszoligowej drużyny bejsbolowej. Raz, dwa... Potrwa to sekundę. Nie musi ich zabijać, tylko zranić.

– Zrób to dla mnie, Walterze. Zrób to dla nas.

Uniósł laskę.

Zdyszany Larson pochylał się nad piętą zakonnicy, trzymając dłonie na kolanach. Ze śrubokręta kapłała na podłogę krew.

– Kocham cię, Walterze. Zawsze cię kochałam. Proszę...

Sealey uderzył pierwszy, zadał mocny prawy hak w szczękę. Walter się zachwiał, o mało nie upadł.

– Wynoś się stąd, do cholery, jeśli nie zamierzasz pomóc! – zawołał Sealey.

Larson otarł pot z czoła, nie zwracając na nich uwagi. Podszedł do szóstej zakonnicy i uniósł śrubokręt, by zadać kolejny cios.

Sześć zakonnicy otworzyło usta i belkami sufitu wstrząsnął ochryply wrzask, jakiego Walter jeszcze nigdy nie słyszał. Niewiarygodnie głośny, wysoki, piskliwy. W tej samej chwili na poddaszu zerwał się wiatr. Walter nie miał pojęcia, skąd się wziął. Owiewał kobiety, wirował w pomieszczeniu, z każdą chwilą nabierał siły.

– Świece! – krzyknął Sealey. Kiedy Walter wreszcie zrozumiał, o co chodzi, było już za późno.

Wiatr wiał z taką gwałtownością, że przewrócił świece. Płomienie dotknęły zapastowanej podłogi i wysuszonego drewna, dotarły do ścian i zaczęły szybko się po nich wspinać. Poddasze wypełniło się ogniem. Krzyki kobiet przybrały na sile.

Larson próbował je ignorować, skaleczył ostatnią zakonnicę śrubokrętem – tym razem celował w szyję, nie w bark – ale podmuch odrzucił go do tyłu. Potknął się i o mało nie upadł. Odzyskał równowagę, lecz nie dość szybko.

Sześć zakonnice zerwało się na nogi. Poruszały się w tym samym rytmie. Spojrzały w stronę drzwi, ale kiedy zobaczyły na progu sól, odwróciły się w przeciwną stronę.

– Okno! – zawołał Larson. – Odetnijcie okno!

Zakonnice były szybsze. Pierwsza przebiła szkło i zniknęła; za nią błyskawicznie podążyły następne cztery. Ostatnia, która musiała wyminąć rozsypaną wokół niej sól, dotarła do okna na końcu.

Walter, Sealey i Larson nagle coś zrozumieli. Znajdowali się na trzeciej kondygnacji budynku, co najmniej dwanaście albo piętnaście metrów nad ziemią.

Podbiegli do okna i popatrzyli na murawę widoczną w dole.

Na ziemi leżało pięć ciał, zgiętych pod dziwaczными kątami. Martwych.

Pięć.

Szósta zakonnica zniknęła.

Larson coś krzyknął, ale Walter nie zrozumiał słów.

Okno miało co najmniej sto dwadzieścia centymetrów szerokości i dwa metry wysokości – dwa i pół metra kwadratowego powierzchni. Po wybiciu szyby ogień wsysał świeży tlen, podsycając płomienie, które pochłonęły nie tylko okrągłą salę w narożniku, ale prawie cały strych. Pożar musiał wkrótce się rozprzestrzenić.

– Chodź! – Sealey chwycił Waltera za koszulę i pociągnął przez czarny dym i płomienie w stronę windy na końcu korytarza. Tuż za nimi podążał Larson.

# TERAZ

## ALIASY

~~Amy Archer\*~~ Iele

~~Amelia Dyer\*~~

~~Velma Barfield\*~~

-Iele-

~~Jane Toppan\*~~

~~Gesche Gottfried\*~~

~~Nannie Doss\*~~

~~Myra Hindley\*~~

~~Leonarda Cianciulli~~

~~Dagmar Overbye\*~~

~~Mary Clement\*~~

Lilin

~~Siostra Mary Daria~~

\*CZARNE WDOWY /LIPA

*Zawsze Iele*

OFIARY Iele

Alvin Schalk

Dwie ofiary /zamrażarka w piwnicy

Glenn Beede /~~niezidentyfikowany mężczyzna~~ /hotel Edison  
Aneta Kostenko /~~niezidentyfikowana kobieta~~ /dworzec autobusowy w Corktown  
Prywatny detektyw Earl Golston /~~niezidentyfikowany mężczyzna~~ /Four Seasons

Mężczyzna z peronu

Michael Driscoll

lele

### KAMIENICA

Wes Brayman

Rebecca Edgecomb (Willow)

17 innych

Zacieranie śladów?

### OGRÓD

Przeszło 80 ciał

Niektóre sprzed 200 lat

Wysypisko

lele Włosy?

Paznokcie??

Zęby???

Sól

Notatnik – nazwiska, daty, adresy

Rysunki /~~związane z dziewczynami?~~ /~~te same????~~ lele

**Walter O'Brien, pięćdziesiąt siedem lat**

CZY BUDYNEK MOŻE SIĘ POCIĆ?

Odpowiedź brzmi: tak. Tak, jeśli jest chory.

Gdy rozwija się w nim rak.

Walter rozumiał, że nie widzi lśniącego potu, tylko odbłask lamp na gładkich powierzchniach. Markizach, metalowych okuciach, szkłe. Może również na fugach między cegłami wykonanych z błyszczącego materiału. Fantazjował – zmieniał budynek w żywą, oddychającą istotę, choć było to zaledwie naczynie, pułapka, która pozwoli wreszcie osiągnąć zwycięstwo. Ostatnie miejsce, gdzie Amy się przed nim ukryła.

Popatrzył na zegarek.

Dziewiętnaście minut.

Wszystko zakończy się za dziewiętnaście minut.

– Co ona robi? – spytał Red przez komunikator.

Walter przestąpił z nogi na nogę, starając się ignorować ekipy telewizyjne, które zajmowały miejsca przed barykadami policyjnymi, i krzyki reporterów.

– Dziewczyna, której szukamy, czy szefowa antyterrorystów?

– Jedna i druga.

– Nie mam pojęcia.

– Myślisz, że mamy dość ludzi? Są gotowi do ataku. Czuję to.

Walter lekko się poruszył i usiłował spojrzeć na tłum za barykadami, nie rzucając się w oczy.

– Widzę przynajmniej sześć ekip telewizyjnych, a w górze krążą trzy helikoptery. Nie wiem, czy to dziennikarze, czy nieoznakowane śmigłowce policyjne. Kazaliśmy im nie wzywać wsparcia z powietrza, więc na pewno zastosowali jakąś sztuczkę. Może umieścili obserwatora w helikopterze dziennikarzy? Sam bym to zrobił. Odpowiem na twoje pytanie: tak, mamy dość ludzi.

– Rigby wychodzi – powiedział Sealey.

Walter znowu się odwrócił. Poczł przeszywający ból w plecach. Za długo siedział bez ruchu. Zapomniał zabrać wodę. Miał kompletnie wysuszone gardło i cały jego układ oddechowy tonął we flegmie wytwarzanej przez płuca. Zasłonił usta łokciem i zakasłał, próbując oczyścić gardło.

Rigby wyglądała inaczej.

Była napięta.

Red miał rację. Lada chwila zaatakują. Zostało niespełna dziewiętnaście minut.

Walter obserwował pług z solą wykonujący kolejną rundę. Rigby przeszła przez skrzyżowanie i zbliżyła się do uszkodzonego samochodu policyjnego.

– Lincoln Sealey. Alfred Larson – odezwała się. – Kogo jeszcze tam macie?

– Niewielką armię. Larson woli, żeby go nazywać Redem.

– Musimy pogadać o ludziach w klubie – odpowiedziała. – Przed chwilą rozmawiałam ze swoim szefem. Moi zwierzchnicy zaczynają się denerwować. Uważają, że bomba ma mechanizm zegarowy i że zamierzacie ją wysadzić niezależnie od okoliczności. Sądzą, że sprawa dziewczyny to lipa. Kilkanaście osób analizuje przebieg pana służby i twierdzi, że ma pan psychozę, halucynacje.

Walter wiedział, kogo widzi Rigby – schorowanego, złamanego starca. Kalekę z laską, zgarbionego, pokrytego bliznami.

– Rozumiem, że zgadza się pani z tą oceną?

– Proszę mi podać inne wyjaśnienie – odparła. – Dlaczego nie chce pan powiedzieć, czym się zajmuje od dwudziestu jeden lat? Zaczniemy od tego.

– Uwierzyłaby pani, że jestem agentem elitarniej jednostki federalnej działającej w tajemnicy na zlecenie Departamentu Obrony?

Nawet się nie uśmiechnęła.

– Nie.

– Więc niech pani dalej uważa, że mam halucynacje.

Lekko zmrużyła oczy.

– Mówi pan poważnie? Chce pan, bym uwierzyła, że to tajna operacja prowadzona na zlecenie Departamentu Obrony?

Walter wzruszył ramionami.

– Nie spodziewam się, że pani w cokolwiek uwierzy.

– Zmusza mnie pan do działania. Nie mogę panu pozwolić wysadzić tego klubu w powietrze.

Walter spojrzał na swoje dłonie.

– Ilu snajperów w tej chwili do mnie celuje?

Nie zawahała się.

– Sześciu.

– A inni snajperzy obserwują moich strzelców. Ma pani w tunelach grupy szturmowe gotowe do akcji. Gotowe wyeliminować moich ludzi. Wygląda na to, że autobusy też są na celowniku. Więc dlaczego tu pani stoi?

– Mam powiedzieć prawdę?

– Czemu nie?

– Ponieważ nie wydaje się pan w ogóle zmartwiony i cholernie mnie to przeraża.

– Bywają rzeczy znacznie bardziej przerażające niż pociski. – Spojrzał na nią.

– Widziała pani film z przesłuchania Reda Larsona?

Wyraz twarzy Rigby świadczył, że tak.

– Nakręciła go CIA – ciągnął Walter. – Kiedy go znaleziono, wysłano do Wietnamu człowieka, żeby z nim porozmawiał. Nie jestem pewien, czy zwróciła pani uwagę na daty: noc, o której opowiadał, to marzec tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Później zaginął i pojawił się dopiero w sierpniu. Zniknął na pięć miesięcy. To, co go zaatakowało, zabiło dwóch jego kolegów i zabrało się za niego, dopóki miejscowi Wietnamczycy nie natknęli się na obóz i nie odpędzili tego czegoś. Pielęgowali go pięć miesięcy, aż doszedł do siebie, przynajmniej pod względem fizycznym. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek wyzdrowiał psychicznie. Nazywają to *preta*, głodny duch, pożeracz życia. – Spojrzał jej prosto w oczy. – W Europie i Ameryce funkcjonuje określenie *sukkub*.

Chciała coś powiedzieć. Zauważył drgnienie ust.

„Bzdury. Coś takiego nie istnieje”.

Jednak milczała.

Zrozumiał dwie rzeczy – po pierwsze, że przejrzała wystarczająco dużo materiałów zapisanych na USB, by wzbudziły jej ciekawość. Po drugie, Red miał rację: szykują się do ataku, a ona gra na zwłokę, może chce odwrócić jego uwagę. Nie miało to już żadnego znaczenia.

Odchrząknął.

– Niech mnie pani nie prosi, żebym tłumaczył, co to takiego: chyba nikt nie potrafi tego wyjaśnić. Są tylko hipotezy. Legendy, baśnie, opowieści. Kiedy ludzie na nią patrzą, nikt nie widzi tego samego. Widzą ideał kobiety, to chyba najlepszy opis. Wabi ich, a potem pożera. Jeśli ma dość czasu, wysysa życie do ostatniej kropli. Delektuje się nim jak winem. Może to zrobić dotknięciem. –

Musnął lewy nadgarstek palcami prawej ręki i przypomniał sobie biuro lekarza sądowego przed wielu laty. Boże, jaki był wtedy naiwny... – Niszczy okoliczne tkanki. Sprawia, że komórki wariują. Wygląda to jak rak, ale to nie wszystko. Wysysa życie. Jeśli ma dość czasu, pozostawia tylko pustą skorupę. Jeśli się śpieszy... – dotknął skroni – ...natychmiast pojawia się tętniak albo zator.

Zajmowała się Redem dłuższy czas, ale uratowali go wieśniacy z Wietnamu. Był w złym stanie. Wyleczyli go za pomocą rośliny o nazwie pochrzyn. W pewnym stopniu odwraca zmiany. To dla niej trucizna. Wyzdrowiał po pięciu miesiącach, stracił tylko jeden palec. – Uniósł lewy palec wskazujący. – Ciągłe nie wiem, dlaczego je odgryza. Na początku myślałem, że to pamiątki, ale Red znalazł stare włoskie traktaty, które mówią, cytuję: „Pożeranie organów zmysłowych ofiary powiększa siłę i żywotność”. Węch, wzrok, dotyk, czyli nos, oczy, palce. Tej po prostu najbardziej smakują palce. – Umilkł na chwilę, by zebrać myśli. – O mało nie złapaliśmy jej w Bakersfield, a potem doszło do katastrofy. Zwalili winę na Sealeya, ale wszyscy zostaliśmy zwolnieni. Jakiś urzędnik z Waszyngtonu dotarł do właściwego senatora i przekonał go, że nasza niewielka operacja jest niebezpieczna. Pal diabli konsekwencje, lepiej, żeby potwory chodziły po ziemi, nie wolno się narażać na negatywne komentarze w prasie.

– Bakersfield to dwa tysiące dziewięćtych rok, prawda? Co pan robił później?

– Próbowałem zapomnieć i skończyć z tym, ale mi się nie udało – odpowiedział beznamiętnie. – Jest moim białym wielorybem, jak w *Moby Dicku*. Niestety kapitan Ahab umiera. Nie mogę odpuścić, pozwolić jej się wymknąć.

Nie wiadomo, czy wierzyła w jego słowa, czy nie, ale spytała:

– I uważa pan, że jest w klubie?

– Wiem, że jest.

– Skąd?

Walter pomyślał o esemesie.

– Skontaktowała się ze mną. Chciała się ze mną spotkać.

– Dlaczego miałyby to robić, skoro wie, że chce pan ją zabić?

– Z tego samego powodu, dla którego nie zabiła Reda, gdy znalazła go w szpitalu. Z tego samego powodu, dla którego nigdy mnie nie zabiła. To dla niej zabawa. Jak wspomniałem wcześniej, moim zdaniem zaczyna się nudzić. Coś takiego jak ona, starsze od ziemi... czym ma wypełniać czas?

– To już za chwilę, chłopaki – odezwał się Red w słuchawce Waltera. – Wchodzą.

– Cieszę się, że miałem zaszczyt z wami współpracować – odparł Sealey.

Red się zaśmiał.

– Daj spokój z tymi bzdurami. Gra jeszcze nie jest skończona.

Rigby spojrzała Walterowi prosto w oczy.

– W budynkach są Sealey i Larson? Kto jeszcze? Namierzyliśmy osiem osób. Kim są pozostali?

Nie miał powodu jej okłamywać. Niczego by to nie zmieniło.

– Gdybym powiedział, że tylko ci dwaj, uwierzyłyby mi pani? Kiedy się dowiedziałem, że ona tu będzie, postanowiłem zorganizować ostatni koncert



zespołu. Tylko ja i chłopcy grający nasze stare przeboje.

– Wiemy, że ma pan więcej ludzi. Kto jest w klubie?

– Nikt.

– Dlaczego nie odbierają telefonu?

Walter nie musiał odpowiadać, więc milczał.

Rigby znowu poruszyła wargami. Trzymała rękę na kolbie służbowego pistoletu. Miała rozbiegany wzrok; w jej głowie przebiegały miliony myśli, płynących na fali adrenaliny.

– Zdaje pan sobie sprawę, że trafi pan do więzienia? – spytała spokojnym głosem, wyraźnie wymawiając słowa. – Może na resztę życia? To bez znaczenia, że jest pan chory. Jeśli się pan nie podda, nie każe swoim ludziom złożyć broni, usłyszysz pan całą litanię zarzutów.

W tym momencie SWAT zaatakował.

RIGBY SZYBKIM RUCHEM wyciągnęła pistolet z kabury i wycelowała go w głowę Waltera z odległości kilku centymetrów. Na dachach rozległy się strzały z potężnych karabinów. Zabrzęczało tłuczone szkło, gdy policjanci z Detroit jednocześnie otworzyli ogień.

Walter wyobraził sobie pociski przelatujące nad skrzyżowaniem, przebijające okna, trafiające Sealeya i Reda ściskających broń. Eksplodujące serca, padające ciała. Dwaj mężczyźni natychmiast zginęli. Może trafiono ich w głowy? Trudno było zgadnąć.

Na niższych piętrach dwóch budynków, w których przebywali przyjaciele Waltera, eksplodowały granaty hukowe. Pękły kolejne okna i łatwo było spostrzec, że świetnie wyszkoleni antyterrorysty szybko podążają w stronę miejsc zidentyfikowanych przez kamery termowizyjne. Posuwali się do przodu ostrożnie, choć ktoś prawdopodobnie poinformował ich przez radio, że wszyscy strzelcy zostali wyeliminowani.

Ni stąd, ni zowąd przed klubem znowu pojawił się pług śnieżny, wyrzucając kłęby ciemnego dymu.

– Zatrzymajcie go, natychmiast! – krzyknęła Rigby, nie opuszczając pistoletu.

Pług otoczyło kilku funkcjonariuszy z wyciągniętą bronią. Zapaliły się czerwone światła hamowania. Silnik umilkł i w oknie szoferki pojawiła się głowa kierowcy trzymającego ręce nad głową.

– Potraktujcie go łagodnie – powiedział cicho Walter. – Nie ma z nami nic wspólnego. Znalazłem go w schronisku dla bezdomnych przy Eighteenth Street i zapłaciłem dwieście dolarów, by poprowadził pług. To my go ukradliśmy, nie on. Myślałem, że już dawno się zatrzymał. To tylko dzieciak.

Słowa Waltera dotarły do Rigby, ale przede wszystkim wsłuchiwała się w komunikaty dobiegające z radia. Mógł sobie tylko wyobrazić przebieg szturm.

Znowu wybuchły granaty hukowe.

Zerknął na reporterów. Jedna z dziennikarek stała skulona, wskazując coś za swoimi plecami i mówiąc do mikrofonu. Dwaj inni dziennikarze nadawali na żywo, stojąc na tle ulicy pogrążonej w chaosie, jakby byli bezpieczni za kruchymi barykadami. Wszędzie widać było aparaty fotograficzne – nie tylko w rękach reporterów, lecz także gapiów. Przeszło sto osób uniosło komórki i próbowało filmować, co się da. Helikoptery też się zbliżyły. Jeden z kamerzystów wisiał w uprzęży w otwartych drzwiach.

Chaos.

Właśnie o to chodziło. Prawdopodobnie obserwowały ich teraz miliony ludzi.

Eksplodje granatów ucichły. Echo też. Frustracja widoczna na twarzy Rigby zmieniła się w oszołomienie.

– Ściągnijcie go na dół – powiedziała do mikrofonu. – Chcę go mieć tutaj. – Mocniej zacisnęła rękę na kolbie pistoletu i popatrzyła wściekle na Waltera. – Gdzie reszta? Kto ma detonator? Co takiego?! Puszki paliwa do gotowania?! Jaja sobie ze mnie robisz?!

Paliwo było pomysłem Reda. Zapalili za biurkami puszki paliwa do gotowania, by imitować ślady termiczne.

„Ściągnijcie go na dół”. Udało im się schwytać przynajmniej jednego.

Rigby wyrwała wolną ręką słuchawkę z ucha Waltera i włożyła do swojego. Słuchała.

– Nie mam łączności ze swoimi ludźmi – wyjaśnił Walter. Nagle usłyszał krzyk Sealeya.

Obrócił głowę i zobaczył, jak trzech funkcjonariuszy wyprowadza go z budynku, w którym się ukrył. Był skuty, jeden z policjantów niósł jego karabin. Przyprawdzili go i rzucili na kolana przed Rigby.

Sealey zerknął na Waltera, ale się nie odezwał. Nie było nic do powiedzenia.

Rigby przyłożyła dłoń do ucha, słuchając trajkotu rozlegającego się w eterze. Zmarszczka na jej czole się pogłębiła. Wycelowała pistolet w Sealeya.

– Gdzie jest Larson? Ma detonator?

Walter wymienił spojrzenia z Sealeyem i powiedział:

– W klubie nie ma bomby. Kłamaliśmy.

– Kłamaliście.

Walter myślał przez chwilę, że Rigby uderzy jednego z nich kolbą pistoletu. Jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że filmuje ją wiele kamer, i zdołała się powstrzymać.

– Proszę wysiąść z samochodu, natychmiast!

– Niech pani da spokój, mam chorą...

Jeden z antyterrorystów, którzy przyprowadzili Sealeya, chwycił Waltera za ciężką kamizelkę, wyciągnął z odrapanego wozu policyjnego i rzucił go na

ziemię. Walter poczuł przeszywający ból w nodze, plecach i piersi. Zakrztusił się flegmą i wypluł ją na chodnik. Była czerwono-czarna, odrażająca.

Rigby zignorowała Waltera i przycisnęła palec do odebranej mu słuchawki.

– Alfredzie Larsonie, mówię do ciebie! Natychmiast się poddaj najbliższemu funkcjonariuszowi policji Detroit!

Jasne, to powinno go skłonić do wyjścia.

– Jest w jednym z okolicznych budynków – warknęła do komunikatora Rigby.  
– Przeszukajcie je znowu. – Spojrzała w stronę furgonetki antyterrorystów otoczonej masą umundurowanych policjantów i samochodów patrolowych. –

Dowódcy zespołów, koordynujcie działania. Nie może stąd wyjść. Należy wszystkich dokładnie sprawdzić.

Walter zauważył sześciu kolejnych antyterrorystów w pełnym rynsztunku bojowym skulonych pod ścianą przy zachodnim rogu budynku. Rigby obróciła się w ich stronę.

– Hersh, zespół żółty, wchodzisz do klubu. Zaraz po tobie pirotechnicy. Jak najszybciej wszystko oczyścić, sprawdzić każdy centymetr kwadratowy. Hurwitz, sprowadź autobusy. Chcę, żeby wszystkich gości przeszukano i umieszczono w autobusach. Nikt nie może zostać zwolniony. Przesłuchamy ich w centrali. Bądźcie ostrożni: każdy może być współnikiem.

Walter już wcześniej się domyślał, że wykorzystają autobusy. W klubie było co najmniej dwieście osób. Nie chciał nikogo wypuścić. Była to kompletna strata czasu, ale musiał się z tym pogodzić.

Procedury.

Procedury.

Procedury.

Sześciu antyterrorystów przeszło po chodniku i bezszelestnie zajęło miejsca wokół ceglanego muru przy wejściu do klubu. Następni podążyli na tyły budynku – należało zabezpieczyć wszystkie drzwi, bez względu na to, że tylne wyjście zostało zaspawane. Za antyterrorystami stali policjanci z wyciągniętą bronią.

Jeden z funkcjonariuszy stojących przy drzwiach frontowych trzymał duży taran. Szybko go odłożył, gdy zrozumiał, że drzwi nie są zamknięte. Sprawdził framugi, posługując się niewielkim lusterkiem: szukał pułapek, czujników albo napiętych sprężyn. Później skinął głową w stronę Rigby i powiedział coś cicho do krótkofalówki. Walter nie dosłyszał jego słów.

Rigby kiwnęła głową.

– Wchodzimy – odezwała się do mikrofonu.

Wśród tłumu gapiów i dziennikarzy zapadła dziwna cisza: wszyscy spoglądali na klub. Antyterrorysta otworzył drzwi i wszedł do środka. Pozostali członkowie

oddziału szybko podążyli za nim.

RIGBY STĘŻAŁA. Wydawało się, że wstrzymała oddech. Walter nie widział ruchów jej piersi. Dostrzegał tylko lekkie drżenie w okolicach policzka, gdy patrzyła na klub z kamienną twarzą z jedną ręką przyłożoną do ucha.

Nasłuchiwała.

Minęło trzydzieści sekund.

Minuta.

Dwie.

– Zespół żółty, złóżcie meldunek – powiedziała cicho.

Chociaż mówiła spokojnie, w jej głosie dawało się wyczuć napięcie. Puknęła palcem w słuchawkę, jakby urządzenie przestało działać i chciała przywrócić je do życia.

– Hersh, powiedziałam, że masz złożyć meldunek.

Cisza.

– Nie żyją – rzekł cicho Walter. – Zabiła ich. Prawdopodobnie w chwili, gdy weszli. Nie mogli nawet strzelić. Właśnie dlatego nikt nie odpowiadał na telefony. Wszyscy nie żyją. Musimy ją powstrzymać, nim wyjdzie.

Sealey skinął głową w stronę karabinu wiszącego na szyi jednego z mężczyzn, który go przyprowadził.

– Wasza broń jest bezużyteczna. Pociski w moim karabinie są pokryte pochrzynem, zabójcze dla niej. – Milczał przez chwilę. – Proszę posłuchać, pani Rigby. Wszystko, co o niej mówiliśmy, jest prawdą. Jesteśmy przygotowani, by sobie z nią poradzić, a wy nie. Sugeruję, żebyście się wycofali i pozwolili nam zakończyć akcję, nim straciecie następnych ludzi.

Jeśli Rigby nie rozpoznała wcześniej w telefonie głosu Sealeya, teraz z pewnością to do niej dotarło. Walter zauważył to w jej oczach. Jeszcze bardziej się rozwścieczyła.

– Dlaczego ten człowiek ma wolne ręce? Skujcie go, natychmiast!

Dwóch funkcjonariuszy szybko chwyciło nadgarstki Waltera. Poczuł zaciskające się plastikowe kajdanki.

Rigby znowu puknęła palcem w komunikator.

– Grupa szturmowa, złożyć meldunek.

Żadnej odpowiedzi.

– Ktoś ma obraz wnętrza? Hurwitz, jaki obraz przekazują kamery osobiste?

Walter nie słyszał odpowiedzi, ale zauważył, że zmarszczka na czole Rigby się pogłębiła. Jeden z funkcjonariuszy stojących po jego prawej stronie wskazał klub.

– Tam!

Pierwszą osobą, która stanęła w drzwiach, był około dwudziestopięcioletni mężczyzna w obcisłym satynowym T-shircie i ciemnych dżinsach. Miał rozczochrane włosy i wyglądał, jakby nie spał od miesiąca. Spojrzał na tłum przed klubem i znieruchomiał. Pojawił się za nim funkcjonariusz SWAT i łagodnie popchnął go do przodu. Mężczyzna wyszedł na ulicę. Inny funkcjonariusz wskazał mu jeden z autobusów. Mężczyzna dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi, po czym ruszył w stronę autobusu; zwolnił tylko w miejscu, gdzie napotkał grubą warstwę soli. W tłumie panowała absolutna cisza; Walter słyszał chrzęst soli pod jego stopami. Mężczyzna wszedł do autobusu i w drzwiach klubu pojawiły się następne trzy osoby. Kolejne cztery za ich plecami.

Trwała pośpieszna ewakuacja. Mężczyźni i kobiety, wszyscy wyglądający na zmęczonych, stali w kolejce między klubem a autobusami. W kierunku drzwi pobiegli pirotechnicy i zniknęli w środku.

Walter wiedział, że nie znajdą żadnych materiałów wybuchowych.

W pobliżu furgonetki antyterrorystów zatrzymał się z piskiem opon szary ford taurus. Wysiadł z niego starszy mężczyzna w ciemnym garniturze, rozejrzał się, a następnie pokazał legitymację najbliższemu policjantowi, który wskazał mu Rigby. Mężczyzna ruszył w jej stronę.

– Przyjechało FBI – powiedział Walter.

Mężczyzna podszedł do Rigby, zerkając na Sealeya.

– Pani tu dowodzi? Mam nadzieję, że ktoś panią poinformował, że przyjadę?

Rigby szybko skinęła głową, po czym zaczęła wydawać rozkazy przez komunikator. Niewątpliwie rozmawiała z pirotechnikami sprawdzającymi pomieszczenie po pomieszczeniu.

– Wielu ludzi chce z panem porozmawiać – rzekł mężczyzna do Sealeya.

Sealey przestąpił z nogi na nogę, ale nie odpowiedział. Rigby odwróciła się i spytała:

– Gdzie go pan przewiezie?

Mężczyzna spoglądał na Sealeya jeszcze przez chwilę, po czym wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją Rigby.

– Do budynku federalnego imienia Patricka McNamary przy Michigan Avenue. Pozostanie tam, dopóki nie zorganizujemy transportu do Waszyngtonu, czyli przez jakieś czterdzieści osiem godzin. Jeśli chcecie go przesłuchać, zadzwońcie na ten numer. To moja komórka. Załatwię wymagane zezwolenia.

Rigby schowała wizytówkę do kieszeni i pośpiesznie rozkazała jednemu z funkcjonariuszy:

– Umieścić go w samochodzie.

Umundurowany policjant chwycił plastikowe kajdanki na nadgarstkach Sealeya, położył mu rękę na ramieniu i postawił na nogi.

Kiedy funkcjonariusz próbował popchnąć Sealeya w stronę taurusa, ten zaparł się stopami i popatrzył na Waltera:

– Jesteś pewien?

Walter mógł tylko skinąć głową. Sealey zamknął oczy i westchnął z rezygnacją.

– W porządku, przyjacielu. W porządku.

Agent FBI uważnie ich obserwował. Walter odwrócił się do nich plecami. Nie mógł na to patrzeć. Zaniemówił.

– Idź – powiedział policjant, popychając Sealeya. Przecisnęli się do samochodu. Walter obserwował, jak Sealey siada z tyłu, a agent za kierownicą. Po chwili odjechali.

W dalszym ciągu ich obserwował, gdy nagle usłyszał krzyk przy wejściu do klubu.



DWÓCH ANTYTERRORYSTÓW stało w otwartych drzwiach z bronią wiszącą u boku. Prowadzili młodą kobietę, która obejmowała ich ramionami, próbując utrzymać równowagę. Była bosa, ubrana w krótką czarną sukienkę sięgającą ud. Płakała – miała zaczerwienioną, opuchniętą twarz pokrytą łzami i smarkami. Cała trójka poruszała się powoli, dziewczyna ledwo szła, funkcjonariusze musieli ją podpierać. Popatrzyła nad skrzyżowaniem na samochody policyjne, na furgonetkę antyterrorystów, pług, samochody dziennikarzy, helikoptery latające w górze, gapiów. Kiedy zauważyła Waltera klęczącego na ziemi z rękami skutymi za plecami, zeszywniała i wyraźnie się zdenerwowała. Szarpnęła się, usiłowała wrócić do środka. Jeden z podtrzymujących ją funkcjonariuszy powiedział coś, próbował ją uspokoić, ale pokręciła głową i zaparła się stopami.

Usiłowali popchnąć ją do przodu, lecz się opierała.

– Nie mogę wyjść! Puśćcie mnie!

Była bliska hysterii, czepiała się prowadzących ją mężczyzn, krzyczała i rozpaczliwie kręciła głową w obie strony.

Walter znał ten głos równie dobrze jak własny.

Amy Archer.

Jane Toppan.

Amelia Dyer.

Velma Barfield.

Gesche Gottfried.

Nannie Doss.

Myra Hindley.

Leonarda Cianciulli.

Dagmar Overbye.

Mary Clement.

Siostra Mary Daria.

Ona.

Ona.

To coś.

Iele.

Wyglądała dokładnie tak samo jak dawniej. Znał ją jako dziecko, widział ją pod umywalką w łazience mieszkania Alvina Schalka, w burdelu w kamienicy, w restauracji U Giovanniego, na jej polach śmierci, w Ogrodzie na przedmieściach Atlanty, przebraną za zakonnice w Bakersfield i tylu innych miejscach i chwilach, że zlały mu się w głowie w jedno. Myślał o niej przez całe życie; teraz wszystko stało się absolutnie jasne.

– Proszę im kazać ją puścić – powiedział do Rigby. – Natychmiast! Niech pani wyda rozkaz.

Rigby milczała. Wpatrywała się w drzwi klubu.

Dwóch antyterrorystów popychało idącą przed nimi Amy Archer – Iele. Zeszli po kilku granitowych stopniach. Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej niespokojna. Wierzała, usiłowała zapierać się nogami. Jednak mężczyźni byli silniejsi. Po prostu wzięli ją na ręce i donieśli do wyłożonego kostką chodnika u stóp schodów. Następnie ruszyli po trawniku.

Wydawała się słaba, wyglądała jak chuchro. Mimo to walczyła z całych sił. Przestraszona, przerażona.

Udawała.

– Nie rozumie pani... – odezwał się Walter. On rozumiał. Doskonale rozumiał.

Amy wpatrywała się w niego, ale zdawał sobie sprawę, że to nie on ją przeraża, tylko sól. Nie mogła przejść przez sól.

– Proszę im kazać się zatrzymać, zanim... – zaczął.

Amy, ciągle obejmująca antyterrorystów za szyje, uniosła palce obu rąk do ich skroni. Wykonała nagły, szybki ruch: gdyby Walter się tego nie spodziewał, mógłby w ogóle go nie zauważyć. Obaj mężczyźni osunęli się bezwładnie na ziemię u jej stóp.

Zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co się naprawdę stało. Kilku policjantów skuliło się za samochodami, ale większość wydawała się wstrząśnięta, nie poruszała się.

Natychmiast wycelowano w nią kilkanaście pistoletów. Walter wiedział, że jeśli jeden z funkcjonariuszy otworzy ogień, inni pójdą za jego przykładem. Wystrzeliliby kilkaset pocisków w ciągu kilku sekund. Większość policjantów spudłuje, ale wielu trafi w cel.

Czekał na pierwszy strzał, ale za plecami Amy pojawił się w drzwiach klubu umundurowany policjant. Funkcjonariusze nie chcieli trafić kolegi.

Policjant trzymał w ręku pistolet. Powoli zbliżył się od tyłu do Amy i wycelował broń w jej głowę. Znajdował się zaledwie w odległości metra. Nie mógł spuścić.

Odwróciła się do niego, powiedziała coś cicho i pochyliła się. Delikatnie musnęła dłonią jego ramię. Wspięła się na palce i pocałowała go.

Widok był niesamowity. Rigby otworzyła usta ze zdumienia. Zapadła zupełna cisza.

Kiedy Amy się odsunęła, policjant obrócił się w ich stronę z oszołomionym wyrazem twarzy. Ciągłe ściskając pistolet, przeszedł obok murku przy wejściu do klubu, przekroczył linię soli i dotarł do skrzyżowania. Z każdym krokiem przyśpieszał, wydawał się coraz bardziej podekscytowany. Spoglądał na nich pustym wzrokiem.

– Niech go pani zastrzeli! – krzyknął Walter.

– Nie zamierzam...

Policjant strzelił pierwszy.

Nie celował do Rigby. Amy kazała mu zlikwidować mężczyznę trzymającego karabin Sealeya. Musiała wiedzieć, że są w nim pociski z pochrzynem. Opętany policjant oddał trzy strzały prosto w twarz antyterrorysty i wyrwał mu karabin, nim martwe ciało upadło na chodnik. Szybko obrócił broń, przycisnął lufę do asfaltu, oparł się całym ciałem na kolbie i nacisnął spust.

Lufa eksplodowała, kolba karabinu odskoczyła w górę. W policzek Waltera uderzyło coś wilgotnego. Nie pamiętał, że zamknął oczy; zrobił to odruchowo. Kiedy je otworzył, na ziemi obok niego leżał martwy policjant. Mężczyźnie brakowało połowy torsu; krew tryskała z miejsc, gdzie kolba karabinu przebiła klatkę piersiową i bark. Wokół kolan Waltera leżały zakrwawione fragmenty ciała. Słyszał ostry metaliczny dźwięk. Szybko zagłuszył go krzyk Rigby:

– Na ziemię! Natychmiast! Ani kroku dalej!

Walter widział to już wcześniej. Wiedział, co potrafi Amy.

Amy – Iele – stała przez chwilę kilka centymetrów od grubej warstwy soli pokrywającej trawnik. Odwróciła się do nich, otarła wierzchem dłoni fałszywe łzy i zawołała:

– Tęsknię za tobą, Walterze! Bardzo!

Pochyliła się, chwyciła za kark jednego z martwych antyterrorystów i rzuciła go jak szmacianą lalkę na warstwę soli. Tak samo postąpiła z drugim mężczyzną, który wylądował za pierwszym. Przeleciał przeszło dwa metry i upadł na twarz.

Zrobiła jeden niepewny krok i weszła na prowizoryczny most wykonany z ciał. Kiedy nic się nie stało i zrozumiała, że może bez szkody stać nad solą, poszła dalej. Gdy dotarła do zwłok drugiego antyterrorysty, poruszała się

tanecznym krokiem. W końcu stanęła na krawężniku i zeskoczyła na asfalt, bezpiecznie minawszy pas soli.

Stanęła, przekrzywiła głowę i spojrzała na tłum ludzi – policjantów, sanitariuszy, gapiów, dziennikarzy telewizyjnych i prasowych – po czym obróciła się w stronę Waltera, jakby istnieli tylko oni dwoje.

– Brakowało mi widoku twojej twarzy. – Uśmiechnęła się.

USIŁOWAŁ WSTAĆ, ale z laską leżącą na ziemi i rękami skrepowanymi na plecach zdołał tylko lekko się unieść, po czym ciężko upadł na ziemię, raniąc podbródek o szorstki asfalt.

– Zdejmijcie mi te przeklęte kajdanki, natychmiast!

Rigby go nie słyszała. Zamarła, może była w szoku. Podobnie jak inni, wpatrywała się w Amy. Niewątpliwie nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co przed chwilą zobaczyła. Może zastanawiała się nad losem antyterrorystów, którzy nie wyszli z klubu, pirotechników, cywili ciągle pozostających w środku. Dowodziła akcją i w tym momencie przechodziły jej przez głowę miliony myśli. Instynktownie pragnęła uciec.

Jeśli Amy do nich dotrze, wszystko straci sens.

Walter wyciągnął szyję w stronę furgonetki antyterrorystów, samochodów policyjnych i skulonych za nimi mundurowych.

– Ognia! Wszyscy ognia!

Nie miał pojęcia, kto oddał pierwszy strzał: z prawej strony rozległ się pojedynczy huk. Brzmiał cicho, lecz po chwili rozległ się następny, gdy wszyscy policjanci otworzyli ogień.

Amy skręcała się konwulsyjnie. Wokół niej świszczwały kule, w powietrzu latały kawałki asfaltu. Szklane drzwi klubu pękły, podobnie jak neony wiszące na ścianie budynku. Na ziemię spadały kaskady łusek, odbijały się od samochodów i chodnika. Mimo to szła do przodu.

Jeden krok.

Drugi.

Po niespełna dziesięciu sekundach zapadła cisza.

Na początku Walter słyszał dzwonienie w uszach. Huk strzałów zmienił się w metaliczny szcęk naciskanych spustów i zamków pistoletów maszynowych. Niektórzy policjanci próbowali przeładować broń, a inni tylko wpatrywali się ze zdumieniem w Amy.

Ciągle stała.

Pociski podarły część jej sukienki. Niewątpliwie została trafiona wiele razy, ale jej skóra wydawała się nienaruszona. Nie miała nawet siniaków.

Pług znajdował się teraz za nią, trochę z boku.

Rigby nagle się ocknęła, ożyła. Mruknęła coś, czego Walter nie usłyszał, wyjęła z kieszeni niewielki nóż i rzuciła na ziemię obok jego rąk. Później ruszyła szybkim krokiem w stronę Amy. Wzięła z jednego z wozów policyjnych karabin szturmowy i uniosła lufę. Oddała szybko trzy strzały, zbliżyła się do Amy i strzeliła jeszcze dwa razy. Wszystkie pięć pocisków trafiło ją w brzuch. Zgięła się wpół, lecz natychmiast się wyprostowała, po czym Rigby oddała trzy następne strzały, ciągle idąc do przodu.

Walter znał tę broń. Był to karabin szturmowy AR-5; każdy z pocisków powinien przebić Amy na wylot. Osiem strzałów z tak bliskiej odległości powinno ją przeciąć na pół. Mimo to ona tylko się zachwiała.

Rigby znowu strzeliła.

Walter sięgnął po nóż, zdołał go chwycić i zaczął piłować plastikowe kajdanki.

– Podchodzi pani za blisko! – krzyknął, ale nie miało to znaczenia. Amy była szybsza.

Chwyciła lufę karabinu Rigby i pchnęła go w jej stronę. Rigby straciła równowagę, potknęła się i upadła na ziemię. Amy przykucnęła obok niej i ujęła dłońmi jej głowę.

Walter myślał, że zamierza skrócić jej kark, lecz zamiast tego ją pocałowała. Mocno przycisnęła wargi do jej ust, podobnie jak wcześniej pocałowała policjanta, który wyszedł z klubu.

Wyrzucił z siebie potok przekleństw. Uwolnił się z kajdanek. Znalazł laskę i zdołał wstać.

Rigby szarpała się rozpaczliwie, ale nie potrafiła się wyrwać. Mogli tylko na nią patrzeć. Jej skóra stała się kredowobiała, żyły i ścięgna na szyi pociemniały, napięły się. Poruszała dłońmi i stopami, po czym znieruchomiła, gdy opuściło ją życie.

Iele wstała, uniosła ciało Rigby i odrzuciła je na bok – w ciągu kilku sekund postarzałe o tysiąc lat, zmienione w wyschniętą skorupę.

## KOLEJNE STRZAŁY.

Walter obrócił się, wsparty na lasce, i zobaczył dwóch antyterrorystów zbliżających się do Amy z za pługą. Obaj prowadzili ogień w trybie półautomatycznym; ich karabiny oddawały po trzy strzały w równych odstępach – trach! trach! trach! Zbliżało się do niej również dwóch policjantów. Wyszli z za samochodów i biegli w jej kierunku, strzelając z rewolwerów kalibru 9 milimetrów.

Nie zwracając uwagi na pociski, zaatakowała dwóch pierwszych mężczyzn. Wydawała się rozmazaną plamą. Wyrwała im z rąk karabiny z taką siłą, że pękły nylonowe pasy. Jednemu zwicnęła ramię, obaj się zachwiali. Później przycisnęła im dłonie do skroni. Natychmiast ich zabiła i skoczyła w stronę policjantów, nim antyterrorysty upadli na ziemię.

Jeden z funkcjonariuszy opróżnił magazynek rewolweru kalibru 9 milimetrów, wyjął paralizator i wystrzelił elektrody w stronę nagiej skóry na jej brzuchu. Rozległ się trzask i pojawiły się iskry, lecz Amy tylko się uśmiechnęła i przyłożyła mężczyźnie palce do skroni. Tym razem się nie śpieszyła, jakby smakowała uchodzące z niego życie. Paralizator upadł na ziemię, a za nim mężczyzna. Drugi policjant wyciągnął pałkę. Zamachnął się, trzymając ją oburącz, i trafił Amy w podbródek, gdy obróciła się w jego stronę. Jeśli cios ją ogłuszył, to tylko na chwilę. Spojrzała na policjanta, wyciągnęła rękę, chwyciła go za szyję i uniosła.

– Przestań! – krzyknął Walter. – Dość tych bzdur!

Poruszyła palcami, złamała mężczyźnie kark i cisnęła na ziemię.

– Dostyc tego! – krzyknął znowu Walter.

Zrobiła krok do przodu i wydeła usta.

– Nie możesz winić dziewczyny, że się broni, prawda?

Spojrzał jej w oczy.

– Mam ludzi we wszystkich okolicznych budynkach – powiedział podniesionym głosem. – Czekają od kilku godzin. Wszystkie pociski są namoczone w soku z pochrzynu. Red dowiedział się o tym w Wietnamie. Jeden strzał może nie wystarczyć, ale gwarantuję, że jeśli otworzą ogień jednocześnie, nie wyjdiesz stąd żywa.

Nie spuszczać wzroku z Waltera, zerknęła na ciało policjanta leżące obok na asfalcie i zniszczony karabin. Wciągnęła powietrze, marszcząc nos.

– Wszystko śmierdzi pochrzynem. Gdzie jest Red?

Walter zakasłał.

Usiłował się powstrzymać, ale nie mógł. Z jego ust wydobył się brzydki charkot. Nie zasłonił twarzy. Kiedy atak minął, Amy zmrużyła oczy i znowu powąchała powietrze.

– Jesteś chory, Walterze?

– Rak płuc – odparł, ocierając usta. – Został mi miesiąc życia, może mniej.

– Przykro mi.

– Nie wątpię, że jest ci przykro.

Jej twarz po raz pierwszy złagodniała.

– Nienawidzisz mnie, prawda? Umierasz, a jednak ciągle mnie nienawidzisz?

Walter o mało nie odpowiedział. Miał właściwe słowa na końcu języka, ale milczał. Nie mógł tego powiedzieć na głos, nie w obecności tylu słuchających ludzi. Niczego by nie zrozumieli. Jak mogliby zrozumieć? Powinien jej nienawidzić, chciał jej nienawidzić, ale nie potrafił. Czuł się dziś bardziej żywy niż w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

„Możemy postanowić, kim będziemy gardzić, ale nikt nie ma wpływu na to, kogo kocha”.

Nie pamiętał, w jakim ciasteczku z chińskimi wróżbami znalazł ten cytat, ale nagle mu się przypomniał.

Widok Amy wywołał niechciane uczucia. Nienawidził się z ich powodu. Z całych sił z nimi walczył, bo były sprzeczne z tym, co musiał zrobić. Nie mógł jej kochać bardziej niż ona jego.

– Nie jesteś człowiekiem, tylko potworem, diabłem – rzekł cicho.

Zrobiła krok do przodu i uśmiechnęła się.

– Jestem czynnikiem stabilizującym, koniecznością. Tworzę równowagę.

– Nie chcę cię zabić, ale to zrobię, jeśli nie pozostawisz mi wyboru.

– Nie mogę umrzeć, Walterze. To, że tak sądzisz, dowodzi, jak mało wiesz. Nie możesz mnie zabić, tak samo jak nie możesz zabić wiatru.

– To musi się skończyć.

– Nie mam końca. Nie umieram. Po prostu jestem.

– Musisz odpowiedzieć za swoje zbrodnie – rzekł Walter.



– Chcesz mnie osądzić? Co ci daje prawo? Nie rozumiesz, jaki jesteś ograniczony? Na jakiej podstawie próbujesz mnie osądzać? Absurdalnych zasad stworzonych przez infantylne społeczeństwo? Jesteście dziećmi. Pyłkami kurzu.

– A jednak udało nam się schwycić cię w pułapkę.

– Naprawdę w to wierzysz? – Wskazała klub za swoimi plecami. – To ja cię tu sprowadziłam, Walterze, nie odwrotnie. Poprosiłam, żebyś tu przyszedł... Tak łatwo wami manipulować...

Popatrzył na otaczające ich kamery telewizyjne, zastanawiając się, co rejestrują. Czy cokolwiek?

– Nie chcę dłużej przed tobą uciekać, Walterze – rzekła. – Jestem zmęczona uciekaniem. Wiesz, ile razy próbowałam o tobie zapomnieć? Albo cię kimś zastąpić? Znałam tylu ludzi w czasie swojego... życia... Chyba możemy je tak nazwać. Życie. Większość jest straszliwie nudna, przewidywalna. Ale ty? Nie wiem, co takiego masz w sobie, ale mnie interesujesz. Zawsze mnie interesowałeś, nawet jako dziecko. Zawsze mnie intrygowałeś.

Walter znowu zakasłał. Wiedział, że ma krew na wargach, prawdopodobnie na policzkach. Nie obchodziło go to.

– Mam to uznać za komplement? Wzruszyć się? Nie jestem w stanie policzyć ludzi, których zabiłaś. Rozumiesz, ile bólu wywołałaś? Czujesz jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiłaś?

– Nie mam wyboru. Nie możesz mnie winić za to, że istnieję. Realizuję cel.

Poruszyła biodrami, przestępując z nogi na nogę.

– Naprawdę chcesz wejść?

Otaczający ich funkcjonariusze skradali się coraz bliżej. Porozumiewali się szeptem i niewielkimi ruchami dłoni – przeciwczonym językiem znanym tylko antyterrorystom.

Spojrzała na nich czujnie.

– Wejdz ze mną, Walterze. Może będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się, przeszła po zwłokach nad solą i zniknęła w rozbitych drzwiach klubu.

Walter zaczerpnął głęboko tchu i patrzył, jak Amy odchodzi, podobnie jak wcześniej w różnych chwilach jego życia. Chciał zmusić swoje obolałe ciało do wysiłku, poruszenia się.

– Jesteś pewien? – spytał Sealey.

Był pewien.

Ścisnął rączkę laski, usłyszał ciche pstryknięcie i przeszedł przez skrzyżowanie do klubu. Ciężar kamizelki kuloodpornej sprawiał, że poruszał się niezgrabnie.

NA ŚCIANIE ZA KASĄ wisało lustro. Teraz było rozbite. Kiedy przekroczył próg, zachrząściło mu pod stopami szkło. Rama nie spadła na podłogę; do tekturowej podkładki przykleiło się kilka odłamków, ale większość leżała na ziemi. Zauważył na niej również szczątki starego telefonu stacjonarnego podłączonego do miedzianego kabla; aparat wyrwano ze ściany i zmiażdżono.

Stała w głębi korytarza, ukryta w cieniu, ze współczuciem obserwując jego ruchy.

– Och, Walterze, co z tobą zrobiły te wszystkie lata... Prawdziwym wrogiem człowieka jest czas.

„Nie tylko czas” – pomyślał. Przypomniawszy sobie, jak przed wieloma laty dotknęła jego piersi w zaułku i pozostawiła na niej odcisk dłoni.

Spojrzał za nią, na cichy parkiet taneczny i kanapy po obu stronach sali. Siedziało na nich kilku ludzi, przynajmniej trzech policjantów. Prawdopodobnie członków grupy pirotechników, którzy przeżyli.

– Chcę, żeby wyszli. Wypuść ich.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Walter spojrzał w oczy jednemu z funkcjonariuszy.

– Wyprowadźcie wszystkich, natychmiast.

Były również zwłoki. Walter nie potrafił ich policzyć. Kilku ciałom brakowało palców; inne zostały pozbawione sił życiowych jak Rigby i wiele innych osób, które Amy pozostawiła na swojej drodze.

Kiedy funkcjonariusze wyprowadzali na ulicę pozostałych gości klubu, Amy podążyła za wzrokiem Waltera. Wydawała się prawie zawstydzona.

– Musiałam, Walterze. Potrzebowałam siły. Zabiłam tylko kilku. Nie więcej, niż było konieczne. Cieszę się, że tu jesteś.

– Do licha, Amy...

– Amy! – powtórzyła. – Ty i te twoje imiona...

Popatrzyła na swoje stopy, gdy obok niej przebiegli do drzwi ostatni goście klubu. Na zewnątrz policjanci pośpiesznie umieszczali wszystkich w autobusach, czujnie obserwując wejście.

– Jak się naprawdę nazywasz? – Walter zadał pytanie, które dręczyło go od wielu lat. Mówił cicho, by nikt go nie usłyszał.

Zastanawiała się. Przez chwilę myślała, że poda pierwsze lepsze zmyślane imię, lecz w końcu odparła równie cicho:

– Isabella.

Isabella.

– Jestem bardzo samotna, Walterze – odezwała się, gdy klub opustoszał. – W moim życiu nie ma nic stałego oprócz ciebie. Czasem nie odzywałam się przez całe miesiące. Nawet lata. Kiedy się dowiedziałam, że znowu jesteś w Detroit... nie mogłam się powstrzymać.

Stał bez ruchu.

Znowu pociągnęła nosem, czując woń śmierci emanującą z jego skóry.

– Och, mój biedny Walterze...

Kilka ekip telewizyjnych zmieniło miejsce, próbując filmować wnętrze klubu. Pozostali policjanci, ośmieleni, zaczęli się zbliżać do drzwi. Wszyscy obserwowali Waltera i Amy.

Zobaczyli już wystarczająco dużo.

Nad zniszczonymi drzwiami wisiała na metalowym pręcie czerwona aksamitna kotara. Walter ją zaciągnął i zostali sami.

Odwrócił się w jej stronę, wspierając się na lasce.

– Jesteś chyba jedyną osobą, która kiedykolwiek mnie rozumiała – powiedziała Amy.

Walter zawsze temu zaprzeczał. Przez całe swoje życie. Nie chciał jej rozumieć. Nie chciał, by mu na niej zależało. Nie chciał jej kochać. Ale nie mógł się uwolnić od tych myśli, podobnie jak nie mógł przestać oddychać albo odczuwać smak. Zwróciła mu życie, choć odbierała je dotykiem. Dała mu cel. Odkąd przed laty po raz pierwszy ją zobaczył, nieustannie o niej myślał. Czy to miłość? Zrozumienie? Co najmniej więź. Niezniszczalna więź, która ich połączyła. Dopełniali się. Bez drugiej połowy pozostawała tylko pustka. Nie mógł istnieć bez niej. Nie mógł znieść tej myśli. Wiedział, że brzmi to idiotycznie, ale niczego to nie zmieniało. Miłości nie da się zrozumieć. Gdzieś w dali rozległ się miarowy warkot nadlatujących helikopterów. Przybywało wsparcie.

Pojawią się transportery opancerzone. Potężna broń. Może wojsko? FBI wiedziało, że tu są; jeśli zdołają ją schwytać, gdzieś ją zabiorą, zamkną w klatce, zaczną badać. Spróbują zrozumieć coś, co nie powinno istnieć. Takie było

pierwotne zadanie Sealeya, ale skoro go zwolniono, przejął po nim dowodzenie ktoś inny. Ten ktoś wkrótce też miał przybyć do klubu.

Walter miał mało czasu.

Kątem oka zauważył jej odbicie w odłamkach lustra. Ohydna postać niemożliwą do opisania słowami. Z głowy spadła kępa włosów z cebulkami lśniącymi od czarnej krwi. Wylądowała na podłodze obok paznokcia i dwóch zębów leżących na wykładzinie. Wyobrażał sobie, że gdyby Golston ciągle żył, umieściłby szczątki w słoikach. Gdyby Amy była sama, mogłaby je zebrać i ukryć.

Ale teraz byli sam na sam.

Odwrócił się i usiłował wymazać z pamięci straszliwy obraz. Nie ośmielał się patrzeć na podłogę, bo wiedział, że leżą na niej kawałki ciała Amy. Nie chciał wyobrazić jej sobie w ten sposób. Zrozumiał, dlaczego zawsze tłukła lustro, dlaczego pozostawiała ciąg rozbitych lusterek.

Popatrzył na nią, stojącą w cieniu. Piękną kobietę z długimi kasztanowymi włosami i szarymi oczami głębszymi niż najciemniejsza noc, o idealnej cerze i idealnym ciele.

Jego Amy.

Jego Iele.

Isabella.

Właśnie tak pragnął ją zapamiętać.

Nie jako potwora w lustrze.

Nigdy w lustrze.

Walter również od pewnego czasu nie patrzył w lustro. Amy go obserwowała, sprawiało mu to przykrość.

Powoli podeszła do niego i dotknęła grubej kamizelki na jego piersi.

– Wyglądasz jak wrak człowieka... Mogę ci coś pokazać?

Uniosła palec ku jego skroni i przez chwilę Walter myślał, że to koniec, że zaraz umrze, ale tak się nie stało.

Przed jego oczami pojawił się obraz.

Zobaczył siebie i Amy na szczycie wzgórza. W dole, w zielonej dolinie, stała niewielka chata. Amy była ubrana w ciekawą bawełnianą sukienkę, która trzepotała na wietrze; lśniły na niej promienie słońca. Trzymała go za rękę, uśmiechała się promiennie i zaraźliwie. Nie miał laski. Nie potrzebował jej. Jego ciało znowu było młode, silne. Czuł, że żyje. Był pełen energii, wigoru. Zza chaty wyszła dziewczynka w wieku pięciu albo sześciu lat, zauważyła ich i pomachała ręką, po czym ruszyła w stronę strumienia płynącego w odległości trzydziestu metrów, trzymając wiaderko i łopatkę.

Amy popatrzyła na Waltera i pogłaskała go po włosach.

– Zawsze pragnęłam, by tak wyglądało nasze życie. Tysiące lat szukałam sensu istnienia. Odkąd się spotkaliśmy, ten obraz daje mi siłę. Jest dla mnie opoką. Ta prostota, pełnia... Ten świat będzie nasz, jeśli tego zapragniesz, Walterze. Proszę, powiedz, że pragniesz. Mogę sprawić, że stanie się rzeczywistością. Mogę sprawić, że będziemy żyli w nim wiecznie.

Po ułamku sekundy znowu znaleźli się w ciemnym klubie. Stali blisko siebie. Amy patrzyła mu w oczy z tęsknotą, a on czuł, że jej pragnie.

Wsunął dłoń do kieszeni i szukał palcami znajomej psiej obroży, którą codziennie nosił przy sobie od dzieciństwa, ale niczego nie znalazł. Nie było jej. Już nie.

Wyobraził sobie raka rozrastającego się w płucach, przerzuty docierające do każdego zakątka ciała. Jakby w odpowiedzi pojawił się ból w krzyżu, kolejne ognisko bólu w nodze, znowu w piersi.

Helikoptery warczały coraz głośniejsze: wisiały bezpośrednio nad budynkiem albo lądowały. Na zewnątrz rozległ się krzyk. Walter słyszał odgłosy ciężkich metalowych karabinów ustawianych na pozycjach.

Amy również je usłyszała i powtórzyła coś, co powiedziała przed wielu laty, gdy siedzieli razem we włoskiej restauracji:

– Nie chcę wychodzić, jeszcze nie. Czekają nas złe dni. Myślę, że jesteś na nie tak samo nieprzygotowany jak ja. Udawajmy, że to randka, dobrze? Pierwsza randka. Pochodzę z niewielkiej farmy w Dubuque w stanie Iowa i poznaliśmy się dzisiaj w kolejce do kasy w markecie. Zaprosiłeś mnie na kolację, a ja lekkomyślnie się zgodziłam.

Popatrzył na nią i znowu utonął w jej oczach.

– O niczym innym nie marzę.

Wstała, wspięła się na palce i delikatnie go pocałowała.

Otoczył ją ramionami i przytulił. Poczuł, że Amy chłonie jego siłę życiową, syci się nią. Kiedy klub zniknął i pojawił się słoneczny obraz wzgórz, puścił laskę.

Usłyszał ciche kliknięcie detonatora w rączce i zastanawiał się, czy dotarło ono również do uszu Amy. Ujrzał w wyobraźni impuls wysłany przez bezprzewodowy transponder, a później iskrę biegnącą po drutach ukrytych pod kamizelką kuloodporną do materiału wybuchowego. Tysiące kulek z łożysk nasączonych pochrzynem. Zobaczył oślepiające białe światło, po czym zapadła ciemność.

FORD TAURUS ZATRZYMAŁ SIĘ przed bramą podziemnego parkingu w pobliżu stadionu Comerica Park. Stał tylko chwilę. Kierowca pobrał bilet z automatu i pojechał rampą w dół. Od betonowych ścian odbijał się echem warkot motoru.

Sealey poczuł ściskanie w żołądku.

– Dlaczego tu jesteśmy?

Mężczyzna siedzący za kierownicą nie odpowiedział. Nie zwracał uwagi na Sealeya. Dotarł do wolnego miejsca parkingowego na trzeciej kondygnacji; było ono otoczone pomarańczowymi pachołkami ostrzegawczymi. Stanął między dwiema białymi furgonetkami bez oznaczeń i wyłączył silnik.

– Dlaczego się tu zatrzymujemy? – powtórzył Sealey. Mocno zabiło mu serce i poczuł krople potu na czole. Zupełnie mu się to nie podobało. Szarpnął pęta krępujące dłonie. Doskonale rozumiał, że to marnowanie energii, lecz mimo to podjął próbę ich zerwania.

Mężczyzna wysiadł z samochodu, zajrzał przez okno do szoferki i otworzył drzwi obok Sealeya.

– Wsiądź.

Sealey wykonał rozkaz, zdając sobie sprawę, że sprzeciw byłby tylko stratą czasu. Chciał, żeby to się wreszcie skończyło.

– Obróć się.

Sealey znowu zrobił, co mu kazano. Ktoś lekko szarpnął go za nadgarstki i przeciął ostrzem noża plastikowe więzy. Sealey się obrócił i klepnął mężczyznę w ramię.

– Nie mogłeś się powstrzymać, prawda?

– O co ci chodzi?

– Dałeś tej kobiecie wizytówkę lewą ręką. Chciałeś, by zobaczyła, że brakuje ci palca, prawda, ośle?

Red Larson wyszczerzył zęby. Psotny, dziecięcy uśmiech. Od lat nie czuł się taki pełen energii.

Wyszedł z budynku biurowego dość wcześnie, minutę po oddaniu ostatniego strzału do policjantów usiłujących zatrzymać pług z solą. Mniej więcej w tym samym czasie Walter wręczył pamięć USB kobiecie dowodzącej antyterrorystami. Larson wolałby trochę poczekać. Dobrze się czuł, znowu trzymając w rękach karabin, ale nie był idiotą. Zauważył, że antyterrorysty rozstawiają obserwatorów, i wiedział, że jeśli nie opuści budynku, nim się zorganizują – zidentyfikują ślady termiczne i pozycje strzelców – będzie załatwiony. Namierzanie puszek z paliwem to jedno, ale gdyby zauważyli go przekradającego się po dachu i schodzącego po drabinie łańcuchowej na sąsiedni budynek, wpadłby w cholerne tarapaty. W jego wieku nie będzie już szybszy. W końcu znajdą na górze jego ubranie. Zostawił je w worku, w miejscu, gdzie ukrył garnitur. Niestety powinien zostawić też karabin. Lubił go. Nie mógł wyjść z nim drzwiami frontowymi, a jednak to zrobił. Zszedł po drabinie łańcuchowej na dach sąsiedniego budynku. Właz, a później winda na parter. Następnie opuścił budynek drzwiami frontowymi, przepchnął się przez gęstniejący tłum i obszedł kwartał. Czekał w fordzie taurusie, a później zaczął udawać agenta FBI. Przebywał na tyle blisko, by utrzymywać łączność na wypadek kłopotów.

Sealey ciągle kręcił głową.

– Ta kobieta była bystra. Masz cholerne szczęście, że cię nie poznała.

– Co mogą mi zrobić? Skazać mnie na dożywocie? Nie mam nic przeciwko temu, żeby dokonać swoich dni w celi trzy na trzy metry.

– Świetnie, ale nie pracujesz sam, a ja cenię swoją wolność. Naraziłeś na niebezpieczeństwo całą operację.

– Chrzań się – odpowiedział Red. Zdjął krawat i rzucił na tylne siedzenie taurusa. Wskazał niebo na zachodzie widoczne nad betonową barierką, gdzie unosił się słup gęstego dymu. – Operacja jest zakończona. Zrobił to.

Sealey potarł nadgarstki i zbliżył się do poręczy. Znał Waltera od trzydziestu lat, czyli przez prawie połowę swojego życia. Uważał go za brata.

– Mam nadzieję, że w końcu odnalazł spokój.

Wsunął rękę do kieszeni i dotknął postrzępionej psiej obroży, którą dostał od Waltera.

O'Brien powiedział, co chce zrobić, już godzinę po otrzymaniu esemesa od Amy Archer. Zaplanował wszystko metodycznie i precyzyjnie. Sealey rozumiał, że nie wpadł na to na poczekaniu, ale obmyślał od dłuższego czasu.

– Jeśli wpadniemy do klubu i spróbujemy ją schwytać, znowu się wymknie – powiedział. – Wiecie, że tak będzie – dodał z naciskiem. – Zadzwonimy, że podłożyliśmy bombę, będziemy strzelać do wychodzących ludzi, jakbyśmy chcieli zranić każdą kobietę obecną w klubie, byle tylko ją zidentyfikować. To oczywiście nic nie da, więc pomyśli, że zyskała przewagę. Później wejdę do środka z bombą ukrytą pod ubraniem.

– Dlaczego nie podłożyć bomby wcześniej? Możemy wysadzić lokal, gdy będzie w klubie.

Kiedy Sealey to zaproponował, zdał sobie sprawę, że Walter nigdy nie zgodzi się zabić niewinnych ludzi. Chce wyeliminować przypadkowe czynniki, nie zaryzykuje, że ktoś znajdzie i rozbroi bombę. Starannie to przemyślał.

– Wejdę z bombą pod ubraniem – powtórzył. – Dopilnuję, by wszyscy wyszli. Zbliżę się do niej i zdetonuję ładunek. Tak to zakończymy.

Sealey wiedział, że Walter umiera, ale niczego to nie ułatwiało.

– Zniszczą cię w prasie. Zrobią z ciebie wariata albo terrorystę. Z nas wszystkich. Nasi dawni pracodawcy od lat szargają naszą reputację, by ukryć swój udział. Wykorzystają to.

W oczach Waltera błysnęło coś, czego Sealey od dawna nie widział.

– Mam pewien pomysł.

– Wszystko skończone – rzekł cicho Sealey, patrząc na czarny dym.

Red skinął głową i wskazał furgonetkę po lewej.

– Ta jest wasza. Ja mam drugą. W torbie z tyłu są ubrania, dokumenty i trochę pieniędzy. Rozdzielimy się, a potem żadnego kontaktu przed dotarciem do Iowy.

Dubuque w stanie Iowa.

Punkt na mapie.

Wybrali tę miejscowość, bo Walter dawno temu o niej wspomniał. Wydawała się pasować.

Red wyjął z bagażnika forda taurusa plastikowy pojemnik z benzyną i zaczął polewać wnętrze samochodu, siedzenia i podłogę.

– Zadzwoń, kiedy skończę.

– Zabrali mi telefon satelitarny.

– Na fotelu kierowcy furgonetki jest komórka na kartę.

Sealey patrzył przez chwilę na dym, po czym obszedł furgonetkę i znalazł telefon. Znowu ścisnął obrożę i zadzwonił.

„Robię to dla ciebie, stary”.



WYBUCH O MAŁO NIE STRĄCIŁ Russella Hurwitza z krzesła. Uderzył kolanami w blat biurka; do połowy wypełniona puszka red bulla efektownie wzbija się w powietrze i upadła na podłogę furgonetki. Wszystkie monitory, nieprzystosowane do wybuchów o takiej sile, rozbłyły i zgasły. Prawdopodobnie doszło do zwarcia głównego kabla łączącego je z generatorem na dachu. Hurwitz przestał słyszeć jego warkot. Siedział w ciemności i dzwoniło mu w uszach.

Wsluchiwał się przeszło dwadzieścia sekund w nieprzyjemne dźwięki, po czym zdał sobie sprawę, że to nie dzwonienie w uszach, tylko komórka przekazana Rigby przez Waltera O'Briena, w dalszym ciągu podłączona do urządzenia namierzającego sygnał.

Widział na ekranie, co się stało z Rigby, widział, co się działo przed klubem przed eksplozją. W dalszym ciągu nie rozumiał, czego był świadkiem, ale to niczego nie zmieniało.

Kiedy wyszła z klubu, wyglądała jak starożytna bogini. Chyba nigdy nie oglądał równie pięknej kobiety. Dziwne, bo jej twarz była prawie niewidoczna. Nawet gdy powiększył obraz, coś ją zasłaniało, ginęła w płataninie światła i cieni, wydawała się rozmazana. Nie potrafił wyjaśnić, co się stało później: rzucała ludźmi jak szmacianymi lalkami. A Rigby? Co, do licha, zrobiła z Rigby?! Gdyby nie widział tego na własne oczy... Miał jednak nagranie. Zarejestrował całą scenę.

Obejrzy film, kiedy znowu podłączy sprzęt do internetu. Powoli poprawi jakość obrazu. Przeczynał, że wielu ludzi będzie pytać o to nagranie. Później przypomniał sobie kamery na ulicy. Dziennikarzy telewizyjnych. Czy oni też to zarejestrowali?

Oczywiście, że tak. Cholera, połowa z nich pewnie nadawała na żywo.

Dzwonek.

Furgonetka oddziału SWAT była pusta.

Został sam.

Wybuch zatrzasnął drzwi.

Niepewnie wyciągnął palec i nacisnął guzik.

– Tak?

Przez chwilę panowało milczenie, po czym rozmówca zadał pytanie:

– Gdzie jest wasz dowódca?

– Myślę, że Rigby nie żyje. – Wypowiedział te słowa martwym głosem. Zdał sobie sprawę, że może być w szoku. Miał wrażenie, że słucha cudzego głosu.

– Przykro mi.

– Dziękuję. – Głupia odpowiedź, ale tylko to przyszło mu do głowy.

– Kim pan jest?

Nie było sensu kłamać.

– Russell Hurwitz, dział techniczny SWAT.

– Russellu Hurwitzu z działu technicznego SWAT, czy ma pan USB, które dałem pana szefowej?

Hurwitz popatrzył na USB, ciągle podłączone do komputera. Chryste, wybuch zamącił mu w głowie. Zapomniał o USB.

– Dlaczego pan pyta?

Mężczyzna odchrząknął.

– Wierzy pan w potwory?

Hurwitz nie odpowiedział. Nie dlatego, że nie chciał. Po prostu nie był już niczego pewny.

– Mamy tylko minutę, więc musi pan uważnie mnie posłuchać – rzekł nieznajomy. – Ktoś zadał mi to samo pytanie, gdy od pięciu lat pracowałem w Departamencie Obrony, a ja wzruszyłem ramionami. Później widziałem rzeczy, których nikt nie powinien oglądać. Ludzie stojący znacznie wyżej w hierarchii poprosili mnie o zbadanie sprawy. A potem mnie odsunęli; doszli do wniosku, że nasze podejście jest niewłaściwe. Walter O'Brien dostrzegł coś, czego nikt inny nie zauważył. Był dobrym policjantem, lepszym niż większość jego kolegów. Przypuszczam, że obaj byliśmy dobrzy. Wielu ludzi zaprzeczy, ale dowodzi tego zawartość USB. Jest tam wszystko, co odkryliśmy przez lata. Każdy dokument, fotografia, film, zeznanie, meldunek, wszystko na temat tej... kobiety. Przed pięcioma minutami kopie USB dotarły do mediów na całym świecie. Jakieś zautomatyzowane informatyczne hokus-pokus, które prawdopodobnie rozumie pan lepiej ode mnie. Posłaliśmy im również numer telefonu, który dał panu Walter. Proszę przygotować oświadczenie dla prasy, mówię poważnie. Niech pan nie pozwoli zrobić sobie tego, co zrobiono nam. Niech pan opowie o niej światu. Niech pan powie prawdę o Walterze.

– Kim pan jest?

– Może nie być jedyna...

Nieznajomy się rozłączył.

Hurwitz spoglądał na niewielki ekran. Kręciło mu się w głowie. Rozległy się dwa głośnie stuknięcia i otworzyły się tylne drzwi furgonetki. Zobaczył zastępcę szefa, a za nim czterech funkcjonariuszy w wiatrówkach FBI, z groźnymi grymasami na twarzy.

– Gdzie jest Rigby? Ci agenci przyjechali po Lincolna Sealeya! – krzyknął zastępca. Miał zaczerwienione oczy i przyciskał do ust chusteczkę, by nie wdychać dymu. Na chodnikach stało kilkunastu dziennikarzy. Wszystkie główne stacje telewizyjne. Lokalne kanały. Dziennikarze machali rękami, wskazywali furgonetkę. Przekrzykiwali się. Całą scenę filmowały setki gapiów.

Hurwitz otworzył usta, by odpowiedzieć, gdy nagle zadzwonił telefon.

# Przypisy końcowe

1. B. Stoker, Dracula, przeł. G. Kula, Oficyna Wydawnicza „Rój”, Warszawa 1991, s. 197. [\[wróć\]](#)